ZABIEGI CESARZA MAKSYMILIANA II

O KORONĘ POLSKĄ

1565—1576.

(Streszczenie materyałów zebranych w archiwum cesarskiego domu, dworu i państwa w Wiedniu).

Małżeństwo Zygmunta Augusta z Katarzyną, córką Ferdynanda I, nie było wcale szczęśliwém z tego głównie powodu, że Katarzyna nie obdarzyła swego małżonka synem, któryby w przyszłości mógł włożyć na swe skronie kłopotliwą ale świetną koronę przodków i nosić ją z tąż chwałą jak oni. Okoliczność ta o ile smutne miała następstwa dla Polski, wtrącając ją w r. 1572 w zamęt burzliwych elekcyj i cudzoziemskich intryg, o tyle znowu odpowiadała widokom cesarza Maksymiliana II, mającego nadzieję po bezpotomnéj śmierci swojego szwagra wprowadzić na tron polski jednego z własnych synów, nadzieję, opieraną i motywowaną licznemi a różnostronnemi stosunkami, łączącemi państwa, zostające pod jego berłem, z Polską, wielu familijnemi związkami, które w przeszłości i w danym czasie zachodziły między domem Jagiellonów i Habsburgów.

W Polsce niektórzy, mając na względzie powyższe powody, jak również koligacye, świetność i pierwszeństwo cesarskiéj dynastyi przed innemi w Europie, uważali taki obrót rzeczy nie tylko za bardzo możliwy, ale nawet przez tych niektórych, mianowicie Marcina Zborowskiego, wojewodę poznańskiego, i Filipa Padniewskiego, biskupa krakowskiego, myśl starania się o koronę polską podsuniętą została jeszcze Ferdynandowi I w roku 1562, dosyć więc wcześnie, bo na całych dziesięć lat przed śmiercią ostatniego mękkiego potomka Jagiellońskiego szczepu.

Ferdynand jednak, dobiegający niemal kresu dni swoich może jéj nie ocenił należycie, może uważał za przedwczesną, dość, że nie

wziął jéj bliżéj do serca i pozostawił w spuściźnie synowi i następcy Maksymilianowi II. Ten zrozumiał jéj ważność, jemu téż przypadły w udziale wszystkie starania o wprowadzenie jéj w urzeczywistnienie, co chociaż nie było uwieńczone pomyślnym skutkiem, stanowiło jednak jedną z ważniéjszych spraw jego panowania, było główną niemal osią, około której obracały się jedenastoletnie stosunki Austryi z Polską za jego rządów. Zabiegi te stale i usilnie prowadzone i popierane, przez lat jedénaście wywoływały znaczny ruch polityczny w Polsce, przechodziły przez rozmaite koleje i fazy, są niezmiernie ciekawe i osobliwie z piérwszego względu dla nas ważne, a jako takie warte bliższego poznania i należytego ocenienia.

Jeżeli jednym rzutem oka spojrzémy na cały przebieg wspomnianych zabiegów, łatwo dostrzeżemy w nich trzy ustępy lub periody, granicami których, rozdzielającemi pierwszy od drugiego i drugi od trzeciego, są śmierć Zygmunta Augusta i ucieczka Henryka Walezyusza, czyli innemi słowy: 1-szy obejmuje ostatnie ośm lat panowania Zygmunta Augusta, 2-gi czasy piérwszego a 3-ci czasy drugiego bezkrólewia. Przyjrzyjmy się każdemu z nich z kolei, w każdy z nich rzucimy sporo nowych promieni światła.

I.

Gdy w roku 1565 Andrzéj Dudycz, biskup Pięciu-kościołów w Węgrzech, i Wilhelm Kurzbach, prezes kamery szląskiéj, wysélani byli do Polski przez cesarza Maksymiliana II, oprócz instrukcyi, obejmującéj sprawy, które miały być jawném zadaniem ich poselstwa (sprawa królowéj, siedmiogrodzka i in.), otrzymali jeszcze drugą tajną instrukcyą, wyłącznie traktującą sprawę następstwa tronu w Polsce. Wspominając w niéj o głośnych wieściach, które głoszą, że na najbliższym sejmie piotrkowskim rzecz ta będzie podjęta, król bowiem polski niema męzkich potomków a słaba jest także nadzieja, by miał ich jeszcze w przyszłości, oświadcza cesarz, że chociaż nie myślał dotąd o pozyskaniu następstwa na tron polski dla swojego domu, mimo zachęceń, robionych jemu i jego ojcu przez niektórych poważnych senatorów polskich świeckich i duchownych, postanowił obecnie przedsięwziąć o niego starania, by na tenże tron nie był wybranym taki król, który mógłby być niewygodnym i niebezpiecznym sąsiadem nie tylko dla jego dziedzicznych państw, ale nawet dla całego chrześciańststwa. Obok tego uznania ważności sprawy widnieje z instrukcyi ocenienie także i trudności, z jakiémi przeprowadzenie jéj połączone było. Ztąd też piérwszą rzeczą, która się zaleca posłom

jest ostrożność i rostropność, konieczne z tego względu, że cesarzowi nie było wiadomo w jaki sposób ta sprawa będzie na sejmie traktowaną i z jakim nastrojem ducha przyjmie austryackie zabiegi Zygmunt August, co do którego obawiano się, by rozdrażniony sprawą królowéj nie zechciał więcéj im szkodzić niż pomagać. Z tych téż powodów jak również, że nie przypuszczano, by sprawa odrazu wzięła jakiś stanowczy obrót, nie mogli posłowie otrzymać bliższych wskazówek postępowania. Ponieważ wiedziano w Wiedniu, że są w Polsce tacy, którzy z posłami kwestyą następstwa omawiać będą, tym przeto głównie, jak również innym, którzy szczerze oświadczą się z gotowością popierania jéj na korzyść domu austryackiego, powinni posłowie w prywatnych rozmowach poufnie i skromnie odkryć zamiary cesarza, utwierdzać ich w postanowieniu i usposobieniu dobrém ku niemu, przedstawiając zarazem fakty, przemawiające za nim, jako to węzły pokrewieństwa z Jagiellonami, częste stosunki i traktaty obu państw, wspominając korzyści jakie by z tego wypłynęły: wzajemnå pomoc i obrona, rozszerzenie stosunków handlowych, zbijając wreszcie zarzuty, które mogliby podnosić niechętni, jak np. konieczność ciągłego przebywania w Polce w razie obioru samego cesarza lub obawy co do zachowania między stanami wzajemnéj zgody i pokoju; powinni przytém posłowie obiecywać, w ogólnych jednak słowach, łaskę cesarską i wynagrodzenie tym, którzy niniejszéj jego sprawie okażą pomoc i usługi. Bardzo pilnie i usilnie poleca instrukcya posłom śledzić, czy starają się o tron polski inni jeszcze kandydaci, jak licznych oni mają stronników, jakie są widoki powodzenia ich starań, a to w celu, żeby im zapobiegać i działania ich paraliżować; przedewszystkiém zaś obowiązani byli posłowie przeciwdziałać kandydaturze Jana Zapolyi, księcia Siedmiogrodu, i Jana Groźnego, księcia moskiewskiego. Co do samego jeszcze króla polskiego, to w osobnym dodatku do instrukcyi znajduje się polecenie, ażeby posłowie nie przedstawiali mu téj sprawy, gdyby on sam jéj nie poruszył, starać się tylko mają pilnie dowiadywać o tém, czy wie on cokolwiek o ich czynnościach w tym względzie i jak się na nie zapatruje; jeżeliby zaś sam Zygmunt August zaczepił w kwestyi następstwa, w ogólnych słowach odpowiedzą mu stosownie do tego, co on im powie, i w taki sposób, żeby się nie obraził na cesarza lub nie powziął złego podejrzenia, nie powinni jednak okazywać, że już w téj sprawie z kimkolwiek traktowali.

Mimo oczekiwania sprawa następstwa tronu nie była poruszaną na sejmie piotrkowskim w r. 1565, i Dudycz w myśl instrukcyi ograniczył się tylko na omawianiu jéj poufném z senatorami i donosi cesarzowi 9 Czerwca tegoż roku, że większa ich część bardzo dobrze

jest ku niemu usposobioną, wychwala jego cnoty, zwycięztwa i szczęśliwe panowanie; sam nawet król polski podobneż przyjazne uczucia ku cesarzowi i jego synom na prywatnych audyencyach nieraz wyraźnie wypowiadał; przyjacielskiém i uprzedzającém obejściem starali się posłowie jeszcze większe jednać sobie sympatye. Takich, którzyby byli nieprzyjaźni, pisze daléj Dudycz (towarzysz jego Wilhelm Kurzbach stoi na drugim planie, podpisuje tylko listy), jest mało, ale i ci, według jego zdania, nie wiele znaczą i w przyszłości szkodzić sprawie nie będą mogli. O zabiegach innych kandydatów nie znajdujemy żadnéj wzmianki, gdyż takowych prawdopodobnie nie było, napomyka tylko Dudycz, że najmniéj można w tym razie myśléć o księciu moskiewskim.

W ogóle, jak widzimy, ten pierwszy rezultat poruszenia sprawy następstwa nie był zbyt zadawalniający, może i dla tego, że Dudycz zajęty innemi pilniejszemi kwestyami, nie mógł niniejszéj poświęcać wiele czasu, chociaż bynajmniéj nie spuszczał jéj z pamięci. Gorliwy i rzutki, pragnący nadto świetnych i szybkich sukcesów, postanowił on i rzecz o następstwie popchnąć na pewniéjsze tory: zamiarem jego było, w rozwinięciu zasadniczéj myśli instrukcyi, utworzyć w Polce silne i znaczne stronnictwo austryackie, opierając się na które możnaby sprawę następstwa załatwić zgodnie z życzeniami cesarza. Jako środka do utworzenia takiego stronnictwa użył on sprawy królowéj Katarzyny.

Małżeństwo Zygmunta Augusta z Katarzyną zawarte zostało w r. 1553 czysto ze względów politycznych: dla oderwania Ferdynanda I od stosunków z księciem moskiewskim i zbliżenia Austryi do Polski. Wewnętrznego przekonania lub skłonności nie miał król do niego z tego niewątpliwie powodu, że dwojakie węzły pokrewieństwa i powinowactwa łączyły go już z Katarzyną. Gdy nadto królowa nie zjednała sobie miłości małżonka, nie obdarzając go mimo oczekiwań potomstwem, gdy zapadła w epileptyczną słabość, i gdy, co najważniéjsza, nie pojęła należycie swego stanowiska jako królowéj polskiéj, gdy zachciało jéj się prowadzić w Polsce osobną politykę na korzyść swojego ojca i brata, popierać austryackie interesy, gdy obcym jéj był kraj i społeczeństwo polskie — wszystko to było przyczyną, że uprzedzenie, jakie miał przeciw niéj Zygmunt August, przemieniać się zaczęło wkrótce w zniechęcenie i wstręt, który w r. 1563 doprowadził do ostatecznego zerwania z nią stosunków i poruszenia myśli o rozwodzie. Położenie Katarzyny w skutek tego stało się drażliwe, narażało ją na drobne przykrości, nieodłączne od czuwania, które król musiał rozpościerać nad jéj ciągłemi konszachtami z austryackimi posłami, nad jéj otoczeniem niemieckiém — tak że sama Kata-

rzyna żądała od brata Maksymiliana II, by domagał się od Zygmunta Augusta pozwolenia na wyjazd jéj z Polski. Poseł cesarski Dudycz, wysłany właśnie w r. 1565 do Polski, miał poleconém starać się, by król przywrócił żonie należne małżonce prawa i miejsce, gdyby zaś na to nie chciał się zgodzić, niechaj pozwoli jéj wyjechać do Wiednia niby na żałobne uroczystości po zmarłym niedawno Ferdynandzie. Piérwsze żądanie król odrzucił stanowczo, drugiego zaś Dudycz z początku nie przedstawiał, podmawiany przez papieskiego legata Komendoniego, który obawiał się by po wyjeździe rozwód tém łatwiéj i prędzéj nie nastąpił. Gdy jednak cesarz powtórnie rozkazał żądać wyjazdu, widząc, że do porozumienia nie przyjdzie, musiał Dudycz stosować się do jego woli i prożbę o wyjazd królowi przedstawić. Odpowiedź królewska była przyzwalająca. Komendoni, dowiedziawszy się o niéj, przeląkł się niezmiernie jéj następstw, ale ponieważ już wyjeżdżał z Polski i nie mógł wyjazdowi przeszkadzać, poddał więc tylko, jak się zdaje, Dudyczowi myśl po temu, która tak posłowi jak i królowéj się podobała. Skoro król nie chce mieszkać z żoną, trzeba go do tego zmusić wolą całego narodu! Dla przyprowadzenia swoich zamiarów do skutku pozyskał Dudycz kilka wpływowych osobistości jak np. Jakóba Uchańskiego prymasa, Stanisława Ostroroga, głowę różnowierców w Wielkopolsce, Stanisława Orzechowskiego, gorliwego rzecznika w Małopolsce. Z ich pomocą rozpoczął on silną agitacyą w kraju na korzyść Katarzyny, z wielkiém powodzeniem z początku, gdyż szlachta nie tylko wysłała deputacyą do królowéj z prożbą, by nie wyjeżdżała, lecz zobowiązała się także poruszyć jéj sprawę na najbliższym sejmie, domagać się by król nie odrzucał jéj od swojego boku. Gdyby się to udało, myślał Dudycz, że całe stronnictwo, popierające sprawę Katarzyny, będzie także po austryackiéj stronie w sprawie następstwa tronu, że zgodzi się na austryackiego kandydata. Omyliły go jednak rachuby i nadzieje. Na sejmie lubelskim roku 1566 nie przyszło nawet do publicznego rostrząsania drażliwéj dla króla kwestyi, bo przed tém jeszcze potrafił Zygmunt August rozbić stronnictwo królowéj, jednych jego przywódzców darząc dostojeństwami, drugim groźną twarz i niełaskę okazując, bo wpływy, wskutek których powstało, wszystek zapał i agitacya były przemijające i sztuczne. Lecz niedość na tém. Zachciało się Zygmuntowi Augustowi, ażeby sam Dudycz porzucił popieraną przez siebie sprawę i stronnictwo; w tym celu, wiedząc o ukrytych w głębi duszy pobożnych życzeniach posła, zaczął w rozmowie z nim napomykać o następstwie tronu, o możebności przekazania polskiéj korony po swojéj śmierci cesarzowi lub któremu z arcyksiążąt. Niczego więcéj nie trzeba było dla Dudycza. Słowa kró-

la (który nigdy prawdziwie Austryi nie sprzyjał) przyjął on za dobrą monetę, nie poznał się, że był to tylko dyplomatyczny wybieg. Uradowany pisze on do cesarza, że król okazuje się chętnym do traktowania w sprawie następstwa tronu, że bardzo dobrze jest usposobiony załatwić ją tak, jak sobie Maksymilian życzy, nie trzeba go więc zniechęcać i gniewać z powodu Katarzyny, ale zgodzić się na jéj wyjazd. Tym razem przyszedł on już do skutku: królowa opuściła Polskę w Październiku tegoż roku 1566 a z nią także wyjechał i Dudycz, kończąc tym sposobem piérwsze swoje poselstwo do Polski. W kwestyi następstwa — która nas obecnie zajmuje — jak widzieliśmy, do nie wielkich doszedł rezultatów: stronnictwo austryackie, które chciał stworzyć, zupełnie się rozproszyło, możnaby z niego nazwać parę zaledwie osobistości, podczas bezkrólewiów występujących jako zwolennicy kandydatury habsburskiéj; cieszył się tylko może obietnicami królewskiemi, próżnemi jednak okazały się one, jak sam zapewne miał sposobność o tém się przekonać.

Nie długo pozwolił Dudyczowi cesarz Maksymilian odpoczywać po trudach pierwszego poselstwa. W Lutym r. 1567 śle go znowu do Polski w sprawie powrotu Katarzyny, w kwestyi zaś następstwa tronu poleca mu pilnie uważać, czy o tém traktuje się coś, osobliwie zaś na sejmie, jeżeliby był na nim obecny i w takim razie popierać interes w myśl poprzedniéj instrukcyi, tudzież starać się o jednanie umysłów Polaków, do czego pomagać i służyć zapewne miały mnogie listy wierzytelne, dane posłowi przez cesarza do znaczniéjszych senatorów. Nie mamy wiadomości czém się Dudycz przysłużył tym razem niniejszéj sprawie. Niczém zapewne; drugie zresztą poselstwo jego trwało bardzo krótko: przyjechał do Polski w połowie Lutego a w drugiéj połowie Kwietnia już się.... ożenił. Tak jest! Ksiądz biskup zrzucił fiolety i pojął w święty stan małżeński — jak sam cesarzowi donosi, pannę Reginę Straszównę, która musiała mu wpaść w oko i serce, gdy podczas pierwszéj bytności jego w Polsce znajdowała się przy dworze królowéj.

Wypadek ten w piérwszych przynajmniéj latach musiał oczywiście spowodować utratę godności poselskiéj, był może nawet cesarzowi niejako na rękę, gdyż chłodna odpowiedź Zygmunta Augusta co do powrotu Katarzyny nie zachęcała wcale do ścisłych i bliższych stosunków dyplomatycznych, urwały się téż one prawie na dwa lata.

Sprawa jednak następstwa po Zygmuncie Auguście była zbyt ważna, by Maksymilian mógł ją puścić w niepamięć. Nie! Zajął się nią znowu, postanowił tylko na innéj załatwiać drodze, przez osobiste porozumienie się z królem polskim na kongresie. Myśl zjazdu poruszaną była już poprzednio w latach 1564 i 1565, ze względu

atoli rozstrzygnięcia niesnasek z powodu Katarzyny. Teraz — gdy sprawy pruska i siedmiogrodzka zbliżyły znowu oba dwory do siebie — odżyła ta myśl na nowo, wznowioną została już z zastrzeżeniem, że sprawa królowéj nie będzie przedmiotem obrad zjazdu, a to dla tego żeby nie odstraszać ale owszem zachęcić Zygmunta Augusta do wzajemnego spotkania się z Maksymilianem. Co do zjazdu — miał on mieć miejsce we Wrocławiu początkowo we Wrześniu r. 1569: prowadzili pertraktacye w Wiedniu Franciszek Krasiński i Łukasz Podoski, do Polski znowu jeździli w tymże interesie Wilhelm biskup ołomuniecki i Jan Malzan, Marcin Gerstmann, Grzegórz Proszkowski po dwakroć, wreszcie Jan Cyrus, który pozostał się już w Polsce jako stały ajent cesarski. Sprawa sukcesyi i siedmiogrodzka miały być na nim omawiane i załatwiane; wzajemna jednak nieufność, brak szczerości, przeciwna u nas zjazdowi opinia szlachty, ze strony znowu Maksymiliana zawikłania w Węgrzech były przyczyną, że po kilkakrotném odraczaniu do skutku nie przyszedł: Grzegórz Proszkowski wysłany po raz drugi w Październiku przywiózł ku wielkiemu zdziwieniu Zygmunta Augusta uwiadomienie, że ważne przeszkody zmuszają cesarza odłożyć zjazd do nieokreślonego a sposobniejszego czasu, który jednak już nigdy nie nadszedł.

Chociaż kongres rozchwiał się, Maksymilian nie spuszczał z oka sprawy sukcesyjnéj i Polski, zkąd Cyrus nadsyłał mu częste i drobiazgowe relacye o tém, co się w niéj działo. Podobneż wiadomości, razem z zachęceniami do starania się pilnego o tron polski przysyłali mu także kamera szląska, Wincenty Portyko, legat papiezki, Andrzéj Dudycz, Rafał Leszczyński i inni. Gdy te wiadomości zgodnie donosiły, że na sejmie r. 1571 traktowaną będzie rzecz o następstwie, tém bardziéj, że w Marcu t. r. umarł młody Jan Zapolya, domniemany następca Zygmunta Augusta, mający wielu zwolenników osobliwie wpośród małopolskiéj szlachty i najwięcéj obaw budzący w Wiedniu austryacki współzawodnik do tronu polskiego, postanowił cesarz wysłać do Polski uroczyste poselstwo, powierzając je Bertoldowi z Lipy, marszałkowi korony czeskiéj, i bawiącemu już na dworze królewskim Janowi Cyrusowi. Obszerna instrukcya, datowana 18 Maja 1571, którą wygotowano dla obu posłów, jest mniéj więcéj rozwinięciem poprzednio danéj Dudyczowi i jako taka lepiéj nam już wskazuje kierunek i środki, któremi cesarz Maksymilian spodziéwał się dojść do celu. Instrukcya ta polecała posłom (Bertoldowi z Lipy poruczoném było jeszcze sprawdzić pogłoski o rozwodzie z królową i uzyskać pomoc polską do odebrania ziemi Siedmiogrodzkiéj z rąk tureckich) w razie poruszenia sprawy następstwa na sejmie: 1) starać się odpowiedniemi sposobami i środkami, aby Maksy-

milian lub jeden z jego synów, w szczególności zaś arcyksiąże Ernest, mógł być wybrany następcą Zygmunta Augusta, 2) jeżeliby tego nie można przeprowadzić, przeszkadzać wyborowi kogokolwiek innego i starać się o odroczenie i zwłokę decyzyi stanów do dalszego czasu.

Ponieważ nie były Maksymilianowi wiadome usposobienie i nastrój Zygmunta Augusta względem téj sprawy, powinni więc przedewszystkiém posłowie zająć się ich zbadaniem i jeżeliby takowe okazały się niekorzystne, postarać się o ich usunięcie, przekładając królowi, że cesarz ożywiony ku niemu najlepszemi uczuciami i radby jak najdłużéj widziéć go szczęśliwie panującym; gdy jednak prawa natury są takie, że każdy wcześniéj czy późniéj umierać musi, król zaś umierając bez następcy naraziłby całą rzeczpospolitą na wielkie niebezpieczeństwa, przystoi mu więc wcześnie radzić o zapobieżeniu im, tém bardziéj, że gdyby one wyniknęły, mogłyby się przyczynić także do zaniepokojenia państw sąsiednich, w szczególności zaś graniczących z Polską dziedzicznych królestw i posiadłości cesarza; ten ostatni wzgląd, popierany obawą, żeby na tron polski nie był wybrany taki monarcha, którÿby nieprzyjazną Austryi kierował się polityką i był dla niéj niebezpieczny, zmuszają Maksymiliana przedstawić królowi, że można złemu zapobiedz takim sposobem, gdyby król zechciał zawczasu ułatwić kwestyą następstwa po sobie na korzyść Maksymiliana lub jednego z jego synów. Przemawiają za tém (powinni posłowie tłómaczyć królowi lub stanom publicznie czy prywatnie) oprócz wspomnianych powodów wzajemne stosunki Polski z państwami Habsburgów, jéj blizkie plemienne pokrewieństwo z Czechami, familijne związki samego króla z cesarzem; stara się wreszcie Maksymilian o koronę polską nie w celach samolubnych: rozszerzenia posiadłości, zwiększenia potęgi swojego domu, lecz w widokach korzyści nie tylko dla saméj Polski i jego własnych krajów lecz całego chrześciaństwa. Jeżeliby podnoszono zarzuty przeciw austryackiéj kandydaturze, oczywiście trzeba je zbijać; takowe zarzuty instrukcya trzy przewiduje: a) obowiązek ciągłéj rezydencyi w Polsce; Maksymilian w razie obrania go królem nie mógłby zadość uczynić temu obowiązkowi, ma bowiem w swéj pieczy inne jeszcze państwa— przedewszystkiém zaś cesarstwo — które również wymagają jego w nich obecności, przebywałby jednak w Polsce wedle możności jak najczęściéj i najdłużéj; załatwiwszy zaś wszystkie ważne sprawy, w razie wyjazdu pozostawiałby na swojém miejscu radę złożoną z senatorów lub jednego z synów jako namiestnika; b) co do małżeństwa następcy Zygmunta Augusta z jego siostrą Anną Jagiellonką, posłowie mają odpowiedzieć, że gdyby był zapewniony obiór arcyksięcia Ernesta, to tenże zaledwieby się wzdragał zadosyćuczynić ni-

niejszemu warunkowi; c) na trzeci zarzut, który mogą postawić stany świeckie względem większego respektowania lub dawania pierwszeństwa przez przyszłego króla duchownym lub przeciwnie, odpowiedzą posłowie, że cesarzowi, noszącemu na swéj głowie nie jedną koronę, wrodzona jest głęboka sprawiedliwość i poszanowanie praw i prerogatyw, przysługujących każdemu z jego poddanych, że zawsze pamiętał on i pamięta o tém, aby jednego stanu nie wynosić nad drugi, lecz przeciwnie, każdemu oddając to, co mu się należy, zachowywać między niemi tym sposobem wzajemną zgodę i dobre porozumienie; téż same zasady będzie stosować także i w Polsce, równie on, jak ewentualnie i syn jego, odznaczający się temi samemi cnotami, co i ojciec.

Jeżeliby tedy Zygmunt August z własnéj woli, czy przekonany, skłonnym się okazał do załatwiania sprawy, miał Bertold z Lipy prosić go o wskazanie dróg i sposobów, jakichby do tego użyć trzeba; jeżeliby zaś nie — ma czekać na nowe rozkazy i polecenia z Wiednia, a w razie poruszenia sprawy przez sejm, działać stosownie do tego, w jaki sposób będzie ona traktowaną; co gdyby nie nastąpiło, niech się stara wraz z Cyrusem, aby przychylni austryackiemu domowi a mający u króla łaskę senatorowie sami wzięli tę rzecz pod obrady; takich senatorów przytém nie trzeba zaniedbać umocnić w dobrém usposobieniu ku cesarzowi, zjednać nowych, obiecując przytém odpowiednią remuneracyą.

Co się tyczy drugiego głównego punktu instrukcyi, gdyby stanowczego jakiegoś a dobrego rezultatu nie można było osiągnąć, poleconém było posłom w ogólnych słowach, lecz z położeniem nacisku na wielką pilność i gorliwość, przeszkadzać powzięciu przez stany takiéj decyzyi, któraby nie była przyjemną lub odpowiednią widokom cesarza, i wyjednać odroczenie wszystkiego do późniéjszego czasu a szczególniéj zaś do osobistego spotkania się Maksymiliana z Zygmuntem Augustem.

Pan Bertold z Lipy nie miał sposobności a może nie umiał okazać swoich dyplomatycznych zdolności: Zygmunt August źle przyjął jego poselstwo; nie załatwiwszy poruczonych mu spraw, wrócił wkrótce, w końcu Czerwca poseł do Wiednia. Maksymilian użalał się w liście przed Zygmuntem na taki przebieg rzeczy i zapowiedział zarazem, że w przyszłym roku wyśle do Polski nowe poselstwo.

Jakoż tak się stało. Poruczoném ono zostało Grzegorzowi Proszkowskiemu, podkomorzemu cesarza, i bawiącemu na królewskim dworze Cyrusowi, od którego otrzymywał cesarz smutne o stanie zdrowia Zygmunta Augusta wiadomości. W odpowiedniéj instrukcyi z 28 Maja r. 1572, nakazuje cesarz Proszkowskiemu bez zwłoki

udać się do Polski i, porozumiawszy się z Cyrusem, upominać główniejszych senatorów, ażeby ze względu na budzący obawy stan zdrowia królewskiego zawczasu myśleli o jego następcy. Obaj przytém posłowie lub jeden z nich powinien zasięgnąć od wiarogodnych, otaczających króla osób, dokładnych wiadomości, jak się król miewa, czy mówiono z nim co o sprawie następstwa, tudzież czy król słucha bez gniewu mów podobnych — od tego bowiem zależała dalsza ich czynność. Otrzymawszy takie wiadomości, będą prosić króla o posłuchanie i w razie, gdyby się zdrowie jego poprawiło, oświadczą mu kondolencyą w imieniu cesarza, któremu nic nie będzie przyjemniejszém nad wiadomość, że król miewa się lepiéj. Przeciwnie, jeżeliby się stan Zygmunta Augusta pogorszył, winni posłowie, po doręczeniu innych odpowiednich pism wierzytelnych, z całym zasobem dyplomatycznéj zręczności i delikatności poruszyć sprawę następstwa i pobudzić go do jéj załatwienia, wyrażając nadzieję, że przy tém będzie miał głównie na względzie cesarza i jego synów, spokrewnionych z nim, usprawiedliwiając Maksymiliana wzmiankowanemi już powodami i okolicznościami z dania sprawie inicyatywy. Pilną uwagę mają zwracać posłowie na odpowiedź króla i usposobienie, z którém przyjmie ich propozycyą — złe czy dobre, o czém bezzwłocznie należy im się cesarza uwiadomić. W piérwszym razie będą czekali na dalsze polecenia, w drugim — cesarz wyśle świetniejsze poselstwo, któreby doprowadziło rzecz do pożądanego końca. Wyprawiając do Polski Proszkowskiego, przewidziano (nie spodziewano się go jednak) jeszcze i ten wypadek, że król może umrzéć, zanim poseł na dwór jego przybędzie; zaopatrzono go więc w listy wierzytelne do wszystkich stanów, przypuszczano bowiem w Wiedniu, że obrady nad obiorem nowego króla zaczną się zaraz po śmierci Zygmunta Augusta. Nie pominięto także nakazać Proszkowskiemu, ażeby się starał o nowych stronników, osobliwie pomiędzy więcéj wpływowemi osobistościami, oględnie jednak w tém postępując tak, ażeby się zdawało, że się to dzieje bez wiedzy cesarza, ażeby nie dać powodu do przypuszczenia, że cesarz robi z panami tajne praktyki, podkupuje ich lub t. p. Spełniwszy polecenia Proszkowski nie powinien wracać, lecz zostać się razem z Cyrusem na dworze królewskim, śledzić za bieżącemi sprawami i wypadkami, przedstawiać cesarzowi relacye o nich, oczekując na dalsze rozkazy.

Nadzieje i tym razem zawiodły: misya Proszkowskiego zupełnie się nie powiodła; niema żadnych śladów o jego działalności w powierzonych mu interesach. Przyjechał on do Warszawy 13 Czerwca, wtedy, kiedy chory król wyjechał już do Knyszyna. Proszkowski

nie zastał w Warszawie żadnego zapewne z senatorów, i ci bowiem po wyjeździe dworu królewskiego w wiejskie ustronia uciekli przed morowém powietrzem, nie zastał także i Cyrusa, który w ślad za królem udał się także do Knyszyna; siedział więc w Warszawie, oczekując stosownie do ostatniego punktu instrukcyi na nowe polecenia cesarza.

Cyrus tymczasem, pilny w pisaniu listów jak zawsze, nie próżnował pod tym względem i obecnie, kolportując do Wiednia coraz smutniéjsze wiadomości o chorobie Zygmunta Augusta. 7 Lipca, na parę godzin przed śmiercią ostatniego Jagiellona, pisze do Maksymiliana, że król przeżywa ostatnie chwile swojego życia, a nie wiedząc nic o przybyciu do Warszawy Proszkowskiego, upomina cesarza, żeby nie zaniedbywał przedsięwziąć uprzednich, wstępnych kroków do przyszłéj akcyi, radzi wysłać do Polski posła, któryby obietnicą małżeństwa z synem cesarskim pozyskał Annę Jagiellonkę, zjednał także najprzód Wojciecha Łaskiego, wojewodę sieradzkiego, cieszącego się szczególniéj wpośród szlachty wielkopolskiéj powagą i znaczeniem.

Jednocześnie z tym listem otrzymał także Maksymilian wiadomość o wypadku, który nastąpił tegoż samego dnia, w którym powyższy list był pisany, w pamiętnym dniu 7 Lipca, wiadomość o śmierci Zygmunta Augusta, która sprawie inny dała kierunek, wprowadziła ją w nowe zupełnie stadyum. Wszystkie zabiegi, jakie przedsiębrane były do téj chwili, nie przyniosły, jak widać z powyższego, żadnego rezultatu; nie udały się Maksymilianowi wszelkie próby zapewnienia sobie lub synowi korony polskiéj za życia Zygmunta Augusta, wyprawiane tylekroć poselstwa do Polski spełzły na niczém, wszystkie usiłowania rozbijały się bądź to o niechęć króla, niesprzyjającego Austryi, bądź to o uprzedzenie szlachty, słusznie obawiającéj się o swoje wolności i prawa, które pierwsze wystawione byłyby na niebezpieczeństwo w razie wstąpienia na tron Habsburga, bądź to wreszcie o zewnętrzne czasowe przeszkody. Nie udało się posłom cesarskim stworzyć nawet dobréj podstawy do działań na przyszłość: stronnictwa austryackiego, partyi, któraby popierała na tron ich kandydata. Przez ciąg lat kilku zwerbowali nie wielu tylko stronników, którzyby pomagali im lub okazali się takimi w czasie następnych bezkrólewi. W chwili śmierci Zygmunta Augusta, kandydatura austryacka nie więcéj mogła liczyć na powodzenie, niż każda inna, owszem mniéj może nawet, gdyż dotychczasowe starania i intencye Maksymiliana nie były zbyt tajne, wcześnie obudziły czujność narodu, nieprzyjaźnie go usposobiły. Z rozpoczęciem bezkrólewia musiał Maksymilian rozpoczynać starania, że tak powiem *ab ovo.*

Wzięto się też do tego bezzwłocznie. Wiadomość o śmierci króla polskiego wprawiła cesarską kancelaryą w niezwykły ruch i czynność, objawiającą się mnóstwem instrukcyj, listów, korespondencyą obfitą i częstą ze wszystkiemi częściami Polski, z austryackimi agentami i posłami, z polskimi magnatami i szlachtą, z dygnitarzami litewskimi; głównymi promotorami téj czynności, nadającymi jéj kierunek, skupiającymi w swych rękach wszystkie najtajniejsze węzły i nitki intrygi, piérwszymi wykonawcami i pomocnikami przy boku cesarza byli Jan Chrzciciel Weber, nadworny wice-kanclerz, i Piotr Obernburger, sekretarz cesarski, radca tajny; szczególniéj pracowitym jest ten ostatni: z pod jego pióra wychodzą nie tylko koncepty wszystkich instrukcyj i listów ale nawet ważniejsze oryginały, długie niekiedy, cyfrowane korespondencye; ważném stanowiskiem, jakie zajmują obaj usprawiedliwia się i niniejsza poświęcona im wzmianka.

II.

Tak więc, jak widać z poprzedniego ustępu, w chwili, gdy Zygmunt August umierał w Knyszynie, było w Polsce dwóch agentów austryackich: Grzegorz Proszkowski i Jan Cyrus. Pierwszy z nich, jak już nadmieniłem, w Warszawie oczekiwał na dalsze polecenia od cesarza, drugi zaś bez przerwy prawie przebywał w Knyszynie, posyłając ztamtąd do Wiednia relacye o wypadkach w Polsce, przyszłych kandydatach do tronu, ich zwolennikach, usposobieniu i zamiarach w popieraniu kandydatów niektórych magnatów, starając się nadto o werbowanie stronników austryackich osobliwie pośród litewskich panów. Między tymi ostatnimi najwybitniejsze stanowisko i poważanie mieli Jan Chodkiewicz, kasztelan wileński, i Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, marszałek nadworny litewski, do nich też najprzód zwrócił się Cyrus i nie bez pewnego skutku, otrzymał bowiem od nich warunki następujące, pod któremi obowiązywali się przeprowadzić wybór arcyksięcia Ernesta na tron litewski; warunki te były: 1) Litwie przyznane i potwierdzone będzie prawo wolnéj elekcyi książąt; 2) wszystkie prawa, przywileje i swobody, służące Litwie będą potwierdzone; 3) poprawioną zostanie na korzyść Litwy unia, zawarta w Lublinie, mianowicie zaś ziemie kijowska, wołyńska, podolska i bracławska napowrót będą do niéj przyłączone, nie mniéj jak i Inflanty; 4) granice Litwy, przez kogokolwiek i kiedykolwiek naruszone, będą restytuowane; 5) przyszły nakoniec w. książe Ernest rozdawać będzie godności i urzędy tylko litwinom z urodzenia. Cyrus posłał te warunki pod cesarską decyzyą, pobudzając jednocześnie

Maksymiliana do energicznego prowadzenia sprawy, udzielając rozmaitych rad w tym celu, w nadziei że wykonanie ich złożone będzie w jego nieudolne ręce. Wspomniałem już wyżéj o jego radzie co do infantki Anny i Albrechta Łaskiego; obecnie w listach z 11 i 28 Lipca upomina on znowu cesarza na seryo myśléć o małżeństwie Ernesta z Anną, nie zważając na jéj lata, gdyż jak pisze, Polacy dadzą zapewne pierszeństwo temu kandydatowi, który się z nią ożeni; w ostatnim z tych listów usilnie także radzi, ażeby Ernest uczył się języka czeskiego, ażeby gwoli sprawienia dobrego wrażenia napisał po czesku list do Franciszka Krasińskiego, biskupa krakowskiego i podkanclerzego, lub innego ze znanych mu senatorów, czémby sobie mógł również ich zjednać; następnie radzi także wysłać poselstwo na sejm elekcyjny, który według jego przypuszczenia w Krakowie miał się w krótce zebrać, i do znakomitych magnatów, mających poważanie i wpływ na szlachtę, dla pozyskania ich partyi austryackiéj.

Niektóre z powyższych rad wprowadzone zostały w wykonanie, zanim jeszcze listy Cyrusa doszły do Wiednia. 21 Lipca Maksymilian wysyła do Anny swojego podczaszego Jana Alfonsa Kastaldo z własnoręcznym listem, oświadczającym jéj ubolewanie nad śmiercią brata, jako téż wypowiadającym życzliwe ku niéj uczucia cesarza i nadzieję, że takiemiż samemi ona wzajem odpłacać mu się będzie. Oddając list, Kastaldo miał treść jego obszerniéj rozwinąć w mowie, uskutecznić zaś to był powinien w obecności Cyrusa, jako towarzysza i posła zwyczajnego w Polsce, jeżeliby oczywiście tenże znajdował się w miejscu zamieszkania królewny. Wszelkie inne pertraktacye z Anną Jagiellonką, senatorami lub kimkolwiek surowo były Kastaldowi wzbronione—pozostawiono to posłom, którzy wkrótce mieli być wysłani; oddawszy jednak list, Kastaldo miał poleconém pozostać na dworze infantki obserwować wszystko, co się około niéj dzieje i o czém, rzecz naturalna, dokładne nadsyłać powinien był wiadomości.

Idąc za radą Komendoniego, nuncyusza papiezkiego, jednocześnie z Kastaldem, wysłał Maksymilian w rozmaite strony Polski kilku agentów dla zyskiwania stronników i zbadania w ogóle opinii ważniejszych osobistości. Bernard Friedenthal wysłany został do Wielkopolski mianowicie zaś do Łukasza Górki, wojewody poznańskiego, i jego braci, do Albrechta Łaskiego i Rafała Leszczyńskiego, starosty radziejowskiego; Zygmunt Kurzbach—do Małopolski, do Jordana Spytka, kasztelana krakowskiego, Jana Firleja krakowskiego, Piotra Zborowskiego sandomierskiego, Mikołaja Maciejowskiego lubelskiego wojewodów i Hieronima Bużeńskiego, podskarbiego koronnego; Grze-

górz Proszkowski otrzymał polecenie traktować z dygnitarzami mazowieckimi, następnie zaś z tymi, którzy byli zgromadzeni przy zwłokach królewskich w Knyszynie, ztąd miał się udać do Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, Jana Chodkiewicza, Konstantego ks. Ostroskiego wojewody kijowskiego i innych senatorów litewskich, z Litwy zaś do Prus do Fabiana Czemy malborskiego i brata jego Achacego pomorskiego wojewody; odebrał on także list i do Fryderyka Albrechta księcia pruskiego, którego cesarz prosił dla niego o pomoc i poparcie. Brat Grzegorza, Jan Proszkowski wysłany został na Ruś do Jerzego Jazłowieckiego ruskiego, Mikołaja Mieleckiego podolskiego wojewodów, do Herburtów; Marcin Gerstmann znowu, kanonik wrocławski, do prymasa, Jakóba Uchańskiego, i innych biskupów polskich. Prócz tego polecił cesarz Maciejowi Poley udać się do Wielkopolski i agitować między szlachtą, znaną mu z poprzednich bytności w Polsce.

Zadaniem wszystkich tych agentów, opatrzonych w jednakowe (z niezbędnemi oczywiście co do osób i miejscowości waryantami) instrukcye i w sporą liczbę niezaadresowanych listów wierzytelnych, było pozyskanie najprzód znaczniejszych, do których byli wysłani, osobistości do popierania kandydatury Ernesta, a z ich pomocą i możebnie znacznéj liczby głosów szlachty. Przy takich pertraktacyach powinni byli agenci kierować się temi samemi wskazówkami, jakie udzielane były poprzednim posłom, tych samych środków i racyi używać dla pozyskania czy to uprzedzonych czy niechętnych, nie powinni wreszcie żałować obietnic nagród każdemu, kto sprawie wyświadczy przysługi. Chociażby się nie udało osięgnąć wielkich pozytywnych rezultatów, to przynajmniéj spodziéwano się, poznać zdania i przekonania przyszłych wyborców, ułatwić tym sposobem czynność przyszłym posłom.

W danych wszystkim tym agentom instrukcyach niema żadnego zastrzeżenia co do zachowywania ich czynności w tajemnicy—w danym razie było to niemożebne; jakieś wiadomości o nich musiały do ogółu przeniknąć przez tych, z którymi mieliby do czynienia, zbytniéj jednak jawności ze względu na rzecz samę wcale sobie nie życzono, gdyż w takim razie powodzenie byłoby tém wątpliwsze. Stało się tymczasem przeciwnie. Adam Konarski, biskup poznański, do którego najsamprzód udał się Marcin Gerstmann, nie zbyt przyjaźnie go przyjął, nie chciał odebrać wręczonego mu listu od cesarza, dowiedziawszy się nadto od Gerstmanna o rozesłaniu agentów do różnych panów, opisał to wszystko w liście do mniemanego wojewodzica i puścił ten list w obieg. Można sobie wystawić, jakie on sprawił wrażenie, jeżeli zważymy, że powszechna wówczas wśród szlach-

ty była obawa intryg zagranicznych, że niebezpieczeństwa, grożące rzeczypospolitéj z powodu braku gotowego na tron następcy w czasie tego pierwszego bezkrólewia w ogóle były przeceniane, że zbyt obawiano się, żeby te intrygi jeszcze ich nie powiększyły. Odkrycie albo raczéj ujawnienie „austryackich praktyk“ przez biskupa poznańskiego, spowodowawszy z nich niezadowolenie, było przyczyną, że działalność agentów cesarskich nie miała powodzenia, pobudziło także przeciw nim czujność, wprowadziło pewne środki ostrożności, skutków któréj, jak zobaczymy zaraz doświadczali sami posłowie; na razie ostrożności te ograniczyły się na zwróceniu uwagi na czynności wszystkich agentów austryjackich i postawieniu na granicy austryackiéj od strony Szląska straży, któraby nie wpuszczała do kraju nowych agentów i chwytała posłańców, przenoszących listy z Polski do Wiednia i odwrotnie.

Że czynność wspomnianych agentów nie przyniosła pożądanych owoców, dowodem tego zdaje się być i ta okoliczność, że o niéj nie wiele zachowało się śladów. Kastaldo, odprawiwszy poselstwo, siedział na dworze Anny w Płocku, relacyj jego jednak nie mamy, nie wiemy, co tam robił. Co się stało z Bernardem Friedenthalem, jak się powodziło Maciejowi Poley, nie wiemy także. Jan Proszkowski już w Sierpniu powrócił do Wiednia, nie z własnéj chęci, jak się zdaje, i bez odwołania go przez cesarza. Więcéj nieco wiadomości o Gerstmannie: udał się on najprzód, jak powiedziano, do Adama Konarskiego, przyjęty z początku nie bardzo uprzejmie, potrafił go jednak, jak należy przypuszczać, pozyskać, gdyż Konarski w następstwie jest nie tylko stałym stronnikiem cesarza i korespondentem, ale samemu nawet Gerstmannowi udziela radę, ażeby przyszli posłowie mieli ze sobą listy wierzytelne oddzielne do senatu, oddzielne do szlachty, ażeby cesarz wcześnie pomyślał o czynném poparciu swoich stronników przeciwko partyi przeciwnéj. Od biskupa poznańskiego Gerstmann udał się do prymasa, do Łowicza; co i jak z nim traktował, nie wiemy, relacya jego bowiem o tém również się nie dochowała. Z Wielkopolski pojechał Gerstmann wprost na zjazd senatorów do Knyszyna, gdzie się już znajdowali Cyrus i Grzegórz Proszkowski.

Zjechanie się ich w Knyszynie, na który zwrócona była wówczas powszechna uwaga, nie podobało się zebranym tam senatorom i było powodem, że kazano wszystkim trzem wyjechać z Polski. Jakoż Marcin Gerstmann uczynił to zaraz: w początkach Września spotykamy go już w Wiedniu, składającego cesarzowi o wypadkach w Polsce i swoich przygodach ustną relacyą. Grzegórz Proszkowski udał się do Prus, zkąd w końcu tegoż miesiąca powrócił także do

Wiednia, pozostał w miejscu tylko Jan Cyrus, oświadczywszy, że nie wyjedzie z Polski, chyba tylko zmuszony do tego siłą.

Co się jeszcze tyczy działalności Proszkowskiego w czasie téj bytności w Polsce, to należy wspomniéć, że konferował on, chociaż nie wiemy z jakim skutkiem, z wojewodą mazowieckim Stanisławem Lawskim i wojewodą rawskim Anzelmem Gostomskim; potém, stosownie do danéj mu instrukcyi, przez Knyszyn pośpieszył do Grodna, gdzie zgromadzeni byli najznakomitsi panowie litewscy. Przybywszy tam 16 Sierpnia, na drugi zaraz dzień za pośrednictwem Jana Sieniawskiego, kasztelana kamienieckiego, otrzymał u nich posłuchanie publiczne i wyłożył cel swojego poselstwa. W imieniu wszystkich odpowiedział na nie Jan Chodkiewicz, z wielkiemi afektami dziękując cesarzowi za to, że przysłał go do nich w poselstwie, i za rady, jakie im udziela co do wyboru przyszłego monarchy, stanowczéj jednak decyzyi ich co do obrania Ernesta nie mogą mu udzielić bez porozumienia się ze wszystkimi innymi senatorami; niechaj poseł uda się do Knyszyna, dokąd się właśnie senatorowie zjeżdżają i tam niech oczekuje na rezultat wspólnych ich obrad. Taką odpowiedź odebrał Proszkowski w senacie litewskim w obec wszystkich; na prywatném jednak zebraniu u marszałka Radziwiłła, i ten i Chodkiewicz zapewniali Proszkowskiego, że Ernest będzie wybrany, byle tylko cesarz zobowiązał się, że dopełni warunków, które podali Cyrusowi, oraz jeżeli obieca promotorom jego wyboru odpowiednią nagrodę i pospieszy Litwinom na pomoc w razie, gdyby Polacy na Ernesta się nie zgodzili a wybrali królem kogo innego. Poczém Proszkowski powrócił do Knyszyna. Zgromadzeni jednak w Knyszynie senatorowie nie chcieli się wdawać w pertraktacye z cesarskimi agentami, postanowili nawet, żeby żaden pod zagrożeniem niesławy nie porozumiewał się z nimi w nieobecności innych. Mimo to Proszkowski i Cyrus byli u Chodkiewicza, chcąc go (niedowierzali mu) bardziéj umocnić w powziętych zamiarach popierania Ernesta; powtórzył im to samo, co już powiedział Proszkowskiemu w Grodnie, oświadczając, jak zwykle, życzliwe uczucia i powolność cesarzowi i jego familii.

Co do Cyrusa wreszcie, przebywa on ciągle w tym czasie w Knyszynie, robiąc niekiedy wycieczki w poblizkie okolice dla nawiedzenia mieszkającego niedaleko lub przejeżdżającego senatora; oczekując na dalsze polecenia, zdaje on tymczasem Maksymilianowi relacye o tém, co się koło niego dzieje lub o czém go wieści dochodzą; stara się skaptować, kogo może jak np. Jana Dulskiego, kasztelana chełmińskiego, Mikołaja Maciejowskiego, wojewodę lubelskiego, chociaż nie z wielkiem powodzeniem, traktuje także, razem z Proszkowskim, jak widzieliśmy z Chodkiewiczem, i innymi.

W Wiedniu tymczasem szykowano do Polski nowe świetniejsze poselstwo, któremu miało być powierzoném prowadzenie całéj sprawy o pozyskanie tronu polskiego. Na czele jego byli Wilhelm z Rozenberga, najwyższy burgrabia czeski, i Wratysław z Persztyna, wielki kanclerz korony czeskiéj. Powierzona im misya, jak opiewa instrukcya, nosząca datę 2 Sierpnia 1572 r., streszczała się w czterech następnych punktach: 1) starać się powinni, ażeby jeden z synów Maksymiliana, w szczególności zaś drugi z kolei arcyksiąże Ernest, wybrany został na króla polskiego, jednocześnie zaś także, stosownie do unii lubelskiéj, i na wielkiego księcia litewskiego; 2) jeżeliby polacy wskutek jakiegoś uprzedzenia lub niechęci nie zgadzali się na wybranie Ernesta, a nie można by było ich nieżyczliwości ku Ernestowi usunąć (o co pilnie starać się trzeba), zaproponują im posłowie wybrać trzeciego syna cesarskiego, Macieja, jeżeliby zaś i ten im się nie podobał,—czwartego najmłodszego, Maksymiliana; 3) jeżeli Polska z Litwą poróżnią się, trzeba, żeby przeprowadzili elekcyą Ernesta lub jednego z młodszych jego braci oddzielnie w Polsce na króla, oddzielnie w Litwie na wielkiego księcia; 4) czwarty wreszcie punkt pouczał posłów, co mają robić w takim razie, jeżeli niezgoda obu połów rzeczypospolitéj dojdzie do tego, że litwini będą chcieli mieć osobnego zupełnie, samodzielnego księcia.

Przejechawszy granice Polski, powinni posłowie udać się przedewszystkiém do Anny Jagiellonki, nie zaniedbując po drodze pozyskiwać tych, czy to z panów czy z znakomitszéj szlachty, z którymi się spotkają. Oddawszy infantce list wierzytelny, powitają ją posłowie w imieniu cesarza, wyrażając zarazem kondolencyą z powodu śmierci Zygmunta Augusta i przyjazne braterskie uczucia i życzliwość, jakiemi Maksymilian jest ku niéj przejęty; następnie wyłożą motywy i cel swojego przyjazdu do Polski i będą prosić Annę, ażeby ich popierała przed stanami swoją powagą i wpływami. Względem senatorów, znajdujących się na dworze królewny, powinni zachować się tak samo, jak względem tych, których po drodze spotkają: będą się starali zjednać ich i skaptować, nie szczędząc pracy i zabiegów: przekonywać ich i wszystkich innych namową, pozyskiwać obietnicą łask i nagród, przyciągać pieniędzmi, w razie potrzeby nawet dawać im piśmienne poręczenia, że cesarz zadosyć uczyni zrobionym przez nich obietnicom, oczywiście wtedy tylko, jeżeli sprawa skończy się pożądanym rezultatem. Zyskiwanie stronników, tworzenie partyi było główném zadaniem posłów przed zebraniem się sejmu elekcyjnego. W instrukcyi naszkicowana jest także mowa, jaką na tym sejmie wypowiedziéć mieli. Z tego, co było dotąd powiedziane, łatwo się domyśléć jéj treści, szczegółów jéj nie będę

tu powtarzał, gdyż ona oddawna jest nam już znaną (w „Zbiorze pamiętników“ W. hr. Platera, tom III) i że przyjdzie mi jeszcze powrócić do tego przedmiotu niżéj. O warunkach czyli korzyściach, wypływających dla Polski z obioru Ernesta niema jeszcze mowy w instrukcyi, jest jednak zastrzeżenie co do małżeństwa jego z Anną Jagiellonką; cesarz polecał w niém posłom nie odrzucać wprost tego warunku, ale starać się, żeby wybór nastąpił bez niego; chyba tylko, jeżeliby to było *conditio sine qua non*, przystaną na niego i ułożą się względem jego wypełnienia; na ten ostatni wypadek zaopatrzeni byli w zupełne pełnomocnictwo, tak od Maksymiliana jako i od Ernesta.

W rozwinięciu drugiego punktu powiedziano, że posłowie powinni zwalczać i wykorzeniać nieprzychylne uprzedzenie do Ernesta, jako przyczynę jego wskazując fałszywe wieści i obmowy, rozsiewane przez złośliwych lub niechętnych, dowodzić, że rzecz się ma przeciwnie, zalecać i podnosić jego wykształcenie, obyczaje i powagę, których nabył w Hiszpanii, gdzie się wychowywał, delikatność obejścia, dostępność, łatwą i przyjemną wymowę i inne dobre i piękne—oczywiście o tych mówi się w instrukcyi—strony jego osobistości i charakteru. Gdyby jednak wszystkie zalecenia nie pomogły i nie byłoby widoków, żeby Ernest mógł być wybrany, postawić mają jako kandydata starszego jego brata Rudolfa, króla węgierskiego a przyszłego następcę Maksymiliana na cesarskim tronie, z pominięciem jednak z jego strony zadosyćuczynienia warunkowi stałego rezydowania w Polsce, lub też jednego z młodszych synów cesarza bez przyjęcia warunku małżeństwa z Anną Jagiellonką, jako jeszcze zbyt młodych.

Jeżeli Litwini będą dążyli do zerwania unii z Polską, trzeba im przedstawiać wszystkie niekorzyści i złe następstwa tego faktu z jednéj, jak nie mniéj korzyści i obustronny pożytek z drugiéj strony w razie jéj dochowania, do czego przedewszystkiém zachęcać ich należy. Jeżeliby jednak przedstawienia posłów nie odniosły skutku i przyszłoby do osobnéj w Koronie i w Księstwie elekcyi, czynność posłów rozpadnie się wówczas na dwie jednakowe i równoległe części, chociaż rezultat jéj powinien być jeden i ten sam: tak przez Polaków jak i przez Litwinów obrany być powinien jeden i tenże kandydat, przez nich zalecony. Wreszcie w odpowiedzi na czwarty główny punkt instrukcyi powiedziano, że jeżeliby niezgoda między Polską a Litwą doszła do tego stopnia, że nawet przewidziany wyżéj wybór nie miałby miejsca, posłowie starać się będą przeprowadzić elekcyą w Polsce jednego, w Litwie zaś drugiego z synów Maksymiliana, a jeżeliby Polacy wcale się nie zgadzali na ich kandydata,

niech przynajmniéj takowy przez Litwę obrany będzie na wielkiego księcia. Taki jest główny zarys i treść danéj Wilhelmowi z Rozenberga i Wratysławowi z Persztyna instrukcyi—załatwianie pomniejszych szczegółów i nieprzewidzianych na prędce wydarzyć się mogących trudności i spotykanych przeszkód powierzone zostało własnemu ich rozsądkowi i zręczności. Dodano im kilku pomocników i sekretarzy, głównie czechów; znajdujący się w Polsce Kastaldo i Cyrus także oddani zostali pod ich komendę. Temu ostatniemu polecił nawet cesarz, żeby wyjechał naprzeciwko posłów aż na granicę i w pierwszéj przynajmniéj chwili służył im radą, nabytém w Polsce doświadczeniem, znajomością kraju, ludzi i stosunków, obznajmił ich z obecną sytuacyą; w razie potrzeby kierować się także posłowie winni wskazówkami i korzystać z pomocy Komendoniego, legata papieskiego; książe pruski Albrecht Fryderyk nie mniéj był przez cesarza obligowany, ażeby okazywał jego posłom poparcie, udzielał potrzebnych im wiadomości. Wieźli z sobą polecające i wierzytelne listy do wszystkich znaczniejszych senatorów, jako téż znaczną liczbę listów wierzytelnych niezaadresowanych, ażeby je mogli doręczać tym, którychby chcieli zjednać, z którymi byłaby potrzeba prowadzenia pertraktacyj w imieniu cesarza.

W końcu Sierpnia Wilhelm z Rozenberga i Wratysław z Persztyna z wielką świtą, nie opowiedziawszy się senatowi polskiemu ani otrzymawszy jego pozwolenia, przejechali granice Polski i stanęli wkrótce w Krakowie, ztąd zaś zamyślali zaraz udać się do Knyszyna na zjazd senatorów i do Anny Jagiellonki. Jakoż na drugi dzień po przyjeździe opuścili to miasto w kierunku ku Knyszynowi; lecz już w Połańcu spotkali się z posłańcem wojewody sandomierskiego, Piotra Zborowskiego, który powracał już z Knyszyna, a donosząc im, że zjazd się skończył, prosił, ażeby tam, gdzie odbiorą niniejszą wiadomość, zatrzymali się i oczekiwali na niego samego. Posłowie odrzekli, że będą czekali na niego w Pokrzywnicy, nie uczynili tego jednak, lecz pojechali daléj do Sandomierza. Wieść tymczasem o przybyciu posłów rozeszła się i nie sprawiła bynajmniéj dobrego wrażenia; wiedziano, że będą „praktyki robić", wszczął się więc na pana wojewodę sandomierskiego huczek niemały o to, że tak wielkiéj chmarze cudzoziemców pozwala swobodnie włóczyć się po kraju w obecnym niebezpiecznym czasie bezkrólewia. Zborowski ze względu także, że samowolnie w takiéj liczbie bez wiedzy senatu przejechali granice Polski, zatrzymał ich do dalszego czasu w Sandomierzu. Gdy jednak tutaj wybuchło morowe powietrze, pozwolił im udać się do Urzędowa, miasteczka w województwie lubelskiém, należącego do księcia Słuckiego; ale kiedy ich tam nie puszczono, z oba-

wy zapewne, żeby nie przynieśli zarazy, skierowali się ku Lublinowi, gdzie według postanowienia senatorów zebranych w Knyszynie, miał się odbywać sejm elekcyjny. Niedługo jednak i tutaj popasali: jak skoro decyzya części senatorów co do sejmu przez wszystkich innych nie została przyjęta a i w Lublinie również pokazało się morowe powietrze i zabrało posłom z ich świty kilku ludzi, cofnęli się do Dąbrowicy, potém zaś do Dziekanowa, chcąc się bardziéj przybliżyć ku Łomży, rezydencyi Anny Jagiellonki, gdzie zatrzymali się przez Październik, póki wreszcie senat nie orzekł, ażeby w Urzędowie oczekiwali, aż ich zawezwą do wyłożenia przed stanami sprawy, poruczonéj im przez cesarza.

Maksymilian tymczasem, dowiedziawszy się o zatrzymaniu posłów, pisze do Zborowskiego list, łaskawie go napominając i żądając, ażeby ich wypuścił i na przyszłość nie stawiał im przeszkód; jednocześnie zaś widząc, że nie będą mieć takiéj swobody działania, jakąby chcieli, że czynności ich będą przedmiotem powszechnéj uwagi, posyła im, ażeby mieli kim się posługiwać i używać do kaptowania stronników, kilku jeszcze agentów (Macieja Stolz, Adama Czamer, Jana Kochcickiego, Zygmunta Jordana, Henryka Lenz, Posadowskiego), 150 nowych niezaadresowanych listów wierzytelnych i obszerną wskazówkę, w jakie instrukcye powinni zaopatrywać tych agentów, posiłkując się nimi we wspomnianym celu; nakazuje im także, ażeby przez Andrzeja Dudycza jednali Jana Firleja, wojewodę krakowskiego, wpływowego w Małopolsce, ale nieprzychylnego Austryi.

Wpośród ciągłych przejazdów z jednego miejsca na drugie, posłowie nie wiele mogli zajmować się wykonaniem cesarskich poleceń. Przybywszy dopiéro do Dziekanowa, wysyłają ztąd na sejmiki do Mało i Wielkopolski długi list, pisany po czesku, w którym jako przyczynę swoich przejazdów wskazują morowe powietrze, zbijają wieść, jakoby chcieli ożenić z Anną Ernesta, który incognito miał się w ich świcie znajdować, ażeby ułatwić mu przez to otrzymanie korony; skarżąc się wreszcie na bezimienne pisma rozmaite, które wystawiają cesarza i jego synów na oszczerstwa i nienawiść, proszą, ażeby stany postanowiły karę na ich autorów. Rady koronne zgromadzone pod Warszawą odpowiedziały na to posłom, że sami się narazili na nieprzyjemności, niechcąc stosować się do prożby wojewody sandomierskiego, ażeby zatrzymali się na jedném miejscu, co zaś do rozsiewanych wieści i pism, te uważają za godne śmiechu nie gniewu, i autorowie ich odniosą karę, jeżeli posłowie ich wskażą.

Wieści jednak i pogłoski o zamiarach posłów względem Anny Jagiellonki zupełnie bezpodstawne nie były; zdradzali je sami posłowie, maskując innemi pozorami chęć zbliżenia się do jéj rezydencyi, zdradziło je porozumiewanie się i przyjazd do Dąbrowicy Kastalda, o którego pobycie na dworze infantki posłowie twierdzili, że nic nie wiedzą; rzeczy te nie były tajne stanom, wznieciły w nich obawę, ażeby posłowie cesarscy około osoby królewny nie snuli intryg, i były powodem, że kilku senatorów posłano na jéj dwór z poleceniem pilnego zważania, co się tam dzieje, ustrzeżenia jéj od „praktyk."

W obec takich okoliczności bytność posłów u Anny była niemożebna; że jednak obowiązek nakazywał im do instrukcyi cesarskiéj się stosować, postanowili wysłać do Łomży swojego pełnomocnika, którýby przedstawił królewnie to, co im było polecone. Na takiego pełnomocnika wybrali Cyrusa; miał on uniewinnić posłów, że sami nie przybywają, i prosić Annę, żeby popierała sprawę Ernesta; jeżeliby on został wybrany na króla, posłowie mają pełnomocnictwo zupełne do traktowania o zawarciu z nią małżeństwa, na dowód tego (co w instrukcyi danéj przez posłów Cyrusowi wyrażoném zostało) okazali mu i pozwolili przeczytać owe upoważnienia, udzielone im przez Maksymiliana i Ernesta. Ale..... dyplomatyczne zdolności Cyrusa zawiodły oczekiwania posłów: zamiast posunąć naprzód, pogorszył on jeszcze całą sprawę.

Przybywszy do Łomży—tam mieszkała wówczas, w początkach Listopada, królewna polska,—Cyrus zatrzymał się na przedmieściu i zaprosił do siebie dworzanina jéj Leśniewskiego, chcąc za jego pośrednictwem otrzymać u niéj tajną audyencyą. Anna odpowiedziała na to, że dla uniknięcia podejrzeń nie może go przyjąć i poleciła mu zakomunikować jéj to, czego chce, przez Leśniewskiego. Cyrus do tyla był nieostrożny, że dał Leśniewskiemu otrzymaną od posłów instrukcyą w nadziei, że takowa na drugi dzień wraz z odpowiedzią będzie mu zwrócona. Omylił się. Infantka, „zniechęcona do nas wykrętnemi radami polaków," kazała sobie przełożyć instrukcyą na polski język dla lepszego wyrozumienia jéj, a oryginalnéj Cyrusowi nie zwracając, kazała go przez Leśniewskiego uwiadomić, że po naradzeniu się z senatorami udzieli mu odpowiedź. Takim sposobem otrzymana i do wiadomości polaków podana instrukcya Cyrusa wcale się nie mogła przyczynić do uspokojenia umysłów i zaprzeczenia chodzącym pogłoskom, owszem sprawiła wręcz przeciwny skutek. Oczywista rzecz, że Cyrus tém mniéj był zadowolony z takiego przebiegu sprawy, z własnego błędu, którego nie można było naprawić, który jemu przedewszystkiém groził niebezpieczeństwem. Odebrawszy odpowiedź Anny Jagiellonki, musiał uciekać z Łomży czémprę-

dzéj, ażeby nie wpaść w ręce Stanisławowi Karnkowskiemu, biskupowi kujawskiemu, który na drugi dzień rozesłał gońców, ażeby go schwytali. Ciemna noc i szybka jazda ocaliły go tym razem: udało się mu uniknąć pogoni i przemknąć się na Litwę, dokąd posłowie również dali mu polecenia.

Warunki, podane przez Chodkiewicza i Radziwiłła co do wybrania Ernesta, zostały przez cesarza przyjęte i tenże polecił posłom, ci zaś Cyrusowi, żeby względem ich dochowania złożył Litwie przysięgę w razie, jeżeliby i jéj senatorowie wzajem pod przysięgą obiecali wybrać Ernesta; na co jeżeliby się zgodzili nawet w takim wypadku, gdyby polacy obrali kogo innego, powinien od nich żądać pewniejszego piśmiennego zobowiązania i takowe natychmiast przesłać do Wiednia, upewniając ich tymczasem o życzliwości cesarza i chęci jego zrobić to wszystko, co byłoby z ich honorem i korzyścią.

Ponieważ Chodkiewicz był główną osobą na Litwie, z nim przeto najprzód rozmówić się wypadało. W Grodnie dowiedział się Cyrus, że Chodkiewicz bawi w głębokiéj Żmudzi, lecz że wkrótce zapewne przyjedzie do Wilna; nie czekając aż to nastąpi, Cyrus wyjechał naprzeciw niemu i spotkał się z nim w Kownie, gdzie zaszła między nimi długa rozmowa, w któréj ajent cesarski nalegał na kasztelana wileńskiego o zakończenie sprawy, rozpoczętéj przed kilku miesiącami w Knyszynie zakomunikowaniem mu owych pięciu artykułów. Nad spodziewanie jednak Cyrusa Chodkiewicz dość chłodnym się okazał; opóźnienie się cesarza z odpowiedzią sprawiło to, że wielu, którzy za nim byli, przechylają się teraz w inną stronę, szczególniéj zaś ku księciu moskiewskiemu, który na granicach Litwy zgromadzał wojenne siły, sprawa popierania Ernesta grozi litwinom niebezpieczeństwem także ze strony polaków, mogliby więc wzięci być we dwa ognie i zgnieceni, nim by cesarz z pomocą im pośpieszył; nie odejmował jednak Cyrusowi nadziei, chociaż nie twierdził, żeby teraz można co zrobić, albowiem senatorowie rozjechali się; mimo to polecił mu jechać za sobą do Wilna, gdzie niektórzy z nich mieli się znajdować. Tutaj na prywatném zebraniu podczas obiadu w którym przyjmowali udział Mikołaj Radziwiłł, wojewoda wileński, Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, marszałek nadworny, Chodkiewicz, Mikołaj Talwosz kasztelan żmudzki, Mikołaj Pac, biskup kijowski, Cyrus wyłożył cel swojego poselstwa, uniewinniając, jak pierwéj przed Chodkiewiczem, cesarza, że późno udziela im odpowiedź. Porozumiawszy się z sobą na boku, zgromadzeni przez usta Chodkiewicza, jako marszałka litewskiego, odpowiedzieli Cyrusowi, że trwają przy swojém zdaniu i życzliwości dla cesarza i jego synów, ale pełno-

mocnictwo Cyrusa, mającego polecenia od posłów nie wprost od Maksymiliana, uważają w tak ważnéj sprawie za niedostateczne i radzą mu żądać takowego od cesarza, tymczasem zaś, póki go nie przyślą, może pośród nich bawić i podtrzymywać ich swoją obecnością i towarzystwem w pierwotnych zamiarach; może ztąd wyniknąć inna jeszcze korzyść: w Mścibowie mają się wkrótce zjechać z polakami, których będą próbowali przeciągnąć na stronę Ernesta; jeżeliby się to udało, będą bez wątpienia w stanie dać Cyrusowi dokładniejszą i pewniejszą odpowiedź; obecnie nie mogą tego uczynić jeszcze i z tego względu, że nie są pewni czy cesarz w razie obrania Ernesta wielkim księciem pośpieszył by im na pomoc z odpowiedniém wojskiem a prędko. Takąż prawie odpowiedź dał Cyrusowi i wojewoda wileński sam od siebie: opóźnienie się cesarza popsuło jego sprawę, nie ma co jednak tracić nadziei, gdyż on ze swoimi stronnikami pozostanie wierny danym obietnicom, trzeba tylko, żeby cesarz dał litwinom należyte ze swéj strony poręczenie i zapewnienie, że warunków dopełni i czynnéj pomocy ewentualnie nie odmówi. Cyrus nie mógł nic innego robić, jak pozostać się w Wilnie; zdawszy posłom relacyą ze swoich czynności, oczekiwał na dalsze polecenia.

Chociaż te pertraktacye prowadzone były tajemnie, w Polsce jednak wieści o nich chodziły, wiedziano, że Cyrus pojechał na Litwę i obawiano się, jak widzimy słusznie, żeby nie intrygował z samymi litwinami na korzyść Austryi a szkodę rzeczypospolitéj, którą rozerwanie unii lubelskiéj na rzeczywiste mogło narazić niebezpieczeństwa. Gdy obok tego cel poselstwa Cyrusa do Anny Jagielonki, zamiary względem niéj cesarza, stały się jawne, gdy nadto przejęta została korespondencya Cyrusa z Kastaldem, powierzających sobie polityczne tajemnice austryackie, poczęło się szemranie i ogólne niezadowolenie, rezultatem których było, że stany zebrane w Kaskach Adama Konarskiego, Mikołaja Maciejowskiego i Stanisława Słupeckiego, kasztelana lubelskiego, wysłały do Wilhelma z Rozenberga i Wratysława z Persztyna z oświadczeniem, że ich samych tylko uważają za posłów cesarskich i żądają, ażeby wszyscy inni ajenci, osobliwie Gerstmann, Kastaldo, Cyrus z granic rzeczypospolitéj wyjechali. Dla rozciągnięcia wreszcie większéj kontroli nad działalnością i postępowaniem samych posłów wyznaczano im na miejscu stałego pobytu Urzędów, gdzie mieli mieszkać aż do sejmu elekcyjnego, i dodano im na kuratora Stanisława Słupeckiego, do którego we wszystkich sprawach najprzód powinni się odnosić, jako do pośrednika między nimi a rzecząpospolitą. Co się tyczy wspomnianych agentów, to, jak wiémy, Gerstmanna już w Polsce nie było,

Kastaldo zaś i Cyrus na prożbę samych posłów, jako więcéj budzący podejrzeń i szkodzący niż pomagający sprawie, zostali przez cesarza w połowie Listopada napowrót odwołani. Kastaldo wyjechał z Polski w Grudniu. Cyrus opuścił Litwę w Styczniu i udał się do Prus—co się tam z nim stało, o tém jeszcze powiémy.

Gdy więc takim sposobem, jak opowiedziano wyżéj, zabiegi posłów w celu pozyskania dla ich sprawy Anny Jagiellonki skończyły się niemal zupełném fiasco, trzeba się było w myśl instrukcyi zabrać do jednania stronników w Polsce. Jednym z pierwszych, których pozyskać wypadało, był Albrecht Łaski, wojewoda sieradzki, poważny zasługami antenatów, przeważny w Wielkopolsce majątkiem i wpływami magnat: konieczność tę uznawali nie tylko sami posłowie, wskazywali także na nią Cyrus, Krzysztof Rozrażewski, Mateusz Logan, Maciéj Poley i inni szląscy sąsiedzi rzeczypospolitéj, dość często przysyłający cesarzowi wiadomości o sprawach Polski się dotyczących. Jeszcze z Dziekanowa posłowie wysłali do Łaskiego list, w którym, przechodząc po kolei wszystkich kandydatów do korony, wykazują, że najlepszym z nich i najodpowiedniejszym jest arcyksiąże Ernest; obecnie z Urzędowa pośćłają do naszego wojewody specyalnego ajenta Macieja Stoltz, poruczając mu ustnie wyłożyć Łaskiemu korzyści, wypływające z obrania Ernesta na króla, prosić, żeby wspomagał ich radą dla osiągnięcia tego celu i żeby udzielał im możebnych wiadomości o osobach, które zjednać byłoby z korzyścią, jak nie mniéj o praktykach przeciwników i stronników innych kandydatów; przez Stolz'a zachęcali wreszcie posłowie Łaskiego, żeby sam udał się do cesarza, upewniali go o łasce Maksymiliana, który korzystając z téj sposobności, nie zaniedba umówić się z nim także co do kosztów do popierania sprawy Ernesta niezbędnych. Przez to poselstwo chcieli cesarscy pełnomocnicy jeżeli nie pozyskać, to przynajmniéj odciągnąć Łaskiego od stosunków i porozumiewań z francuskim posłem Montluc'iem; jakoż misya Stolz'a pod tym względem nie była bez rezultatu: Łaski nie był jeszcze wtedy zdeklarowanym stronnikiem francuzkim, owszem wszedł w bliższe stosunki z cesarzem i jego posłami, o czém niżéj będzie mowa. Tymczasem zaś, stosując się do chronologicznego następstwa wypadków, wypada mi wspomnieć o dyplomatycznéj akcyi kancelaryi cesarskiéj w innym kierunku w ostatnim miesiącu roku 1572.

Dla nadania większéj powagi i uświetnienia tak poselstwa swojego jak i większego poparcia ich starań, Maksymilian zwrócił się do innych monarchów z prożbą, ażeby wysłali do Polski swoich posłów, którzyby w ich imieniu arcyksięcia Ernesta polecali także rzeczypospolitéj na króla. O poparciu ze strony Grzegorza XIII i jego le-

gata w Polsce Komendoniego Maksymilian nie wątpił: Komendoni jeszcze za życia Zygmunta Augusta porozumiewał się z litewskimi magnatami co do obioru Ernesta, i obecnie papież polecił mu, żeby za nim również się oświadczył.

Najbliższymi, którzy mogli Maksymilianowi okazać w téj sprawie podobne poparcie i życzeniu jego zadosyćuczynić, byli elektor saski August i margrabia brandenburski Jan Jerzy; do nich téż w tym celu wysyła cesarz na początku Grudnia radcę nadwornego Henryka Starnberg. Obaj, arcy-marszałek i arcy-podkomorzy cesarstwa rzymskiego, zgodzili się na propozycyą cesarza i w końcu tegoż miesiąca wysłali do Polski po dwóch swoich radzców: elektor saski—Jana Lindenau i Wita Winsheim, elektor brandenburski—Grzegorza Budlist i Ditlofa Winterfeld. Ci i drudzy mieli od swoich panów poleconém udać się do posłów cesarskich w Polsce i w porozumieniu z nimi, za ich wskazówkami Ernesta kandydaturę popiérać na przyszłym zjeździe warszawskim (odbywał się w Styczniu 1573 r.), na który Wilhelm z Rozenberga i Wratysław z Persztyna spodziewali się być zaproszeni do przedłożenia stanom poruczonéj im prze cesarza sprawy.

Król hiszpański, Filip II, dowiedziawszy się o śmierci Zygmunta Augusta, wysłał do Polski Piotra Fayardo z oświadczeniem kondolencyi Annie Jagiellonce i senatowi. Fayardo jechał przez Wiedeń, gdzie dano mu nową instrukcyą względem popierania Ernesta, na co od swojego króla, na skutek zapewne prożby Maksymiliana, miał pozwolenie; jakoż otrzymawszy ją, wyruszył z Wiednia w dalszą drogę w drugiéj połowie Grudnia. Cesarz nie chcąc narażać dumnego hiszpana na takie nieprzyjemności, jakich doświadczyli jego własni posłowie, wysłał naprzód Grzegorza Springfeld z listem do senatorów o wolny przejazd dla posła hiszpańskiego do Urzędowa, z cesarskimi bowiem posłami, jako kierującymi całą akcyą w Polsce, miał się Fayardo przedewszystkiém porozumiéć. Zaraz prawie za Springfeldem wyjechał z Wiednia i sam Fayardo w towarzystwie Krzysztofa z Lobkowic dodanego mu przez cesarza, i Marcina Gerstmanna, który powtórnie wysyłany był do Polski na prożbę posłów, chcących do łacińskiéj korespondencyi mieć przy sobie jeszcze kogoś obznajmionego z polskiemi stosunkami. Przybywszy na granicę zatrzymali się w miasteczku Pszczynie, starając się i oczekując na pozwolenie wjechania do Polski. Sam Fayardo ze swéj strony napisał list do Krzysztofa Myszkowskiego, kasztelana rawskiego, dowódzcy straży granicznéj, ażeby mu pozwolił wjechać jako posłowi króla hiszpańskiego do stanów rzeczypospolitéj. Myszkowski odpisał, że prożbie jego nie może zadosyćuczynić bez pozwolenia senatu, do którego po-

seł o takowe powinien się zwrócić. Że to była jednak przydłuższa droga, chwycono się innéj: posłano Springfelda z listami do Krakowa do biskupa (Franciszka Krasińskiego), kasztelana (Spytka Jordana) i wojewody (Jana Firleja) krakowskich, żeby oni wydali posłowi i jego świcie na podróż do Polski list bezpieczeństwa. Gdy i to się nie udało, wspomniani bowiem dygnitarze nie znajdowali się wówczas w Krakowie, postanowiono za radą Gerstmanna starania o pozwolenie poruczyć samym posłom i w tym celu wysłano do nich niejakiego Piotra Tarnowskiego. Jakoż nie zawiedli się: 28 Grudnia posłowie przesyłają już do Pszczyny żądany list żelazny, wydany, przez wojewodów i kasztelanów lubelskich (Mikołaja Maciejowskiego, Stanisława Słupeckiego) i krakowskich; list ten był następnie przez senat potwierdzony w nadziei, chociaż próżnéj, jak się pokazało późniéj, że hiszpański poseł wiezie z sobą stanowcze rezolucye w sprawie spadku po królowéj Bonie (co było obiecane przez Filipa II jeszcze Zygmuntowi Augustowi) i że przy téj sposobności można będzie uzyskać od niego wypłatę 43.000 dukatów, należących się królewnie Annie, bez nowych przeszkód ze strony urzędników Filipa w Neapolu, o co Anna Jagiellonka swoją drogą solicytowała także cesarza Maksymiliana przez biskupa poznańskiego. Tak więc Fayardo i Gerstmann otrzymali niecierpliwie oczekiwane pozwolenie: chcieli być w Polsce przed zjazdem warszawskim, na którym, spodziewano się, że zagraniczni posłowie będą słuchani, co jednak miejsca nie miało. Fayarda aż do sejmu elekcyjnego tracimy z oczu, Gerstmann zaś bawi w Urzędowie i pomaga posłom, o czém niżéj będzie jeszcze mowa.

W ciągu Stycznia roku 1573, gdy w Warszawie odbywał się zjazd senatorów i posłów ziemskich, radzących o sprawach chwili obecnéj a głównie o miejscu, czasie i porządku odbywania przyszłéj elekcyi, posłowie nie tracą czasu i prowadzą daléj dzieło jednania i pozyskiwania stronników, używając i posługując się w tym celu mową ustną lub piśmienną, perswazyami, podarkami, pieniędzmi i innemi środkami, zależącémi od stanowiska i stosunków tych osobistości, które chcieli mieć po swéj stronie. Na szersze koła szlachty, na opinią i przekonania ogółu starają się nie mniéj wpływać, rozsyłając swoim stronnikom, pomagającym im w téj sprawie, portrety arcyksięcia Ernesta, lub też rozszerzając tendencyjne i polemiczne pisma w rodzaju np. „Tragedyi,“ w któréj opisuje się prześladowanie i rzeź hugonotów, albo „Rozmowy polaka z cudzoziemcem,“ w któréj obaj prowadzą dyskusyą o kandydatach do korony, przyczém ostatni podnosi zarzuty, piérwszy zaś je zbija i sam przychodzi do tego wniosku, że najlepszym z kandydatów jest Ernest i że z jego wybrania najwięcéj spodziewać się można korzyści. Do agitacyi

wśród szlachty pomagają posłom Jan Lasota, Jan Bogusz, podkomorzy lubelski, z jednéj strony, z drugiéj znowu kamera szląska i działający w porozumieniu z nią Krzysztof Rozrażewski, Zygmunt Kurzbach, Jakób Schachmann, Mateusz Poley, Abraam Herser, kaptujący stronników w Wielko- i Małopolsce od strony Szląska. Z kamery szląskiéj także przychodzą do Wiednia dosyć często relacye lub wiadomości o tém, co się dzieje w Polsce; w ciągłéj korespondencyi z Maksymilianem za pośrednictwem Kacpra, biskupa wrocławskiego, jest Adam Konarski, biskup poznański, niemniéj udzielający wiadomości jak i otrzymujący od cesarza bądź to pochwały za przychylność i zachęty do wytrwania w niéj, bądź to portret Ernesta i podziękowania listowne, bądź téż wskazówki (oczywiście nie na jego wyłączny użytek) i uniewinnienia, chcące na dobrą stronę wytłómaczyć lub wyrzekające się czynności np. Cyrusa; na ręce Konarskiego przychodzą także z Wiednia pisma przeciw francuzkiemu kandydatowi, krytykujące obiecywane przez jego posłów korzyści, lub téż przeciwnie zbijające zarzuty, stawiane kandydatowi austryackiemu.

Posłowie mając w Polsce również swoich korespondentów, przedewszystkiém zaś w tych miejscach, w których zbiegają się arterye publicznego życia: na sejmikach i zjazdach. Jak obecnie ze zjazdu warszawskiego przesyłają im wiadomości Jan Buttner, Wacław Haubitz, Jan Nietolicki, Łukasz Podoski, Stanisław Rogójski i inni bezimienni; urzędowo-poufną korespondencyą prowadzą nadto ze swoim kuratorem Stanisławem Slupeckim; Piotr Myszkowski, biskup płocki, ze swymi pułtuskimi jezuitami również im się przysługuje w podobny sposób. Za pośrednictwem nawet tych dwóch senatorów chcieli dla siebie wyjednać pozwolenie przyjechać do Warszawy na zjazd wspomniany w celu wywiązania się z poselskiéj misyi; nie przystano jednak na to w skutek żądania posłów ziemskich, ażeby senat wysłuchanie zagranicznych posłów odłożył aż do sejmu elekcyjnego. Zamiast żądanego pozwolenia Wilhelm z Rozenberga i Wratysław z Persztyna otrzymali z senatu na początku Lutego zawiadomienie, że sejm zwołany został na 5 Kwietnia do Warszawy, i zaproszenie, ażeby nań w swoim czasie przybyli. Tym sposobem pozostało im jeszcze dwa miesiące czasu na werbowanie stronników i współzawodnictwo z rozszerzającemi się coraz więcéj wpływami i partyą francuzkiego posła; nie bardzo im się powodziło ani w tém ani w owém a nadto jeszcze przygoda Cyrusa znowu skompromitowała ich sprawę i dała jéj rozgłos, jakiego sobie zapewne wcale nie życzyli.

Mówiłem wyżéj, że Cyrus na Litwie oczekiwał na nowe od cesarza pełnomocnictwo do traktowania z senatorami litewskimi; zamiast takowego odebrał na początku Grudnia list, odwołujący go ze

stanowiska poselskiego; ponieważ się obawiał, żeby go w Polsce nie schwytano, udał się w powrotną podróż przez Prusy, gdzie miał jeszcze doręczyć listy, przysłane mu w tym celu przez posłów z Urzędowa, chciał on także pochwalić się w Prusach swojemi sukcesami na Litwie, dowiedzieć się, jak tam stoi sprawa cesarza, i oczywiście, jeżeli się uda, pozyskać dla niéj kogoś. Od czasu jednak nieudanéj misyi do Anny Jagiellonki śledzono za nim, wiedziano o jego czynności na Litwie, wiedziano także, że nie bez celu pojechał do Prus, tém bardziéj, że nie powracał do Szląska, ale jeżdżąc to tu, to owdzie, bawił tam przez połowę Grudnia i cały Styczeń. Chcąc raz położyć koniec jego intrygom, postanowiono go schwytać, ile że nie wyjeżdżał z granic rzeczypospolitéj a posłowie i cesarz oświadczali, że jego postępowanie nie zgadzało się z ich wolą i poleceniami. Jakoż śledzący kroki Cyrusa w Prusach, Jan Kostka, kasztelan gdański, nie bez wiedzy innych senatorów, kazał go zatrzymać 29 Stycznia na drodze z Gdańska do Tczewa i sprowadzić do Malborga, gdzie przyjęty uroczyście armatniemi wystrzałami, osadzony został do czasu, póki by senat sprawy jego nie osądził. Cyrus, niczego podobnego nie spodziewający się, protestował przeciwko uwięzieniu go w imię naruszonego prawa międzynarodowego i traktatów Polski z państwami Maksymiliana, ale napróżno. Odpowiedziano mu na to, że sam się naraził na nieprzyjemności: 1) pełniąc, nieupoważniony do tego, obowiązki posła na Litwie, 2) podmawiając litwinów do rozerwania unii, 3) nie wyjeżdżając z Polski mimo nakazu, 4) włócząc się wszędzie i czyniąc podejrzane praktyki, 5) w tymże celu przebywając na Litwie, mimo że termin jego poselstwa ze śmiercią Zygmunta Augusta się skończył, 6) prowadząc podejrzane pertraktacye z Anną Jagiellonką wtedy, kiedy już przestał być posłem. Cyrus chciał się uniewinniać, dowodzić jako jasném jest jak światło dzienne, że wszystkie te zarzuty są fałszywe i ułożone na podanie w ohydę jego osoby i sprawy cesarskiéj, ale... inaczéj myślano z przeciwnéj strony i nie pozwalano mu wyjeżdżać z Malborga i piśmiennie znosić się z posłami. Chociaż cesarz i jego przedstawiciele w Polsce nie byli zadowoleni z Cyrusa, nie mogli jednak nie wstawiać się za jego oswobodzeniem. Maksymilian na wieść o tém pisze 18 Lutego do senatu list, żądając wypuszczenia Cyrusa na wolność i obowiązując się ukarać go, jeżeli w obec stanów czémkolwiek zawinił, od księcia pruskiego i opata oliwskiego (którego uważano za głównego sprawcę pochwycenia Cyrusa) żąda, ażeby o jego uwolnienie się starali; do posłów swoich i Adama Konarskiego pisze nadto cesarz, żeby w dobrym duchu wpływali na opinią publiczną, odpierali zarzuty i uspokajali krzyki, jakieby znowu powstać mogły, jeżeliby przy Cyrusie

znaleziono nowe jeszcze tajemne papiéry i doczytano ich się. List cesarza do senatu przyszedł na ręce posłów; ci, otrzymawszy go, wręczyli Stanisławowi Słupeckiemu dla dalszéj przesyłki, sami zaś rozpisali listy do Jordana Spytka, Jana Firleja, Franciszka Krasińskiego, Mikołaja Mieleckiego, Piotra Myszkowskiego, Hieronima Ossolińskiego, kasztelana sandomierskiego, z prośbą, ażeby przyczynili się do uwolnienia Cyrusa, o losie którego chcąc się dowiedziéć czego dokładniejszego, wysłali jeszcze do Warszawy i Torunia Jana Kleinfelda — ale i ten poznany jako dawny sługa Cyrusa został zatrzymany również. Starania nic nie pomogły: sprawa Cyrusa musiała być wytoczona przed senat, który przed sejmem nie miał się już zebrać. On sam tymczasem w ciągu Lutego i Marca siedział w zamknięciu w malborskiéj twierdzy. 4 Kwietnia Jan Kostka przywiózł go na sejm do Warszawy i tutaj na posiedzeniu senatu 9 tegoż miesiąca papiéry jego zostały rozpatrzone a gdy nie znaleziono w nich niczego, coby nie było dotychczas wiadome, wypuszczono go wkrótce na wolność, tém bardziéj, że czas elekcyi się zbliżał. Z Warszawy Cyrus powrócił do Wrocławia i ztąd 25 Maja przesłał cesarzowi Maksymilianowi obszerny list, opisując w nim powyższy, ostatni a niefortunny epizod swojéj dyplomatycznéj działalności.

W ostatnich miesiącach przed sejmem posłowie szczególniéj starali się zjednać wpływowych i znakomitszych kilku senatorów w téj nadziei, że oni pociągną za sobą masę głosów szlacheckich, że potrafią utworzyć większość, która na korzyść austryackiego kandydata przemogłaby na elekcyi. W tym celu próbowali zkaptować Albrechta Łaskiego, Jana Firleja, Piotra Zborowskiego, Jana Chodkiewicza osobiście i jako działającego w imieniu całéj Litwy; liczono wreszcie wiele na pomoc legata papieskiego, kardynała Jana Franciszka Komendoniego, który dobre usługi mógł w tym względzie okazać, jednając biskupów i wyższe duchowieństwo.

Wspomniałem już powyżéj o poselstwie Macieja Stolza do Łaskiego, rezultat którego o tyle był pomyślny, że Łaski wszedł w bliższe stosunki z cesarzem i posłami, poparte wziętą od nich pożyczką 12.000 złotych. Wkróte potém, było to w piérwszych dniach Stycznia r. 1573, stosunki stały się ściślejsze i zdawało się, że doprowadzą obie strony do stanowczego porozumienia. Łaski, znoszący się przez swoich sekretarzy bezpośrednio z Wiedniem i Urzędowem, zgadzał się na popieranie kandydatury Ernesta, ale pod następującemi warunkami, które miały wejść w wykonanie w razie dojścia elekcyi Ernesta do skutku: 1) dostanie order złotego runa; 2) ziemię wołoską w wielkorządztwo; 3) starostwo spiskie; 4) pewną sumę gotowemi pieniądzmi; 5) przyszły król zapłaci jego długi. Na te wa-

runki cesarz odpowiedział, że jeżeli za przyczyną Łaskiego Ernest będzie obrany na króla, to, co cię tyczy 1-go, Maksymilian wstawi się do króla hiszpańskiego i kapituły orderu o udzielenie takowego Łaskiemu i spodziewa się, że jego wstawienie nie pozostanie bez skutku; 2) względem ziemi wołoskiéj cesarz nie może wziąć na siebie zobowiązań ani jego syn, gdyż takowa znajduje się w rękach tureckich, i dla odebrania jéj trzebaby z Turkami prowadzić wojnę, czego bez pozwolenia stanów Ernest jako król nie mógłby zrobić, cesarz jednak za siebie i za niego obiecuje obecnie pomagać Łaskiemu w téj sprawie w przyszłości; 3) jeżeli wojewoda lubelski zrzecze się starostwa spiskiego, to ono będzie dane Łaskiemu; 4) co do gotowych pieniędzy, cesarz poleca swoim posłom wpływać na Łaskiego, ażeby cofnął ten warunek, wystawiając mu na jakie niebezpieczeństwo siebie a imię swoje w pogardę by podał, jeżeliby się o tém dowiedziano, co nie jest niemożebném, osobliwie w tym czasie, kiedy trudno sekreta dochować; 5) wreszcie co do długów ręczył Maksymilian za syna, że okaże się takim, iż Łaski będzie mu tylko wdzięczny. Jak widzimy, cesarz nie przyjął stanowczo żadnego z podanych przez Łaskiego warunków, nie ofiarował mu na ich miejsce innych a co ważniejsza nie dał piśmiennego zobowiązania, że dopełni nawet tego, co obiecywał; mimo takiéj odpowiedzi polecił posłom traktacyj z Łaskim nie zrywać i zatrzymywać go takowemi i obietnicami; lecz to nie pomogło: podobna polityka nie mogła zadowolnić wojewody sieradzkiego; nie spodziewając się ze strony cesarza niczego pewnego, przechylił się na drugą, na którą przynęcał go francuzki poseł pochlebstwem, złotem i obietnicami daleko świetniejszemi niż cesarskie.

Stratę Łaskiego jako stronnika spodziewali się posłowie powetować pozyskaniem innych nie mniéj znacznych osobistości, pocieszając się obok tego myślą, że nie od niego jednego i jego partyi zależy przecie przebieg elekcyi. Na początku Marca, kiedy już stało się pewném, że na niego liczyć nie będzie można, zwrócili swoje usiłowania w inną stronę, do Małopolski, gdzie wydatną grały rolę familje Firlejów i Zborowskich.

Nad pozyskaniem dla austryackiéj partyi Jana Firleja, wojewody krakowskiego, pracował już przedtém Andrzéj Dudycz, bez powodzenia jednak, skoro obecnie posłowie wysyłają do niego w tym celu specyalnych swoich agentów Jana z Waldsteinu starszego, Sebastyana z Leskowey i Oldrzycha Hodiejowskiego. Czy lepiéj się powiodło tym agentom, niż Dudyczowi? — o tém nic nie wiemy, postępowanie jednak Firleja na sejmie elekcyjnym w części przynajmniéj pozwala o tém wątpić. Najprzód głosował on wtedy na Pia-

sta, potém na Ernesta (może i z tego powodu, że Zborowscy, z którymi Firlejowie współzawodniczyli, gorliwie popierali Henryka), w końcu zaś przystał na zdanie większości.

Piotr Zborowski, wojewoda sandomierski, głowa licznéj rodziny, z samego początku bezkrólewia należał do jawnych przeciwników austryackiéj kandydatury, zjednanie go więc wspólnie z braćmi było tém niezbędniejsze. Konieczność jego wskazywał szczególniéj Piotr Myszkowski, usilnie polecał posłom toż samo i Maksymilian, z swojéj także strony próbujący ich zjednać przez Zygmunta Kurzbacha — ale napróżno: Zborowscy unikali wszelkich stosunków z posłami, misya Kurzbacha nie odniosła skutku. Sposobność zbliżyć się do Piotra dała posłom dopiéro jego choroba: skoro z niéj wyszedł, wysłali do niego przez osobnego posłańca list, życząc mu powrotu do zdrowia. Zborowski odpowiedział im grzecznym listem, dziękując bardzo za pamięć o nim i obiecując przy sposobności takową im odwdzięczyć. Powyższą obietnicę posłowie pojmowali w ten sposób, że Zborowski rzeczywiście gotów jest dotychczasowe uprzedzenie zamienić na życzliwość dla ich kandydata i ażeby przyspieszyć tę zmianę, razem z hiszpańskiemi rękawiczkami i innemi podarkami dla jego żony, wysłali do niego Fryderyka Miczana, Zdeńka Rżiczańskiego, Jana z Waldsteinu młodszego i Piotra Skrbańskiego. Jakiemi środkami i sposobami starali się ci agenci pozyskać wojewodę sandomierskiego, jakie mu ofiarowywali warunki i korzyści w zamian za popieranie Ernesta, o tém nie wiemy również. Pewném jest tylko, że misya ich się nie powiodła, dowodzą tego bowiem następne wypadki i jedna jeszcze, przedsiębrana przez posłów, próba pozyskania Zborowskiego i jego braci. Już w czasie sejmu elekcyjnego, 30 Kwietnia Wilhelm z Rozenberga i Wratysław z Persztyna, wyjeżdżając z Warszawy do Łowicza, gdzie mieli oczekiwać na rezultat elekcyi, z powodu, że Zborowskiego nie było jeszcze wtedy w Warszawie, zostawiają Piotrowi Myszkowskiemu pełnomocnictwo do traktowania z wojewodą sandomierskim i upoważniają go poręczyć Zborowskiemu, jeżeliby popierał Ernesta, następujące warunki, wzajem w imieniu cesarza dając poręczenie, że tych warunków dotrzyma: 1) w razie wybrania Ernesta otrzyma Zborowski 100 tysięcy złotych gotówką; 2) wszystkie dostojeństwa, które zawakowały w czasie bezkrólewia i do koronacyi Ernesta, będą przez tegoż rozdane za wskazówką Zborowskiego, jego radą będzie się król kierował we wszystkich sprawach i jego familii przedewszystkiém świadczyć będzie łaski; 3) młodzieńcom jego familii cesarz pomagać będzie do zawierania bogatych i znakomitych małżeństw w Czechach, Węgrzech i innych swoich państwach. Myszkowyski, jako wierny stronnik pró-

bował zapewne powyższemi warunkami zjednać Zborowskiego, ale napróżno; Zborowski stale stał po stronie francuzkiego kandydata: Henryk Valois, dowiedziawszy się o wybraniu go na króla, najpiérwéj oświadcza podziękowanie Zborowskiemu, jako głównemu promotorowi jego elekcyi.

Wspomiałem dosyć obszernie o tém powyżéj, że pertraktacye Proszkowskiego i Cyrusa z Radziwiłłem i Chodkiewiczem nie doprowadziły do żadnego pewnego rezultatu. Posłom przypadło w udziale dokończyć je, co jednak obecnie było trudniejszém: szczególną uwagę zwracano w Polsce na stosunki posłów z Litwą, jawne mniéj więcéj porozumiewanie się, jak się to działo dotąd, było niemożebne; sami nawet senatorowie litewscy odpisali posłom, że stosownie do unii nie mogą z nimi oddzielnie traktować i wysłuchanie ich żądań odkładają do wspólnego z polakami zjazdu. Mimo tego tajne stosunki i korespondencya między Urzędowem, rezydencyą posłów, a Wilnem, gdzie przemieszkiwał Chodkiewicz, wciąż prawie trwały i skończyły się w połowie Marca formalną podwójną umową, z których jedną posłowie pozyskiwali Chodkiewicza, druga zaś — zapewnić im miała albo raczéj Ernestowi poparcie całéj Litwy. Obie te umowy dyplomatami cesarskiemi potwierdzone i wykonanie ich w razie wybrania Ernesta poręczone zostało. Chodkiewicz miał w takim razie otrzymać: 1) piérwsze miejsce w radzie przyszłego króla i księcia; 2) tytuł książęcy z odpowiedniém uposażeniem w posiadłościach; 3) order złotego runa; 4) wszyscy jego krewni i blizcy, pomagający sprawie, zostaną wynagrodzeni stosownie do jego wskazówek; 5) wojsko, przysłane przez cesarza stronnikom na pomoc na Litwę i do Inflant, oddane zostanie pod jego dowództwo; 6) 50 tysięcy złotych gotówką zaraz po koronacyi elekta; 7) posiadanie wszystkich dóbr będzie mu potwierdzone; 8) potwierdzi mu również przyszły król posiadanie Swisłoczy, na którą z nieboszczykiem królem zamienił inne dobra. Co się tyczy Litwy, to Chodkiewicz w porozumieniu z Radziwiłłem i kilku innymi deklarowali się przeciągnąć ją na stronę Ernesta po uzyskaniu od cesarza następujących warunków: 1) wszystkie prawa i przywileje, tyczące się Litwy, publiczne i prywatne będą przez Ernesta po elekcyi potwierdzone; 2) ziemie Wołyńska, Podolska, Kijowska, Bracławska zostaną napowrót przyłączone do Litwy i unija lubelska na jéj korzyść będzie poprawiona za radą litewskich senatorów; 3) sejmy generalne zwoływane będą oddzielnie w Polsce, oddzielnie na Litwie, jeden tylko senat będzie wspólny; 4) granice Litwy, przez kogokolwiek naruszone, będą restytuowane; 5) wszystkie godności państwowe i urzędy rozdawane będą tylko litwinom krajowcom, za takich zaś uważani mają być tylko ci,

którzy w czwartém pokoleniu zrodzeni są i mieszkają na Litwie; 6) duchowne godności mogą być posiadane i dawane również tylko krajowcom, z poszanowaniem prawa wolnéj elekcyi kanonicznéj; stosuje się to do obu obrządków; 7) stan kniaziów zachowany będzie w dotychczasowych przywilejach i poważaniu. Zdawać się zaprawdę mogło, że za pomocą litewskich magnatów, niezbyt powodujących się patryotyzmem, Maksymilian dopnie swojego celu; przeszkodził temu jednak między innemi francuzki poseł, zręczniejszy od cesarskich intrygant i współzawodnik. Chodkiewicz i inni przywódzcy przenieśli gotowe złoto nad obiecane dokumentami korzyści i w sprawie Ernesta gorliwymi nie byli. Chodkiewicz poręczenie cesarskie warunków, tyczących się całéj Litwy, przedstawił senatorom litewskim dopiéro 4 Maja na wspólnéj naradzie; podobały się im one, ale widząc zapewne, że w zamian za nie przeprowadzenie elekcyi Ernesta, za którym nie wielu było z przekonania, jest niemożebne, że rozerwałoby uniją i naraziło kraj na zgubę a przynajmniéj na wojnę domową, z któréj trzeci by tylko skorzystał, że za późno już wreszcie było je przyjąć — nie mogli przystać na uporczywe i przez fas et nefas przeparcie Ernesta, o ile że najpiérwsi między nimi byli w swém zdaniu chwiejni i nie tajném być musiało już wtedy, ku któremu kandydatowi skłaniają się umysły prawie wszystkich. Zgodzili się na Henryka, tak jak zgodził się na niego i ten, który głównie w ich imieniu chciał Ernesta, — Chodkiewicz, przekabacony ostatecznie przez Montluc'a. Posłowie cesarscy na wszystkich prawie punktach odnosili porażkę i spotykali zawód. Jeszcze jeden z takich zawodów musimy zanotować.

Legat papiezki Komendoni zamiast, jak się spodziewano, pomagać, przyczyniał tylko cesarzowi i posłom jego kłopotów. Jeszcze w końcu roku 1572 doszła wieść do Wiednia, że Komendoni bardzo chłodnym się okazuje ku sprawie Ernesta, owszem znosi się nawet z francuzkim posłem i Łaskim. Maksymilian sądził, że przyczyny takiego postępowania legata szukać należy w Rzymie, że ono jest skutkiem otrzymanych ztamtąd rozkazów, polecił przeto swojemu ambasadorowi przy kuryi rzymskiéj, hrabiemu Archi, gdy zaś ten umarł, hiszpańskiemu posłowi Janowi Zuniga, wybadać zręcznie papieża i mających wpływ w Watykanie kardynałów. Podejrzenie jednak cesarza było fałszywe; zdaje się, że dwór francuzki próbował z Rzymu otrzymać poparcie czynności swojego posła w Polsce, ale napróżno: Grzegorz XIII nieraz oświadczał posłowi hiszpańskiemu swoję przychylność dla cesarza i życzenia, aby jego dom zasiadł na tronie polskim, upewniał go także, że Komendoni stosowne do tego otrzymał polecenia. Odebrawszy relacyą Jana Zuniga,

pisze cesarz do Komendoniego, pobudzając go do większéj gorliwości i działania na korzyść Ernesta stosowie do poprzednich obietnic, zlekka przytém wspominając o wieściach, nadesłanych z Polski. Legat odpisał grzecznie a krótko, zsełając się zresztą na nuncyusza papiezkiego w Wiedniu Jana Delfini, biskupa torczelańskiego. Od tego ostatniego dowiedział się cesarz, że przyczyną oziębłości Komendoniego była obrażona jego własna godność tém, że udzielane przezeń rady zostały odrzucone, że posłowie cesarscy nie porozumiewają się z nim wcale i nie znoszą się nawet listownie. Cesarz w odpowiedzi uniewinniał posłów trudném położeniem, w jakiém się znajdowali, a niechcąc zupełnie zniechęcać Komendoniego, polecił im, ażeby utrzymywali z nim stosunki, udzielali nawet wiadomości o przebiegu sprawy i swoich czynnościach w zakresie, jaki za stosowny i możebny uznają. Stosując się do tego, Wilhelm z Rozemberga i Wratysław z Persztyna, skoro przysłany im został przez cesarza Gerstmann, wysłali go do Komendoniego do Sulejowa, ażeby jego uprzedzenia i niechęć rozproszył i dobre porozumienie napowrót między nim a posłami sprowadził. Na pozór zdawało się, że ten cel osiągniętym został. Komendoni znowu oświadczał się z wielkiemi afektami i atencyą dla cesarza i jego rodziny, ale w rzeczywistości zawiódł położone w nim nadzieje: w mowie mianéj na sejmie elekcyjnym nie proponował Polakom elekcyi Ernesta, jak się po nim spodziewano, radził tylko w ogóle wybrać jakiego katolickiego księcia, któryby gorliwym był w sprawach religijnych i obrońcą kościoła.

Na tych pertraktacyach z najgłówniejszemi osobistościami upływały posłom ostatnie miesiące czasu przed sejmem elekcyjnym; korespondencye z wydatnymi stronnikami: Myszkowskim, Mieleckim, Radziwiłłem, Chodkiewiczem, Łaskim, Zborowskim, Słupeckim ich także głównie zajmują; po za temi zajęciami nie wiele już pozostawało im czasu na jednanie mniéj wpływowych lub pospolitéj szlachty, niema wielkich śladów, żeby się tém trudzili: wyręcza ich po części cesarz, pisując listy do Adama Konarskiego, do opata oliwskiego, do Jana Tomickiego gnieznieńskiego, Jakóba Rokosowskiego srzemskiego kasztelanów i do wielu innych; wyręczają ich także agenci, osobliwie Dudycz i Poley, piérwszy jednający szlachtę w ziemi krakowskiéj, drugi w pogranicznéj Szlązkowi Wielkopolsce.

Ze względów, o których wyżéj już była mowa, chciał Maksymilian wysłać do Polski i czeskie poselstwo. W tym celu w Czechach w Lutym zwołany został sejm, któremu prezydowali osobiście synowie cesarscy, arcyksiążęta Rudolf i Ernest. Niejaki Michał Walter, przyjaciel i poufny korespondent kanclerza czeskiego, pana na Persztynie, pisze do niego o tym sejmie, że „nie bardzo się nam na

nim powodziło, albowiem ciężko jest Czechom, ażeby nimi Niemcy rządzili;“ mimo to jednak życzeniu cesarza stało się zadość: Władysław z Lobkowic starszy, Albrecht ze Swojkowa i Andrzéj Luter, burmistrz mniéjszéj Pragi, jako przedstawiciele trzech stanów: magnackiego, rycerskiego i miejskiego, wybrani i posłani zostali do Polski, ażeby radzili Polakom posadzić na swym tronie jednego z Habsburgów, z rządów których sami zadowoleni nie byli.

Elektorowie saski i brandenburski wyświadczają cesarzowi obecnie tę samę przysługę, jak poprzednio: ponieważ ich posłowie na zjeździe warszawskim nie byli słuchali, wysyłają ich teraz ponownie z temi samémi poleceniami. Teraz także przez Jana Hegen millera prosi cesarz o to samo i reńskich kurfirstów i ci, czyniąc zadosyć wezwaniu i prożbie, poséłają do Polski każdy oddzielnie po jednemu lub po dwóch ze swoich radzców lub sekretarzy; i tak: Daniel arcybiskup moguncki poséła Melchiora Braitenbach i Grzegorza Oland; Fryderyk falzgraf Renu—Jana Filipa Landschaden i Krzysztofa Eheimen; Walenty arcybiskup koloński—Hermana Hatzfeld; arcybiskup Trewiru nie miał, zdaje się, osobnych pełnomocników, gdyż ich nazwisk nie wiémy.

Sejm tymczasem się zbliżał i otwarty został w dniu oznaczonym a piérwszą z prac jego było przyjęcie i wysłuchanie zagranicznych posłów, którzy się również z wyznaczonych im rezydencyj do Warszawy zjechali. Po legacie papiezkim Komendonim, na którym, jak wspomniałem już, zawiedziono się, ze względu na czas przybycia i godność osoby reprezentowanéj Wilhelm z Rozenberga i Wratysław z Persztyna otrzymali 9 Kwietnia uroczyste posłuchanie, podczas którego piérwszy z nich w języku czeskim do stanów rzeczypospolitéj przemawiał, wychwalając w swéj mowie arcyksięcia Ernesta, przedstawiając go na kandydata do korony i oprócz innych korzyści naturalnych z tego wypływających obiecując także w imieniu cesarza potwierdzenie praw i przywilejów, 100.000 zł. do skarbu państwa, wychowywanie i kształcenie 100 szlachetnych młodzieńców za granicą i t. p., jeżeli Ernest będzie obrany. Oprócz tych urzędowo w mowie przedstawianych warunków, między szlachtę rozrzucali posłowie dwadzieścia przeszło jeszcze innych daléj idących, obiecujących pokój, związki i przymierze z całym światem i t. d., oczywiście na papiérze i w chwili tylko — naśladowano w tym względzie zręczniejszego daleko Montluc'a. W parę dni po cesarskich posłach, otrzymali posłuchanie posłowie rzeszy niemieckiéj i czeskich stanów, ci i drudzy stosownie do celu przybycia również radzili i polecali stanom na króla arcyksięcia Ernesta. Hiszpański poseł Jan Fayardo, obrażony, że francuzkiemu przed nim dano piérwszeństwo,

nie chciał publicznie występować, dołączył tylko napisaną dla niego w cesarskiéj kancelaryi mowę do mowy posłów.

W odpowiedzi na mianą mowę, stany oświadczyły cesarzowi podziękowanie za przysłanie tak świetnego poselstwa, co zaś do propozycyi, to na nią odpowiedzi dać nie mogą, gdyż serca i myśli obierających są w ręku Boga, jak skoro król będzie obrany zawiadomią o tém cesarza piśmiennie lub przez osobnego posła; oprócz tego niektórzy znaczniejsi senatorowie pisali wprost do cesarza, prosząc o łaskawe przyjęcie powyższéj odpowiedzi i polecając się jego łasce; posłowie elektorów niemieckich odnieśli taką samą odpowiedź z dodatkiem jeszcze, że ktokolwiek będzie obrany na króla, dochowa wiernie wszystkich umów i traktatów zawartych z cesarstwem niemieckiém.

Po wysłuchaniu wszystkich poselstw i wydaleniu ich z Warszawy do poblizkich miejscowości, (przy czém austryackim dostał się Łowicz, czeskim zaś Powsin), w których mieli oczekiwać na rezultat elekcyi, sejm stracił jeszcze dwa tygodnie czasu, zanim dopiéro 4 Maja przystąpił do właściwéj sprawy: zbierania głosów według województw. Piérwszy ten dzień odrazu pokazał jak słabą była austryacka partya mimo tylu zabiegów i usiłowań: w województwach poznańskiém i kaliskiém za Ernestem podano tylko trzy głosy: Adam Konarski biskup poznański, brat jego Jan kasztelan kaliski i Stanisław Czarnkowski, referendarz koronny; w województwie krakowskiém głosowali za Ernestem Jan Firléj wojewoda, Franciszek Krasiński biskup, Jakób Secygniowski i jego kółko: Taszycki, Płaza, Zębocki, Białobrzeski; o innych województwach nie mamy dokładnych wiadomości, lecz i w nich było nie lepiéj; za Ernestem szły tylko nieliczne jednostki; masy głosowały na Henryka Valois, Jana króla Szwedzkiego i Piasta. „In summa jam jeszcze nie zwątpił,“ pisze pocieszająco Piotr Myszkowski do Wratysława z Persztyna 5 Maja: on i inni stronnicy Ernesta pokładali jeszcze nadzieję w Prusach i Litwie, nadzieję, która okazała się zaraz zwodniczą; przypuszczali także, że wszyscy „szwedzi“ i „piaści“ przejdą ostatecznie na ich stronę; ale... w Prusach partya francuzka nie o wiele mniéj była silną niż w Polsce, Litwa poszła za swymi przywódzcami, Chodkiewiczem i Radziwiłłem, których ostatecznie udało się Montluc'owi zjednać dla siebie, wszyscy zaś „piaści“ i „szwedzi“ hurmem również przeszli do partyi Henryka, na skutek otrzymanéj z Wiednia wieści, że Turcy zawarli z Wenecyą pokój i że więc odkryły się widoki wojny Turcyi z Austryą, wojny, do któréj wciągniętą byłaby i Polska w razie obrania Ernesta — a tego szlachta się obawiała. Takim sposobem 9 Maja Henryk Valois był już królem polskim.

Wiadomość o tym obiorze Maksymilian otrzymał dosyć wcześnie, na trzeci dzień już o nim wiedział i przyjął, o ile się zdaje, dosyć wyrozumiale, gdyż obioru jego syna w żadnym razie za pewny uważać nie było można. Wkrótce uwiadomili go o tém dokładnie właśni jego posłowie, jako téż wysłany 21 Maja z Warszawy polski pełnomocnik Stanisław Słupecki, który nadto miał w poleceniach: wyrazić cesarzowi nadzieję, że elekcya Henryka nie naruszy dobrych stosunków, panujących dotąd między Polską i Austryą, ale raczéj przyczyni się do pomyślności obu państw; prosić, ażeby cesarz przysłał swojego przedstawiciela na pogrzeb króla zmarłego i żądać od niego listów bezpieczeństwa dla posłów polskich do Francyi na przejazd przez Niemcy.

Dana przez cesarza Słupeckiemu odpowiedź, oprócz lekkiego napomknienia o nieoczekiwanym wcale przebiegu i rezultacie elekcyjnego sejmu, zawierała najprzód wymówki niesprawiedliwego i nieuzasadnionego (tak się przynajmniéj tam mówi) uprzedzenia, jakie Polacy powzięli przeciwko domowi austryackiemu i jakie zaświadczali podczas ubiegłego bezkrólewia, bądź to zatrzymując Cyrusa w więzieniu, bądź to obmawiając w fałszywy sposób cesarza i jego familią; nie zważając na te wszystkie okoliczności, Maksymilian pójdzie za wrodzoną skłonnością i życzliwością dla Polski i święcie dochowa wszystkich wzajemnych traktatów; w dowód tychże usposobień pośle w oznaczonym czasie swego reprezentanta na pogrzeb królewski. Co się tyczy listów bezpieczeństwa dla posłów polskich do Francyi, to nie może ich wydać, bez porozumienia się z innymi elektorami cesarstwa, co jest koniecznêm, ponieważ przez ziemie cesarstwa i tychże elektorów posłowie jechać będą.

Chociaż Maksymilian na pozór zaświadczał kasztelanowi lubelskiemu swoje przyjazne uczucia dla Polski i w dowód ich dał mu więcéj niż 30 listów do wszystkich stronników, dziekując im w nich za popieranie jego sprawy podczas bezkrólewia i elekcyi, w gruncie serca jednak żywił wcale nieprzyjazne zamiary. Chociaż cesarz zgodził się z obiorem Henryka jako z faktem dokonanym, myślał, że będą tacy — mianowicie zaś książe pruski i miasta pruskie — którzy przeciw niemu będą protestowali i że za ich pomocą uda się Maksymilianowi zamiary swoje przeprowadzić, szczególniéj zaś jeżeliby nowy elekt prędko do korony nie spieszył i w saméj Polsce powstało z tego powodu rozdwojenie. Co do Alberta Fryderyka cesarz sądził, że tenże będzie przeciw Henrykowi, jako obranemu bez jego współudziału, co do miast zaś — że wystąpią w obronie kandydata, za którym się oświadczyły: arcyksięcia Ernesta. Chcąc się o tem upewnić i pobudzić wspomnianych do oporu, wyséła cesarz w końcu

Czerwca do księcia pruskiego Grzegorza Proszkowskiego, dając mu instrukcyą wybadania księcia, co zamyśla czynić, i upewnienia go o pomocy ze strony cesarza w razie, jeżeliby myślał o czynnym oporze. Do miast pruskich znowu: Gdańska, Torunia, Elbląga, wysłał cesarz Jakóba Schachmann w tym samym celu wybadania ich zamiarów, czy nie chcą trwale stać przy swoim kandydacie i cesarzu i przyłączyć się do cesarstwa, „do którego niegdyś należały i obecnie jeszcze prawnie należą;“ jeżeliby się na to zgodziły, poseł ma je upewnić o wszelkiéj pomocy od cesarza i elektorów, obiecać im w imieniu cesarza potwierdzenie i rozszerzenie wszystkich przywilejów. Listy posłane przez Słupeckiego miały na celu zapewnienie sobie dotychczasowych stronników na wszelką ewentualność; z tą sprawą także stoi w związku polecenie dane przez cesarza Dudyczowi, do zjednania Firleja, wojewody krakowskiego, w taki sposób, żeby „z zupełną pewnością na niego liczyć można było.“ Na szczęście kuta przez Maksymiliana w cichości intryga na szkodę Polski, na teraz zupełnie się nie powiodła. Albert Fryderyk odpowiedział Proszkowskiemu, że pragnie pokoju i o żadnym oporze myśléć nie chce. Gdańsk odrzekł, że jeżeliby król długo nie przyjeżdżał, to oni będą dążyć do drugiéj elekcyi, syna cesarskiego; ale jeżeli wkrótce przybędzie, to tak są słabi, że niczego nie mogli zrobić, poruczyć więc muszą całą sprawę Bogu; Toruń i Elbląg poszły za Gdańskiem. Tak więc Maksymilian był zmuszony porzucić robotę, przedsiębraną zapewnie dla dobra Polski jedynie, o którém on sam i jego agenci w Polsce bardzo szeroko rozprawiali.

Dowiedziawszy się o wybraniu na króla Henryka Valoi, Maksymilian napisał zaraz do kurfirstów z poleceniem, żeby nie przepuszczali przez swoje posiadłości ani posłów polskich do Francyi, ani Henryka do Polski, jeżeliby jechali bez listów bezpieczeństwa. Obecnie, stosownie do obietnicy danéj Słupeckiemu pisze do nich powtórnie z zapytaniem o zdanie co do wydania tych listów i w jakim rodzaju. Elektorowie ze swéj strony sprawę wzięli za bardzo ważną i nie dali odpowiedzi, zanimby między nimi samymi nie nastąpiło porozumienie; w tym celu arcybiskup moguncki Daniel, zwołał zjazd do Frankfurtu nad Menem na 10 Sierpnia, dokąd cesarz także wysłał swoich komisarzy: Ludwika hr. Loewenstein i Jana Hegemüller. We Frankfurcie postanowiono wydać żądane listy bezpieczeństwa na przejazd przez Niemcy dla Henryka i 1.200 ludzi i koni, z których jednak 400 tylko lub 500 miało jechać z samym królem, reszta zaś gromadami po 200 ludzi i w odległości dwóch dni drogi jedna gromada od drugiéj.

O wydaniu glejtów posłom polskim nie było już we Frankfurcie mowy, gdyż ci zauważywszy, że sprawa ta umyślnie czy nie umyślnie się przewleka, postanowili jechać w drogę bez żadnych glejtów. Albert Łaski i Mikołaj Radziwiłł przemknęli się prędko do Francyi przez Brandenburgią i Nadreńskie prowincye; Jan z Tęczyna udał się przez Szląsk, ale w Nissie był zatrzymany przez biskupa wrocławskiego, Kacpra; inni: Adam Konarski, Andrzéj Górka, Jan Herburt, Mikołaj Firléj, przyjechawszy do Frankfunrtu nad Odrą, posłali do elektora saskiego z prożbą o wolny przejazd przez Saksonią; elektor August zabronił im i odesłał o pozwolenie do cesarza; w odpowiedzi na to posłowie bez dalszych ceregieli 11 Lipca zjechali do Lipska w 121 koni a na drugi dzień za nimi Montluc we 20 koni. Kurfirst nie chciał ich puścić daléj, tak że byli zmuszeni powtórnie udawać się do cesarza z prożbą o dalszy przejazd i wyjaśnieniem, że puścili się w podróż w nadziei, że listy będą wkrótce wydane a także opierając się na przyjazne stosunki Polski z cesarstwem. Maksymilian przysłał im obecnie glejty, gdyż nie wypadało powracać posłów z drogi bez narażenia się stanom i tém bardziéj że Łaski i Radziwiłł byli już wtedy we Francyi; przysłał je jednak z tém zastrzeżeniem, ażeby o listy ochronne na powrót do Polski na nowo się starali u elektorów.

Tymczasem od Karola IX i Henryka także przybył do Wiednia poseł Jakób Manmarin prosząc również o przejazd wolny przez Niemcy. Postanowienie zjazdu frankfurckiego było mu zakomunikowane, lecz wręczyć takowe cesarz postanowił Henrykowi przez osobnego swojego pełnomocnika, Ludwika hr. Loewenstein, który wzajem od Henryka miał wziąć zobowiązanie, że wskazanych w niém warunków dopełni. Tegoż hr. Loewenstein i dwóch innych: Wolfganga hr. Büdingen i Ludwika hr. Wittgenstein wyznaczył cesarz jako komisarzy, którzy mieli przyjąć Henryka na granicy Niemiec i towarzyszyć mu w przejeździe przez takowe aż do granic Polski. Poprzednio jeszcze Maksymilian zgodził się na życzenie Henryka, ażeby do jego świty włączeni byli polscy posłowie nad ową 1.200 liczbę, dozwoloną przez zjazd frankfurcki, teraz zaś powodowany względami grzeczności dla króla polskiego, gdy tenże 16 Stycznia przejeżdżał przez część Łużyc, należącą do dziedzicznych posiadłości habsburskich, wysłał dla jego przyjęcia i towarzyszenia mu Jana i Grzegorza Proszkowskich, jako téż stosownie do życzenia i prożby samego Henryka i senatorów jako swoich przedstawicieli na pogrzeb i koronacyą króla posłał Wacława księcia cieszyńskiego, Zygfryda Preyner, przedstawiciela zarazem Rudolfa króla węgierskiego, i bawiącego w Polsce w charakterze urzędowego internuncyusza — Andrzeja Dudycza.

Tak więc zabiegi Maksymiliana o koronę polską i w drugim swym periodzie pożądanego skutku nie odniosły. Mimo jednak, że na tron polski wstąpił monarcha młody, zapowiadający zatém długie rządy, Maksymilian nadziei nie tracił, podtrzymywała zaś w nim tę nadzieję bezdzietność Karola IX, jego słabe zdrowie i rachuba zapewne, że Henryk objąwszy tron francuzki, polskiego utrzymać nie zdoła i że ten znowu wolny będzie. W téj nadziei bezwątpienia Maksymilan nie spuszczał uwagi z Polski i utrzymywał w niéj stałego posła Andrzeja Dudycza, któremu polecał i jednać stroników i baczne zwracać oko na wszystkie wypadki w Polsce, zdając z nich dokładne relacye. Z drugiéj strony Maksymilian pilnie obserwował dwór Karola IX, postęp jego choroby, i częste również z Paryża odbiérał wiadomości. Nie długo już przyszło mu czekać na to, czego sobie życzył: na śmierć swojego zięcia; 9-go Czerwca odebrał o niéj wiadomość i natychmiast posłał ją Dudyczowi z poleceniem zakomunikowania jéj królowi polskiemu. Od Dudycza rzeczywiście dowiedział się Henryk 14-go Czerwca po raz pierwszy o śmierci swojego brata — w cztery dni późniéj opuścił już Polskę, gdy wieść potwierdził goniec przysłany przez matkę; opuścił Polskę, by więcéj już do niéj nie wrócić: opuścił Polskę, by oddać ją na pastwę większych jeszcze niż dotąd intryg cesarskich, które téż z Wiednia snuć zaczęto, jak tylko pole z ucieczką Henryka stanęło otworem.

Teodor Wierzbowski.

(*Dok. n.*)

WŚRÓD BIAŁÉJ NOCY.

USTĘP Z WYCIECZKI TATRZAŃSKIÉJ.

Chcąc się dostać ze Styryi do Zakopanego, objechałem Tatry od strony południowéj koleją Koszycko-Bogumińską (Kaschau-Oderberg) i zatrzymałem się na stacyi Poprad, zkąd już resztę drogi końmi odbyć należało, wstąpiłem do blizko leżącego Szmeksu (Sławkowskie Szczawy) i po dwóch dniach pobytu w téj węgierskiéj miejscowości kuracyjnéj siadłem na bryczkę śpiżaka aby przez wieś Łomnicę, miasto Kezmark, wsi Żdżar, Jurgów, Bukowinę i Poronin udać się do celu podróży. Lecz już z Kezmarku daléj nie pojechałem.... Spotkałem się tam z dr. Chałubińskim, który właśnie co kończył długą wycieczkę po wschodnich stokach Tatrzańskich. Rezultat tego spotkania jest taki, że zmieniam plan, odsyłam tylko bagaże do Zakopanego a sam zostaję w Kezmarku. Już nie pojadę lecz pójdę przez góry do Zakopanego, a tymczasem postanawiamy odbyć wycieczkę do groty lodowéj Dobrzyńskiéj, a może jeszcze jakąś inną.....

Przedewszystkiém, aby nie tracić darmo czasu, oglądamy prowadzeni przez uprzejmego prof. Zvarinyi'ego rzeczy godne widzenia w Kezmarku. Zwiedzamy najprzód ruiny zamku Tököly'ego, dumnego hrabiego węgierskiego, który drwił z prawa i cesarza, uciemiężał mieszczan a dla swych koni miał marmurowe żłoby z zwierciadłami; potém stary kościół protestancki, cały zbudowany z desek pokrytych od wnętrza zatartemi malowidłami i napisami a oparty jedynie na czterech drewnianych kolumnach. Jest to unikat w swoim rodzaju, któremu równego nie masz w Europie, chyba na półwyspie skandynawskim. Datuje się on z czasów prześladowania protestantów. Oglądamy również liceum, jego bibliotekę i zbiory. Przed wieczorem przybywa nam jeszcze jeden towarzysz dr. K. B. z Warszawy

i nazajutrz jedziemy, do lodowéj groty Dobrzyńskiéj, 8 mil ztąd oddalonéj.

Wycieczka do téj niedawno odkrytéj jaskini, budzącéj podziw ogromem lodowego podkładu słupów i ścian, niekiedy fantastycznie ukształtowanych, zabiera nam prawie 18 godzin czasu, i dopiéro około północy stajemy na nocleg w Szmeksie. Grota lodowa już kilkakrotnie po polsku była opisywana. Nic nowego nie mógłbym o niéj powiedziéć, nadto, co było podane w jedném z illustrowanych pism warszawskich. Na drodze zaś jeden tylko mały epizod był tyle oryginalnym, i dla swéj komiczności wart zanotowania. Jeden mianowicie z górali spotkanych na drodze zażądał odemnie „maszyny."

— Jakiéj maszyny? zapytałem zdziwiony.

— A téj z habryki.

Maszyny z fabryki?! Zrozumiecie czytelnicy jak był zdziwiony tém żądaniem dr. B. który jeszcze nie znał dyalektu tatrzańskiego. Patrzył na mnie wielkiemi oczyma, gdym rzekł: a! dobrze, i podał góralowi papierosa. Fabryka bowiem oznacza u nich tytoń.

Pomijam milczeniem inne szczegóły téj wycieczki i szybko podążam do właściwego tematu.

Nazajutrz padał ulewny deszcz. Ani myśléć o wycieczce. Cały dzień przechodzi na wędrówce po Szmeksie, z mieszkania do kawiarni, z kawiarni do restauracyi et vice versa, oraz na rozmowie z pp. Eliaszem i Pawlikowskimi, pierwszorzędnymi turystami polskimi, których w Szmeksie zastaliśmy.

Z całodziennego pobytu w Szmeksie godzien jest zaznaczenia tylko fakt ofiarowania Towarzystwu Karpackiemu Węgierskiemu przez prof. Chałubińskiego, atlasu do dzieła Staszica „O Ziemiorodztwie Karpat itd." Samo dzieło już dawniéj im podarował. Uczynił to profesor w celu pokazania węgrom i niemcom, że polacy już przed 70 laty zajmowali się poważnie, naukowo, Tatrami. Wiedzieli węgrzy wprawdzie o istnieniu tego rzadkiego dzieła, ale ani domyślali się jak poważne badania zawiera.

Nazajutrz, gdy deszcz ustał około 11. postanowiliśmy jak najdaléj posunąć się po dolinie wielkiéj i małéj Staroleśniańskiéj (W. i M. Kolbachu) ku murowi skalistemu odgradzającemu je do doliny Jaworzyńskiéj. Zamierzaliśmy przenocować gdzieś pod kamieniem i nazajutrz, wrazie pół-pogody, przejść do ostatnio wymienionéj doliny przez ramię szczytu lodowego, a ewentualnie, w razie pogody, wedrzeć się na sam szczyt.

Do towarzystwa naszego przyłączyli się pp. Pawlikowscy: orszak nasz, wraz z góralami liczył 15 osób.

Droga przez dolinę W. Staroleśniańską wiedzie wśród wysokich grzbietów gór, obok kilku wspaniałych wodospadów, z których ostatni spada przy wejściu do Małéj Staroleśniańskiéj. Tam grzbiety są jeszcze wyższe, stromsze, piękniejsze, ale potok staje się jednostajniejszym. Drzewa już dawno pozostawiliśmy za sobą, kroczymy tylko po gołych kamieniach wśród traw, mchów i kosodrzewiny. Idziemy zwolna, bo mamy dużo czasu. Rozmowa dotychczas niezmiernie wesoła, zaczyna milknąć, deszczyk od czasu do czasu przepaduje, chciałoby się trochę odpocząć i nakazać milczenie grzesznemu ciału, które za pośrednictwem żołądka zaczyna przekonywająco przemawiać do dusz tatrzańskich. Jakkolwiek były one syte wrażeń, jednak dały ucha głodnemu, co według mnie, za wielką zasługę poczytać im należy.

Wreszcie stanęliśmy przed naszym hotelem. Był to głaz wielki jak chałupa. Od zachodu miał on wycięcie, pod którego stropem schronić się mogło przed deszczem 6 do 10 osób. Rozsiedliśmy się pod naturalnym granitowym dachem na kamieniach. Jak tu dobrze, mówił każdy—deszcz nie pada.... Ale na nieszczęście *koléba* tu była tylko z dwóch stron zasłoniętą, z północy zaś i zachodu wpuszczała, wiejący wówczas, silny podmuch wiatru, któryby na nas kierował, ogień i dym *watry* mającéj się rozłożyć u wejścia a koniecznéj do utrzymania chociażby tylko znośnéj temperatury w kolebie podczas nocy. Jeden więc z turystów poszedł z Sieczką na poszukiwanie lepszego legowiska. Wkrótce wrócili z radośnemi twarzami, albowiem znaleźli o wiele większą kolébę, z trzech stron zasłoniętą, a otwartą tylko ku zachodowi. Jakkolwiek i w téj mogliśmy się spodziewać dymu, najlepiéj odpowiadałaby nam koléba z wejściem od południa lub południo wschodu, jednakże od razu zdecydowaliśmy się na nią, gdyż takie naturalne schronienia są bardzo rzadkie w Tatrach, i jeśli aż dwa się znalazły w jednéj dolinie to doprawdy należało to poczytywać za szczęście, a szukanie koléby z dogodniejszém przy tym wietrze wejściem byłoby tém, co szukanie róży bez kolców.

To nie koléba—to pałac. Wyobraźcie sobie ostrołukową arkadę czterołokciowéj szerokości, długości i wysokości, wykutą w skale granitowéj. W tym gotyckim budynku można nie tylko siedzieć ale i stać, i do spania dla sześciu turystów będzie dość miejsca. Wprawdzie w głębi i po bokach sklepienie zbyt się obniża, ale, mój Boże, cóż jest zupełnie doskonałego pod słońcem! Troszeczkę kapie także ze szczelin, ale wedle zdania dwóch lekarzy należących do wyprawy, prysznic taki jest bardzo zdrowy na oczy i nos. Krople te wprawdzie zawierały w rozpuszczeniu części mineralne, i mogliśmy się obudzić ze stalagmitami na nosach, ale od przybytku głowa nie boli.

Rozpoczęła się wielka krzątanina. Jedni górale poszli ścinać kosodrzewinę, drudzy wygarniali z kolęby kamienie, aby urządzić wygodne legowisko. Wpół godziny, przed otworem naszego hotelu buchał ogień, a wewnątrz leżało kilka warstw kiści kosodrzewiny, jakichś wielkich liści i trawy. Wszystko to było mokre, ale to nas mało obchodziło. Gdy podkład był gotowy, wsunąłem się nań dla przygotowania sobie łoża z palta, pledu itd. i, trochę z ciekawości, jak się tam będzie spało, a trochę ze zmęczenia położyłem się na nie. Zrobiłem wtedy dwie wcale niepocieszające obserwacye, a raczéj, jaskrawiéj przedstawiły mi się spostrzeżenia, które się odrazu każdemu w oczy rzucały. Najprzód sklepienie w głębi i po bokach było tak niskie, że koniecznie z uwagą trzeba było podnosić głowę, aby się nie zranić o ostry granit. Co będzie jeśli we śnie, z powodu możliwych niespokojnych marzeń, nagle się kto zerwie? Ha! Niech się nie zrywa. Jeśli wolą można nakazać sobie przebudzić się o téj a o téj godzinie, to dla czegóżby nie można było rozkazać sobie leżeć spokojnie i w razie przebudzenia nagłego podnosić głowę „langsam und bedächtig“? Zapobieżenie dwóm innym nieprzyjemnym warunkom nie było już w naszéj mocy. Podłoga, czy dno, kolęby leżała przynajmniéj o dwie stopy niżéj od poziomu otaczającego. Jeśli się deszcz wzmoże i długo padać będzie, to nas w tym dole zaleje, lub przynajmniéj podmoczy posłanie.

Zwierzyłem się z tą obawą kolegom i góralom. Sieczka utrzymywał, że woda nie dojdzie bo wsięknie pomiędzy kamienie.

Daléj—jakiś głuchy szum i łoskot, który przypisywałem potokowi płynącemu obok skały, stając się coraz silniejszym, umiejscowiał się coraz wyraźniéj pod posłaniem. A więc to potok nie obok skały ale z pod skały płynie! Skała jest w części podminowana: pod kolębą puste miejsce i woda. A nuż się grunt zapadnie i wpadniemy w wodę.... A nuż potok od deszczu rozszaleje, wymuli słabe może podstawy skały, która nas przytłoczy... Doprawdy perspektywa wcale nie pocieszająca!

Mówię o tém profesorowi.

— Eh!.. odpowiedział.

Rzeczywiście nie można było wynaleźć pozytywnego uspokojenia. Liczyć można było tylko na to, że jeżeli się skała dotychczas nie zapadła, to dla czegóżby miała na nas czekać, aby sobie téj rozkoszy pozwolić. Ponieważ na wycieczkach tatrzańskich, szczególniéj po spiętrzonych skałach często trzeba się pocieszać podobném rozumowaniem, i ponieważ dotychczas źle na tém nie wyszedłem, więc po chwili już zapomniałem o mojéj poprzedniéj obawie, tembardziéj że podano herbatę.

Po kolacyi długotrwałéj jak uczty cezarów rzymskich, rozłożyliśmy się w kolébie promienisto, w ten sposób, że nogi nasze były skierowane ku środkowi koła, którego okrąg stanowił obwód koléby. U nóg zostało jeszcze nieco miejsca. Zajęli je dwaj górale. Usiedli w kuczki, położyli skrzyżowane ręce na kolanach oparli na nich głowy i zasnęli. Wyglądali oni jak dwa sfinksy, chroniące wejścia do lochu zajętego przez sześć mumij w ciemne płaszcze owiniętych. U wejścia grał nam do snu stary góral Sabała, w towarzystwie dwóch młodszych. Różnokolorowe błyski ogniska oświecały ich twarze, na których jakiś dziwny, filozoficzno-marzycielski spokój był rozlany. Wreszcie smyczki im z rąk wypadły, głowy się pochyliły i u wejścia mieliśmy trzech nowych nieruchomych sfinksów potokami drżącego i mieniącego się światła oblanych.

Nie mogłem zasnąć. Czy to że wiatr zimny muskał mnie ciągle po twarzy, czy téż że oryginalny obraz otoczenia w magicznem oświetleniu ekscytował moje nerwy, dość, że przez całą prawie noc nie spałem. Pod tym względem towarzyszem moim był profesor i Sabała.

Sabała jest oryginalnym i jedynym zapewne zabytkiem dawnych czasów, dawnego trybu życia w Tatrach. Młodość spędził na strzelaniu kóz i wybieraniu świstaków, przygrywając wtedy gdy nie chodził lub nie strzelał. A i teraz czyni prawie to samo, i jeśli mniéj poluje to za to więcéj grywa. Pomimo swych siedemdziesięciu kilku lat i słabego wzroku strzelby nie rzuca. I słusznie, bo nie dawniéj jak w zeszłym roku zabił szkodnika niedźwiedzia, za którego otrzymał w Liptowie nagrodę. Nie porzuca téż dawniejszego trybu życia. Nawet będąc w domu, w Zakopanem, nie sypia pod dachem lecz pod gołem niebem przy ognisku. Zaśnie na pół godziny lub na godzinę, a potém już się budzi, dokłada powoli drew do ogniska, poprawia, i wpatrzony w ogień, milcząc, godzinami czeka na przebudzenie się młodszych towarzyszy, aby, chwyciwszy za gęśl rozweselać im umysł lub wprawiać w zadumę.

Sabała wkrótce przetarł oczy i znikł za skałą. Zasnąłem. Gdym się obudził Sabała ciągnął wielką gałęź kosodrzewiny i położył na wielki stos. Widocznie na téj czynności strawił czas przed wschodem słońca, o zmroku porannym.

W nocy deszcz padał, ale nie bardzo gęsto. Wiatr tylko był dokuczliwy. Nad ranem tak się wzmógł, że pędził cały dym i skry ogniska na nasze twarze, i ani spać, ani nawet siedzieć pod skałą nie pozwolił. Była to okoliczność bardzo nieprzyjemna. Zgasić ogień, to za zimno będzie w kolébie, gdyż nad ranem termometr spadł na 1 stopień; wyjść z niéj—także źle, bo i zimno i dżdżysto.

Gdy się już wszyscy ocknęli, rozpoczęła się narada co robić. Rozważniejsi twierdzili, że należy jeszcze jednę dobę przebyć w kolébie, bo puszczać się w drogę podczas deszczu nie przyjemnie i nie warto, gdyż nic nie widać.

— A, dziękuję rzekłem. A cóż tu mamy lepszego? Siedząc bezczynnie, przemarzniemy, bo przecież niepodobna przez dzień cały leżeć pod kołdrami i paltami, przytém zmokniemy, bo coraz więcéj kropel spada ze stropu, i coraz większy strumyk spływa pod naszą pościel. Wolę już zmoknąć chodząc, przynajmniéj nie zziębniemy i nie zanudzimy się na śmierć.

Towarzysze starsi jakoś protestowali przeciwko temu zdaniu, ale wiatr i deszcz po kilku godzinach zmiękczył ich przekonanie i postanowiliśmy jednomyślnie ruszyć skoro tylko deszcz ustanie. Spodziewaliśmy się, że nastąpi dłuższa przerwa, która nam pozwoli przedostać się przez mur kamienny na stronę północną. Tam choćby deszcz znowu zaczął padać, i choćby nas porządnie zmoczył, to jednak w kilka godzin dopadlibyśmy do karczmy w Jaworzynie, gdzie na turystów czeka gościnna karczma z czystemi i miękkiemi łóżkami.

Rzecz dziwna, że nikt nie pomyślał o mgle. A może i starsi pomyśleli, ale sądzili, że się koło południa rozpierzchnie. Ale mnie ani przez myśl nie przeszło, że mgła może nam stawić jakąś przeszkodę przed przejściem na drugą stronę. Jednakże powinienem był o tém wiedzieć, gdyż straszne o niéj rzeczy czytałem u Goszczyńskiego i Eliasza. Goszczyński np. mówi, że w Tatrach, szczególniéj na Krywaniu, mgły bywają tak gęste, że się własnych nóg nie widzi. Będąc wtedy wśród przepaści, trzeba usiąść i czekać, niekiedy kilkadziesiąt godzin, dopóki mgłą nie minie. Szczęśliwy, kto ma wtedy zapas żywności!

Możebym pomyślał o mgle, gdybyśmy mieli zamiar iść na szczyt lodowy. Ale plan był taki, że przejdziemy najbliższą i najłatwiejszą drogą na drugę stronę,—chyba że się nagle wypogodzi; w takim tylko razie mieliśmy wyskoczyć na wierzchołek.

Szliśmy weseli bez żadnéj troski, jak gdyby nie było głazów ogromnych po których trzeba przeskakiwać, i jak gbyby ich śliskość nie dawała nam się we znaki. Wkrótce deszcz zaczął lać na nowo. Po godzinie drogi towarzystwo podzieliło się: pp. P. prowadzeni przez Sieczkę poszli na prawo, ku Pięciu-Stawom węgierskim, reszta zaś towarzystwa na lewo. Nasi przewodnicy Tatar i Roj zaczęli wołać na Sieczkę, aby się ku nam zwrócił, Sieczka odpowiedział coś czego nie dosłyszałem i poszedł swoją drogą.

Taki rozdział towarzystwa nikomu z nas nie był do smaku, tembardziéj, że nie rozumieliśmy dla czego Sieczka, pierwszy pomiędzy przewodnikami, nie nastaje na nas abyśmy poszli drogą przez niego obraną, jeśli ją uznał za właściwą, albo też, jeśli nie jest jéj pewny, to dla czego od nas się odłączył. Nawiało to kilka chmurek na atmosferę naszéj wesołości.

A tymczasem deszcz zaczyna coraz bardziéj dokuczać. Już przemoczył nam zupełnie odzież—a przed nami w dolinach leżą płachty śniegu. Wchodzimy na nie mając wodę w butach i mokre okłady na całém ciele. Zimny powiew obejmuje ciało, dłonie i stopy kostnieją. Ale wznosimy się raźnie po stromych spadkach śniegu, lub po spiętrzonych obok złomach granitu i natężoną pracą przeciwdziałamy zimnu. Nie zadługo się to skończy, za godzinę będziemy na północnéj stronie poniżej śniegów. Biegnąc aż się spocimy, ani śladu skutków zimna nie będzie.

Ale doprawdy niedarmo góra, po któréj zboczach stąpamy, nazywa się szczytem lodowym. Po tych kilku płachtach śniegu zajmujących głębsze miejsca, płachtach pospolitych w łonie Tatr, wyłania się przed nami, z prawéj strony, ogromne, bezbrzeżne pole śniegowe.

Było ono równe, bardzo połogie, podobne do arkusza papiéru nawpół rozwartego. Z początku uderzył mnie tylko jego ogrom, bom jeszcze tak wielkiego śniegu w Tatrach nie widział i wcale nie przypuszczałem aby istniał. Ale więcéj uderzyła mnie drobna na pozór okoliczność, że na wstępie do niego zatrzymał się profesor a górali obok niego nie było.

— Oho! nie znają drogi, poszli jéj szukać pomyślałem.

Nie przestraszyło mnie to jednak bynajmniéj, bo i na poprzednich wycieczkach nieraz drogi szukaliśmy.

Siadamy na zmarzłych kamieniach, ogrzewamy się i pokrzepiamy wódką. Ale prędzéj przyszło zimno niż odeszło znużenie. Pijemy znowu wódkę i po kilku minutach znowu czujemy, że zimno jest od niéj silniejszém.

Zaczyna być nie bardzo przyjemnie. Fizyognomie zachmurzają się.

To jeden to drugi staje i tupie o kamienie zbolałemi nogami lub gwałtownie kijem śnieg dziurawi. Ale to mało pomaga! Zimno!....

Zaczynamy biedz po śniegu, nie oddalając się z miejsca, jedynie tylko dla utrzymania ciepła. Trwa to dziesięć minut... i kwadrans... i pół godziny, a przewodników nie ma.

Biegając tracimy na próżno siłę—czy nam jéj potém niezabraknie?

Idziemy na środek pola, wytężamy wzrok, nikogo nie widać.

Mgła coraz większa. Padają krople marznące w powietrzu i na odzieniu. Słychać w około jakiś szczególny delikatny dźwięk, jakby łamano cieniutkie pręciki szklane. Jesteśmy w fabryce śniegu.

Biała pomroka coraz gęstszą się staje. Profesor udał się w kierunku, w którym znikli przewodnicy. Już go nie widać. Idę za nim w górę, ale go dojrzeć nie mogę i tracę z oczu resztę towarzystwa.

Zbiegam ku nim. Błądzą jak duchy szare o niewidzialnych konturach w śród białego obłoku, jeden w jednę, drugi w drugą stronę, stając się więcéj lub mniéj widzialnemi stosownie do zbliżania się lub oddalania odemnie.

Zobaczywszy, że są razem, wracam znowu do osamotnionego profesora. Idę w górę kwadrans a jeszcze go nie widzę.

Dokoła mnie noc biała. Wołam: ho! ho!

Zdaje mi, się że mi ktoś z góry odpowiada, ale nie jestem pewny czy to nie złudzenie. Wołam raz drugi. Znowu słyszę lekki cień głosu.

Może dla tego słyszę, że *chcę* słyszeć...

Nie powinienem być daleko ani od profesora, ani od reszty towarzystwa. Dla czego jednak nic nie słyszę. Możem zbłądził...

Postanawiam wrócić na dół. Sam będąc, mógłbym wpaść w jaki zdradliwy dół pokryty śniegiem, a w téj krainie, gdzie oko i ucho nie ma władzy, nikt by mi nie dał pomocy.

Biegnę, wytężając wzrok, abym dojrzał choć cień cieniów.

Wszystkie moje władze są rozgorączkowane. Bezwiednie recytuję w myśli wiersze Asnyka:

W posępnéj nocy naszedłem krainę
Po śniegu, co się usuwał podemną,
I przez powietrze zmrożone a sine,

Które zawisło nad przepaścią ciemną.
Biegłem niesiony w przestworze,
Bo czułem w piersiach mych trwogę nikczemną.

Doprawdy, uczułem jakąś trwogę niewytłómaczoną.

Lecz co to znaczy? Jam nie drżał nigdy nad przepaściami, nad ścianami najeżonemi ostremi kamieniami, choć mi się podstawa z pod nóg usuwała!

Co to znaczy? Rozum nie widzi niebezpieczeństwa, a ja się tak czuję strwożonym, tak mi nie dobrze, tak straszno...

To bezpośrednie działanie niezwykłych warunków na nerwy. Jestem jakby przeniesiony na inną planetę, byt swój w śnieżystém od-

rętwieniu kończącą. Biało—a nic nie widzę, głucho—jakbym sam był na świecie.

Wszystko wsiąka w tę zimną, mglistą, watową wilgoć.

Byłem przestraszony, jak jaskółka, gdy nagle słońce się zaćmi, jak wróbel wsadzony pod klosz machiny pneumatycznéj.

Naraz następuje zmiana. Rozjaśnia się niespodziewanie. Tak dziwnie jest mi jakoś!... Mglisto a jednak jaskrawo....

Jestem porwany, uniesiony w grę zjawisk, jakby ich cząstka. Nie rozważam objektywnie tylko czuję. Moje ja rozpłynęło się pod napływem niebywałych wrażeń.

Mgła się rozpierzcha a z nią moja świadomość. Przestaję być sobą. Jak to strasznie....

Wciąż tętnią mi w mózgu słowa Asnyka ze „Snu grobów“:

Z razu myślałem, że mnie ból pokona,
Że mnie wstręt zdławi a przestrach onlemi,
I że ta próżnia niebios nieskończona,
Co bez powietrza zda się i bez ziemi,
Mnie, w nieruchome opasawszy skręty,
Z cieniami tylko porówna czarnemi,
I że w tę straszną ponurość wsiąknięty
Przepadnę głucho bez łez i bez jęku,
Zaprzepaszczony gdzieś i rozpierzchnięty.

Ach! jak nieprzyjemnie rozrzedza się ta próżnia „co bez powietrza zda się i bez ziemi.“ Wraz z nią się rozpraszam! .

Coraz rzadziéj, coraz światléj, coraz jaśniéj. Coś szarzeje w oddali, przybiera niewyraźne kształty przechadzających się ludzi, jakby duchów pokutujących. Spoglądam w górę, widzę we mgle profesora siedzącego na kamieniu.

Zobaczywszy człowieka, odzyskałem panowanie nad wrażeniami. Idę ku niemu. Znów mgła gęstnieje i znowu tonę w białéj pomroce. Ale idę daléj w prostym kierunku i zbliżam się do profesora.

— Trzeba wrócić do towarzyszy, rzekłem.

— Tak, odparł krótko profesor.

O położeniu naszém ani słowa nie przemówiliśmy. Nie byłoby celu—mieliśmy obadwa dokładną świadomość stanu rzeczy.

Zaczęliśmy schodzić ku towarzyszom. Byli zgromadzeni w jednym punkcie. Najprzód mi w oczy wpadł jeden z przewodników, który się trząsł z zimna, jakby przy silnym napadzie febry. Zęby szczękały a ramiona latały jakby wahadło.

— Czy wrócili Rój i Tatar?

— Nie....

Spojrzałem na zegarek i rzekłem do profesora.

— W pół do trzeciéj.

W tym jednym wyrazie mieściło się całe zdanie. Powiedziałem niém: jest już późno, do Jaworzyny mamy 6—7 godzin dobrego biegu po drodze przepaścistéj lub przynajmniéj usianéj kamieniami, przeplatanéj korzeniami i przerywanéj potokami wzburzonemi. Co to będzie, jeśli dopiéro za godzinę lub za dwie przewodnicy znajdą drogę? A przy mgle może jeszcze wcześniéj się ściemni....

Profesor spojrzał na swój zegarek i powiedział tylko, z wyrazem oczu, w którym się także myśli powyższe mieściły:

— Tak, w pół do trzeciéj.

Myśl moja daléj snuła ów wątek.

Dobrze, jeśli znajdą drogę choćby za dwie godziny. Zbiegniemy przed nocą w dolinę Jaworzyńską i może dotrzemy do Gałajdówki, a w najgorszym razie przenocujemy pod gołem niebem, w lesie. Wprawdzie to las bagnisty i tyle ma potoków co drzew, ale zawsze lepiéj spać niż na śniegu, bo przynajmniéj będzie czem ogień rozpalić (Musiałem przerwać mój niemy monolog, aby tupaniem i rozcieraniem rąk rozgrzać skostniałe członki)... Przytém w dolinie mają czekać górale z namiotem... Ale może przewodnicy wcale drogi nie znajdą?... Żadnych skał nie widać,—jakże się tu więc oryentować? Możnaby w takim razie powrócić do Szmeksu lub do opuszczonéj koléby, ale czy duma pozwoli góralom dość wcześnie zrezygnować z szukania i dać hasło do odwrotu? A może znajdą przejście na północną stronę, i dopiéro po kilkogodzinnéj wędrówce przekonamy się, że jesteśmy odcięci od doliny przepaścią!.. Cóż poczniemy w takim razie? Powrót przed nocą będzie niemożliwy. A nocować na śniegu w przemokłéj odzieży—to...

Dał się słyszeć słaby głos.

— Ho! ho ho! zawołali razem górale. Znowu doszło uszu naszych wołanie z dołu.

— Sieczka idzie, rzekli górale.

Błysnęła nam nadzieja. Sieczka—to najstarszy i najlepszy przewodnik. Widocznie tędy droga, kiedy tu się zwrócił od Pięciu-Stawów. On nas ztąd wyprowadzi.

Zanim do nas doszedł, zawiadomił go już któryś z górali o naszém położeniu.

— Czy wiecie, zapytał go profesor, jak ztąd wyjść?

— Nie wiem.

Rozczarowanie.

Nie podobna było dłużéj pozostać w miejscu. Zmarzlibyśmy. Poszliśmy więc w kierunku długości śnieżnéj doliny ku górze. Utru-

dnialiśmy sobie w ten sposób możliwy odwrót, ale cóż, kiedy zimno nie żartuje.

Wyszliśmy na taras, na którym zobaczyliśmy brzeg zupełnie zmarzłego stawu. Tylko przy brzegu trochę odtajało, reszta była pokryta lodem i śniegiem zlodowaciałym (1).

Zatrzymaliśmy się znowu, pomiędzy stawem jak się zdaje od wschodu, a zboczem góry od północo-zachodu.

Staliśmy długo. Niektórzy zaczęli się już na seryo naradzać nad powrotem do Szmeksu. Zmęczenie i kostnienie członków, było dostateczną do tego pobudką.

Ale te narady przerwał jakiś szmer.

— Rój trąbi—rzekł jakiś góral.

Umilkliśmy wszyscy i rzeczywiście odróżniliśmy głos trąbki.

Ale czy to znak przywołujący, czy hasło odwrotu? Chyba pierwsze.

Wdzieramy się na zbocze kamieniste przypruszone śniegiem. Za kwadrans spostrzegliśmy Roja siedzącego na skale. Tak był zmęczony, że nie chciał sobie zadać fatygi zejścia do nas.

— Czy jest droga?

— Jest.

— A którędy?

— Chodźcie, nie pytajcie się, rzekł Roj żałośnie, bom tak zmęczony że gadać nie mogę. I takem głodny...

To mówiąc, wydobył kawał chleba i zaczął go gryść.

Na twarzy jego malowało się śmiertelne utrudzenie. Biedak pędził przez dwie godziny we wszystkich kierunkach i wszędzie natrafiał na zawady nie do przebycia.

Wreszcie przelękniony i znużony potknął się o jakiś płaski kamień. To jego znajomy! P. M. zrzucił go mu na nogę w roku zeszłym. Teraz był on dla niego latarnią morską. Tędy z pewnością droga. Przestrach ustępuje miejsce radości, lecz jednocześnie, gdy obawa o naszą całość minęła, pierzchła ekscytacya, która mu sił dodawała i muskuły straciły swą tęgość.

Odpoczął nieco zanimeśmy nadeszli i teraz jest znowu gotów do drogi.

Prowadził nas stromym źlebem (rozpadliną) po usuwających się pod nogami kamieniach. Musieliśmy użyć wszelkiéj ostrożności, aby na niżéj idących głazu nie strącić. Obok rozpadliny był wał

(1) Zdaje mi się, że stawu tego nie ma na mapie sztabu generalnego. A może téż to jest ostatni z pięciu stawów?

z litéj skały, którego się czepiałem rękoma. Ale palce były tak skostniałe, żem ich nie czuł. Musiałem okiem sprawdzać, czym rzeczywiście się chwycił nierówności. Gdy już mi prawie tchu brakło i gdy wał stał się niezmiernie spadzistym, prosiłem Roja, aby mi rękę podał. Sądziłem, że zmęczony góral jeszcze silniejszy od Warszawiaka. Roj chwycił mnie za dłoń i chciał ciągnąć w górę; ale ja żadnéj ulgi nie czułem. Może prędzéj mógłbym jemu pomódz.

Wreszcie stajemy na wyłomie, na przełęczy. Cieszymy się, ale nie zupełnie. Nie mamy pewności czy niżéj nie natrafimy na nieprzebyte urwiska.

— Czyś zbiegł, aż na dół? pytamy Roja.

— Nie, ale wiem, że puści.

My jakoś nie zupełnie wierzymy. Ale gotujemy się do zejścia.

Jesteśmy niezmiernie zmęczeni i zgłodniali. Ale czasu nie ma: łyk wódki musi starczyć za obiad. Mamy zapasy w workach, ale nie ma czasu na ich rozpakowanie. Ułamałem kawałek od kromki chleba, którą jadł Rój i to było drugiém i ostatniém daniem. Góral podał mi jeszcze kawałek, alem go schował do kieszeni palta na większą potrzebę. Wszakże jeszcze kilka godzin do celu!

Gryząc chléb, rozcieraliśmy skostniałe ręce śniegiem, aby zapobiedz odmrożeniu.

Biegniemy na dół, a górale jakoś niespokojnie spoglądają na siebie.

Spostrzegłem to i zrozumiałem. Nie byli pewni drogi.

— Mój Wojtku, czy jesteś pewny, że nas *puści* na dół.

— O puści, puści! Jakem tylko ten kamień zobaczył...

— Dobrze, ale tu niżéj możemy zbłądzić. Mgła jest wprawdzie mniejsza, ale zawsze mgła.

— O nie bójcie się, wtrącił Sieczka, już ja tutaj dobrze znam drogę.

Deszcz ani na chwilę padać nie przestawał i wsiękał w odzież. Nie gniewało już nas to, że jesteśmy okryci mokremi okładami, bo przy szalonym biegu na dół zgrzaliśmy się zupełnie i raczéj upał niż zimno czuliśmy, ale ciężar naszéj odzieży znacznie się powiększył, i bezpożytecznie siły nam zabierał.

Gdy już ani kropla wody nie mogła się zmieścić w porach naszéj odzieży, deszcz bardzo się zmniejszył i mgła przerzedła. Zobaczyliśmy wtedy po lewéj stronie śliczny „staw pod Jaworowemi sadami“ otoczony stromym i nagim skalistym lejkiem, podobny do „Czarnego stawu nad Rybiem“ (Morskiém okiem). Rozmiary skał okolicznych były kolosalne.

Nigdy góry nie wydawały mi się tak wysokiemi jak dzisiaj. Mgła pozwalała widzieć tylko części ścian lub krawędzi, a już te części wydawały się większemi niż zwykle całe góry. Skutek to właśnie mgły. Podczas pogody, wzrok nasz sięga do wielkich odległości i z powodu mimowolnego porównywania wymiarów pionowych z ogromnemi poziomemi, następuje złudzenie zmniejszające wysokość gór. Dzisiaj tego nie było. Widzieliśmy tylko bliskie otoczenie, a kolosalne masy dalsze i wielkie odległości znikły zupełnie w pomroce.

Zboczyliśmy na prawo ku niższemu tarasowi doliny, i ukazały się oczom naszym majestatyczne pionowe ściany „Jaworowych sadów,“ ubielone śniegami w postaci wielokrotnych V.

Na brzegu tego tarasu trzeba było znowu drogi szukać. Może to tu jest „zamek“ który nas zmusi do powrotu lub noclegu wśród dzikich skał?... Góral wysłany na zwiady na prawo, wraca donosząc że „nie puszcza“. Udajemy się więc zlebem na lewo. Schodzimy tu szczęśliwie na nowy taras zasłany już ogromnemi głazami, dowodzącemi, że jesteśmy dość nisko i że większych zawad nie spotkamy.

Głód się znowu z wielką siłą obudził. Sięgam ręką do kieszeni, aby wyjąć schowany na zapas chléb, ale przypominam sobie, że już tam czułem rękę jednego z kolegów.... Ha! będzie mi to zapewne w niebie policzone.

Już teraz mamy przed sobą drogę otwartą i znaną. Wprawdzie przebyć musimy zbocze kamieniste setkami potoczków przerznięte, przechodzące w las błotnisty, pokryty plątaniną korzeni, ale już niebezpieczeństwo żadne nam nie grozi. Trzeba tylko strzedz się zwichnięcia nogi wpadającéj pomiędzy głazy i korzenie lub stłuczenia głowy—więcéj nic. Ale droga długa, niezmiernie długa. Idziemy godzinę, i dwie i trzy, przebywamy w bród potoki w całkowitém ubraniu (dla prędkości), nabywamy sińców od uderzeń o głazy, ale to już wszystko nic nie znaczy. Ściemnia się, to gorsza. Biegniemy szybciéj. Już noc—nic nie widać—a jeszcze daleko. Doprawdy zaczyna być nie miło.

Potykamy się co krok. Trzymam się czuchy górala bo nie wiem w którym iść kierunku. Idziemy ciągle lasem. Cokolwiek się rozwidnia—to woda. Znowu w bród. Znowu ciemny las. Kiedyż będzie koniec?....

Już nam zaczyna sił braknąć, już nie staje humoru. Wreszcie pokazuje się światełko. To Sieczka z latarką! Sił nam z światłem przybyło. I w samą porę, bo tu błoto i korzenie nie do przebycia. W pół godziny po tém, kończą się nasze trudy, wchodzimy do su-

chéj izby w karczmie jaworzyńskiéj, gdzie nas czekają ogień, łóżka i stół obficie zastawiony.

Ach, jak świetnym jest *dach* wynalazkiem! wyrwało się z ust moich.

Pozbywamy się mokrych okładów, posilamy się i odpoczywamy.

Kolega, który mi wyjął z kieszeni kawałek rozmoczonego chléba, zafarbowanego na czerwono od rozmiękłéj okładki przewodnika Kolbenheyer'a, leżącego w téj że kieszeni, wydobywa z worków rozliczne zapasy i częstuje mnie takiemi specyałami, że już zaczynam wątpić o nagrodzie w niebie, czując się aż nazbyt wynagrodzonym za chléb—nie mój zresztą.

Wesołość, od kilku godzin naciskiem przeciwności zgnębiona, znów wybucha z homeryczną siłą. Nazajutrz pojechaliśmy wózkiem do Zakopanego.

Podczas téj podróży mgły się rozwiały, i zobaczyliśmy uwieńczony śniegami szczyt lodowy.

Z północno-zachodniéj strony, w pobliżu wierzchołka, ma on niewielki ząbek.

Pomiędzy nim a główną masą szczytu przeszliśmy wczoraj, będąc może tylko o pół godziny drogi oddaleni od szczytu. Tylko pół godziny!

Gdyby więc jaka taka pogoda nam służyła, oglądałbym Tatry ze szczytu lodowego. Tymczasem mgła nie pozwoliła korzystać z tego zbliżenia się.

Doprawdy, że to może gniewać turystę.

Pocieszam się przynajmniéj tém, że widziałem białą noc.

Bronisław Rejchmann.

STOSUNKI GMINNE

W GALICYI.

Gmina jest jednostką miejscowego życia. Jak w państwie skupia się i rozwija życie publiczne, tak w gminie skupia się i rozwija życie miejscowe. Dla tego też zadania gminy ograniczają się interesem miejscowym, i to piętno stanowi jéj właściwą cechę, nadaje jéj byt odrębny. Jako jednostka jest gmina całością w sobie, posiada właściwą sobie organizacyą i samoistność; ale skupiając w sobie miejscowe życie, ma charakter powszechny, ogólny, obejmuje całość miejscowych stosunków i tém różni się od innych związków samorządu, które tylko pewne specyalne, z góry ściśle oznaczone, mają do spełnienia zadanie. Będąc związkiem powszechnym, ogólnéj natury, jest gmina jednostką gospodarczą, administracyjną, społeczną i prawną, a wypełniając funkcye publiczne, staje się głównym organem samorządu, będącego szkołą politycznego wykształcenia ludu i podstawą wolności społecznéj, osobistéj i politycznéj.

Gmina jest jednostką gospodarczą i obejmuje całość interesów gospodarczych, przez które dąży do osiągnięcia wspólnych celów; jako taka posiada ona nietylko zarząd własnego majątku, ale również samoistny byt finansowy, w skutek czego może uchwalać wydatki i ich pokrycie, ma prawo zaspakajania potrzeb publicznych za pomocą publicznych źródeł dochodu. Gmina posiada jednakże nie tylko własną, samodzielną gospodarkę, ale również opiekuje się ona gospodarstwem i dobrobytem swych członków; dawniéj była ona związkiem gospodarzy prowadzących wspólne gospodarstwo, a i dzisiejsze gminy często jeszcze posiadają wspólne łąki, pastwiska lub lasy i potrzebują licznych urządzeń z dziedziny wspólnego gospodarstwa.

Niewątpliwie w nowocznesnéj gminie przeważają zadania administracyjne, a utworzenie nowéj gminy w XIX wieku miało właśnie

na celu poruczyć zarząd miejscowy żywiołom miejscowym (1). Większa też część autorów piszących o gminie stara się wykazać wyższość administracyi miejscowéj, nad administracyą rządową, i w ten sposób usprawiedliwia rozwój ustawodawstwa nowszego w kierunku samorządu (2).

Nie znikły jednak te gospodarcze i społeczne cele, jakie gmina dawna spełniała za pomocą stowarzyszeń gminno-rolnych lub cechów: gmina pozostanie zawsze jednostką społecznego życia i coraz więcéj będzie się rozwijała w tym kierunku. Opieka nad ubogimi jest pierwszą podstawą tego społecznego zadania gminy, ale w miarę rozwoju nowoczesnych stosunków, coraz nowe powstają zadania społeczne, które w gminie i przez gminę miejscową domagają się załatwienia. Stowarzyszenia wodne, melioracyjne na wsiach, jak stowarzyszenia i izby robotnicze po miastach, są początkiem téj organizacyi społecznéj, jaka z natury rzeczy musi oprzéć się na gminie i dać podstawę nowemu ustrojowi społeczeństwa (3).

Jednostką prawną jest gmina nie ze stanowiska osoby prawnéj, ale ze stanowiska publicznego, jako poręczycielka publicznego spokoju, bezpieczeństwa i sprawiedliwości. To też w granicach stosunków miejscowych posiada ona władzę ustawodawczą, prawo wydawania obowiązujących przepisów i rozporządzeń, oraz prawo przymusu i łączne z niém prawo kary, czyli sądownictwo spraw lokalnych. Wprawdzie gminy utraciły dawniejsze sądownictwo publiczne, ale natomiast pozostał ich udział w sprawach cywilnych, a nawet nowsze ustawy określają bliżéj ich stanowisko w sprawach drobiazgowych, w sądach rozjemczych, przez co na nowo rozszerza się zakres prawny poruczony samodzielnemu życiu gminy.

Nie wszędzie jednak i nie zawsze ma gmina te rozliczne zadania do spełnienia; według ustaw obowiązujących jest ona czemś innem na kontynencie, aniżeli w Anglii, inną we Francyi, jak we Włoszech lub w Niemczech, inną w Węgrzech jak w Austryi. We Francyi jest gmina częścią państwa *(une fraction, une subdivision de l'état)*, okręgiem administracyjnym, a zarazem osobą prawną (moralną), i jako taka mającą prawo zarządu majątkiem własnym, ale pod ścisłą kontrolą państwa, które osoby prawne uważa na równi

---

(1) Wasilczykow. O samouprawleniu I. 3.

(2) Rembowski. O gminie (Ekonomista z r. 1872 zeszyt 3, str. 163. 164). Brater w art. Gemeinde (Bluntschli und Brater. Staatswörterbuch IV, 112).

(3) Vergangenheit und Zukunft der deutschen Gemeinde (Deutsche Vierteljahrs-Schrift r. 1856 II. 389 nst.). Koerner. Der Beruf des Staates und der Gemeinde in der socialen Frage. Berlin 1872. s. 27—56.

z małoletnimi. W Anglii, gdzie samorząd opiera się na hrabstwie, jako na zbiorowéj jednostce, gmina jest organem pewnéj funkcyi publicznego życia, każda tam sprawa publiczna ma swoję specyalną gminę, swoję specyalną organizacyą, swój zarząd, podatek, sąd i kontrolę. We Włoszech gmina przeważnie wielka, zaopatrzona w znaczne środki działania, żyje samodzielnie, mimo ścisłego nadzoru państwa. W Niemczech rozwija się gmina miejska gdzie magistraty są urzędem gminnym i władzą miejscową; ale na wsiach, fizycznie ścieśniona obrębem wioski, nie może wyjść z dawnéj ospałości, do któréj nawykła podczas patrymonialnych rządów. W Węgrzech komitat dochodzi do potęgi politycznéj i daje temu krajowi silną podstawę samorządnego życia, a obok niego istnieje gmina samodzielna, posiadająca organizacyą, zastosowaną do swych sił i zasobów; kiedy w Austryi, mimo szerokiego zakresu działania, gmina rozwija nader małą czynność i zanadto słaby wywiera wpływ na postępy życia publicznego. Gmina galicyjska, otrzymawszy organizacyą w ogóle zbliżoną do organizacyi gmin w całem państwie austryackiém, już tém samém okazywać musi życie słabe, podobnie jak inne gminy austryackie, ale zarazem posiada właściwości, wypływające z miejscowych stosunków życia, które dają możność ocenić i poznać główne rysy obecnego stanu samorządu i społeczeństwa téj prowincyi.

I.

Kiedy w r. 1849 na chwilę krótką zaświtało w Austryi życie konstytucyjne, i zaraz po przeprowadzeniu wielkiéj reformy włościańskiéj, społeczeństwo całe zajęte było organizacyą gminy, rząd wydał tymczasową ustawę gminną, która na samem czele wypisała więcéj teoretyczną, aniżeli ustawodawczą zasadę: podstawą wolnego państwa jest wolna gmina. Mimo reakcyi, jaka następnie rozwielmożniła się na cały lat dziesiątek, powrót ery konstytucyjnéj zastał umysły z tém samém usposobieniem, z tém samém pojęciem o organizacyi państwowéj. U góry rząd centralny, jednolity, silny i skupiony, zostający pod kontrolą centralnego parlamentu, u dołu gmina obdarzona znacznym zakresem działania, jako podstawa wolnego państwa. Te dwa ogniwa organizacyi uważano za istotne, inne były mniéj lub więcéj przydatne, ale zawsze podrzędniejszego znaczenia. Potrzeba to mieć na oku chcąc zrozumieć jasno organizacyą administracyjną tutejszego kraju. Władzy centralnéj w Wiedniu podporządkowane jest wszystko w całéj monarchii, namiestnictwa ustanowione w każdéj prowincyi, nie mają żadnéj sa-

modzielności, podobnie jak starostwa czyli powiaty polityczne. Władze te zależą wprost od rządu centralnego w Wiedniu, składają się z samych urzędników rządowych, odwołalnych i nie potrzebujących mieć żadnéj łączności z krajem lub powiatem, ani nie mających żadnego odrębnego stanowiska, któreby ich samodzielność poręczały w jakimkolwiek zakresie. Władza centralna w Wiedniu jest w obec administracyjnych tak zwanych politycznych władz miejscowych, to jest namiestnictwa i powiatów, nieograniczoną, a sama zostaje tylko pod kontrolą parlamentu, jak to być musi przy ustroju konstytucyjnym.

Obok tych władz i zupełnie niezależnie od nich istnieje organizacya autonomiczna krajowa, czyli prowincyonalna i powiatowa. Samorząd krajowy wyobraża sejm, a jego wykonawcą jest wydział krajowy, wybrany przez sejm z jego łona i obradujący pod przewodnictwem marszałka sejmu krajowego, mianowanego przez cesarza z grona posłów sejmowych. Samorząd powiatu skupia się w reprezentacyi powiatowéj, czyli w radzie i w wydziale powiatowym, wybranym przez radę powiatu z pomiędzy jéj członków. Oba ciała obradują pod przewodnictwem prezesa lub jak go zowią marszałka powiatu, wybranego przez pełną radę a zatwierdzonego w urzędzie przez cesarza.

Władze autonomiczne krajowe i powiatowe nie mogą mięszać się do spraw wewnętrznych kraju i powiatu, w tym względzie władze rządowe podlegają jedynie rozporządzeniom władzy centralnéj, i kontroli parlamentu. W sejmie krajowym wolno wprawdzie postawić interpelacyą w sprawach zarządu wewnętrznego, ale słaby to środek wywarcia wpływu na administracyą sejmowi nieodpowiedzialną, i nie zobowiązaną do odpowiedzi; tém bardziéj gdy regulamin izby nie dopuszcza rozpraw nad odpowiedzią rządu na interpelacyą.

Władze samorządu krajowego i powiatowego mają tylko ściśle określoną sferę spraw, w których wolno im obradować, uchwalać i działać; liczba tych spraw nie jest bardzo wielką, ale natomiast swoboda działania pojęta bardzo obszernie. Szczególniéj téż swoboda nie działania jest posunięta do ostatecznych granic, gdyż rząd zastrzega sobie udział i kontrolę w tym kierunku, aby władze samorządu krajowe i powiatowe nie przekroczyły swego zakresu, i nie działały przeciw obowiązującym ustawom: ale niema dostatecznych środków zapobieżenia niedołęztwu. Wolno wprawdzie rządowi zarządzić środki zaradcze w razie zaniedbania w wykonaniu obowiązków z mocy ustaw, ale ponieważ ustawy rzadko kiedy bliżéj określają obowiązki organów samorządu, przeto rzadko kiedy władze rządowe mają sposobność czynnéj interwencyi.

Zakres działania reprezentacyi powiatowéj, jako władzy administracyjnéj, po za obrębem jéj działania jako instancyi w sprawach sądownictwa administracyjnego, ogranicza się do zarządu majątkiem i do zarządu temi instytucyami dobra publicznego, jakie reprezentacya powiatu uzna za stosowne wprowadzić w życie. Ustawa dozwala zakładać różne instytucye powiatowe, ale nie ma ustawy któraby pewne instytucye wkładała na karb powiatu; stąd jest to rzeczą uznania i dobréj woli reprezentacyi powiatowéj, powoływać do życia pewne instytucye, lub téż nie przedsiębrać żadnéj inicyatywy, a nawet nie mają one obowiązku koniecznego utrzymania zakładów raz już utworzonych. Reprezentacye powiatowe okazują téż różną gorliwość i różne, wszędzie prawie inne, potrzeby społeczne mają na oku. Tutaj szpital jest utrzymywany kosztem powiatu, gdzieindziéj istnieje powiatowa kasa pożyczkowa lub oszczędności; tu powiat buduje drogę, gdzieindziéj przyczynia się do budowy szkoły lub kościoła. Obowiązkowych czynności reprezentacye powiatowe dotychczas nie mają, a zarząd wewnętrzny powiatu powierzony jest władzom administracyjnym rządowym tak zwanym politycznym, które są zupełnie niezależne od reprezentacyi i wykonywają nad niemi kontrolę.

Zakres działania sejmu, pod względem ustawodawczym, jest przedmiotem nieustannych sporów pomiędzy sejmem i radą państwa, nietylko bowiem rada państwa przez dowolną interpretacyą ścieśnia coraz bardziéj ustawodawczą działalność sejmu, ale naodwrót sejmy krajowe, szczególniéj zaś galicyjski, czują się zanadto skrępowane w działalności ustawodawczéj i, pojmując ustrój Austryi jako federacyjny, domagają się stale większego rozszerzenia spraw ustawodawczych. Dążność ta równolegle zupełnie musiałaby rozszerzyć, w sposób bardzo stanowczy, zakres administracyjny samorządu krajowego, który obecnie, pominąwszy zarząd majątkiem, jest nader ograniczony. Zarząd majątkiem należy więcéj do prywatnych aniżeli do publicznych zadań każdéj instytucyi, oprócz zaś zarządu majątkiem i po za ustawodawczą działalnością sejmu, pozostawiono mu nieokreślony bliżéj zakres administracyjny. Wybrany przez sejm wydział krajowy ma stanowisko wybitne jako władza sądowa administracyjna, jako zarządzający funduszami publicznemi, ale w statucie krajowym znowu spuszczono się na dobrą wolę sejmu i nie ma instytucyj, któreby koniecznie należeć miały do samorządu krajowego. Dopiéro ustawy i uchwały późniejsze stworzyły pewien zakres spraw krajowych i oddały reprezentacyi kraju w zarząd drogi i szpitale.

Władza polityczna krajowa—namiestnictwo, posiada właściwy zarząd spraw krajowych, który wykonywa zupełnie niezależnie i bez

żadnéj miejscowéj kontroli: mając ze swéj strony nadzór ogólny nad czynnościami sejmu i wydziału krajowego.

Taką więc rzeczą w powiecie i w kraju spotykamy dwie władze zupełnie odrębne: jednę autonomiczną, mającą zakres działania ograniczony do pewnych spraw, a nadto bez ścisłego określenia obowiązku ich wykonywania; druga władza obejmuje wszystkie sprawy wewnętrzne, jest właściwą władzą administracyjną, działającą z ramienia rządu centralnego, bez miejscowéj kontroli i bez względu na miejscowe potrzeby.

Samorząd krajowy i powiatowy w Galicyi jest zapewne cennym nabytkiem, ale nie trzeba przeceniać jego doniosłości i znaczenia: władza ustawodawcza sejmu jest przedmiotem ciągłych sporów z władzą centralną, którаby zakres ustawodawczy sejmu rada coraz bardziéj ograniczać; zarząd właściwy kraju należy do władz politycznych rządowych, i tylko niektóre sprawy pozostawiono władzom autonomicznym krajowym i powiatowym. Należy koniecznie stan ten rzeczy mieć zawsze przytomnym w myśli, kiedy się przystępuje do ocenienia skuteczności działań nowych władz samorządu i kiedy idzie o porównanie ich postępowania z innemi władzami; a nieuwzględnienie istotnego położenia przyczynia się nieraz do zbyt surowych sądów.

Stosunki, powyżéj wykazane w kraju i w powiecie, kształtują się w gminach zupełnie w odmienny sposób. W obrębie gminy nie ma wcale dwóch władz oddzielnych. Zwierzchność gminna jest jedna i ona załatwia wszystkie sprawy przez własne organa wybieralne i których wybór nie podlega nawet zatwierdzeniu władz wyższych. Dualizm jednak, zaprowadzony na wyższych szczeblach administracyi, nie mógł być zupełnie usunięty u spodu, i gmina zachowując formalnie jednolitość, została podzieloną wewnętrznie przez odróżnienie własnego i poruczonego zakresu działania. Zakres poruczony jest to pomoc organów gminy w administracyi państwowéj, a zatém pomoc w zbieraniu podatków, w rekrutacyi, w sprawowaniu policyi państwowéj, w wykonywaniu sądownictwa i t. p. Zakres własny obejmuje wszystkie sprawy dotyczące miejscowych interesów.

Chociaż ustawa odróżnia dwa zakresy w działaniu gminy własny i poruczony, to przecież zakres własny daleko obszerniejsze ma pole w gminie, aniżeli w innych jednostkach samorządu. W kraju i w powiecie administracya, policya należą do władz politycznych, natomiast w gminie cała policya miejscowa stanowi własny zakres gminy, który jéj odjęty być nie może. Wszystko, co ma interes miejscowy i co własnemi środkami gminy załatwionémi być może, należy do własnego zakresu gminy. To téż ów zakres własny ma nader

obszerne granice: obejmuje on całą policyą bezpieczeństwa, zdrowia, ogniową i budowniczą, policyą obyczajności, ubóstwa i t. d. a nadto do niego należą wszystkie sprawy kultury, podniesienia materyalnego, oświaty i t. p. Niema właściwie spraw, którychby gminy nie mogły załatwiać, są one ograniczone jedynie możnością finansową i mogą być powstrzymane w wykonaniu, ze względu na zbyt wielkie wydatki, na szafowanie mieniem publiczném i kieszenią kontrybuentów. Gmina, jedna z pomiędzy jednostek samorządu miejscowego, posiada obszerną sferę działalności i może zupełnie samodzielnie występować. Szczególniéj, powierzenie gminie całéj policyi miejscowéj stanowi bardzo ważny i wybitny objaw samodzielnego jéj życia, przez co gmina tutejsza świetnie wyróżnia się od gminy francuskiéj, i wielu krajów niemieckich.

Wyróżnienie dwóch sfer działania gminy, to jest własnego i poruczonego zakresu, nie ma wcale znaczenia formy, przeciwnie jest ono nader istotne. Poruczony zakres prawie zupełnie usuwa się z pod kontroli rady gminnéj i należy wyłącznie do wójta czyli naczelnika gminy, który we względzie spraw należących do zakresu poruczonego, obowiązany jest wykonywać wszelkie zlecenia wyższych władz politycznych, a przedewszystkiém starostów, czyli naczelników powiatu. Niewykonywanie, zaniedbanie lub złe wykonanie czynności poruczonych może na naczelnika gminy sprowadzić karę, którą wymierza władza polityczna. Wójt zatém pod względem zakresu poruczonego bezwarunkowo winien stosować się do rozporządzeń wyższych władz politycznych, przed nimi jest odpowiedzialny za wykonanie, od nich odbiéra polecenia, nagany i kary, i działa w tych sprawach jako urzędnik rządowy, nie potrzebując oglądać się na miejscowe stosunki.

Przeciwnie, ten sam wójt, w sprawach własnego zakresu, działa przy pomocy rady gminnéj, pochodzącéj z wyboru, i pod kontrolą wyższych władz autonomicznych. Władze polityczne nie mięszają się do spraw własnego zakresu, tylko czuwają nad tem, aby gminy nie przekraczały swego zakresu działania i nie działały wbrew ustawom, oraz wykonywały włożone na nie obowiązki.

Z powyższego wynika, że gmina, nie będąc podzieloną pod względem swéj zwierzchności, nie mniéj jednak zachowuje podwójny rodzaj władzy w jednéj osobie naczelnika gminy. Raz bowiem naczelnik ten jest wykonawcą rozporządzeń rządowych, drugi raz znowu władzą autonomiczną. Kontrola władz wyższych autonomicznych dotyczy jedynie spraw własnego zakresu; a nadzór rządowy odnosi się do całéj działalności gminy, tak w poruczonym jak we własnym zakresie, tylko w ostatnim ograniczony jest do pilnowania, aby gminy

nie przekraczały ustaw, a nadto, aby wykonywały włożone na nie obowiązki.

Podwójne atrybucye naczelnika gminy czynią go zależnym od obu władz wyższych autonomicznéj i rządowéj, ale rozumié się, że ta władza, która posiada władzę istotną, będzie miała i wpływ większy na naczelnika gminy. Ponieważ zaś kontrola władz autonomicznych pozbawioną jest samodzielnéj egzekucyi, a więc w wykonaniu zależy od władzy politycznéj, ponieważ z drugiéj strony ta władza polityczna ma prawo i obowiązek ogólnéj kontroli i nadzoru, wówczas kiedy nadzór władz autonomicznych dotyczy jedynie pewnéj części spraw gminnych, przeto gminy istotnie są więcéj zależne od władz rządowych. Natomiast władze polityczne w praktyce bardzo mało dbają o zarząd gmin i mięszają się doń tylko w razach wyjątkowych, pozostawiając zresztą zupełnie wolne ręce działalności gmin, szczególniéj téż zaniedbaniu ich w wykonywaniu czynności własnego zakresu.

Ustawodastwo galicyjskie odróżnia wprawdzie wsie, miasta i miasteczka, ale różnica dotyczy szczegółów podrzędnych; stosunek gmin do władz państwa i samorządu, oraz zakres działania gminy, nie zależy wcale od charakteru gminy. Czy jest wsią, miastem lub miasteczkiem zawsze gmina zachowuje ten sam zakres i organizacyą, z wyjątkiem dwóch miast stołecznych prowincyi: Lwowa i Krakowa, które posiadają całkiem odrębne statuta i jeżeli nie różnią się od innych gmin pod względem kompetencyi we własnym zakresie, to mają sobie powierzone ważniejsze sprawy w zakresie poruczonym. Stosunek władz w tych gminach także jest nieco odmienny, szczególniéj jednak wewnętrzna organizacya wielce się różni od organizacyi innych gmin i stanowi zupełnie odrębne urządzenia.

Brak dualizmu władz w gminie nie zabezpieczył organizacyi gminnéj od rozdwojenia, jeszcze w drugim kierunku. Obok gmin utworzono inne jednostki administracyjne równorzędne z gminami, chociaż całkiem odmiennéj natury, są tak zwane obszary dworskie. Pojęcie obszaru stanowiącego własność prywatną, jako okręgu administracyjnego, oraz uważanie właściciela, jako dzierżyciela władzy, pochodzi ze średnich wieków, w których organizacya państwowa kształtowała się w ten sposób, że monarcha nadawał ziemię i wraz z nią prawa zwierzchnicze, a każde nadanie ziemi oznaczało zarazem przelanie władzy. Stąd z własnością połączyło się stanowisko publiczne i właściciel ziemi stał się wyobrazicielem władzy.

Chociaż w Polsce stosunki podobne przetrwały rozbiór kraju, to przecież nigdzie dwór nie stanowił czegoś odrębnego od gromady. Pojęcie odrębności obszaru wyszło z Niemiec, gdzie *ein Guts-*

gebiet, *eine Grundherrschaft* terytoryalnie oddzieliło się od gminy. W Galicyi rozdział ten pierwotnie zaprowadził rząd, pod pozorem zabezpieczenia posiadłości włościańskich od pochłonięcia ich przez dwory. Rozporządzenia wydane niedługo po zaborze kraju nie dozwalały odbierać gruntów posiadanych przez włościan ani nawet zamieniać jednych gruntów na drugie, w ten sposób powstała różnica pomiędzy gruntami dominikalnemi, dworskiemi, a gruntami rustykalnemi czyli włościańskiemi (patent z 26 maja r. 1789 i inne). Następnie przy sposobności zaprowadzenia podatku gruntowego, według patentu z r. 1817, należało przeprowadzić stały kadaster każdéj parceli gruntu. Zamiast tego zaprowadzono w Galicyi tymczasowy wymiar podatku gruntowego, tak zwane prowizoryum z r. 1820, dotychczas obowiązujące. Wykazy wówczas poczynione, na podstawie pomiarów józefińskich z r. 1785, sprawdzonych i poprawionych po r. 820, utworzyły metryki gruntowe, w które parcele wpisane zostały wraz z oznaczeniem ich natury jako dominikalne lub rustykalne, albo wolne grunta. Od tego czasu istnieje po dziś dzień różnica gruntów minikalnych i rustykaln ych, a nawet wykup i zniesienie pańszczyzny, oraz zniesienie wszelkich ograniczeń własności, nie sprowadziło żadnéj zmiany w tym względzie. Grunta dominikalne posiadają hypotekę i są zapisane w tabuli krajowéj, grunta rustykalne dotychczas nie mają hypoteki, a chociaż ustawa krajowa z 28 Kwietnia r. 1874 zaleciła urządzenie ksiąg hypotecznych dla własności miejskiéj oraz dla gruntów rustykalnych, to przecie roboty przygotowawcze dalekie jeszcze są od ukończenia, a przytem dobra rustykalne zawsze będą miały oddzielną hypotekę od dóbr dominikalnych, kiedy bowiem tabula dla dóbr dominikalnych urządzoną jest przy sądach krajowych we Lwowie i w Krakowie, wykazy hypotek włościańskich znajdować się będą przy sądach pierwszéj instancyi.

Posiadanie gruntów dominikalnych wyżéj 100 morgów obszaru nadaje przywiléj wyboru posła na sejm krajowy i do rady państwa z kuryi większych posiadaczy, a własność dominikalna jest zarazem wyłączoną z gminy i tworzy sama w sobie odrębne okręgi administracyjne, znane pod nazwą obszarów dworskich.

Obszar dworski ma spełniać zadania gminy, ale nie posiada żadnéj organizacyi. Wszystkie funkcye i prawa są udziałem właściciela obszaru, a w niektórych razach ustawa ogranicza sferę jego działania w stosunku do gminy. Najważniejsze ograniczenie dotyczy spraw sądowych; właściciel obszaru niema prawa nakładania kar, chociaż może niemi zagrażać i wykonanie powierzone zostaje starości powiatowemu. Sprawowanie policyi w karczmach i szynkowniach należy także do wójta sąsiedniéj wioski.

Zastanawiając się nad tą ogólną zasadą organizacyi najniższych jednostek administracyjnych, widzimy, że w gminie skupiają się wszystkie czynności, ale z zachowaniem różnicy pomiędzy czynnościami jakoby właściwemi samorządowi i temi, które mają być wyłącznem zadaniem państwa. Poruczony zakres nie należy do zadań samorządu, a nawet rzec można niewłaściwie bywa zaliczany do zakresu działania gminy (1), gdyż gmina sama przez się nie działa tu wcale, tylko jéj naczelnik (wójt) ma sobie powierzone wykonanie spraw poruczonych, jest za ich niewykonanie odpowiedzialny rządowi, który ze swéj strony może każdéj chwili sprawowanie niektórych lub wszystkich zadań zakresu poruczonego odjąć wójtowi i przekazać własnym organom. Niekiedy tylko sposób wykonania pewnych spraw, należących do zakresu poruczonego, powierzony jest gminie i wówczas wójt winien stosować się do uchwał rady gminnéj. Koszta téż połączone z wykonaniem zakresu poruczonego ciążą na gminie, która w ten sposób ponosi ciężar, nie będąc często w możności wywarcia jakiegokolwiek wpływu na sposób wykonania (§. 58 ust. gm.).

Naczelnik gminy, będąc odpowiedzialny organom rządu za pewne sprawy, staje w zależności od trzech władz, a że, jak Brater powiada, nie może dwom panom służyć, więc z natury rzeczy wybrać musi mocniejszego. Liczne sprawy delegowane obarczają naczelnika gminy czynnościami postronnemi, usuwając na dalszy plan właściwe sprawy samorządu, do których wykonywania urząd autonomiczny jest obowiązany. Tego rodzaju skargi pojawiają się szczególniéj tam, gdzie jak w Galicyi gminy małe, tam bowiem zwierzchności gminne prawie wyłącznie trudnią się sprawami poruczonego zakresu, a znaczna część wydatków gminnych obracaną bywa na załatwienie spraw poruczonych. Istotnie główne działanie naszych zwierzchności gminnych ogranicza się do poboru podatków i rekrutacyi, wówczas kiedy sprawy policyi miejscowéj są w zupełnem zaniedbaniu, w znacznéj więc części koszta utrzymania zwierzchności i sług gminy, mają na celu wykonanie spraw poruczonego zakresu. Tymczasem te wszystkie liczne wydatki są podjęte na polecenie z zewnątrz pochodzące, a więc usuwają się z pod życia samodzielnego gminy. Nie bez pewnéj podstawy w faktycznym stanie rzeczy stawia więc Stejn w miejsce nazw utartych: własnego i poruczonego zakresu, nazwy nowe: wewnętrznego czyli samodzielnego i urzędowego zakresu gminy (2). Sprawy pierwszego zakresu gminy wykonywują bezpo-

(1) Mayerhofer, Verwaltungsdienst. Wien 1875, 3-ie wyd. II. 115, przyp. 1.
(2) Stejn, Die vollziehende Gewalt II. 321.

średnio, lubo pod nadzorem państwa, a więc samodzielnie; gdy w zakresie urzędowym stosować się winny do instrukcyj z góry otrzymanych.

Nie da się zaprzeczyć, że czynności tak zwanego poruczonego zakresu są niezbędnie potrzebne, że ich wykonanie musi opiérać się na miejscowych organach; jeżeli w nich spoczywa istotne dla samorządu niebezpieczeństwo, to polega ono nie na liczbie i różnorodności spraw, nie na drugorzędnéj jakoby wadze czynności poruczonych dla miejscowego życia, ale głównie na tém, że zakres poruczony tworzy z naczelnika gminy organ władz rządowych, im odpowiedzialny, im posłuszny, a przeto uchyla niezależność stanowiska naczelnika gminy, poddaje go rozkazom, które zbyt łatwo mogą uczynić cały samorząd ułudnym. Przyzwyczajenie do odbierania rozporządzeń i zarządzeń z góry, zatraca poczucie samoistności w gminie, a wzwyczaja organa władzy do poczytywania gmin za podrzędne swe urzędy pomocnicze, którym można wydawać rozkazy i żądać od nich bezwarunkowego posłuszeństwa.

Biorąc na uwagę specyalne stosunki galicyjskie, okazuje się, że w naszych gminach wiejskich jeszcze nie wyrobiło się poczucie samodzielności, a przeto zakres własny prawie nie daje żadnych oznak życia, i według świadectwa organów kompetentnych, nie pociąga za sobą wiele czynności i wydatków. Przeciwnie, zakres poruczony wykonywany na podstawie wyższych zleceń, nie bywa powodem do skarg i zażaleń, co wskazuje, że gminy nasze są przywykłe do posłuszeństwa i karności, a nie mają jasnego wyobrażenia o miejscowych potrzebach i celach samorządu. Dajemy rekruta, płacimy podatki, powiada włościanin galicyjski w obronie obecnéj organizacyi gminnéj, czegoż od nas jeszcze więcéj chcą; a w tych słowach maluje się całkowicie pojęcie samorządu gminnego przez tych właśnie, dla których ustawa gminna została utworzoną, którzy ją mają wprowadzać w życie i wykonywać. Włościanin tutejszy, w zacofanym konserwatyzmie swoim, nie rozumiejąc wcale obowiązków włożonych na gminę, wykonywa tylko zlecenia władz i to niechętnie, rad jeśli może od nich uwolnić się; nie bierze zaś w niczém inicyatywy.

Pomiędzy zakresem własnym i poruczonym nie ma przecież zasadniczych sprzeczności: i jeden i drugi wypływają z interesu publicznego, i jeden i drugi dopuszczają interes miejscowy. Ponieważ dzisiejsza gmina źródło swéj działalności widzi w państwie, bez względu na swój początek, wyprzedzający nieraz byt państwa, ponieważ gmina tegoczesna istnieje na mocy ustawy państwowéj, która jest samowładną w oznaczeniu zakresu gminy; przeto właściwie gmina wszystkie czynności spełnia na mocy mandatu państwowego „jest

samodzielnym organem administracyi państwowéj“, jak powiada Rembowski. Z drugiéj strony, w każdéj sprawie obok ogólnego znaczenia istnieje moment miejscowy, z powodu potrzeby stosowania jéj do miejscowych stosunków. Miejscowy ten charakter jest zawsze jeden i ten sam, wszystkie bowiem czynności są poruczone gminie przez państwo,—więc są w poruczonym zakresie, i wszystkie również nie są jéj powierzone bezwzględnie, ale jedynie ze stanowiska miejscowych potrzeb, wszystkie zatém należą do zakresu własnego, gdyż dopuszczają samodzielne wykonanie przez organa miejscowego samorządu. Nie istnieje teraz niebezpieczeństwo powierzenia gminie spraw w pierwszym rzędzie obchodzących administracyą publiczną, gdyż samodzielność gminy nie wyklucza jéj z pod nadzoru państwa; przeciwnie, gmina działa i działać może pod kontrolą państwa i może być zniewoloną do podjęcia czynności powierzonych jéj przez ustawy państwowe. Państwo zatém posiada środki przymusu w obec gminy, a gmina ma nietylko prawo lecz zarazem obowiązek wypełniania przekazanych jéj zadań. Mogą więc ustawy określić czynności jakie gminy winny wykonywać, nie czyniąc *żadnéj różnicy* pomiędzy obu zakresami, a w takim razie gminy spełniałyby funkcye powierzone, jak dziś spełniają czynności własnego zakresu pod kontrolą i dozorem organów władzy, które i dziś posiadają środki wystąpienia w razie zwłoki, zaniedbania, lub nienależytego wykonania obowiązków. Gminy zaś mając powierzone wszystkie sprawy do samodzielnego wykonania, nie popadłyby w niebezpieczeństwo zbytniéj należności od władzy.

Jeszcze szkodliwiéj oddziaływać musi podział najniższych jednostek administracyjnych na gminy i obszary dworskie. Chociaż ustawa chce w obu posiadać równorzędne ciała administracyjne, to przecież niepodobna porównać praw większego właściciela z prawami ciała zbiorowego i widzieliśmy, że ustawa sama odstępuje od bezwzględnie postawionéj zasady, nie dopuszczając właścicielowi prawa karania i odbierając mu policyą w szynkowniach i karczmach, nie graniczących z resztą obszaru dworskiego. Właściwie jednak obszar nie jest w stanie wykonywać czynności samorządu, może on tylko pełniać polecenia władz wyższych, może pilnować własnéj szkody i własnego dobra; nie może jednak wyjść po za pojęcie własnego interesu, nie może dbać o interes publiczny. Własność większa jest w skutek swego wyłączenia postawioną na zewnątrz życia gminnego, życie publiczne zaczyna się dla niéj dopiéro w powiecie. Ponieważ zaś nasze ustawodawstwo złożyło w gminie główny punkt ciężkości autonomicznego życia, więc też większa własność jest pozbawiona korzyści życia gminnego, jest wykluczoną od najważniejszych spraw

samorządu, nie może na nie wywierać wpływu. Z drugiéj strony większość potrzeb społecznych nie może być załatwioną przy wykluczeniu połowy ziemi od podatku gminnego i przy pozbawieniu gminy głównych sił intelektualnych, jakie na wsi mieć można. Właściciel obszaru, czy dzierżawca jego, rządca, inny oficyalista, nauczyciel domowy itp. osoby, któreby mogły grać pewną rolę w życiu gminy, są dziś pozbawione wszelkiego udziału i wpływu na gminę, a tém samém gmina nie może korzystać z ich obecności. Właściciele obszaru są nadto postawieni sztucznie w sprzeczności interesów z gminą, gdyż obecnie obszar dworski ma interes zwalać wszystkie ciężary na gminę i rzeczywiście z mocy ustawy posiada przywiléj uwalniający go od wszelkich ciężarów na zarząd i policyą miejscową, z mocy ustawy ponosi tylko trzecią część kosztów funduszu szkolnego, i nie ponosi prawie żadnych ofiar na drogi. Ustawa więc przedłuża u nas wieki średnie, z tą różnicą, że w owych wiekach osobista służba usprawiedliwiała przywileje finansowe, a dziś ciężar służby osobistéj również spoczywa bardziéj na gminie, bo odnosi się do osób. Dawanie rekruta, prestacya drogowa, kolejno sprawowane warty nocne itp. osobiste obowiązki z natury rzeczy są uciążliwsze dla siły roboczéj, gdyż na niéj się opiérają, aniżeli dla majątku, a więc uciążliwsze dla gminy, jak dla obszaru. Tém większą niesprawiedliwość zatém wyrządza ustawa, która jeszcze potęguje społeczne różnice, odosabnia klasy ludności, i mianowicie oducza i odzwyczaja od samorządu bogatych. Przez stawienie sprzeczności społecznych, zamożne klasy tracą poczucie samorządu, i ten ani rozwinąć się naprawdę nie może, ani obronić przed pretensyami władz rządowych. Trafnie powiada Maurer, że gminy dawniéj posiadające w swojem łonie kilku większych właścicieli, mogły daleko silniéj bronić swéj niezawisłości, mając w nich główną podporę swéj samodzielności i niepodległości. Natomiast od czasu rozłączenia, interesa gmin i obszarów stanęły przeważnie w przeciwieństwie i w końcu zwyciężył interes panów, jako potężniejszych, z wielką szkodą dla gmin, które przywiódł do upadku. Ktokolwiek téż chce niezależności i samodzielności gmin, kończy pomieniony autor, musi chcieć włączenia obszarów dworskich do związku gminnego, gdyż te same przyczyny doprowadzać muszą zawsze do tych samych następstw (1).

---

(1) Maurer, Geschichte der Dorfverfassung in Deutschland II. 190.

II.

Ziemia i ludność stanowią niezbędne warunki istnienia gminy. Każda gmina musi mieć pewien jéj przynależny obszar terytoryalny, a więc musi być zawartą w oznaczonych granicach, oraz musi posiadać ludność zostającą w określonym związku z terytoryum gminy. To téż gmina nie może istniéć u narodów koczowniczych. Wprawdzie mogą one posiadać organizacyą ludności w celach administracyjnych lub podatkowych, ale nie mają gminy, gdyż ludność musi być osiadła, musi wejść w stały związek z miejscem swego zamieszkania, aby mógł pośród niéj powstać i wyrobić się interes miejscowy. Z drugiéj jednak strony, wraz z osiedleniem powstają wspólne potrzeby osadników, które muszą być zaspokojone i wywołują organizacyą służby publicznéj, celem zadośćuczynienia miejscowym potrzebom wspólnego życia. Organizacya ta może być biurokratyczną, jeżeli za podstawę jéj służy wola stojąca po za miejscowém życiem, a przepisy pochodzą od organów niemających nic wspólnego z ziemią i ludnością miejsca zarządzanego; albo téż będzie samorządną, jeżeli organa wykonawcze wytwarzają się z łona zarządzanego organizmu. Rozumie się, w pierwszym razie interes miejscowy będzie grał mniejszą rolę, ponieważ w wykonawcach nie będzie dostatecznéj znajomości miejscowych warunków bytu; natomiast przy innéj formie urządzeń, zachodzić może obawa zanadto wielkiego wybujania wyłącznych lokalnych poglądów ze szkodą interesów powszechnych. Względ na tę pochopność samorządu do mierzenia wszystkiego drobną skalą miejscowego interesu, uzasadnia konieczność kontroli i wpływu organów wyższych, celem wprowadzenia równowagi pomiędzy potrzebami ogólnemi a miejscowemi.

Przestrzeń i ludność, będąc niezbędne do pojęcia gminy, stanowią także jeden z najważniejszych czynników znaczenia gminy i jéj organizacyi. Inne są potrzeby miejscowe, a szczególniéj inne warunki bytu, w miarę jak ludność skupiona jest koło siebie, mieszka w domach ściśle stykających się z sobą, lub téż rozrzuconych i oddzielonych. Na małéj przestrzeni rozpostarta osada ludnego miasta ma zupełnie odmienne potrzeby miejscowe od gminy wioskowéj, szeroko zabudowanéj i mało ludnéj. Nietylko jednak potrzeby, ale i środki różne posiadają gminy wielkie i gęsto zaludnione, aniżeli gminy małe, nieludne; to téż stosunek gmin do przestrzeni i ludności wskazuje na to jakie można skutecznie żądania stawiać autonomii gminnéj. Na małym obszarze, przy małéj ludności pojęcia są ciasne i brak

środków tak materyalnych jak moralnych do rozwoju samorządu i do zaspokojenia potrzeb miejscowych. Nie można téż rościć wielkich wymagań do gmin pozbawionych siły i nie można oprzeć na nich szeroko pojętego samorządu; przeciwnie, zbytnie rozdrobnienie gmin prowadzi do rządów absolutnych, a czyni samorząd illuzoryjnym i uciążliwym dla ludności (1).

Jak wielki ma być obszar gminy, jak wielką jéj ludność, nie da się z góry oznaczyć. Gminy z dawnych pochodzące czasów, mianowicie gminy wiejskie są przeważnie małe i nieludne; miasta i nowo organizowane gminy bywają przeważnie większych rozmiarów. Krzyżtopor (2) chce aby gmina była ni wielką, ni małą, mniéj więcéj 1000 do 5000 ludności, a mówi tylko o gminach wiejskich, ponieważ gminom miejskim chce nadać zupełnie odrębną organizacyą. Gminy wiejskie w Królestwie Polskiem na podstawie nowéj organizacyi urządzone wykazują od tysiąca do 8.000 mieszkańców, a średnio 4.000 mieszkańców (3), co odpowiada w zupełności téj wielkości gmin, jaką pragnął mieć Krzyżtopor. Wasilczykow podaje (4) że w Rosyi gminy mają od 4.000 do 6.000 ludności lub nieco mniéj, a żadna miejscowość nie może być od siedziby urzędu gminnego oddaloną więcéj jak na 12 wiorst. Autorowie projektu reformy administracyi w Galicyi oświadczają się za obwodem parafii i za ludnością w gminie od 6 do 10.000 mieszkańców, przy rozległości do 4 mil kw. (5). We Francyi mamy 36.056 gmin, z których 16.543 gminy ma zaledwie do 500 mieszkańców, dalszych 10.869 gmin ma od 500 do 1.000 mieszkańców, czyli 3/4 gmin nie posiada nawet 1.000 ludności, a tylko 80 gmin ma wyżéj 20.000 mieszkańców. Przeciętnie wypada we Francyi wraz ze stolicą 1.023 mieszkańców na jedną gminę (6). Odilon Barrot (7) poczytuje rozdrobnienie gmin we Francyi za przyczynę główną trudności wytworzenia silnéj i swobodnéj organizacyi gminnéj i pragnie urządzeń kantonalnych, a kanton—to gmina zbiorowa, powiada ten sam pisarz na inném miejscu. We Włoszech według ostatnich wykazów (8) gmina obejmuje przeciętnie około 37 kilometrów kw. i 3.300 mieszkańców, a większość gmin bo przeszło 3/4 posiada ludności od 500 do 5.000 mieszkańców.

---

(1) Gneist, Preussische Kreisordnung s. 26 nst.—Engl. Com. Verf. I. 412 nst.

(2) Krzyżtopor, O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce s. 418.

(3) Anuczyn. Oczerki ekonomiczeskawo położenia krestian. Radom 1875 s. 4.

(4) Wasilczykow. O samouprawlenii I. 237. 238.

(5) Zarys organizacyi władz administracyjnych w Galicyi s. 24 i 4.

(6) Block Annuaire de l'Economie politique et de la Statistique r. 1878 p. 14 i 21.

(7) Odilon Barrot. De la centralisation et de ses effets p. 131 157.

(8) Annuario Statistico Italiano. Anno I. Parte prima. Roma 1878 p. 32—34.

Natomiast gmina galicyjska liczy mało co po nad 800 mieszkańców, a 4,6 gmin naszych mieści się na mili kw. austryackiéj. W ogóle zatém gminy galicyjskie są małe. W całéj Galicyi mamy 6.230 gmin, a z tych 2.571 albo 41% niema 500 mieszkańców, a 4.758 albo 76%, to jest tyle co we Francyi, dochodzi zaledwie 1.000 mieszkańców, a tylko 342 gmin ma ludność większą od 2.000 mieszkańców. Kiedy zaś liczymy cztery i pół gminy przeciętnie na milę kwadratową, nie bierzemy jeszcze na uwagę obszarów dworskich, których jest 5.900, a więc znowu 4.3 na mili kwadratowéj. Właściwie zatém wypadałoby brać gminy tylko w stosunku do przestrzeni zajmowanéj przez gminy, a zaledwie 58% przestrzeni kraju zajmują gminy, gdy obszary dworskie obejmują 42% ogółu przestrzeni, albo gminy 786 mil kw., obszary 578 tychże mil. W takim stanie rzeczy wypada niemal 8 gmin na milę kwadratową ogółu przestrzeni, jaką zajmują same gminy.

Stosunek gmin do przestrzeni i ludności jest nadzwyczaj charakterystycznym, chociaż za mało nań zwracają uwagi. Głównie statystycy ocenili doniosłość jego, i dali mu pierwszeństwo nad względami prawnemi, jakie wyrażają się w różnicy gmin wiejskich i miejskich.

Nieuzasadnione téż jest twierdzenie, że interes miejscowy pozostaje zawsze jednaki, czy gmina wielka lub mała, czy ma sto czy sto tysięcy mieszkańców. Na téj podstawie, bez względu na wielkość gmin, winny one mieć zawsze jednaką organizacyą i zakres działania; tymczasem im gmina większa, względnie ludniejsza, tém można jéj powierzyć więcéj spraw do bezpośredniego zarządu, im zaś gmina jest mniejsza, tém więcéj czynności potrzeba wkładać na inne organa, ponieważ w przeciwnym razie, interesa publiczne mogłyby być narażone na zaniedbanie przez niemożność ich zaspokojenia w sposób odpowiedni przy pomocy miejscowych środków.

Na wsiach ludność przeważnie zbliżona do siebie pod względem pojęć, a podział ludności przedstawia stałe, typowe cechy. Ludność wiejską stanowią w pierwszym rzędzie właściciele mniejszych obszarów gruntu, oraz chałupnicy i robotnicy wiejscy, wszyscy posiadający jednaki stopień wykształcenia, jednakie pojęcia, jeden rodzaj zatrudnienia, a stąd i jednakie potrzeby, nawet jednaki rodzaj wyobrażenia, o ich zaspokojeniu. Obok téj zbitéj falangi włościańskiéj, znajdujemy na wsi szczupłą tylko garstkę większych lub średnich właścicieli i przemysłowców, najczęściéj należących do zupełnie odmiennéj sfery towarzyskiéj, których osobiste moralne stanowisko wielce się różni od całego otoczenia, a majątkowa pozycya

jeszcze bardziéj może odbiegać od stanu majątkowego innych wioski mieszkańców.

Na takich żywiołach oparta gmina wiejska, ograniczona do jednéj prawie klasy społecznéj i do jednego rodzaju zajęć rolnych, przedstawia mało warunków zrozumienia wyższych celów i potrzeb, posiada za mało inteligencyi, aby można stawiać do niéj znaczne wymagania, stąd zakres jéj działania winien być skromny, zastosowany do sił, jakiemi rozporządzać może, i do niewielkich potrzeb jednostajnego żywota.

Zupełnie inaczéj przedstawiają się stosunki w gminach miejskich: ludność tu różnorodna, oddająca się rozlicznym zajęciom, a skupiona na niewielkiéj przestrzeni, zatém zostająca w ciągłéj z sobą styczności. W tym ciasnym obrębie spotykamy wszystkie stopnie zamożności. Tutaj często przedstawia się nam obraz nędzy prawie nieznanéj na wsiach, a z drugiéj strony widzimy nagromadzone wielkie bogactwa rozdzielone pomiędzy znaczną liczbę indywiduów i zbytkowne życie, będące udziałem majątku, a wszystkim dostępne. Stąd potrzeby silniéj upominają się o swe prawa, ale za to daleko więcéj środków do zadośćuczynienia takowym. Miasta są ogniskami szkół, oświaty, handlu i przemysłu, siedzibą władz i duchowieństwa, co wszystko rozszerza zakres wiadomości, a przez skupienie różnorodnych czynników, wyrabia energią i elastyczność umysłu. Ciągły przypływ i odpływ ludności wprowadza wiecznie świeże siły, rozbudza umysły, a przez to usposabia do wyższych pojęć, do powstawania rozlicznych potrzeb i interesów. W średnich téż wiekach mówiono już, że w mieście panuje atmosfera wolności, i dziś także miasta przewodniczą postępowi ludzkości w rozwoju swobody umysłowéj, społecznéj i politycznéj.

Ta różnorodność stosunków, ta ludność skupiona i liczna, nagromadzone bogactwa wyradzają potrzeby miejscowe o wiele bardziéj skomplikowane od potrzeb małéj wioski i dają środki do zaspokojenia o wiele większych wymagań samorządu.

Opinia nieprzyjazna odrębnéj organizacyi miast wychodzi w znacznéj części z abstrakcyjnéj teoryi o równości, która tak przeważne zajęła stanowisko we Francyi i prowadzi do niwelacyi wszelkich różnic, nie uznając nawet najbardziéj rażących odrębności. W tym duchu wydaje się rzeczą pewną, że można według jednéj modły organizować gminy tak we Francyi i Anglii, jak w Polsce i Rosyi, a nawet w Chinach i Japonii, ponieważ tu i tam za podstawę samorządu służy interes miejscowy. Stosunki i właściwości krajów nie wchodzą w rachubę w obec ogólnéj formułki, mającéj uszczęśliwiać wszystkie ludy i wszystkie wieki, bądź to wzorową konstytucyą, bądź

też doskonałą organizacyą gminną. Gmina złożona z kilku lub kilkunastu chałup wieśniaczych miałaby posiadać tę samę organizacyą jak miasto liczące krociową ludność i będące ogniskiem ruchu handlowego i przemysłowego.

Chociaż od czasu rewolucyi francuzkiéj widoczną jest dążność do ujednostajnienia ustawodastwa gminnego, przecież ustawodastwa różnych krajów przyjęły odmienną organizacyą dla miast i wsi. W Anglii różnica wyrobiona historycznie utrzymała się w czasie reformy r. 1835, która dotknęła jedynie organizacyą gminy miejskiéj. Miasto w Anglii posiada zakres jaki w ogóle jest udziałem hrabstwa i łączy w sobie zadania parafii i hrabstwa. Burmistrz miejski (mayor) wraz z wybranymi rajcami lub ich wydziałem (aldermenami) sprawuje zarząd miasta, do którego należy również policya, na zewnątrz miast sprawowana przez sędziów pokoju. Burmistrz wybierany corocznie jest zarazem sędzią pokoju, jeszcze w następnym roku po swém ustąpieniu z urzędu, co zapewnia najmniejszym miastom przynajmniéj dwóch własnych z wyboru pochodzących sędziów pokoju, kiedy w ogóle sędziowie są mianowani przez monarchę. Charakterystyczną cechą organizacyi miejskiéj w Anglii, która ją odróżnia od kontynentalnych gmin miejskich stanowi to, że u nas cała władza w mieście skupia się w magistracie, radnych i burmistrzu, kiedy w Anglii każda parafia położona w mieście ma swoję odrębną parafialną czyli gminną władzę i organizacyą, a burmistrz, wydział i Rada miejska sprawują czynności policyi oraz zarząd ekonomiczny całego miasta po wyłączeniu spraw parafialnych (1).

W Prusiech zaprowadzona przez Stejna w r. 1808 organizacya miast zachowała do téj pory różnicę w organizacyi gminy wiejskiéj i miejskiéj, a za tym przykładem poszły i inne kraje niemieckie, chociaż różnice w organizacyi gmin nie są tak dalece wybitne. Ustawa austryacka z r. 1862 a za nią inne ustawy krajowe monarchyi zachowały tylko mniejszéj wagi różnice pomiędzy gminami wiejskiemi i miejskiemi, ale przynajmniéj większym miastom i miejscom kąpielowym dozwoliły starać się o odrębne statuta, które łączą zakres działania gmin i powiatów.

We Francyi tylko nie uznają wcale odrębnych stosunków miejskich, i wszystkie gminy podlegają tam jednéj ustawie, mają ten sam zakres działania; jedynie tylko dla Paryża i Lugdunu musiano stwo-

---

(1) Gnelst, Engl. Com. Verf. Capitul V. mianowicie II. 910 nst. Przeciw zasadzie podobnego rozdwojenia w administracyi miast oświadcza się Mill, O rządzie reprezentacyjnym (po polsku) s. 214.

rzyć odrębną organizacyą. Jednostajność urządzeń jest téż poczytywaną za główną przeszkodę rozwoju samorządu gminnego w tém państwie (1).

Słusznie twierdzi Gneist (2), że mniemany przywiléj zniesienia różnicy pomiędzy gminą wiejską i miejską możnaby łatwo nabyć za cenę ograniczenia życia gminnego do stanowiska podrzędnego, jak to właśnie stało się we Francyi. Różnica pomiędzy gminami polega na odmiennéj naturze stosunków, które tak w miastach jak na wsi dopominają się uwzględnienia, powiada Zöpfl (3). Ahrens zaś chciałby wyróżniać nietylko gminy wiejskie od miejskich, ale także większe i mniejsze gminy miejskie, (4), jak to istotnie czynią ustawy węgierskie.

Zaprzeczyć się wprawdzie nieda, że postęp cywilizacyi prowadzi za sobą coraz większą jednostajność stosunków, że wraz z rozwojem materyalnym przemysł nabiera coraz większego znaczenia pośród ludności wiejskiéj, a nawet samo gospodarstwo przybiera charakter przemysłowy. To téż bez wątpienia zasady ogólne organizacyi gminnéj mogą być bardzo zbliżone, ale jednakże nigdy nie okaże się korzystném zupełne porównanie, bo na niém albo stracą wielkie miasta, otrzymawszy za mało samorządu, lub też gminy wiejskie uzyskają więcéj aniżeli są w stanie wykonać. Różnice te w ustawodawstwie winny bardziéj uwydatnić się, skoro gminy obecnie ograniczone głównie do administracyjnego zakresu, zaczną znów więcéj uwzględniać potrzeby społeczne. Wówczas bowiem interesa i potrzeby wynikające z rodzaju zajęcia będą musiały wpłynąć na zakres działania gmin, bo jak poetycznie wyraża się nasz sędziwy ekonomista „w rozległych pracach wiejskich przemagają wpływy potęg przyrodzonych, w tém co w skupionéni powstaje mieście promienieje przeważnie wiedza ludzka, myśl ludzka.“ Miasta mogą téż w ogóle uzyskać szerszą autonomią, z którą w parze idą większe obo-

---

(1) Odilon Barrot, De la centralisation p. 129.

(2) Gneist, Preus. Kr. Ordn. s. 24, i dwie poprzednie.

(3) Zöpfl, Grundzüge der gem. deut. Staatsrechts 5-te wyd. II. 468 i tamże przypisek 4.

(4) Ahrens, Encyklopedya (polsk.) s. 681. Tenże: Naturrecht II. 480.

Że Rembowski liczy tego pisarza do zwolenników jednolitéj gminy, może polegać chyba na nieporozumieniu; podobnie niesłusznie Rembowski powołuje się na Milla. Autor ten nie rozbiera wprost zajmującego nas pytania, lecz kiedy dla miast żąda jednéj wspólnéj reprezentacyi, to wsie chce łączyć w większe ciała zbiorowe na podstawie wspólności interesów i wymaga dla różnych potrzeb różnych reprezentacyj, co pośrednio stawia go w rzędzie przeciwników jednakiéj formy organizacyi gminy. Mill, O rządzie reprezentacyjnym (pols.) s. 211.

wiązki i ciężary. Z tego powodu Roesler chce gminom pozostawić wybór przyjęcia organizacyi wiejskiéj lub miejskiéj.

Przeciw różnicy w organizacyi miast i wsi oświadcza się Rembowski, jest on jednak w tym względzie chwiejnym, a przypuszczając „różne praktyczne modyfikacye ze względu na większą żywotność interesów miejscowych", osłabia stanowczo poprzedni wywód (1).

Ustawa galicyjska zna wprawdzie różnicę pomiędzy gminami, gdyż odróżnia miasta, miasteczka i wsie, ale te różnice dotykają zupełnie podrzędnych stosunków i tylko w ustawie drogowéj (§ 12) spotykamy wybitniejszą zmianę, gdy prestacya drogowa w gminach wiejskich ma być odbywaną od domów, a w gminach miejskich od rodzin. Natomiast ustawa tutejsza nadaje każdéj gminie prawo starania się o uzyskanie od sejmu oddzielnego statutu. Dotychczas jednak tylko dwa nasze główne miasta, Lwów i Kraków, posiadają podobne statuta, i wraz z niemi mają odrębną organizacyą, ważną mianowicie pod względem służby wykonawczéj.

Gminy galicyjskie są w ogóle małe, jak to już wyżéj wykazano. Z pomiędzy 90 miast, 70 liczy przeszło 2.000 ludności, z pomiędzy 207 miasteczek tylko 114 wykazuje taką ludność, a gmin wiejskich o ludności przewyższającéj 2.000 spotykamy wszystkiego 158 na 5933. Stosunki te nie są jednak w całym kraju zupełnie jednakie. Przeciwnie pomiędzy stronami kraju zachodzą dość znaczne różnice pod względem wielkości gmin, a trzeba to mieć dobrze na uwadze, chcąc poznać pobudki różnych panujących tutaj o organizacyi gminnéj przekonań i sądów.

Biorąc same powiaty podgórza zachodniego w liczbie 10 od Żywca aż po Lisko, znajdujemy 59 gmin na każdych 10 mil kw. a każda gmina ma przeciętnie 682 mieszkańców. Na północ od tego pasu podgórskiego aż do Wisły i ujść Sanu leży 16 powiatów zachodnich kraju, w których bywa największa liczba 7 gmin na mili kw. a 770 mieszkańców przypada na gminę. Środkowa część Galicyi, od Łańcuta po Gródek, obejmuje 11 powiatów, w których przypada po 56 gmin na 10 mil kw. i 807 mieszkańców na gminę. Północny wschód kraju, od Cieszanowa aż po Brody, Złoczów i Bóbrkę, obejmuje 11 powiatów, w których mieści się 41 gmin na 10 milach kw.

---

(1) Rembowski, O gminie. (Ekonomista r. 1872 zeszyt II. 172—4. IV. 224. 225). Tenże (z. V. 331) powiada: „ustawa z r. 1789 zbyt gwałtownie zatarła wszelką różnicę pomiędzy wsią i miastem". Podobny zarzut robi nowszemu ustawodawstwu Bluntschli, Politik. 483.

a 810 mieszkańców przypada na gminę. Dalszych 12 powiatów lewego brzegu Dniestru ma 4 gminy na milę kwadratową i 1.006 mieszkańców na gminę. Wreszcie pozostałych 14 powiatów południowowschodnich na prawym brzegu Dniestru wykazują tylko 31 gmin na 10 milach kwadratowych, a przeciętnie 1.116 mieszkańców na gminę. Gminy więc południowego wschodu są prawie dwa razy tak rozległe a półtora raza tak ludne jak gminy zachodnie; kiedy bowiem na zachodzie 6 do 7 gmin mieści się na mili kwadratowéj, na wschodzie nie bywa jak 3 do 4 gmin na milę; kiedy tam średnio nie przypada 800 mieszkańców na gminę, to na wschodzie w większości powiatów mamy przeszło 1.000 mieszkańców na gminę. Te przeciętne liczby nie pochodzą zaś głównie z obecności większych miast, gdyż w powiatach zachodnich na 100 gmin przypada mało co więcéj jak połowa takich, w których ludność jest wyższa od 500 mieszkańców; w środkowéj i północno-wschodniéj Galicyi gmin takich przypada 60 na sto, kiedy w całéj południowéj Galicyi znajdujemy ich 75 na sto czyli 3 na 4 gminy. Łatwo to pojąć, u nas gdzie każda wioska jest gminą: od rodzaju osiedlenia zależy wielkość i zaludnienie gmin. Na zachodzie gleba wymaga troskliwéj i skrzętnéj uprawy, gospodarz nie może tam dużo obrobić pola, a przeto własność się rozdrabnia, ludność zgęszcza, w skutek czego wioski są mniéj ludne i bliżéj siebie położone. Przeciwnie, wsie podolskie są duże a rzadkie, bo tam uprawa jeszcze łatwa, pola nie wymagają nawozu, są więc rozlegle położone, własność nie tak rozdrobniona i ludność mniéj gęsta.

Wprawdzie te różnice nie są nadzwyczajne: tak wschodnie jak zachodnie gminy są małe, mimo że wschodnie są większe od zachodnich. Szczególniéj, gdybyśmy wyłączyli gminy miejskie, pozostałe gminy wiejskie okazałyby się jeszcze mniéj ludne, a wiemy, że na zachodzie każda druga a na wschodzie przynajmniéj każda czwarta gmina nie ma 500 mieszkańców, a w całym kraju jest tylko 158 gmin wiejskich o ludności wyżéj 2.000 mieszkańców. Gminy galicyjskie mają najczęściéj od 200 do 2.000 mieszkańców, gdyż taką ludność znajdujemy w 5.416 gminach albo 87% ogółu gmin kraju.

Obok tych gmin i zupełnie niezależnie od nich rozciągają się ogromne obszary gruntu, należące do większych właścicieli i postawione jako odrębne jednostki administracyjne. W przecięciu obszar dworski zajmuje tysiąc morgów austryackich gruntu, a liczy wszystkiego 32 mieszkańców. W ten sposób 4% ludności, a 42% przestrzeni kraju jest wyłączonych z organizacyi gminnéj, a każda wioska rozpada się na dwa odrębne organizmy zupełnie niezależne, a nawet w części postawione w przeciwieństwie względem siebie, jak o tém przekonać się można z poglądu na zasady kierujące zarządem je-

dnych i drugich jednostek administracyjnych, do których poznania obecnie przechodzimy.

III.

Organizacya gmin w Galicyi opiera się na téj zasadzie, że zarząd spraw gminy powinien spoczywać wyłącznie na żywiołach miejscowych, powołanych do działania przez wybór współobywateli, a działających samodzielnie pod nadzorem wyższych władz, tak autonomicznych jak rządowych.

Wykonywanie czynności powierzonych gminie spoczywa zatém na wybranych organach, któremi są: wójt, przysiężni czyli asesorowie i rada gminna. Prawo wyborcze służy bezwarunkowo każdemu opłacającemu podatek bezpośredni chociażby nawet tak mały, że wynosi zaledwie kilka lub kilkanaście centów. Nadto wiele osób ma prawo wyborcze bez względu na podatek, a więc w takim także razie jeśli wcale żadnego bezpośredniego podatku nie opłaca. To prawo wyborcze ze względu na zajmowane stanowisko wprawdzie dotyczy przeważnie osób, które opłacają podatki, a więc i bez tego miałyby prawo głosowania, ale pomiędzy niemi są również tacy, którzy istotnie podatków bezpośrednich nie płacą, np. urzędnicy, nauczyciele lub księża, którzy dla nizkich dochodów uwolnieni są od podatku dochodowego, (§ 1 ord. wyb. gm.).

Prawo wyborcze w gminie posiadają kobiéty na równi z mężczyznami, tylko, że nie mogą go wykonywać osobiście lecz przez pełnomocników (§ 4. ord. wyb. gm.).

Z powyższego widzimy, że prawo wyborcze w gminie galicyjskiéj jest bardzo rozciągłe. W porównaniu z ustawą gminną wydaną w r. 1864 dla Królestwa Polskiego, ordynacya wyborcza galicyjska nadaje prawo wyboru znaczniejszéj liczbie osób, gdyż ustawa gminna Królestwa Polskiego przypuszcza do głosu na zebraniu gminném jedynie właścicieli trzech morgów gruntu (art. 13.), a nawet w zebraniach gromad wioskowych dozwala brać udział włościanom gospodarzom zamieszkałym we własnych domostwach (art. 100.). Natomiast ustawa Królestwa dozwala także kobiétom brać osobisty udział w zebraniach, wprawdzie tylko w zebraniach gromadzkich, a nie gminnych.

Ustawa galicyjska nie zna również stopniowanego prawa głosowania, jakie zostało zastosowane w nowszém ustawodawstwie angielskiém, nie nadaje jednak wszystkim uprawnionym do głosu równych

praw, lecz uwzględnia stanowisko majątkowe. Najpierw bowiem właściciel połączonego z gminą obszaru dworskiego, lub każdy opłacający przynajmniéj szóstą część całéj sumy podatków bezpośrednich w gminie do opłaty przypisanych, wchodzą bez wyboru w skład rady gminnéj (§ 16. ust. gm.), z wyjątkiem miast, gdzie nie bywa wcale radnych bez wyboru (§ 13. ust. gm.). Radni bez wyboru nietylko mają udział w obradach gminy, ale nadto mogą odwołać się do rady powiatowéj, w razie kiedy gmina chce nałożyć dodatki do podatków bezpośrednich w wysokości 5% (§ 80 ust. gm.). W ten sposób ustawa chce zabezpieczyć interes klasy zamożnéj od nadużyć i wyzyskiwania, nadając wyłączne w gminie stanowisko większym posiadaczom, wówczas kiedy w skład gminy wchodzi jeden wielki właściciel lub przemysłowiec obok wielu innych drobnych posiadaczy i chałupników.

Ustawa galicyjska w wyższym jeszcze stopniu uwzględnia interesa klas zamożnych przez tworzenie kół wyborczych. Przepisuje bowiem ordynacya wyborcza dla gmin, że członkowie gminy mają być spisani w porządku wysokości opłacanych podatków od najwyżéj do najniżéj opodatkowanych (§ 12.). Jeżeli liczba uprawnionych do głosu nie przenosi 50, w takim razie wyborcy opłacający pierwszą połowę kwoty przypisanych podatków bezpośrednich wybierają połowę, a pozostali wyborcy drugą połowę radnych. Kiedy zaś liczba wyborców przechodzi 50, suma opłacanych podatków dzieli się na trzy równe części, a wyborcy opłacający każdą z tych trzech części podatków bezpośrednich stanowią oddzielne koło wyborcze i wybierają trzecią część członków rady gminnéj (§ 13). Rozumie się zatem, że wyżéj opodatkowani mają zapewniony udział w radzie gminnéj, którego mogliby być pozbawieni, gdyby nie tworzono kół wyborczych, ponieważ większość liczebna niezamożnych gminy mieszkańców mogłaby uzyskać przeważny wpływ w wyborach. Osoby, uprawnione do wyboru bez względu na podatek z tytułu zajmowanego stanowiska, należą po większéj części do pierwszego koła wyborczego, mieszczącego wyżéj opodatkowanych.

W miastach posiadających oddzielne statuta sprawa ta przedstawia się inaczéj. We Lwowie nie istnieją koła wyborcze, wszyscy wyborcy mają zupełnie równe prawa (§ 12 ord. wyb. Lwowa). Natomiast statut miejski uwzględnia majątek przez cenzus wyborczy. Kiedy według ustawy gminnéj prawo wyboru posiadają wszyscy opłacający najniższe nawet kwoty podatków bezpośrednich, we Lwowie tylko właściciele gruntów lub domów mają wszyscy prawo wyborcze bez względu na wysokość opłacanych podatków; natomiast dopiéro 8 złr. opłacanego podatku zarobkowego i 12 złr. podatków

z innych tytułów (nie licząc w to dodatków rządowych) (1) uprawnia do głosu (§ 1. ord. wyb. Lwowa). W Krakowie znowu jest właściwie 5 kół wyborczych; chociaż bowiem ustawa zna tylko 3 koła wyborcze, ale w dwóch kołach dopuszcza poddziały. Pierwsze koło wyborcze w Krakowie stanowią najpierw tacy, którzy mają prawo wyborcze bez względu na podatek, a zatem osoby należące do inteligencyi i uprawnione z tytułu zajmowanego stanowiska, oraz tacy, którzy płacą 15 złr. podatku dochodowego bez dodatków; drugie koło wyborcze stanowią właściciele nieruchomości opłacający przynajmniéj 6 złr. podatków bezpośrednich bez dodatków; trzecie koło wyborcze stanowią opłacający przynajmniéj 8 złr. podatku zarobkowego bez dodatków (§ 22 i 32 statutu dla Krakowa). W drugiém i trzeciém kole wyborcy, opłacający pierwszą połowę podatków, wybierają osobno połowę radnych, przypadających do wyboru w kole. Właściwie więc statut dla Krakowa najwięcéj uwzględnia stanowisko majątkowe, zna bowiem dość wysoki cenzus wyborczy, a nadto w dwóch kołach wyborczych zapewnia prawa znaczniejsze wyżéj opodatkowanym.

Najmniéj uwzględnienia interesów majątkowych spotykamy w mieście Lwowie, chociaż i tu cenzus podatkowy usiłuje uchylić klasy mniéj zamożne od udziału w wyborach, a tém samém w zarządzie gminy.

Wpływ, jaki na sprawy gminne zapewniają ustawy stanowisku majątkowemu, dostatecznie jest usprawiedliwiony interesem bezpośrednim klas, na których spoczywają ciężary gminne. Pod względem przyznania reprezentacyi interesów majątkowych, daleko właściwszym wydaje się cenzus wyborczy, lub tworzenie kół wyborczych, aniżeli głosy wirylne lub wielorakie. Głosy wirylne wprowadzają w skład rady żywioł, który z natury swego pochodzenia musi być pod pewnym względem niechętnie widziany w gminie; tam jednak, gdzie jak na wsi naprzeciw znacznéj masy drobnych posiadaczy i chałupników stoi jeden wielki właściciel lub przemysłowiec, interes jego wymaga pewnego wyłącznego stanowiska (2). Dopiero w większéj

(1) W Austryi zamiast powiększać podatek przez podniesienie stopy podatkowéj, uchwalano w różnych czasach dodatki do podatków, w skutek czego przy każdym rodzaju podatku należy uwzględniać podatek pierwotny i dodatki. Dodatki dzielą się jeszcze na zwyczajne i wojenne. Przy wyborach gminnych we Lwowie za podstawy prawa wyborczego służą tylko pierwotne podatki bez dodatków. Dodatki wynoszą od ²/₃ do całości pierwotnie wymierzonych podatków.

(2) Przemawia za niém Bluntschli, Lehre vom modernen Staat. Stuttgart 1876. II. 583.

gminie, gdzie rzadko tylko mógłby zachodzić wypadek tak wyjątkowych różnic majątkowych, można bezpiecznie usunąć głosy wirylne. Głosy wielorakie nie mogą być w użyciu w reprezentacyi gminnéj, lecz jak to ma miejsce w Anglii istnieją tylko podczas wyborów. Głosy te jednak całą wagę wyboru kładą na majątek, co jest zupełnie słuszne w spółkach akcyjnych i t. p. przedsiębiorstwach, ale nie tam gdzie chodzi o interes publiczny (1). W ogóle samorząd winien opierać się na osobistéj służbie, a przeto równowaga powinna polegać nie na sztucznéj organizacyi wyborów, ale na społecznéj organizacyi żywiołów, w skład gminy wchodzących. Na téj podstawie organicznéj różnorodne interesa mogłyby dojść do przedstawiennictwa bez pomocy *ad hoc* układanych przepisów. Zaprzeczyć wszelako trudno, że przy dzisiejszém społecznem rozprzężeniu i przy otwartym antagonizmie klas społecznych, często koniecznem ukazuje się użycie nawet paliatywnych środków dla zachowania harmonii interesów. W tym kierunku umiarkowany cenzus wyborczy najmniéj wyłączne przyznaje stanowisko i najmniéj budzi sprzecznych tendencyj, dla tego najbardziéj odpowiada potrzebie. Tworzenie na podstawie podatkowéj kół wyborczych ma tę niedogodność, wielokrotnie już stwierdzoną w czasie wyborów w Krakowie, że kiedy jedni pochodzą z wyborów dokonanych znaczną liczbą głosujących, inni na podstawie kilku głosów wchodzą w skład rady gminnéj. Przyczynia się do tego szczególniéj przepis (§ 26 ust. gm. i 40 statutu miasta Krakowa), że wybrani są ci, którzy otrzymali największą ilość głosów, gdyż do wyboru nie jest wymaganą absolutna lecz tylko względna większość głosów oddanych (inaczéj jest tylko we Lwowie: § 21 ord. wyb. Lwowa). Ponieważ zaś w ciągu perjodu wyborczego w miejsce ubywających czy ustępujących radnych wchodzą ci co po nich otrzymali największą liczbę głosów (§ 22 ust. gm. § 27 ord. wyb. gm. § 21 stat. Krak.), zdarza się więc, że z pomiędzy wyżéj opodatkowanych można się dostać do rady kilku głosami, a nie jest wykluczoną możność uzyskania tego prawa na podstawie jednego, nawet własnego głosu. Natomiast wydaje się rzeczą pożądaną tworzenie okręgów terytoryalnych w gminach większych, przez to bowiem unika się potrzeby głosowania na raz na bardzo wielu radnych (jak we Lwowie na stu), co nie pozwala na sumienne ocenienie wartości kandydatów i najczęściéj oddaje wybory na łaskę kilku zręcznych agitatorów.

Wybory odbywają się co trzy lata (§ 21 ust. gm. i 23 stat. Lw.). Powszechnie uskarżają się na te częste zmiany rady i prakty-

(1) Gneist, Engl. Com. Verf. II. 1320, 1322.

ka okazuje wyższość systemu przyjętego w Krakowie, gdzie rada miejska bywa wybieraną na lat sześć a odnawianą w połowie co trzy lata. (§ 49 stat. Kr.).

Nietylko jednak rada gminna pochodzi z wyborów, gdyż system wyborów jest zastosowany również do zwierzchności gminnéj i to tak dalece, że rada gminna bezwarunkowo wybiera swą zwierzchność i tylko w miastach Lwowie i Krakowie wybrany prezydent miasta potrzebuje zatwierdzenia cesarskiego, w innych zaś gminach sam wybór wystarcza do objęcia urzędu.

Pozostawiając na boku organizacyą dla głównych miast kraju, które zupełnie odrębne przedstawiają warunki bytu, mamy przed sobą w gminie radę wyborczą składającą się z 8 do 36 radnych stosownie do liczby uprawnionych do głosowania (§ 14 ust. gm.) i zwierzchność gminną, złożoną z wójta czyli naczelnika gminy i dwóch lub więcéj asesorów albo przysiężnych (§ 18 ust. gm.).

Rada jest organem uchwalającym i nadzorującym (§ 29 ust. gm.), a można o niéj powiedziéć, że wszystkie sprawy dotyczące interesów gminy, mogą być przez nią rozbierane, a wszystkie, które przez ustawy powierzone są samorządowi gminnemu, zależą od decyzyi rady gminnéj.

Natomiast z pomiędzy członków zwierzchności gminnéj jeden tylko naczelnik gminy ma samodzielne stanowisko w ustawie zapewnione; przysiężni są mu tylko dodani do pomocy, mają słuchać jego rozkazów, a on sam za wszystko jest odpowiedzialny. Wbrew więc powszechnemu zwyczajowi administracyi austryackiéj, w gminie nie mamy wcale kolegialnie rozbieranych spraw, odpowiedzialność nie rozkłada się, lecz ciąży na jednym organie wykonawczym w całości. Zasada ta powinnaby sprzyjać sprężystemu działaniu, i stawia cały istotny samorząd gminny w znacznéj mierze zawisłym od osoby naczelnika gminy czyli wójta. Zdaje się, że prawodawca austryacki, tworząc gminy szczupłych rozmiarów, chciał nadać takie wybitne stanowisko naczelnikowi gminy, pragnąc usamowolnić go w sposób wyraźny od jego otoczenia, być może w obawie, aby działalność naczelnika nie była zbytecznie krępowaną przez ciasne pojęcia miejscowych żywiołów.

Nic zapewne słuszniejszego, jak sprężystość działania w administracyi, jednakże ponieważ zawsze, we wszystkich ważniejszych sprawach, należy odwołać się do rady gminnéj, i nie można w wielu wypadkach działać bez jéj zezwolenia (§ 30 ust. gm.), przeto mniemana samodzielność naczelnika schodzi do tego, że musi on odwoływać się do całéj rady, czyli do ciała ciężkiego, zamiast do przybocznego wydziału, złożonego z kilku tylko członków i przez cią-

głą praktykę administracyjną dobrze obeznanego z tokiem spraw. Taka organizacya jest prawie nieszkodliwa w małych gminach, w nieludnych wioskach, gdzie porozumienie bardzo łatwe i gdzie cała waga samorządu nietylko spoczywać może w radzie gminnéj, ale nawet w walném zgromadzeniu uprawnionych do głosu członków gminy, jak to np. przepisuje ustawa dla Królestwa Polskiego w organizacyi gromady wioskowéj (art. 104). W gminach wielkich, ta potrzeba częstego odwoływania się do pełnéj rady sprawiać może właśnie trudności w administracyi, i dla tego prawodawstwa innych krajów zwykły przydawać naczelnikowi gminy wydział rady, nie ze stanowiskiem podrzędném pomocników w wykonaniu, jakie mają asesorowie w Galicyi, ale jako doradców, na których rada przelewa część własnych atrybucyj, i bez których zdania naczelnik w pewnych razach nie może powziąć decyzyi. Takimi są aldermani w Anglii, les échévins w Belgii i Bürgerausschüsse w niemieckich ustawach.

Naczelnik gminy galicyjskiéj, mimo obowiązku zasięgania zdania pełnéj rady, zachowuje istotnie dość samodzielne stanowisko, gdyż we wszystkich sprawach, wymagających bezpośredniego działania, mianowicie we wszystkich sprawach policyjnych i państwowych (§§ 57 i 58) postępuje wedle własnego rozumienia rzeczy. U nas też nadzwyczajnie wiele zależy na osobistych przymiotach naczelnika, gdyż one stanowią rzeczywiście o tém czy samorząd ma wejść w życie lub pozostać martwą literą.

Niestety, pod tym względem stosunki są wielce smutne i właściwie nie mogą być inne, już z powodu zasad, na jakich opiera się nasz gminny samorząd. Widzieliśmy już, że gminy w Galicyi są nadzwyczajnie małe, że ograniczono je do rozmiarów jednéj wioski; odpowiadają więc one w zupełności gromadzie wioskowéj, jaką zaprowadziła ustawa Królestwa Polskiego z r. 1864, i któréj dała za przewodnika sołtysa. Podobieństwo dalsze polega właśnie na tem, że gmina galicyjska, podobnie jak gromada w Królestwie (art. 97 i 98), składa się z samych włościan, gdyż ustawa galicyjska wyłącza z gminy tak zwane obszary dworskie a wraz z niemi wyklucza z gminy jedyną prawie inteligencyą wioski. Kiedy jednak w Królestwie gromada, tak ograniczona do jednéj klasy ludności, ma zarazem i funkcye skąpo wymierzone, bo właściwie mało ma ona więcéj do działania jak zarządzać gruntami do wioski należącemi i majątkiem gromadzkim, a gromada podlega zresztą gminie, i naczelnik gromady jest podwładnym wójta (art. 30); to przeciwnie, w Galicyi ów naczelnik gromady posiada władzę wójtowską, sprawuje policyą miejscową, ma prawo uchwalać nawet przepisy karne, i wraz z przysiężnymi czyli asesorami wydaje na ich podstawie wyroki (§§ 59, 60). Szczególniéj

policya, w całéj rozciągłości powierzona gminie, wkłada nadzwyczaj wielkie na nią obowiązki i rozległe daje jéj atrybucye.

Można już z góry przypuścić, że gromada małéj wioski, nie liczącéj 500 mieszkańców, pozbawionéj światłéj rady większego właściciela, w rzadkich tylko wypadkach posiadać może dostateczny zasób sił intelektualnych do odpowiedzenia powierzonym jéj obowiązkom. Jakoż dochodzenia wykazały, że stan oświaty wójtów gmin w Galicyi nie pozwala ani na chwilę łudzić się nadzieją, aby ustawa gminna nie miała pozostać martwą literą. Oto na 5.914 wójtów gmin wiejskich mamy 4.743 czyli 80% nie umiejących wcale czytać ani pisać; zaledwie więc piąta ich część posiada te pierwsze podstawy oświaty, które są niezbędne do samodzielnego myślenia, do usamowolnienia się od zdań narzucanych przez doradzców. Zaledwie o piątéj części można przypuszczać, że wie co podpisuje i może przyjąć odpowiedzialność istotną za wydane rozporządzenie. Ale i z téj piątéj części jeszcze część trzecia posiada zaledwie początki sztuki czytania i dopiero 13% ogółu wójtów wiejskich może być policzonych do rzędu ludzi posiadających umiejętność czytania przynajmniéj w tym stopniu, aby mogli bez niczyjéj pomocy zrozumiéć wydane rozporządzenie rządowe. Nie można jednakże ocenić z tego ilu z pomiędzy nich zna istniejące przepisy, ilu może mieć wyobrażenie o znaczeniu tych rozporządzeń, które mają stosować, a nawet wydawać w przedmiocie bezpieczeństwa życia, zdrowia, mienia lub obyczajności powszechnéj. Zapewne znajomość ta rzeczy i zadań administracyi musi być prawie żadną u ludzi, nieposiadających pierwszych warunków oświaty. Istotnie téż wydziały powiatowe, obowiązane do kontroli działalności gmin, zgodnym chórem powtarzają o nieudolności zwierzchności gminnéj; według nich, władza pozostaje w rękach ciemnoty i niedołęztwa, a nieład, nieporadność i nieudolność panują w najwyższym stopniu; w gminach nie można spotkać śladu urzędowania, a jak nawet jeden z wydziałów powiatowych donosi, że trzymane przez gminy dzienniki ustaw sprzedają się jako bezużyteczna bibuła do sklepów kupcom okolicznym.

Asesorowie czyli przysiężni są tylko pomocnikami wójtów, zostają pod ich rozkazami, podobnie jak delegaci, których może wyznaczać rada gminna, z pomiędzy członków gminy, do sprawowania policyi w pewnych częściach gminy (§ 53 ust. gm.). Jednak asesorowie mają niekiedy stanowisko samodzielne, w razach wyraźnie przez ustawę przewidzianych. Wykonywanie sądownictwa policyjno-karnego, przyznane gminie, porucza ustawa naczelnikowi i dwóm przysiężnym (§ 60 ust. 1). Władza policyjno-sądowa wykonywa się zatém kolegialnie, i tu głównie przysiężni zachowują niezależność. Jest

w tém niewątpliwie sprzeczność, że przysiężni, zawsze w rzeczach administracyi podlegli wójtowi, w razie sądowego rozstrzygania sporów, stają się istotnymi sędziami. Trudno przypuszczać, aby ta sama osoba wobec wójta mogła równocześnie odgrywać podwójną rolę i to tak dalece różną. Przewidzieć ztąd można bardzo niekorzystny wynik dla stanowiska przysiężnych, i mianowicie dla ich niezależności sędziowskiéj. To téż istotnie przysiężny w Galicyi zeszedł na pachołka gminy, wykonywa obowiązki woźnego i zostaje pod bezwzględnym wpływem wójta. Wykształcenie przysiężnych stoi zapewne na równi z wykształceniem wójtów, jednakże, pod względem umiejętności czytania, jeszcze stosunkowo znacznie mniejsza liczba przysiężnych umie czytać, a mianowicie dobrze czyta tylko 8 na stu (939 na 11.717) a 89 na stu (10.403) wcale nie umie ani czytać, ani pisać.

Zwierzchność gminna, nie znająca i nie rozumiejąca ustaw, nie może okazać się dość stanowczą w obronie praw gminy, ani nawet nie może zachować samodzielności własnéj na zewnątrz. Wobec rządu będzie więc zwierzchność uległą rozkazom i nie jest w stanie ocenić o ile pretensye władz są słuszne; z téj więc strony nie można wcale liczyć na obronę praw autonomicznych, gdyby takową rząd miał zamiar naruszyć. Ale ta sama zwierzchność i wewnątrz stosować się będzie do obcego zdania. W tym względzie odróżnić należy dwojakie stosunki do wyborców i do doradców. Zwierzchność gminna pochodzi wyłącznie z wyborów dokonywanych co trzy lata, nie może się na nikim i na niczém oprzéć, a ztąd jest najczęściéj uległą swoim mocodawcom, mianowicie zaś téj partyi w gminie, któréj zawdzięcza wybór. Nawet wyborcy starają się wprowadzać do zwierzchności „charaktery łagodne, zniewieściałe, gnuśne i tępe,“ aby można łatwiéj nad niémi przewodzić. Wójci są téż najczęściéj stronni w postępowaniu i ulegają możnym, działając na szkodę uboższych członków gminy.

Brak wykształcenia oddaje znowu wójtów w ręce pisarzy gminnych. Pisarz jest sługą gminy, nie ma żadnego urzędowego stanowiska, bo nawet nie ma konieczności utrzymywania pisarza przez gminę (§ 31 ust. gm.). Pisarz podległy zupełnie naczelnikowi gminy (§ 52 ust. gm.) uzyskał wyjątkowo wybitne stanowisko jedynie dzięki niedołęztwu swéj przełożonéj władzy. Wobec zupełnéj ignorancyi wójta, doradca jego poniekąd z ustawami obeznany, umiejący czytać i pisać, a więc posiadający w ręku możność nakierowania prawie bezwiednie woli przełożonego, istotnie wywiera stanowczy wpływ na samorząd gminy. Pisarzy można podzielić na dwie kategorye: jedni są to rolnicy lub inni wieśniacy o skromnéj dozie wiadomości, którzy

mało co wybiegli po nad wójtów. Jest ich przeszło połowa (samych pisarzy rolników 1568 albo 48%), a są to przeważnie pisarze mało zdolni, lub nawet wcale niezdolni, z których pomoc jest nader nieznaczną. W gminach, w których podobni pisarze działają, panuje zupełny nieład w administracyi, służba kancelaryjna jest w zaniedbaniu i trzeba impulsu z zewnątrz, ze strony rządu lub wydziału powiatowego, aby w gminie przedsięwziętą została jaka czynność. Apatya i bezpłodność są zwykłemi chorobami spotykanemi w tych gminach.

Natomiast, gdzie istnieje druga kategorya pisarzy, stosunki kształtują się inaczéj. Znaczna dosyć część pisarzy posiada pewne wykształcenie, jest uważana za zdolnych (ma ich być 40 na 100). Ponieważ jednak ustawa nie żąda żadnych kwalifikacyj od urzędu pisarza, przeto po większéj części będą tu należeli ludzie wprawdzie sprytni, ale niedostatecznie jeszcze obznajomieni z ustawami. Pisarze ci najczęściéj starają się nadużywać swego wpływu na wójta w tym kierunku, aby sobie zapewniać największe korzyści. Są też oni podnietą do nadużyć i bezprawia, które posuwają się bardzo daleko, mianowicie pod względem zarządu majątkiem gminnym. Wiadomo, że pisarze sami, lub przy pomocy wójtów, nie wahają się ściągać i kwitować wyższych podatków, niż te jakie są wyznaczone, że ściągają grzywny bez podstawy, lub opłaty bezprawnie nakładane, obracają je na swoję korzyść lub wraz ze zwierzchnością gminną przepijają w karczmie, przyprawiając gminy o wielkie straty. Pisarze ci są to przeważnie pokątni doradcy, którzy, grając na namiętnościach ludzkich, umieją dobrze napełnić własne kieszenie ze stratą swoich klientów.

Obok skarg na lichwę, niema w Galicyi liczniejszych utyskiwań, jak na nadużycia dokonywane przez pisarzy gminnych. Powszechne narzekania, przeciwko którym społeczeństwo szukać musi wyjątkowych środków, nie mogą jednak zadziwiać gdy się zważy, że przeciętna płaca pisarza wynosi 60 złr., a koszt średni gminy na płacę pisarza czyni tylko 33 złr. Płaca podobna może być tylko dodatkiem do innego zajęcia i wskazuje, że albo pisarz tylko część wolnego swego czasu poświęca pisarstwu, albo też nizkie wynagrodzenie umie powetować w sposób nie zawsze zgodny z obowiązkami i uczciwością.

Małe nasze gminy nie są w stanie posiadać zdolniejszych pomocników, ponieważ nie mogą ich dostatecznie wynagradzać, wójci zaś, zamiast nadawać kierunek pisarzom, sami go od nich przyjmują. Wpływ ten jest zupełnie naturalny, pisarz jest jedyną inteligencyą nieraz w całéj gminie, jest jedynym człowiekiem, który może skuteczną dać radę, który jest w stanie, dobrze lub źle, ale jest w stanie,

załatwić urzędowe czynności. Wójt musi przytém spuścić się na pisarza, bo sam nie rozumie dobrze spraw, ani jest w stanie poprawić tego, co pisarz zrobi, i musi swą pieczęcią wszystko sankcyonować. Korzystając z tego położenia, łatwo przychodzi pisarzowi wplątać wójta w taki sposób, żeby następnie posiąść stanowczy nad nim wpływ i prowadzić go tam gdzie zechce, często na bezdroża i bezprawia.

Po większéj części, wójt nie zdoła otrząść się z pod wpływu pisarza, a zwykle są to ludzie dość zręczni, umieją pozyskać sobie partyą, a raczéj koteryą prowadzącą rej w gminie. Tworzy się wówczas silna falanga, która nie cofnie się przed żadnemi nadużyciami i wyzyskuje samorząd na rzecz własnego interesu.

Stosunki, powyżéj przedstawione, głównie odnoszą się do gmin wiejskich; rozumie się w miastach większych zasoby intelektualne i materyalne pozwalają na wybór rady złożonéj z osób bardziéj odpowiednich, i tylko w pewnéj liczbie małych miasteczek nie różnią się wcale od gmin wiejskich. Taka jednak apatya, bezczynność i demoralizacya, jakie panują na wsiach, nie mogą pozostać bez wpływu na miasta. Pisarze gminni małą tu odgrywają rolę, ale za to koterye są istotną plagą gmin miejskich. Koterya, która zawładnie większością w radzie, stara się dla siebie i swoich pozyskać wszystkie intratne posady, wszystkie dochód przynoszące przedsiębierstwa. Ponieważ każde nadużycie jest pokryte przez figury rej wodzące, urzędnicy zaś gminy sami zależą od koteryi i widzi-mi-się zwierzchności, przeto dawne walki stronnictw mieszczańskich, które tak zakrwawiały dzieje miast całéj Europy w przeszłych wiekach, schodzą obecnie do rabunku grosza publicznego, i z przykrością trzeba wyznać, że samorząd u nas, zupełnie pozbawiony żywotności na wsiach, wyradza się w miastach na walkę o intratne stanowiska, na wyzyskiwanie godności radców i członków zwierzchności gminnéj ze szkodą ogółu, przy czém rozumie się najgorzéj wychodzą klasy najuboższe. Mało w Galicyi miast, w którychby nie było w toku śledztwa o naruszenie grosza publicznego przez zwierzchność gminy.

Józef Kleczyński.

O pojęciu, zadaniu i stanowisku historyi.

(Dokończenie).

VI.

Z wszystkich tych źródeł może praca badawcza w celu poznawania faktów historycznych wtedy dopiéro korzystać, jeśli się w nich należycie rozpatrzy, zda sobie sprawę z ich istoty i przysposobi je do tego, by o faktach dziejowych mogły dawać rzetelne świadectwo. *Krytyka źródeł* jest zatém pierwszym, przygotowawczym stopniem badania historycznego.

Pierwszą w zakresie téj czynności rzeczą jest stwierdzić należycie istotę każdego danego pomnika, przekonać się o jego autentyczności i, co najściśléj z kwestyą autentyczności się łączy, oznaczyć epokę, do któréj każdy dany pomnik, mianowicie z kategoryi źródeł pośrednich, należy. Najciekawszy bowiem pomnik architektury, najwspanialsze dzieło sztuki, najszczególniejszy przedmiot archeologiczny lub numizmat na nic nam się nie przyda jako źródło dziejowe, jeśli nie będziemy umieli naznaczyć mu właściwego miejsca na obszarze naszych wiadomości historycznych, nie zdołamy stwierdzić, jakiéj epoki i jakiego narodu jest dziełem. Dokumenta historyczne w treści swéj a najczęściéj w dokładném datowaniu zawiérają zwykle pod tym względem dostateczne wskazówki, w źródłach zaś historyograficznych, jako w opowiadaniu rzadko w tym kierunku zdarzy się napotkać jakieś trudności (1). Wszelkie jednak zabytki ar-

---

(1) Zdarzają się wprawdzie, dokumenta i listy niedatowane, ale tu często już osoba, od któréj list lub akt urzędowy pochodzi, usuwa z grubsza wszelkie wątpliwości, tak że potrzeba ścisłego oznaczenia chronologii danego pomnika w szczuplejszych zamyka się granicach. Niebrak jednak dokumentów i listów, zwłaszcza w kopiaryuszach i t. z. formularzach, z których nazwiska osób są powypuszczane, gdzie więc je z treści tekstu na

cheologiczne musi wprzód ta pomocnicza nauka zbadać i określić; od ścisłości jéj badań i doskonałości metody zależy to zatém, o ile te cenne bezpośrednie źródła mogą się przydać w pracy historycznéj.

Rzecz jasna również, że tylko taki pomnik źródłowy, którego autentyczność jest stwierdzona, który więc istotnie jest tém, za co się wydaje, może służyć jako źródło historyczne. Fabrykatów umyślnych, falsyfikatów sprytniéj lub niezgrabniéj podrobionych nie brak we wszystkich gałęziach materyału źródłowego. Pełno ich wśród przedmiotów archeologicznych, całe fabryki falsyfikatów nieraz odkrywają, a krytyka naukowa, im bardziéj się wydoskonala, im obfitszym zasobem pozytywnéj wiedzy rozporządza, tém łatwiéj odróżnia prawdę od fałszu. W pomnikach piśmiennych także kąkolu tego wiele narosło: i dziś wszakże cel praktyczny niejednego wiedzie do fałszerstwa dokumentów, dawniéj zaś i większa giętkość w pojęciach moralności panowała pod tym względem i sposobności było więcéj do tego rodzaju oszustwa w braku należytych środków kontroli. Potrzeba odróżnienia autentycznych dokumentów od falsyfikatów dała początek dyplomatyce, odrębnéj nauce pomocniczéj, bez któréj żaden historyk obejść się nie może, a która w ostatnich czasach dochodzi do takiego stopnia wydoskonalenia metody, że dziś już falsyfikaty rzadko mogą prawdę historyczną kazić. Nie tak często zdarzy się spotkać podrabiane pamiętniki, kroniki lub poemata historyczne, w których fantazya fałszerza posługiwała się wiadomościami historycznemi, z rzetelnych źródeł zaczerpniętemi. I te falsyfikaty runęły już po największéj części pod taranem nieubłaganéj krytyki, poruszanéj siłą dzisiejszéj znajomości historiografii powszechnéj. Można nawet powiedzieć, że obecnie stoimy u kresu epoki przejściowéj, w któréj w obec rozbudzonego na polu badań historycznych zmysłu krytycznego, posuwano się nieraz do hiperkrytycyzmu, piętnującego autentyczne pomniki mianem falsyfikatów. Wieleż to dokumentów, w ten sposób zapiętnowanych, doczekało się z postępem dyplomatyki należnéj im rehabilitacyi, i historyograficznym niektórym pomnikom (pisma Hroswity z Gandersheim, Ligurinus), które dłoń hiperkrytycyzmu z szeregu źródeł historycznych wypchnęła, wrócono już niewątpliwe piętno autentyczności.

podstawie dotychczasowego zasobu wiedzy historycznéj uzupełniać należy. Jeśli praca badacza źle spełni to zadanie, przypisze np. list jakiś innéj osobie i do innego czasu odniesie, staje się mimowoli powodem fałszu, który prawdę historyczną skrzywia i zamąca. W zakresie źródeł pośrednich najwięcéj w tym względzie trudności nastręczają materyały epigraficzne.

I falsyfikat wreszcie może być źródłem historycznėm, tylko nie tėm, za które się wydaje. Samo już fałszerstwo jest faktem, który zeń stwierdzić możemy, a fakt taki bywa czasami rzeczą niemałéj wagi. Jeśli wreszcie, np. u nas w wieku trzynastym fałszerz jakiś podrabiał dokument Mieszka Starego, to w anachronicznéj treści fabrykatu, opartéj na znajomości współczesnych stosunków, podał nam mimowoli przyczynek do ich poznania. Tak też cennėm źródłem do historyi austryackiéj jest t. z. „privilegium majus,“ fabrykat dyplomatu cesarza Fryderyka I, podrobiony przez Rudolfa IV w drugiéj połowie XIV wieku, gdyż z niego się dowiadujemy, jakie to pretensye rościł sobie ówczesny książę austryacki, zamierzając dopiąć celu fałszerstwem dokumentu. Również i owe kroniki Kagnimira, Prokosza i tylu innych bajecznych naszych historyografów, które Dyamentowski w XVII wieku fabrykował, są ciekawą ilustracyą poziomu umysłowego i wiadomości historycznych w jego epoce.

Niedość jest jednak odnieść każde źródło dziejowe do właściwéj epoki i stwierdzić jego autentyczność, praca badawcza, zanim je zużytkuje, musi wprzód poznać właściwą jego postać, lub o ile czas tę postać przetworzył, stara się mu ją w sposób umiejętny przywrócić. Czynność ta nie może następować zresztą po wykonaniu dwóch pierwszych, musi się odbywać współcześnie lub nawet je niekiedy poprzedzać, gdyż bez niektórych jéj wyników obu pierwszych niepodobna wykonać. Tak każdy przedmiot archeologiczny, z ziemi wydobyty, należy wprzód oczyścić ze rdzy i naleciałości, zanim sobie z jego istoty zdołamy zdać sprawę. Często znajdujemy tylko fragment takiego przedmiotu a w takim razie, wtedy dopiéro będziemy mogli z niego korzystać, jeśli nam nauka sposobem porównawczym w przybliżeniu przynajmniéj pierwotną postać całości odtworzy. Z ruin budowli jakich badacz fachowy, znający zasadę techniki i jéj historyą, wydobędzie umiejętne wnioski, jak wyglądała całość gmachu. Najobfitsze jednak pole nastręczają do tego rodzaju pracy wszelkie pomniki piśmienne, czy do pośrednich, czy też bezpośrednich źródeł należą. Posiadając oryginał dokumentu lub autograf pomnika historyograficznego, mamy go w pierwotnéj, właściwéj postaci. Mogą być w nim tylko niejakie skazy lub luki, pismo może być zupełnie zbladłe, tak że je materyalnie dopiéro środki chemiczne zdołają odtworzyć, w papierze lub pargaminie zdarzają się luki, niekiedy tak nieznaczne, że z pewnym darem kombinacyi można treść brakujących wyrazów odgadnąć. I dokumenta nieraz zachowały się tylko w odpisach a między pomnikami historyograficznemi autograf jest niesłychaną, wyjątkową rzadkością. Pozostały tylko kopie, czasem znaczna ich liczba, a pomiędzy tekstami odpisów za-

chodzą nieraz tak wielkie różnice, że znaczenie najważniejszych ustępów bardzo może być wątpliwe, dopóki się nie rozstrzygnie, który tekst jest autentyczny; w niektórych rękopisach znajdują się ważne ustępy, których nie ma w innych manuskryptach a w skutek tego nasuwa się wątpliwość, czy to nie są późniejsze wtręty, których wartość źródłowa może być zupełnie inną od wartości pierwotnego pomnika. Otóż krytyka badawcza porównywa wszystkie teksty rękopisów danego pomnika, zapisuje wszelkie różnice i zboczenia, na ich dokładném rozpoznaniu opiéra wnioski o bliższém lub dalszém pokrewieństwie poszczególnych rękopisów, i z wniosków tych buduje drzewo genealogiczne, w którém protoplastą całéj rodziny rękopisów będzie autograf a wszystkie znane nam manuskrypta znajdą tam właściwe swoje miejsce w dalszém rozgałęzieniu rodziny, połączone z sobą ogniwami przypuszczalnych rękopisów zaginionych. Manuskrypt, który w tém drzewie genealogiczném najbliższym się okaże potomkiem autografu, weźmiemy za podstawę w odtworzeniu pierwotnego tekstu; mogą w nim jednak znaleść się w szczegółach pomyłki ze złego odczytania pochodzące, które łatwo sprostujemy odmiankami textu z innych rękopisów, prawnuków tego samego autografu, ale reprezentantów innéj, niźli ten podstawowy manuskrypt linii rodowéj. Tekst pomnika historyograficznego, w ten sposób odtworzony, wydaje się w publikacyach źródłowych, przystępnych dla całego rozległego grona badaczy; z takiém krytycznérn wydaniem ustają wątpliwości co do jego osnowy, która ustalona i w pierwotnéj odtworzona czystości służyć może dopiero jako źródło historyczne.

Po dokonaniu tych przedwstępnych czynności krytycznych, źródła bezpośrednie przysposobione są już należycie, by z nich wydobywać wiadomości o faktach, które ich treść i istotę stanowią. Źródła pośrednie, a mianowicie historyograficzne, wymagają jednak dalszego jeszcze przysposobienia. Skoro treść ich bowiem stanowi opowiadanie o faktach dziejowych, zanim te fakta uznamy i użyjemy ich w pracy historycznéj, należy wprzód sprawdzić wiarogodność opowiadania. Niedość jest jednak w każdym wypadku z osobna zastanawiać się nad wiarogodnością każdego poszczególnego ustępu w tym lub owym historyograficznym pomniku. Prawda historyczna wymaga pewniejszych, bardziéj przedmiotowych kryteryów, niżliby je podmiotowa zupełnie dowolność w takiém traktowaniu rzeczy dać mogła. Należy więc opracować krytycznie cały pomnik historyograficzny, z którego mamy choćby tylko jakiś szczegół zaczerpnąć, aby ze stanowiska ogólnéj znajomości jego wartości źródłowéj ocenić wiarogodność każdego poszczególnego ustępu.

Główna zasada w badaniu wiarogodności jakiegoś opowiadania opiera się na tém, żeby przedewszystkiém stwierdzić, czy autor mógł i czy chciał prawdę powiedziéć. Te dwa względy nie zawsze się łączą, niekiedy nawet są w jaskrawéj sprzeczności: często autor, który mógł znać prawdę, i właśnie dla tego, że mógł ją znać najdokładniéj, nie chciał jéj podać do powszechnéj wiadomości; tém właśnie odznacza się przedewszystkiém t. z. historyografia oficyalna, to samo powiedzićć można o wielu pamiętnikach, których autorowie z pobudek miłości własnéj często się fałszu dopuszczają. Ze względu zatém na pierwszy punkt najkorzystniéj świadczy o wiarogodności opowiadania współczesność autora, który albo sam był naocznym świadkiem opisywanych wydarzeń, albo też u innych naocznych świadków czerpał swoje wiadomości. Należy więc poznać tego autora, jeżeli jest osobistość skądinąd znana, postarać się o jego biografią, stwierdzić, o ile mógł być bliskim wypadkom opisywanym i skąd się o nich dowiadywał, jakie stanowisko zajmował w obec przebiegu spraw współczesnych. Jeśli zmienne były koleje jego życia, jeśli wśród nich zapatrywania jego ważniejszym ulegały przeobrażeniom, nieobojętną będzie rzeczą przekonać się, w jakim czasie, pod jakich przekonań wpływem powstało jego dzieło lub pewien tego dzieła ustęp. Rozważając z tego stanowiska całość każdego pomnika historyograficznego i każdy jego ustęp z osobna, sprawdzając o ile można wiarogodność podanych faktów porównaniem z innemi, mianowicie bezpośredniemi źródłami, pozna się tak dokładnie źródłową wartość pomnika, zdobędzie się tyle wskazówek do ocenienia jego właściwości, że nie trudno będzie sprawdzić wiarogodność takich nawet ustępów, które w braku innych środków kontroli jedynie z tego stanowiska można należycie osądzić. Nawet w takim razie, jeśli autor ukrył swe imię i, jak widać ze wszystkiego, nie był by najmniéj wybitną osobistością, z własnego dzieła jego można powziąć niejakie przekonanie, czém był i jak się zapatrywał na sprawy współczesne, by według tego wartość źródłową jego dzieła ocenić.

Te wszystkie uwagi zastosować można jednak tylko do pomników współczesnych z opisywanemi wydarzeniami, a więc przedewszystkiém do pamiętników, relacyj poselskich i współczesnych partyj w większych kronikach. Na większe jeszcze wysiłki zdobywać się musi krytyka badawcza w obec pomników historyograficznych, obejmujących dzieje rozleglejszéj epoki, w których sam autor mógł czerpać tylko z innych źródeł piśmiennych lub téż z tradycyi ustnéj. Źródła takie są to zatém właściwie prace historyczne wykonane ze stanowiska tego dziecięcego i niedojrzałego stadium metody, w ja-

kiém się praca dziejopisarza w czasie ich powstania znajdowała. Bez ścisłego rozbioru krytycznego tych źródeł niepodobna z nich korzystać, w dziejach starożytności zaś i wieków średnich są całe epoki, których ciemnicę ten jedyny płomyk zdoła tylko rozświecić. Rozbieramy zatém krytycznie całą osnowę takiego pomnika historyograficznego i stwierdzamy przedewszystkiém, które ustępy jego opiérają się na znanych nam źródłach współczesnych danéj epoki, dokumentach lub zabytkach historyograficznych. Z takich ustępów nie będziemy naturalnie korzystać, mając czystsze źródło w ich pierwowzorach; ale dokładne ich zbadanie opłaci nam się sowicie, gdyż najpierw wydzieli osobno cały materyał danego pomnika, oparty na źródłach nieznanych, a zarazem dostarczy nam cennych wskazówek do ocenienia metody, jaką się autor w wyzyskiwaniu swych źródeł posługiwał. Będziemy widzieli, czy wypisuje je dosłownie, co zdarza się często i jest najkorzystniejszym dla wartości pomnika wypadkiem, czy skraca je umiejętnie albo téż niedbale i pobieżnie, czy przekształca ich treść własnemi kombinacyami, ubarwia niewinnemi dodatkami lub skrzywia tendencyjném przekręcaniem. Z tym zasobem spostrzeżeń przystępujemy dopiéro do rozbioru materyałów, opartych na źródłach nieznanych. Z treści i istoty każdego poszczególnego ustępu staramy się stwierdzić, na jakiém źródle się opiéra, na dokumencie historycznym, na opowieści innego jakiegoś historyograficznego źródła lub téż na ustnéj tradycyi. Ustępy téj ostatniéj kategoryi traktuje praca badawcza jako tradycyą, przepuszczoną przez alembik właściwości literackich autora, z których nieraz dokladnie możemy sobie zdać sprawę; niekiedy uda nam się odgadnąć bliższe źródło téj tradycyi, czy to podanie ludowe, fantastycznemi już ubarwieniami upstrzone, czy wdzięczną pamięć zakonników jakiegoś klasztoru o życiu i czynach dobroczynnego a dawno zmarłego fundatora, czy wątek tradycyi rodzinnéj, przeszczepiającéj się z jednego pokolenia w drugie itp. Badając wiadomości, prawdopodobnie z innych pomników historyograficznych czerpane, dochodzimy czasami do wyników zdumiewających. Zebrawszy np. z rozmaitych ustępów sporą wiązankę charakterystycznych wskazówek, zdołamy niekiedy odgadnąć bliżéj naturę owych zaginionych źródeł, lub nawet jakiś pomnik, jeśli był dla autora obfitą kopalnią wiadomości, w pierwotnéj postaci odtworzyć. Krytyka doszła w tym względzie do mistrzowstwa, dość wspomnieć, że Giesebrechtowi udało się z pism Aventina, autora XVI wieku, z pomocą innych źródeł, odtworzyć prawie w całości t. z. roczniki altaheńskie, jeden z najważniejszych pomników XI stólecia, w 3o zaś lat potém odkrycie pierwotnego ich tekstu potwierdziło jak najświetniéj wyniki tego mozolnego badania. Jeśli

niekiedy zbytnia śmiałość hipotez w stwierdzeniu takich źródeł zaginionych przekracza granice naukowéj ścisłości, są to zboczenia, które zdarzają się w każdéj nauce, nie ujmują jednak wartości świetnéj, z rzadką ścisłością wydoskonalonéj metodzie.

Ta metoda jednak, jak w ogóle cała metoda krytycznego oceniania źródeł, jest dopiéro dziełem tego naukowego kierunku w pracy historycznéj, który się w naszém stóleciu obudził a na którém opiéra się *dzisiejsze stanowisko historyi*. Dawniéj posługiwała się praca dziejopisarska przeważnie źródłami pośredniemi, mianowicie wiadomościami, czerpanemi z pomników historyograficznych. Nie mając jednak wyobrażenia o umiejętném odtwarzaniu pierwotnéj ich osnowy, korzystano z pierwszego lepszego, licznemi błędami skażonego tekstu, a najpotworniejsze hipotezy opiérały się nieraz na wyrażeniach, które były tylko bałamutną pomyłką niedbałego przepisywacza. O stwierdzeniu istotnéj wartości źródłowéj pomników historyograficznych i poszczególnych ich ustępów nikomu się nie marzyło, z dowolnością niczém nie krępowaną oddawano pierwszeństwo mętnym źródłom późniejszym, oceniając wiarogodność każdego poszczególnego świadectwa według własnego widzi-mi-się. Jeśli kto zaś sięgnął do źródeł bezpośrednich i opowieści pomników historyograficznych uzupełniał wiadomościami, zaczerpanemi z dokumentów, to nie odróżniając ziarna prawdziwego od plewy fabrykatów, wprowadzał często do historyi w najlepszéj wierze najwierutniejsze fałsze. Posługiwano się wprawdzie nieraz wywodami etymologicznemi, ale dopóki nie było lingwistyki umiejętnéj, monstrualne wnioski, z materyałów językowych wydobywane, zawsze tylko szkodę przynosiły nauce. Materyał archeologiczny, o ile go wyzyskać usiłowano, mógł także do większego tylko przyczynić się zamętu, dopóki nie umiano oznaczyć chronologii jego pomników, dopóki, jak mówi Merimée o niedawnych jeszcze czasach, „ośmioboczny kościół w Montmorillon uważano za świątynię Druidów a w muzeach paryskich pancerz z XVI wieku uchodził za zbroję Rolanda.“

Te smutne dla historyi czasy minęły, a jeśli jeszcze gdzieniegdzie odezwą się ich epigonowie, to krytyka naukowa szybko załatwia się z ich elukubracyami. Odkąd zaś historya w umiejętnéj metodzie krytycznego ocenienia źródeł zdobyła sobie naukową podstawę, odtąd ma prawo do tytułu nauki, ale nikt też nie ma prawa odmawiać jéj tego tytułu.

VII.

Z tak przysposobionych i krytycznie ocenionych źródeł czerpie praca badawcza wiadomości o faktach. Cel pracy historycznéj wymaga jak najdokładniejszego poznania istoty każdego faktu, skąd wynika konieczna potrzeba wyzyskania wszelkich źródeł, w których o danym fakcie jakiekolwiek znaleść można świadectwa,—potrzeba, któréj tylko prace monograficzne sprostać zdołają. Niekiedy materyał źródłowy jest tak obfity, że zupełne jego wyzyskanie staje się ideałem niedoścignionym i w takim razie tyle można tylko powiedzieć, że z kilku prac o tym samym przedmiocie traktujących, caeteris paribus, ta będzie miała największą naukową wartość, która na najobfitszym oprze się materyale. Wielka zresztą zachodzi różnica pomiędzy rozmaitemi materyałami źródłowemi pod względem wewnętrznéj ich wartości; kto więc np. w pracy o jakimś wielekroć już opracowanym przedmiocie dotrze do źródła, które jego istotę w szczególnie charakterystyczny sposób objaśnia, złoży o wiele ważniejszy do zbadania danego faktu przyczynek, niż gdyby zdołał wyzyskać mnóstwo nowych ale mniéj ważnych materyałów. Z tém wszystkiém zupełne wyzyskanie wszystkich źródeł jest postulatem naukowéj ścisłości, bezwzględnie obowiązującym, gdzie tylko spełnienie jego jest możebne; jeśli zaś niepodobną jest rzeczą żądaniu temu za dość uczynić, należy przynajmniéj zebrać jak najobfitszy zasób dostępnego materyału.

Pomiędzy wszystkiemi źródłami dziejowemi, zarówno bezpośredniemi jak i pośredniemi, najwybitniejsze miejsce zajmują źródła piśmienne i najczęściéj téż badaniu historycznemu z nich wypada korzystać. O najważniejszych bowiem objawach dziejowego życia ludzkości, o życiu społeczném, polityczném i umysłowém w piśmiennych tylko źródłach możemy szukać historycznych wiadomości; w badaniach nawet nad historyą sztuki, których przedmiot właściwy stanowią monumentalne zabytki przeszłości, niepodobna się obejść bez wielu wskazówek zawartych w źródłach piśmiennych.

Badanie historyczne, mając ze źródeł piśmiennych wydobyć wiadomość o danym fakcie, musi przedewszystkiém zdać sobie należycie sprawę z istotnego znaczenia tekstu, musi się zająć jego umiejętną interpretacyą. Mało co bowiem tyle szkody przyniosło prawdzie dziejowéj, jak interpretacya dowolna i nieumiejętna, na żadném téż polu nie wojowała tak zwycięsko tendencya. Dowolności i umyślnemu fałszowi kładą jednak tamę zasady umiejętnéj hermeneutyki.

Niedość tu znać ogólnie język danego pomnika: rodowity Francuz, czytający Wiktora Hugo, Taine'a i Renana nie będzie jeszcze bez specyalnych studyów należycie rozumiał kronik i dokumentów francuskich XIII wieku, a najznakomitszy filolog, który całe życie strawił nad klasyczną literaturą, nie jest tém samém jeszcze przygotowany do interpretacyi łacińskich pomników średniowiecznéj historyografii. Nawet studya specyalne nad językiem danéj epoki nie uczynią jeszcze zadość wszelkim wymaganiom umiejętnéj hermeneutyki. Jeśli w ważniejszym jakimś tekście nasunie się wątpliwość co do znaczenia jakiegoś wyrazu, należy najpierw zdać sobie sprawę, jakie znaczenie miewa ten wyraz zwykle w współczesnych pomnikach, następnie zaś dokładne zestawienie wszystkich ustępów danego pomnika lub innych pism tego samego autora, w których się ten wyraz znajduje, wykaże z wszelką ścisłością, w jakiém znaczeniu go użyto w danym ustępie. Nieraz od interpretacyi kilku wyrażeń wątpliwych zależy pogląd na najobfitsze w następstwa fakta dziejowe, na początek i znaczenia instytucyj, które w rozwoju społecznym rozległéj grupy narodów najwybitniejszą rolę odegrały, i w takich to wypadkach praca badawcza, czém daléj posunie granice drobiazgowéj ścisłości w interpretacyi tekstu, tém lepiéj wywiąże się z obowiązków, jakie na nią cel pracy dziejopisarskiéj wkłada.

Zgromadziwszy wszystkie źródła, w których się mieszczą wiadomości o danym fakcie, rozpoznawszy umiejętnie właściwe znaczenie tych wiadomości, stara się praca badawcza stwierdzić z nich istotę faktu. W tym celu musi krytyka przedewszystkiém rozwikłać trudności, wynikające ze sprzeczności, jakie często pomiędzy różnemi świadectwami źródłowemi zachodzą. Kiedy krytyka historyczna znajdowała się jeszcze w kolébce, mniemano nieraz, że praca badawcza uczyni zadość jéj wymaganiom, jeśli ze sprzecznych świadectw powyjmuje dowolnie rozmaite szczegóły i jednych użyje w opowiadaniu, inne usunie dla uniknienia sprzeczności. Taka dowolność i źle zrozumiana bezstronność krytyczna nie zdoła jednak nigdy dotrzéć do prawdy dziejowéj, w każdym zaś razie brak jéj będzie wszelkiéj rękojmi, czy w takiém dowolném postępowaniu nie powybiéra właśnie fałszywych szczegółów i rozmaitych świadectw źródłowych i zamiast prawdy nie poda samego fałszu. Jedyną wskazówką w tym względzie może być tylko przedmiotowy sąd krytyczny o wartości poszczególnych świadectw, oparty na dokładném ich ocenieniu, które zaliczyliśmy do zadań pierwszego, przygotowawczego stopnia w badaniu historyczném. Bierzemy zatém za podstawę źródło najpewniejsze i najwiarogodniejsze, oczyszczając je jeszcze wprzód ze szczegółów, które według wskazówek innych źródeł a za-

razem ze stanowiska ogólnéj znajomości tego pomnika źródłowego wobec krytyki ostać się nie mogą. Z innych źródeł, choćby wątpliwéj nieraz wartości, niejeden szczegół, niejeden rys charakterystyczny, którego wiarogodność sprawdzić możemy, uda się nieraz krytyce historycznéj uratować, by go następnie wtłoczyć w schemat treści źródła podstawowego. Nie podobna tu wyłuszczyć wszystkich zasad, któremi się krytyka historyczna w każdym wypadku kieruje. Rzecz jasna jednak, że daje pierwszeństwo źródłom bezpośrednim przed pośredniemi, w rzędzie tych ostatnich zaś współczesnym przed późniejszemi, że dana jakaś wiadomość nabywa tém większéj wiarogodności, w czém większéj ilości niezawisłych od siebie źródeł się powtarza i t. p. Te wszystkie wskazówki jednak, jakkolwiek według nich najczęściéj w pracy badawczéj postępować należy, nie są jednak bynajmniéj niezłomnemi przepisami, od którychby w żadnym wypadku nie wolno było odstąpić. Zdarzy się np., że jakiś pomnik historyograficzny podaje nam opowiadanie ze wszech względów wiarogodne, tymczasem znajdujemy dokument niewątpliwéj autentyczności, którego data dowodzi, że główna osoba, w opisanym fakcie działająca, tego samego dnia znajdowała się w zupełnie inném, odległém miejscu. Nieraz na podstawie takiego *alibi* najwiarygodniejsze świadectwa źródłowe podawano w wątpliwość, choć często nie było do tego żadnego powodu. Ścisłe, szczegółowe badania dyplomatyczne dowiodły bowiem, że w niektórych kancelaryach było utartym zwyczajem, wydawać dokumenta w nieobecności króla bez wszelkiéj o tém wzmianki i bez wszelkich zastrzeżeń, lub, jeśli data wydania dokumentu różną była od daty czynności prawnéj, która jego treść stanowi, zapisywać w nim świadków saméj czynności, chociaż nie byli obecni przy spisaniu dokumentu. Przytoczyliśmy ten przykład, właśnie dla tego, że jest tak prosty a posłuży może do praktycznego wyjaśnienia przypadku, w którym badanie historyczne odstąpić musi od pewnych wskazówek krytyki, choć w stu innych przypadkach pójdzie za niemi. Nie ma bowiem szablonów, którymiby pracę badawczą można skrępować, to tylko pewna, że podstawą jéj musi być zawsze dokładne, szczegółowe ocenienie wewnętrznéj wartości świadectw źródłowych a ostatnią dla niéj instancyą jest trzeźwy zmysł krytyczny, który w zbadaniu istoty faktów dziejowych na téj podstawie wnioski swoje opiera.

Rzecz to jasna zresztą, że praca historyczna w zbadaniu faktów dziejowych o tyle zdoła tylko sprostać swemu zadaniu, o ile w źródłach znajdzie do tego dostateczny materyał. Wieleż jednak najważniejszych faktów, których poznanie dopomogłoby nam może do rozwiązania najzawilszych zagadek dziejowych, przebrzmiało bez śla-

du, bez utrwalenia się w pamięci ludzkiéj za pośrednictwem źródeł. Bezsilna wobec takich, zupełną ciemnicą zasłoniętych faktów, nie może praca historyczna wyrzekać się chęci ich zbadania, jeśli na nie skądkolwiek choćby jak słabe pada światełko. Nieraz ani w żadnym bezpośrednim zabytku przeszłości, ani w tradycyi ustnéj lub spisanéj nie przechowała się wprost pamięć jakiegoś wydarzenia, o którém jednak z przypadkowych wskazówek, w rozmaitych źródłach porozrzucanych, intuicya historyczna może wydobyć jakąś, choć niepewną i niedokładną wiadomość. Jak w braku pewnych dowodów, z nieznacznych ale skrzętnie nagromadzonych poślak przysięgli mogą w danym wypadku nabrać tak głębogiego przekonania, że wydadzą werdykt, uznający oskarżonego winnym zarzuconéj mu zbrodni, tak praca badawcza z nielicznych nieraz wskazówek buduje hipotezę o fakcie, którego jéj żadne źródła wprost nie zdołają odsłonić. Wielu badaczy w przesadnéj sumienności lęka się wszelkich hipotez, inni znów zbyt śmiałemi a na dostatecznym zasobie wzkazówek źródłowych nie opartemi pomysłami szkodzą prawdzie dziejowéj i najwięcéj się przyczyniają do obudzenia nieufności ku wszelkiéj hipotezie w badaniu historycznén; z tém wszystkiém jednak, praca dziejopisarska, jak każda praca naukowa, nie może się jéj wyrzec, gdyż bez niéj musiałaby broń złożyć wobec niejednéj ważnéj pozycyi strategicznéj, którą zręczna taktyka hipotetyczna z niemałym dla celu historyi pożytkiem, i świetnym nieraz, jak już często późniéj odkrycie nowych źródeł pokazało, dla swéj bystrości krytycznéj tryumfem zdobędzie.

I tu wreszcie należy to przypomnieć, na co już poprzednio nieraz zwracaliśmy uwagę, że fakta dziejowe nie są osobnikami obok siebie ustawionemi, ale łączą się z sobą ściśle i jedne z drugich wynikają. Otóż szczególnie w powiązaniu luźnych, dokładnie nam znanych faktów, w wykryciu łączników, które je wiążą, słowem w t. z. kombinacyi historycznéj, oddaje hipoteza badaniu historycznemu niepospolite usługi. Ten stopień pracy historycznéj, którego celem jest ugrupowanie faktów, według ich naturalnego, na stosunku przyczyn do następstw opartego porządku, znajduje się już na rozdrożu między badaniem a konstrukcyą (1).

---

(1) P. Bobrzyński cały zakres pracy badawczéj obejmuje mianem *nauki o źródłach.* „Nauka ta,“ mówi, „postawiła nam dwie uzupełniające się metody historycznego badania. Jedna z nich polega na zużytkowaniu wszystkich źródeł, odnoszących się wprost do pewnéj epoki lub danego faktu. Druga zowie się metodą odwrotną a lepiéj wsteczną.“ Przyznamy, że w badaniu stosunków pewnéj epoki wnioski krytyczne z stosunków późniejszych mogą być bardzo dzielnym środkiem badawczym. Czy jednak ten środek po-

VIII.

Wśród badania historycznego wytwarza się zatém w umyśle badacza przez kombinacyą odkrytych faktów dziejowych ten obraz przeszłości, którego wypracowanie jest celem konstrukcyi historycznéj. Jakikolwiek jest jednak w każdym danym wypadku przedmiot pracy historycznéj, praca konstrukcyjna musi sobie przedewszystkiém zdać sprawę ze stosunków epoki, na których tle rozwijają się wydarzenia dziejowe. Jeśli to jest praca monograficzna, będzie niekiedy właściwym jéj przedmiotem obraz stosunków politycznych, społecznych, intelektualnych i t. p., w związku ogólnym lub w jakimkolwiek poszczególnym kierunku rozważanych, a więc ogólny stopień rozwoju jakiéjś organicznéj cząstki ludzkości w danéj epoce, lub którakolwiek jego poszczególna strona, odrębnie wzięta. Jeśli zaś przedmiotem danéj pracy monograficznéj będą wydarzenia dziejowe, wśród których i przez które stosunki epoki współczesnéj przekształcają się i zwolna na inne wchodzą tory, to i w takim razie historyk przedewszystkiém będzie musiał poznać te stosunki, czerpiąc o nich wiadomości z gotowych już wyników poprzednich badań i uzupełniając je własnemi spostrzeżeniami, w ten bowiem tylko sposób zdoła należycie ocenić znaczenie i istotę wydarzeń dziejowych, które przedmiot jego własnéj pracy stanowią.

Rzecz jasna zaś, że pierwszym warunkiem umiejętnego poznania tych stosunków w każdéj danéj epoce jest fachowe wykształcenie w zakresie ich przedmiotu. Przypuśćmy np., że w danym wypadku chodzi o poznanie stopnia umysłowego rozwoju pewnéj epoki w ogóle lub w jakim poszczególnym kierunku; wiadomości o nim czerpać będzie historyk w jego bezpośrednich objawach a więc w pomnikach ówczesnego piśmiennictwa, a do ich zrozumienia i ocenienia potrzebne jest fachowe wykształcenie w naukach, do których zakresu te źródła, jako pomniki piśmiennictwa, należą. Gdyby kto bez żadnego specyalnego wykształcenia w matematyce i astronomii przestudyował najsumienniéj wszystkie dzieła Galileusza, Tychona de Brahe i Kepplera, mógłby zestawić ich dokładną bibliografią, zliczyć nawet ogólne sumy liter i wyrazów w nich zawarte, ale wiele najisto-

---

mocniczy godzi się nazywać *metodą odwrotną* lub *wsteczną*, jedną z *dwóch metod* historycznego badania? Gdyby wszystkim środkom badawczym tego co t. z. metoda wsteczna rodzaju przyznać nazwę odrębnych metod, możnaby niemało ich naliczyć a rozróżnianie dwóch metod historycznego badania okazałoby się bezzasadném.

tniejszych rzeczy nie mógłby w nich zrozumiéć, nie zdołałby ich ocenić i nie napisałby nigdy historyi astronomii w owéj epoce. W podobném położeniu byłby autor, którzby bez poprzednich studyów literackich i estetycznych, nie rozczytując się nigdy w nadobnéj literaturze, przystąpił do pracy o dramacie hiszpańskim XVII wieku, lub gdyby kto bez umiejętnéj znajomości architektury, jéj technicznéj i estetycznéj strony, porwał się do studyów nad dziejami gotyki średniowiecznéj.

Ale dość tych przykładów. Skoro umysł ludzki nie może ogarnąć tych wszystkich wiadomości, bez których badania historyczne w najrozleglejszém tego słowa znaczeniu obejść się nie może, to mamy w tém tylko wskazówkę, w jak szczegółowych rozgałęzieniach rozdrabniać się musi praca monograficzna na polu historyi, jak rozległą zaś skalę ogólnego wykształcenia potrzebuje sobie zdobyć historyk, który wziąwszy sobie za zadanie opracować jakąś epokę dziejów powszechnych lub narodowych, z wyników prac monograficznych będzie korzystał.

W każdéj jednak pracy tego rodzaju obraz stosunków społecznych i politycznych stanowić będzie część jéj najważniejszą i najistotniejszą. Jakkolwiek bowiem wszystkie strony dziejowego życia ludzkości w ścisłym są związku i oddziaływają na się wzajemnie, jakkolwiek jéj organizacya społeczna i polityczna z wyników pracy dziejowéj na wszystkich innych polach czerpie soki żywotne, to przecież ona, jeśli wolno użyć tego porównania, stanowi to łożysko, w którém toczą się fale życia umyslowego, rozwoju sztuki, przemysłu i t. p. Nikt zaś już dziś nie będzie twierdził, jakoby do poznania stosunków społecznych i politycznych danéj epoki nie potrzeba było równie umiejętnego, fachowego wykształcenia jak w pracy o dziejach stanu umysłowego lub sztuki. Weźmy na przykład którąkolwiek stronę organizacyi społecznéj, to przyznamy, że historyk, któryby bez prawniczego wykształcenia pisał o stosunkach prawnych w Polsce wieku XIV, choćby się wyuczył na pamięć ustawodawstwa wiślickiego i wszystkich dokumentów ówczesnych, w tém samém byłby położeniu, co ów niedoszły historyk astronomii, którego powyżéj przywiedliśmy dla przykładu. Dopóki też historyą traktowano wyłącznie jako historyą polityczną a teorya nauk politycznych nie dawała jeszcze pracy historycznéj dostatecznego poparcia, ci tylko historycy mogli sprostać zadaniu dziejopisarskiego zawodu, którzy biorąc czynny udział w życiu publiczném, przeszedłszy praktyczną szkołę wykształcenia politycznego, z niego czerpali wskazówki do ocenienia historycznych stosunków i wydarzeń. I dziś niezawodnie zawód publiczny niemałe oddać może historykowi usługi, wykształ-

cenie jednak fachowe w naukach społecznych i politycznych zupełnie prawie, i to pod pewnym względem nierównie skuteczniéj, zdoła zaradzić temu brakowi, który niegdyś tylko czynny udział w życiu publicznem mógł usunąć. O tyle więc najzupełniéj zgodzimy się z p. Bobrzyńskim, który od historyka wymaga fachowego w tych naukach wykształcenia. Tylko, że nauki społeczne (których część składową t. z. nauki polityczne stanowią) pojmować będziemy, tak jak to ostatecznie i p. Bobrzyński w praktyce czyni, nie jako biologią ludzkości, którąby wszystkie objawy jéj życia tłómaczyć miała, ale w ścisłém, właściwém znaczeniu, jako system nauk gromadzących badania i spostrzeżenia o życiu społecznem, jego objawach i formach (ekonomia społeczna, statystyka, nauka o państwie ze wszystkiemi rozgałęzieniami, oraz nauka prawa).

I w tém nie zgodzimy się z p. Bobrzyńskim, jakoby *stwierdzanie* wyników nauk społecznych (choćby tak pojętych) w dziejach ludzkości miało być zadaniem historyi. Rzecz to jasna, skoro zupełnie inaczéj określiliśmy powyżéj cel i pojęcie naszéj nauki. Ale czy to ma być celem czy środkiem, w każdym razie zastrzedz się przeciw temu musimy, jakoby historyk miał w dziejach to *stwierdzać*, co mu nauki społeczne i polityczne jako wynik swych badań podają. Badania te opiérają się bowiem przedewszystkiém na znajomości obecnych stosunków społecznych i dzisiejszego państwa, używają niekiedy do ilustracyi swych spostrzeżeń niektórych przykładów z historyi, zwykle niezbyt daleko w głąb przeszłości sięgających, a co najwięcéj w niektórych tylko rozdziałach nauki o państwie zasilają się częściéj wiadomościami historycznemi o państwie klasyczném, do których pracownikom na polu tych nauk wskutek rozpowszechnionego ogólnie wykształcenia klasycznego nie trudno dotrzeć. Jeśli kto wobec tego stanowiska nauk społecznych i politycznych, w historyi chce *stwierdzać* ich wyniki, nie ustrzeże się dowolnego, a tak szkodliwego prawdzie dziejowéj, naginania stosunków przeszłości do dzisiejszych pojęć, do formułek, które zbyt ciasne są i nieelastyczne, by w nich pomieścić się mogły wszystkie objawy społecznego i politycznego życia, od naszych zupełnie odrębne. Organizacya rodzima ludów germańskich i słowiańskich przed zetknięciem się z pierwiastkami cywilizacyjnemi świata starożytnego, całe wieki średnie z tyloma tak charakterystycznemi typami życia społecznego i politycznego, a nawet i budowa państwa i społeczeństwa w epoce nowożytnéj przed rewolucyą francuską, tak mało dostarczyły dotychczas materyału naukom społecznym i politycznym, że niewolnicze zastosowanie ich wyników do badań nad stosunkami tych czasów nie zdoła uwydatnić charakterystycznych odrębności ich typów, ale zaopatrzy

tylko oko historyka w szkła dzisiejszych pojęć, które obraz przeszłości w fałszywém, duchowi epoki nie odpowiedniém świetle wystawią. „Historyk uzbrojony w nauki społeczne i polityczne,“ mówi p. Bobrzyński, „oznaczy z łatwością po niewielu faktach, z jakim znanym rodzajem ustroju państwa i społeczeństwa w danym wypadku się spotyka, a przykładając zbadane przez się stosunki i urządzenia do tego ogólnego wzoru, ułoży je w jednę harmonijną całość i z łatwością opisze, wskaże szczegóły, które w tym ustroju więcéj niż pospolicie są rozwinięte, wskaże zarazem jego niedostatki i braki, wyświeci przyczyny tych wad i zalet a przez to indywidualność jego wybitnie zaznaczy.“ Mogłoby istotnie tak być lub przynajmniéj podobnie, gdyby te dane „rodzaje ustroju państwa i społeczeństwa“ istotnie znane były tak dokładnie naukom społecznym i politycznym. Że jednak tak nie jest, to przyznać powinien p. Bobrzyński, który, jak mało kto u nas, zna nowszą literaturę historyczną o ustroju państwa i społeczeństwa w wiekach średnich. Czy nauki społeczne i polityczne skorzystały choć cokolwiek z prac Waitza, Rotha, Sohma, Fickera, K. Hegla, Warnköniga, Guerarda, Lezardiera, Kembla, Freemana, Stubbsa i t. p. Mamy w nich wprawdzie niejakie wskazówki do takiego oznaczania „rodzajów ustroju państwa i społeczeństwa,“ ale na czém się te wskazówki opierają. Na bardzo pobieżnych wiadomościach, czerpanych z jakiegoś podręcznika wątpliwéj wartości, do którego wyniki nowych, najznakomitszych prac nie dotarły albo na téj odwiecznéj przestarzałéj literaturze, którą my już za archeologiczny zabytek nauki uważamy. Nie mamy tu na celu żadnych oskarżeń i wyrzutów, stanowczo tylko zaznaczyć musimy, że stwierdzając w historyi wyniki tych nauk na dzisiejszém ich stanowisku, zabrnęlibyśmy na niebezpieczne manowce.

Z tém wszystkiém wysoko cenimy u historyka fachowe wykształcenie w naukach społecznych i politycznych i stanowczo uznajemy, że bez niego błąkać się będzie jak ślepy wśród lasu niezrozumiałych faktów i stosunków, że wobec tego braku i najpotężniejszy nawet artyzm utworzy może wdzięczne i ponętne choć dyletantyzmem trącące opowiadanie, ale najistotniejszym zadaniom pracy dziejopisarskiéj nie sprosta. Historyk wykształcony w naukach społecznych i politycznych, znając umiejętnie dzisiejszy ustrój państwa i społeczeństwa, rozumiejąc rozliczne jego życia objawy, téj szkole zawdzięczać będzie *zdolność* należytego zrozumienia, ocenienia i przedstawienia stosunków epok minionych. Nie będzie ich wtłaczał gwałtownie w formułki pojęć dzisiejszych, nie będzie ich przykrawał według szablonów teoryi, ale badając źródła, zrozumie należycie osnowę i znaczenie ustaw, z mnóstwa faktów poszczególnych odtworzy sobie

obraz praw zwyczajowych, z mnóstwa objawów życia społecznego odgadnie umiejętnie warunki, od których stosunki społeczne danéj epoki były zależne, przeniknie ich istotę i zaznaczy typowe ich znamiona. Wykształcenie fachowe w tych naukach jest dla historyka gimnastyką, po któréj przebyciu umysł jego nabrać może dopiéro potrzebnéj siły i zręczności do umiejętnego rozpatrzenia się w stosunkach społecznych i politycznych przeszłości. Przystępując zaś do badania tych stosunków z obfitym zasobem wskazówek i spostrzeżeń, w które go znajomość obecnego ustroju państwa i społeczeństwa uzbroi, tłómacząc ich genezę, kreśląc ich genezę i zaznaczając tory, w których się toczył ich rozwój, wzbogaci tém samém zakres wiedzy nauk społecznych i politycznych i dostarczy im materyału, z którego rychléj czy późniéj będą musiały skorzystać. „Dopóki też pomiędzy historykami a uczonymi badającymi naturę państw i społeczeństw nie zapanuje najściślejszy związek,“ mówi p. Bobrzyński, „dopóki jedni nie będą znać wyników prac drugich i wyników tych między sobą wymieniać, (1) dopóty o istotnym, prędkim postępie obu umiejętności nie może być mowy.“ Żeby zaś ten związek ścisły a tak pożądany zapanował, na to potrzeba w badaniach na polu umiejętności społecznych i politycznych pewnéj reformy, któraby im pozytywniejszy, że się tak wyrażę, kierunek wytknęła. Weźmy na przykład tak ważny objaw życia społecznego, jak *genezę państwa;* objaw, którego ścisłe, umiejętne traktowanie wymagałoby z natury rzeczy jak najskrzętniejszego wyzyskania obfitego materyału historycznego. Otóż w całéj tak obfitéj literaturze politycznéj wszystkich narodów nie ma ani jednéj monografii, w któréjby ten przedmiot był opracowany z tego jedynie umiejętnego stanowiska. Gdyby pozbiérać prace, zajmujące się tym przedmiotem wyłącznie lub w związku z ogólnym systemem nauki o państwie, złożyłoby się z nich sporą biblioteczkę. Znajdziemy w nich najrozmaitsze apriorystyczne teorye, ze stanowiska politycznego przekonania każdego autora wygłaszane, na których poparcie służyć ma przytoczenie pewnych wiadomości historycznych, luźnie powyrywanych a często źle zrozumianych, z przypadku lub z umysłu. Teorye te pracy historycznéj wielkich usług nie oddadzą, gdyby zaś historyk chciał którąkolwiek z nich *stwierdzić* w dziejach, zaszkodziłby tém bez wątpienia nie mało prawdzie dziejowéj. Gdybyśmy jednak mieli monografią, którąby teo-

(1) Przyznajemy, że historycy często za mało korzystają z nauk społecznych, i poczytujemy im to za wielką winę. Jak mamy jednak to zdanie p. Bobrzyńskiego pogodzić z jego teoryą, że historya jest stwierdzeniem wyników tych nauk w dziejach, tego istotnie nie wiemy.

ryą genezy państwa oparła na dokładném zbadaniu obfitego materyału historycznego, zawierającego takie niezliczone mnóstwo faktów, ten ważny objaw życia społecznego objaśniających, i nauki polityczne zdobyłyby sobie przez nią pozytywną, niewątpliwéj wartości podstawę do dalszych badań o naturze państwa i praca historyczna wobec dzieł tego rodzaju inne mogłaby zająć stanowisko. Czémkolwiek jednak są nauki społeczne i polityczne na dzisiejszym stopniu swego rozwoju, cokolwiek dają pracy historycznéj, musi historyk z wdzięcznością przyjmować, gdyż przez nie tylko nabędzie wprawy w umiejętném ocenieniu stosunków społecznych, wprawy w zawodzie dziejopisarskim niezbędnéj, bez któréj historykiem w prawdziwém tego słowa znaczeniu być niepodobna.

Z zastosowania fachowych wiadomości do materyału, którego pracy konstrukcyjnéj dostarcza badanie, wynika umiejętny sąd o faktach i stosunkach dziejowych, o ich znaczeniu w stosuku do współczesnéj epoki i wobec ogólnego dziejowego rozwoju, słowem *sąd historyczny*, który pracy konstrukcyjnéj pochodnią przyświeca. Niepodobna powiedzieć, żeby sąd historyczny poprzedzał konstrukcyą, on wyrabia się właściwie wśród téj pracy umysłowéj, która z materyału badaniem zdobytego obraz przeszłości odtwarza, a ustalając się i krystalizując, wytyka téj pracy drogę i kierunek. Nie możemy zgodzić się z p. Bobrzyńskim, jakoby podstawą sądu historycznego były nauki społeczne i polityczne. Na wykształceniu w tych naukach oprze się niezawodnie sąd historyczny w zakresie stosunków społecznych i politycznych, ale jakże mają być te nauki podstawą sądu historycznego w stosunku do dziejów umysłowego rozwoju, sztuki lub poezyi albo też w ocenieniu współdziałania tych różnych czynników dziejowego życia. Sąd historyczny w specyalnéj pracy monograficznéj opiera się w stosunku do każdego szczegółu na wykształceniu w nauce, któréj znajomości właśnie dany przedmiot historycznego badania wymaga, w ocenieniu zaś epok całych, wielkich, poruszających ludzkością prądów dziejowych, wszelkich skomplikowanych objawów życia dziejowego, w których się współdziałanie różnorodnych jego czynników krzyżuje, wynika sąd historyczny z indywidualnego poglądu na świat i życie, który jako wykwit całego ogólnego wykształcenia, jako filozofia indywidualna stanowi treść i istotę duchową każdego myślącego człowieka.

IX.

O konstrukcyi historycznéj nierównie trudniéj jest pisać niźli o pracy badawczéj. Nie daliśmy wprawdzie wyczerpującéj teoryi

badania historycznego, ale wyłuszczeniem głównych jéj zasad usiłowaliśmy przynajmniéj zaznaczyć właściwy kierunek pracy badawczéj, objaśnić niektóre najważniejsze środki, któremi się wobec dzisiejszego stanowiska nauki posługuje. Konstrukcya historyczna obejmuje jednak tak olbrzymi a zarazem tak różnorodny materyał, że najogólniejszy nawet zarys jéj teoryi nie dałby się w krótkim szkicu pomieścić. Nadto, konstrukcya historyczna jest w znacznéj części sztuką, sztuki zaś niepodobna ująć w ciasne karby stałych prawideł. Dość więc będzie zaznaczyć tutaj kilka najogólniejszych i najważniejszych postulatów, rozwijając to daléj, co już przy określeniu pojęcia historyi było powiedziane.

Wracamy przedewszystkiém do tego, że konstrukcya historyczna ma cel dwojaki: *opisywać* i tłómaczyć stosunki, które składają się na ogólny stopień rozwoju ludzkości w danéj epoce, i opowiadać wydarzenia, wskutek których te stosunki dalszym ulegają przemianom. Z pomocą wiadomości fachowych, w których jedynie znajdzie się klucz do zrozumienia tych stosunków, wyjaśnia konstrukcya historyczna ich genezę, odtwarza ich obraz i wykazuje związek przyczynowy, objawiający się w wzajemném oddziaływaniu stosunków politycznych, ekonomicznych, obyczajowych i intelektualnych. Najtrudniejszém też i najszczytniejszém zadaniem konstrukcyi jest odgadnąć naturę i siłę tego wzajemnego oddziaływania i o to zadanie rozbija się najczęściéj energia najpotężniejszych nawet talentów, które w odtworzeniu ustroju politycznego i społecznego lub stanu umysłowego danéj epoki w najświetniejszy z zadania swego wywiązują się sposób.

Choćby w najściślejszém badaniu najlepsza dana była pracy konstrukcyjnéj podstawa, od siły artyzmu historycznego, którą ktoś jest obdarzony, zawisłem to będzie przeważnie, o ile zadaniu swemu zdoła sprostać. Wyobraźnia historyczna, kierowana lejcami wskazówek, których wiadomości fachowe muszą dostarczyć, opierając się na pozytywnych wynikach badania, genialnymi błyskami rozświeci treść spostrzeżeń, pracą badawczą ze źródeł wydobytych, i rzuci śmiało pierwsze kontury obrazu, dopomoże konstrukcyi historycznéj do użycia właściwych barw w odmalowaniu szczegółów, do należytego rozdzielenia światła i cieni, do wydobycia efektów artystycznych, które jaskrawo zaznaczą charakterystyczne znamiona opisywanych stosunków. Jak w pracy twórczéj artysty siła fantazyi wytwarza nietylko poszczególne figury, które mają stanąć w obrazie, ale zarazem i związek, jaki między niemi zachodzi, stosunek ich wzajemny, słowem to wszystko, co w ugrupowaniu staje się wyrazem akcyi i ruch w dzieło sztuki wprowadza, tak też wyobraźnia history-

czna, w tych samych pozostając, jakieśmy zaznaczyli, warunkach, dozwala odgadnąć i wyrazić naturę i potęgę wzajemnego oddziaływania rozmaitych stosunków, do których odtworzenia poprzednio tak czynną przyłożyła rękę. Wyobraźnia rozbujała, jeśli dowolnie z wynikami badań historycznych postępuje, tworzy obrazy fantastyczne, które prawdę dziejową na ciężki szwank narażają. Trudno też o ostrzejszy dla historyka zarzut, jak że się dał uwieść fantazyi, że praca jego jest utworem wyobraźni. Ale i to pewna, że tylko żywa, potężna wyobraźnia, idąc za wskazówkami umiejętnego sądu, zdoła z surowego materyału, który jéj źródła podają, odtworzyć prawdziwy obraz przeszłości; nic w tym obrazie nie będzie, czegoby źródła nie potwierdzały, lub do czegoby przynajmniéj drogą umiejętnéj hipotezy nie dostarczyły pozytywnych wskazówek, fantazya tylko te wszystkie dane przetopi i z nich obraz przeszłości ukształtuje. Bez współdziałania żywéj wyobraźni w pracy konstrukcyjnéj, dzieło historyczne, choćby na najznakomitszém badaniu oparte, dostarczyć może wielu cennych przyczynków do dokładnego poznania niewykrytych lub nieściśle zbadanych faktów, lecz zadania pracy dziejopisarskiéj nie spełni, choć bez wątpienia stokroć większą będzie miało naukową zasługę, niż utwór najświetniejszego talentu i prawdziwie poetyckiéj fantazyi, lśniący połyskiem błyskotliwych efektów, lecz nie wzniesiony na umiejętnéj podstawie ścisłego krytycznego badania. Tylko szczęśliwe połącznie tych dwóch pierwiastków, z skuteczną pomocą fachowego, do specyalnego przedmiotu pracy historycznéj zastosowanego wykształcenia, z całą usilnością skierowaną ku odgadnięciu prawdy dziejowéj jako jedynego celu, może sprostować temu zadaniu, które z istoty i zasadniczego pojęcia historyi wynika.

Niedość jest jednak dźwignią potężnéj fantazyi z materyału badaniem przysposobionego odtworzyć sobie w umyśle obraz przeszłości; żeby się tą zdobyczą własnego umysłu z ogółem świata naukowego podzielić, żeby ten obraz przenieść szczęśliwie na papiér i tak przekroczyć ostatni stopień dziejopisarskiego zadania, na to potrzeba rozlicznych warunków specyalnego literackiego uzdolnienia, składających się na to, co talentem historycznym zowiemy. Prawdziwy talent historyczny natchnie ciepłem plastyki każdy obraz dziejowy, który wyjdzie z pod jego ręki, idąc za wskazówkami umiejętnego na dzieje poglądu wysunie naprzód rzeczy najistotniejsze, z drobiazgów wyciśnie ich treść właściwą lub wybierze z nich te, które w opowianiu do ilustracyi ogólniejszych spostrzeżeń przydać się mogą, umiejętném i artystyczném zarazem ugrupowaniem każdemu szczegółowi naznaczy właściwe miejsce i jeśli nie dotrze do doskonałości, to osiągnie w każdym razie cel pracy dziejopisarskiéj, skreśli obraz

przeszłości pełen prawdy i życia. Reguł tu niepodobna ustanawiać, dla techniki *sztuki* dziejopisarskiéj nie ma instrukcyi, to tylko pewna, że jeśli ta sztuka ma spełnić swe naukowe zadanie, nietylko na podwalinach ścisłego badania musi się opiérać, lecz w saméj konstrukcyi umiejętny sąd historyczny kierować powinien jéj dłonią.

Rzeczą sądu historycznego jest przedewszystkiém rozpoznać i zaznaczyć w rozwoju dziejowym właściwe granice pomiędzy odrębnemi jego fazami i epokami. Zdrowy i trzeźwy bowiem tylko sąd historyczny oceni doniosłość tych wydarzeń, przez które stosunki jakiegoś okresu, dalszym ulegając przemianom, dają początek nowéj epoce; bystry sąd historyczny dostrzeże tę granicę, od któréj wpływ tych wydarzeń znacząco się objawiać zaczyna, odkąd spowodowane przezeń przemiany widocznie się uwydatniają i odkąd początek nowego okresu zaznaczy. Czy to więc w dziejach powszechnych, czy w historyi jakiegoś narodu, czy w jakimkolwiek innym przedmiocie historycznéj pracy, właściwe rozgraniczenie poszczególnych stopni dziejowego rozwoju wyjaśni dopiéro należycie jego istotę, wysunie naprzód główne sprężyny, wprawiające w ruch jego mechanizm. W ramach odpowiedniego podziału na okresy nietylko kierunek i pochód dziejowego rozwoju jasno i wyraźnie się zaznaczy, ale i obraz stosunków i opowiadanie wydarzeń dziejowych w właściwém ukaże się świetle, każdy szczegół nawet nietrudno będzie w odpowiedniém umieścić miejscu i do całości dostroić, jeśli się rozważy jego wartość w stosunku do myśli przewodniéj ogólnego podziału.

Jakiemi zasadami sąd historyczny ma się kierować w rozgraniczaniu okresów, tego niepodobna również stałemi i niezmiennemi przepisami określić. W jakimkolwiek jednak zakresie pracy dziejopisarskiéj podział taki ma być dokonany, czy to w obrębie jakiejś większéj epoki dziejów powszechnych, czy w dziejach jakiegoś narodu lub państwa, czy w historyi jakiejś dążności ogólniejszéj, objawiającéj się w dziejach, sąd historyczny czerpać winien wskazówki do właściwego rozgraniczenia epok w istotnych, zasadniczych zmianach stosunków, wskutek których cały prąd dziejowego rozwoju nowy, odmienny od dotyczasowego wyżłabia sobie kierunek. Jednostronności przedewszystkiém tutaj ustrzedz się należy; dla tego téż niepodobna zgodzić się na zdanie p. Bobrzyńskiego, jakoby jedynym względem w podziale dziejów jakiegoś narodu na epoki miała być zmiana ustroju politycznego i społecznego. Jest to niezaprzecze-nie wzgląd bardzo ważny, ale nie jedyny i nie zawsze decydujący stanowczo. Kierując się wyłącznie tym jedynym względem, tracimy

nieraz z oczu ważne czynniki, które na losy narodu, na jego charakter i kierunek jego dziejów potężnie wpłynęły i niemało bez wątpienia prędzéj czy późniéj oddziałały na ustrój społeczny i polityczny, a których doniosłość nie doznaje w ten sposób należytego ocenienia.

Do najcelniejszych zadań sądu historycznego należy również ocenienie roli dziejowéj indywidualności historycznych. Aby należycie zdać sobie sprawę ze stanowiska jakiejś postaci historycznéj w obec każdego z osobna wziętego faktu, niedość jest wycisnąć jak najsumienniéj wszystkie świadectwa źródłowe, w których jakiekolwiek w tym względzie znaleść można wskazówki; z zadania tego można tylko wtedy wywiązać się szczęśliwie, jeśli się syntetycznie treść duchową człowieka historycznego odtworzy, jego temperament, charakter, cały system jego przekonań i dążności, z całą tego systemu genezą, ze wszystkiemi metamorfozami, które w duchowym rozwoju téj indywidualności dostrzedz się dadzą, z psychologicznem uzasadnieniem tego rozwoju, z dokładném rozpoznaniem zewnętrznych wpływów i ich oddziaływania na wewnętrzne czynniki psychiczne danéj osobistości. Spoglądając na każdą czynność jakiegoś człowieka historycznego ze stanowiska takiéj analizy psychologicznéj, zdołamy jasno rozpoznać w każdym wypadku motywa działania, cel i zamiar, zdołamy ocenić, o ile skutek odpowiedział zamiarowi i jeśli wpływ wywarł na dalsze postępowanie téj osobistości, i w ten sposób nietylko na jednym jeszcze szczególe sprawdzimy tym probierzem wartość naszéj syntezy, ale i sam fakt, z tego stanowiska rozpatrywany, ukaże nam się dopiéro w takiém świetle, że istotną jego doniosłość nietrudno nam będzie osądzić. Niekiedy mamy obfity materyał źródłowy do zgłębienia treści duchowéj historycznego człowieka w jego listach, pamiętnikach lub zwierzeniach, o których nam pozostawiły wiadomość bliskie mu osoby, i wtedy to analiza psychologiczna, oparta na takich materyałach, może mieć wartość pewną i niezachwianą. Najczęściéj jednak materyału takiego zgoła nie posiadamy i tylko rozglądając się w czynach jakiegoś męża historycznego, w jego stosunkach i zewnętrznych kolejach życia, możemy sobie z nich utworzyć wyobrażenie o jego charakterze i dążnościach. Hipoteza odgrywa w takim razie w charakterystyce osobistości ważną rolę, żywa wyobraźnia dzielnie wspomagać musi dźwignię sądu historycznego, jeśli umiejętne a głębokiém poczuciem psychologiczném natchnione wyzyskanie samych tylko faktów ma utworzyć wierny a zarazem pełen życia portret duchowy jakiejś postaci historycznéj. Przeciw wybujałości hipotezy i wybrykom fantazyi jedyną wprawdzie, ale w obec dzisiejszego sta-

nowiska nauki dość silną, zaporę stanowi wymaganie, by w charakterystyce osobistości historycznych nic nie umieścić, coby się źródłami w krytyczny sposób uzasadnić nie dało: pragnąc sprostać temu wymaganiu i prawdzie dziejowéj zadość uczynić, historyk nie zabrnie na trzęsawiska nieuzasadnionych hipotez i nieda się porwać wyobraźni.

Miłość prawdy dziejowéj ustrzeże historyka od zdrożnéj i nagannéj stronniczości. Sąd historyczny jest wprawdzie polem w którego obrębie stronniczość ma najwięcéj uprawnienia, ale i tutaj są pewne, naukowém zadaniem historyi zakreślone granice, których indywidualnym zapatrywaniom autora przekraczać nie wolno. Niedorzecznością jest wymagać bezwzględnéj bezstronności w sądzie historycznym, który z istoty swéj nie jest niczém inném, jak wykwitem indywidualnych, na fachowém wykształceniu i wynikach historycznego badania opartych 'przekonań. Rzecz jasna tylko, że ślepa, nie z przekonań i zasad, lecz z namiętnych, osobistych uprzedzeń wynikająca stronniczość względem pewnych osobistości historycznych, dążności i objawów dziejowego życia, wiedzie niechybnie do zboczeń, które pracę historyczną zniżyć mogą do karykatury pamfletu lub do rzędu pospolitéj elukubracyi publicystycznéj. Nieodłączną właściwością takiéj stronniczości bywa zresztą zawsze anachronistyczny koloryt obrazu dziejowego, szkodliwe prawdzie dziejowéj modernizowanie stosunków przeszłości. Tak téż nawzajem, kto zrozumie i odczuje stosunki jakiejś epoki, kto się w jéj czasy przenieść zdoła, ten w sądzie historycznym ustrzeże się zdrożnéj stronniczości, nie zapierając się indywidualnych przekonań.

Przyznając jednak, że stronniczość, w właściwych utrzymywana granicach, ma wszelkie uprawnienie w sądzie historycznym, musimy domagać się bezwzględnéj bezstronności w konstrukcyi a przedewszystkiém w badaniu. Nie mówimy już o umyślném skrzywianiu prawdy historycznéj; stronniczość może się objawiać w konstrukcyi bez popełnienia jawnego fałszerstwa, choćby tylko ugrupowaniem przedmiotu, zręczném dobraniem barw, sztuczném rozdzieleniem cieni i światła, słowem użyciem tych wszystkich środków, wskutek których rzeczy autorowi miłe zarysują się wydatnie na pierwszym planie, inne ukryją się w cieniu. Rzecz jasna, że wszystkie takie środki uznać należy za zdrożne i niedozwolone, choć często zdarzy się z nimi spotkać w najznakomitszych pomnikach dziejopisarstwa, jakiekolwiek zaś zalety pod względem barwności i żywości opowiadania mogłyby z takiéj tendencyi wyniknąć, bezstronność w pracy konstrukcyjnéj musi być uważaną za jeden z pierwszych historyka obowiązków. „Z największą troskliwością powinien się zajmować fak

tami, przemawiającemi na korzyść kierunku lub stronnictwa, przeciw któremu walczyłby wszelkiemi siłami, gdyby żył w wieku, którego dzieje kreśli, gdyż przez macosze obchodzenie się z niemi wykracza przeciw prawdzie dziejowéj. Historyk, o świętości swych obowiązków przekonany, wytęża wszystkie siły swych zdolności, żeby w prawdziwych choć czarnych barwach przedstawić fakta, zawierające oskarżenie kierunku lub stronnictwa, dla którego osobiście pełen jest najżywszéj przychylności; boli go to i smuci, ale miłość prawdy czynić mu tak nakazuje" (1). Stronniczość w badaniu, tendencya w krytyce historycznéj, naginanie wyników badania do stronniczych założeń, tendencyjna interpretacya lub wybór niewłaściwego tekstu, nie według zasad umiejętnéj krytyki, lecz dla obrony z góry powziętych uprzedzeń, wszystko to są już tak ciężkie przewinienia, że je z umyślném fałszerstwem bez wahania na równi można postawić.

Ani tendencya jednak, ani wybujałość fantazyi, ani zbytnia śmiałość hipotez, w obec dzisiejszego stanowiska nauki wiele szkody prawdzie dziejowéj przynieść nie może. W obec rozbudzonego na polu dziejopisarstwa ruchu, w obec tak znacznéj ilości uprawiających je pracowników, każde takie zboczenie łatwo zostanie sprawdzone i ulegnie sprostowaniu. Historya na dzisiejszém swém stanowisku, choć tyle jeszcze czeka ją zadań niespełnionych, tak dzielnymi już rozporządza środkami w pracy rzemieślniczéj, że bystre oko krytyki historycznéj wykryje zawsze rychléj czy późniéj każde takie zboczenie, które zarazem jest wykroczeniem przeciw naukowéj metodzie, a z wykryciem błędu runie zarazem cała budowa na jego podstawie oparta. W zakresie konstrukcyi historycznéj obowiązują postulaty, od których przestrzegania dziś nikomu uchylić się nie wolno, a które prawdę dziejową dostatecznie zabezpieczają. Ta metoda badania, która historyi dała dopiéro ścisłą, naukową podstawę, i umiejętny sąd historyczny w konstrukcyi, to są dwa węgły, na których się dzisiejsze naukowe stanowisko historyi opiéra.

Dr. St. Smolka.

---

(1) Słowa te wyjęte są z artykułu mego „o stronniczości w historyi," (w Niwie, Lipiec 1874), w którym obszerniéj traktowałem o tym przedmiocie.

Najznakomitsi komedyopisarze hiszpańscy.

III.

DON JUAN RUIZ DE ALARCON Y MENDOZA.

Studyum literackie.

(Dokończenie.)

W r. 1628 ukazał się w Madrycie tom komedyj, których autor, *Relator del real consejo de las Indias por su Majestad* (stanowisko materyalnie bardzo korzystne), poświęcając tę pracę dygnitarzowi D. Ramiro Felipe de Guzman, Duque de Medina de las Torres, Gran Canciller de las Indias etc., podpisał się na książce: *El Licenciado D. J. R. de A. y M.*

Po dedykacyi, napisanéj w tonie poufałym raczéj niż uniżonym, wbrew zwyczajom owego wieku, spotykamy odezwę do ludu téj treści: „Do ciebie się zwracam, zwierzę dzikie — nie do rozumnych; gdyż oni korzystniéj o mnie mówią, niż sobie życzę. Oddaję ci moje komedye; bądź dla nich niesprawiedliwy i głupi, podług zwyczaju. One patrzą na ciebie z pogardą i bez trwogi; gdyż przeszedłszy już niebezpieczeństwo twych świstań, mogą sobie teraz lekceważyć twe względy. Jeśli ci się nie podobają — tém lepiéj; cieszyć się będę, że są dobre; jeżeli je pochwalisz — tém gorzéj; poznam z tego, że nic nie warte!.....“

Kto w taki sposób mógł przemawiać do ludu i dla czego?....

W ostatnich latach XVI w., pomiędzy podróżnemi, których statki meksykańskie przywiozły do Hiszpanii, wylądował młodzieniec nieznany, fatalnéj powierzchowności, mały, brzydki, z garbami na plecach i na piersiach. „Opuściwszy Indye dla Hiszpanii — mówi Royer (1), nie przywiózł ze sobą ani ładunku korzeni, ani planów

---

(1) Theatre d' Alarcon. Paris 1865. Introduction.

administracyjnych dla rządu; był to poprostu poeta, twórca komedyj, marzyciel, który miał zamiar, będąc biednym kaleką, indyaninem bez stosunków i bez sławy, wstąpić w szranki dramatyczne do walki o palmę pierwszeństwa z wzrastającym gieniuszem Lope de Vegi. Lecz zarówno powierzchowność poety, jak pochodzenie jego z nowéj Hiszpanii, którą stara pogardliwie traktowała a wreszcie niepodległy charakter Alarcona stanęły tym projektom na przeszkodzie i gienialnego komedyopisarza na zapomnienie u współczesnych skazały. Owszem, szydzono nawet z niego, chłostano zjadliwemi wierszydłami, a najlepsze jego prace innym autorom przypisywano. Jak się napastowany poeta odwzajemniał publiczności za te ciosy — widzieliśmy.

Don Juan Ruiz de Alarcon y Mendoza urodził się w Meksyku a nie w Tasco, jak to wielu biografów mniemało, gdzie ojciec jego czas jakiś przemieszkiwał. W r. 1593 oddany był na uniwersytet w Meksyku, gdzie uzyskał stopień bakałarza (*de bachiller*). W celu uzupełnienia swych studyów w Salamance wylądował na półwysep w początkach maja r. 1600, a w Październiku tegoż roku otrzymał już na wzmiankowanym uniwersytecie stopień *de bachiller en canones.* W r. 1601 udał się do Sewilli, gdzie zajmował się adwokaturą i poświęcał muzom, porwany wielkim ruchem literackim, jaki ogniskował się wówczas w tém mieście, jak również dzięki przyjaźni z Cerwantesem i innemi utalentowanemi pisarzami tego wieku. W r. 1608 powrócił do ojczyzny, gdzie na uniwersytecie w Meksyku uzyskał stopień licencyata praw (*licenciado en leyes*). Nie wiadomo dokładnie jakie przyczyny spowodowały wyjazd jego z tego miasta, lecz to pewna, ze w r. 1611 przybył już ostatecznie do Hiszpanii. W dwa lata później oddał teatrom madryckim swe komedye, jednając sobie tém wystąpieniem przyjaźń kilku grandów i króla, który mianował poetę w r. 1626 referentem Indyi. Zyskowne to stanowisko zajmował Alarcon do saméj śmierci, która nastąpiła 4 Sierpnia r. 1639 bez zwrócenia czyjéjkolwiek uwagi.

Prawdę mówiąc, współcześni nie mogli ocenić należycie zasług takiego pisarza jak Alarcon, gdyż piękności jego utworów nie były dla ogółu dość widoczne, a ich wady nie należały do takich, które wówczas łatwo przebaczano. Alarcon był jedynym w swoim rodzaju pisarzem, a dzieła jego, na wskróś oryginalne, miały, podług wyrażenia współczesnego Montalbana, ową cechę odrębności *(extrañeza)*, która przyćmiewając blask ich zalet, uwydatniała wady. Odrębność ta zasadzała się na przedstawianiu charakterów obyczajowych, (*caracteres morales*), ogólnie ludzkich, gdy wszyscy poeci współcześni rycerskie tylko, a raczéj na wskróś hiszpańskie charaktery odtwa-

rzali (*caracteres caballerescos*). Oprócz tego treść zasadnicza w komedyach Alarcona była zanadto poważna dla téj większości, która do teatru dla wesołéj rozrywki przychodziła; dowcipnisie jego (*graciosos*) nie byli już filozoficznémi bufonami, lecz sługami posiadającemi zaufanie (*sirvientes de confianza*), co stanowiło bardzo poważny niedostatek dla słuchaczów owego wieku; kochankowie Alarcona wreszcie, nie odznaczający się gorącém krasomówstwem i kłótliwością, byli dla widzów Lope de Vegi zbyt zimni, a bohaterki, grzeszące, istotnie w wielu komedyach tego pisarza prozaicznością i egoizmem, obniżały interes znakomitych zkąd inąd prac dramatycznych Alarcona. Nakoniec, jeżeli dodamy najmniejszą stosunkowo płodność tego pisarza, wersyfikacyą jego utworów płynną raczéj niż muzykalną i wysłowienie więcéj jasne niż malownicze, — to łatwo nam przyjdzie zrozumieć dla czego publiczność rozmiłowana w Lope de Vega lub Tellezie nie gustowała w Alarconie. Potomność za to wynagrodziła poetę. Owa „*extrañeza*“ jego twórczości, tak przykra dla owego wieku, nie jest taką bynajmniéj dla naszego; to téż ze wszystkich dramatopisarzy dawnéj Hiszpanii Alarcon jest dla komedyi nowożytnéj najbliższy. Nie potrzeba wcale być hiszpanem, żeby heroiczny polot myśli, mistrzostwo w psychicznèm odtworzeniu charakterów i surową czystość jego prac dramatycznych należycie dzisiaj ocenić. Dawni pisarze hiszpańscy wytwarzali w historycznych dramatach imaginacyjną chronologią, gieografią i cywilizacyą, — Alarcon bardzo rzadko przekracza granice swego kraju, a niedorzeczne anachronizmy innych pisarzów są w dziełach jego rzadkością.

Pierwsza serya komedyj wydanych przez autora w Madrycie ze znaną nam dedykacyą i apostrofą do ludu zawiera następujące osiem sztuk: *Los favores del mundo* (Względy świata); *La industria y la suerte* (Przemysł i los); *Las paredes oyen* (I mury mają uszy); *El semejante a si mismo* (Podobny do siebie samego); *La cueva de Salamanca* (Piwnica w Salamance); *Mudarse por mejorarse* (Zmiana na lepsze); *Todo es ventura* (Wszystko jest trafem); *El desdichado en fingir* (Nieszczęśliwy w imaginacyi).

Drugi tom wydany w Barcelonie w r. 1634 zawiera następujące utwory: *Los empeños de un engaño* (Zobowiązania wypadkowe); *El dueño de las estrellas* (Pan gwiazd); *La amistad castigada* (Przyjaźń ukarana); *La manganilla de Melilla* (Intryga Melili); *Ganar amigos* (Jednać przyjaciół); *La verdad sospechosa* (Prawda podejrzana); *El anticristo* (Antychryst); *El tejedor de Segovia* (Tkacz z Segowii); *Los pechos privilegiados* (Piersi uprzywilejowane); *La prueba de las promessas* (Próba obietnic); *La crueldad por el honor* (Okrucieństwo dla honoru)—te trzy ostatnie są tragiedyami—; *El examen de maridos* (Egzamin mężów).

Te 20 komedyj należą niewątpliwie do Alarcona, gdyż zostały wydane jego staraniem; czy inne jeszcze sztuki, przypisywane temu poecie są jego pióra — niewiadomo.

„Jeżeli dzieła autora mogą się uważać jako obraz jego duszy— mówi Gil-y-Zarate, (1) to nie wątpliwie dusza Alarcona musiała być najpiękniejsza.“ Kolekcya jego komedyj stanowi rodzaj traktatu filozofii praktycznéj.

Aby widok sponiewieranéj zasługi a wzniesionéj mierności nie zranił niedoświadczonego wędrowca na bezbrzeżnych obszarach życia i nie napełnił serca jego nędzną zawiścią, przedstawia mu poeta z prawdą i bez żółci obraz niezwykłych kombinacyj losu w komedyi: „Wszystko jest trafem“ (*Todo es ventura*). Żeby zaś nie osłabić sprawiedliwych ambicyj i słusznych pragnień polepszenia bytu, przedstawia następnie przedsiębiorczemu młodzieńcowi, w *La industria y la suerte*, że częstokroć ta pierwsza zwycięża drugą i wpływ jéj osłabić może. Gdy już człowiek, dzięki rozumnie skierowanéj działalności, osiągnął dobro do którego dążył, trzeba go wtedy uprzedzić, że szczęście ludzkie jest nietrwałe i że nieustanna *zmiana* losu jest *niezmienném* prawem wszech wieków; taką téż właśnie lekcyą daje poe a czytelnikom w *Los favores del mundo*. Prawo to jednak wydawac nam się może zbyt ciężkie i okrutne, i dla tego wypada uzasadnić racyonalność nieuniknionych alternatyw życia, czego téż Alarcon dokonywa zapomocą bardzo wdzięcznéj fabuły w *No hay mal, que por bien no venga*. Pragnienie dobra jest jednakże właściwe człowiekowi; —jakież tedy są środki, aby je sobie zapewnić lub utracone odzyskać... Praktyka cnót wielkich, których idealne wzory przedstawia autor w *Ganar amigos*, w *Los pechos privilegiados*, w *El dueño de las estrellas* i w owych dwu rywalach tak szlachetnych, jakich spotykamy w *Ante que te cases — mira lo que haces*. Jakie występki robią człowieka nieznośnym społeczeństwu, udaremniają najusilniejsze jego pragnienia i prowadzą go zwykle do ruiny?... Żądza ślepa, interes osobisty z uszczerbkiem dla honoru, niewdzięczność, obmowa, kłamstwo, które to wady autor uosabia w komedyach: *Mudarse por mejorarse*, *Las paredes oyen*, *La prueba de las promessas*, *El desdichado en fingir*, *Los empeños de un engaño* i *La Verdad sospechosa*. Naturalném następstwem występków musi być kara; więc téż dla uzupełnienia tego etycznego systematu stworzył Alarcon jeszcze dwie komedye: *La culpa busca la pena* i *Quien mal anda en mal acaba*.

---

(1) Loc. cit. 481.

Schack utrzymuje, (1) że jakkolwiek pomiędzy komedyami Alarcona niema ani jednéj, któraby się nie odznaczała zaletami, to jednakże celują nad innémi heroiczne, osnute na tle historyi lub podań narodowych. Nigdzie duch prawdziwie romantyczny, będący własnością hiszpańskiego życia owych czasów, nie został wypowiedziany z taką pełnością i siłą; a co tylko wspaniałego i wielkiego istniało od najdawniejszych stuleci w romancerach lub w serce ludu się wpiło, co tylko najmilszego rycerz u okna swéj kochanki przy dźwiękach gitary wyśpiewywał, wszystko się tu w jeszcze żywotniejszéj formie rozwinęło. Najszczytniejszym wyrazem tego romantycznego heroizmu w dziełach Alarcona jest „Tkacz z Segowii" (*El Tejedor de Segovia*), jedna z najpiękniejszych jego kompozycyj.

Młody hrabia Don Juan, prowadząc rozpustne życie, zapędził się pewnego wieczoru wraz ze służbą do chaty rzemieślnika, posiadającego piękną żonę. Na szczęście, w chwili kiedy panek dobijał się do drzwi zamkniętych swéj piękności, mąż napastowanéj powrócił.

— Czego chcecie o téj porze?... pyta Fernando.

— Czego chcemy?... odpowiada zuchwały sługa—pozostać sam na sam z piękną kobiétą.

— Na Boga! hidalgowie... mylnie was o mnie uprzedzono. Jeśli jesteście ludźmi honoru—zastanówcie się nad swym zamiarem. Gdybym się tu nawet przypadkiem znalazł, jużbym musiał, mając szpadę u boku przeszkodzić wam, w imię praw świata. A jeżeli ta kobiéta należy do mnie, mógłżebym ją opuścić, nie oddawszy sam głowy?...

Fineo. A jednak tak być musi, Pedro Alonzo!...

Ferd. Tak nie będzie!...

Fineo. Szlachcic tylko miałby prawo odpowiadać w podobny sposób, — nie tkacz nędzny!...

Ferd. Tylko tyran lub nędznik mógłby się zdobyć na czyn wasz podły!...

Zniecierpliwiony hrabia, zdemaskowawszy się, woła:

— Dość tego, Pedro Alonzo, ja tu jestem.

— Hrabia?... Zaiste postępowanie godne ciebie!...

— Umieraj — woła hrabia, chwytając szpadę.

— Przekonasz się, że nie ranga zwycięża, ale męztwo.

Po chwili hrabia ranny uciekł, zostawiwszy na placu walki jednego ze swych służących zabitego, a Fernando, wtrącony za ten czyn do więzienia, traktowany był z powodu swego występku prze-

---

(1) Loc. cit 614.

ciwko magnatowi stokroć surowiéj od wszystkich bandytów, z którenii los go połączył. Wkrótce jednak wyższość moralna, przytomność umysłu i śmiałość wyrobiły mu w więzieniu pewną powagę.

— Jeden tylko człowiek—rzecze bandyta Cornajo do swych towarzyszów—mógłby nas ztąd wydobyć: jestto Pedro Alonzo, tkacz. On wart więcéj od nas trzydziestu.

— Pomówmy z nim odparł Xaramillo.

Fernando przyjął chętnie propozycyą swych kamratów, lecz możliwość ucieczki z więzów połączył z koniecznością dostania się przedewszystkiém do sali chorych.

— Dla starych więźniów to rzecz łatwa—rzekł Camacho.

— Lecz nie dla mnie—odparł Fernand. Kto ma nóż?...

— Ja!..

— Zadasz mi nim ranę w głowę, Xaramillo! rzekł Fernand. Rana krwawić będzie a ty narobisz hałasu, żem spadł ze schodów; zaprowadzą mię wtedy do infirmeryi.

— To barbarzyński środek!..

— Ludzki—skoro mię wyrwie z rąk kata!..

— Stało się jak przewidział Fernand; zaprowadzono go do szpitala, lecz.. z kajdanami na rękach i na nogach. Kiedy śród nocy towarzysze naradzają się nad oswobodzeniem go z więzów.

— Głupstwo, rzekł Fernand. Mam przecież wolne zęby; dwa wielkie palce rąk moich muszą dla całego ciała pójść na ofiarę.

I po chwili zdumieni więźniowie ujrzeli ze zgrozą, jak Fernando odgryzł sobie dwa pierwsze palce, zrucił kajdany i obwinął chustką skrwawione ręce. W parę godzin potém, dzięki przemysłowi Fernanda, bandyci uciekli z więzienia wraz z hersztem.

— Zajmijmy lasy i kryjówki gór sąsiednich—zawołał Fernand do swych towarzyszów, pod dachem uszczęśliwionéj Teodory; będą to nasze pałace, nasze niezwalczone mury, nasze wały!... Kto się odważy uderzyć na nas w tych skałach? Nikt!.. Podróżni opłacą nam haracz!.. pieniędzy, klejnotów i odzieży tam nie zbraknie; będziem królami!...

Rozentuzyazmowani słuchacze obrali Fernanda wodzem i przysięgli mu niezłomne posłuszeństwo pod karą śmierci.

— A ty Teodoro co myślisz?...

— W najsamotniejsze pustynie pójść za tobą!..

— Dopóki twe urocze lica będą przy mnie—wszystko zwyciężę.

Wiadomo, o ile rzemiosło tak zwanych *salteadorów* szanowane było w Hiszpanii, Anglii, a i dziś jeszcze we Włoszech. Sława tkacza, herszta bandytów, rozniosła się już po Kastylii, a naród opiewał

w pieśniach bohatera z Guadarramy. Udało się wreszcie jednemu zdrajcy schwytać Fernanda wraz z Teodorą i oddać w ręce sprawiedliwości. Kiedy straż, prowadząca więźniów, zatrzymawszy się w pewnéj oberży, pić zaczęła, Fernando, mając ręce związane, zbliża je do palącéj się lampy, smaży swe ciało wraz ze sznurem, oswobadza się z więzów, porywa szpadę i skrwawiony szuka schronienia w pierwszym lepszym domu, jaki w ucieczce napotkał. Los prowadzi go pod dach śmiertelnego wroga hrabiego. Po chwili żołnierze przyprowadzają tam i żonę bandyty Teodorę. Hrabia uszczęśliwiony, że nareszcie ma w swoich szponach upragnioną kobiétę, przyrzeka jéj łaskę dla Fernanda .. za miłość.

— Hrabio, odpowiada Teodora, wstydzę się, żem pogardziła tobą dla tkacza; oddawna serce moje pragnęło ci się zwierzyć; usta odmawiały posłuszeństwa!...

— Dawny twój opór powiększył tylko szczęście mego tryumfu...

— Nie wątp dłużéj,—jestem twoją!

W dolnéj sali domu wiejskiego, wychodzącéj na ogród znajdowali się razem: Teodora, Hrabia i Fernand, rozbrojony, lecz wolny.

— I ja muszę słuchać tego--zawołał ten ostatni!.. Gdzieżeś wstyd podziała, kobiéto podła!...

— Jeśli ci drogie życie, rzekł hrabia, szanuj ją!..

— Tak, hrabio, jam już twoja na zawsze!...

— Teodoro!.. czy to być może!.. zawołał Fernand zrozpaczony, obrzucając żonę przekleństwami.

Teodora obrażona porywa w uniesieniu szpadę hrabiego, żeby jéj użyć przeciw mężowi i... odegrawszy zręcznie całą rolę, oddaje ukochanemu broń zdobytą, mówiąc:

— Bierz ją—i żeby hrabia nie gonił za mną, stój przy drzwiach, dopóki noc nie okryje mnie swym płaszczem!...

— Ha zdrajczyni, zawołał hrabia, zostawszy sam na sam z Fernandem.

— Uciekaj, honorze kobiét, woła Fernand i po chwili, rozpędziwszy swych przeciwników, pobiegł za żoną.

W tém miejscu zrobić musimy wyjaśnienie, że hrabia, zdobywszy serce siostry Fernanda Anny i uwiodłszy ją, nie myślał wcale o uświęceniu tego stosunku związkiem małżeńskim. Anna, przebrana za wieśniaczkę, mieszkała samotna w górskiém zaciszu, odwiedzana niekiedy przez hrabiego. Fernand, robiąc ze swoją bandą zwykle wycieczki, odkrył mieszkanie Anny i pewnego razu zamaskowany wszedł do domu hrabiego niespodzianie, trzymając za rękę siostrę.

— Czego tu chcecie, pyta hrabia—zapominacież o méj godności?..

— Nie dziw się memu zuchwalstwu; jestem w téj chwili narzędziem ludzkiém sprawiedliwości boskiéj. Znasz tę kobiétę?..

— Znam ją.

— Czy wiesz, że pod tym nędznym strojem kryje się doña Anna Ramirez, któréj pochodzenie równe twemu, jeśli nie wyższe. Czy wiesz, że ją do tego przebrania znagliła miłość twoja, żeś ty ją fałszywemi nadziejami zwiodłszy, wtrącił w przepaść!..

— Jakiemi nadziejami?..

— Nie żądam twéj spowiedzi; co wiem wystarcza. Oddaj jéj natychmiast swoję rękę, albo ta komnata stanie się miejscem twéj kary!..

Hrabia ustąpił sile.

— A teraz zostaniem sami, rzekł Fernand, zamykając drzwi i okna w oczach hrabiego, który przerażony stał bez broni. Czy znasz mię hrabio? zawołał zdejmując maskę.

— Po odwadze wściekłéj byłbym cię poznał i pod maską.

— Któż jestem?..

— Tkacz Alonzo!...

— Nie poznałeś mię jeszcze, hrabio—patrz lepiéj!...

— Przyglądam się i gdyby Fernand Ramirez nie umarł, sądziłbym, że nim jesteś.

— Jestem nim, hrabio.

— Jeśli niebo, które obraziłem, pozwoliło pogrzebanemu w moich oczach trupowi wstać z grobu dla pomszczenia siostry,—spłaciłem przecież dług mój; czego chcesz więcéj?..

— Nie chcę, żebyś pozbawiał zasługi dzieło moje, przypisując cudowi nieba czyny méj ręki; i jakkolwiek uważam się w téj sprawie za posłannika wyższéj woli, nie wstałem z grobu; jestem żywy, a ramię moje będzie narzędziem twéj śmierci.

Tu Fernand opowiada, że ojciec będąc najzacniejszym człowiekiem, skazany został na śmierć za zdradę kraju, w skutek fałszywego oskarżenia ze strony ojca hrabiego; że on sam, Fernand, aby uniknąć takiegoż losu, skrył się w grobach kościoła, a wydobywszy z trumny świeżo pogrzebionego trupa, ubrał go w swoję odzież, pokrajał mu dla niepoznaki twarz sztyletem a następnie wyrzucił na ulicę i uciekł na wieś; że owego trupa pochowano jako Fernanda Ramireza, który tymczasem w ubraniu wieśniaczém osiadł w Segowii i jako Pedro Alonzo, ożeniwszy się z Teodorą, został tkaczem. Wszystkie te wypadki stanowią treść pierwszéj części „Tkacza z Segowii,“ przez długi czas mylnie Alarconowi przypisywanéj.

— Będąc bratem Anny, dla czegóż jesteś tak zawzięty na jéj męża, rzekł hrabia, wysłuchawszy opowiadania Fernanda.

— Dar twéj ręki oczyścił jéj honor; śmierć tylko twoja mój oczyści.

— Szaleństwo moje skrzywdziło nie Ramireza, lecz tkacza.

— Niech ci się więc zdaje, że tkacz nie Ramirez cię zabija.

Po tych słowach następuje pojedynek i hrabia ginie, błagając o przebaczenie. Na tém nie koniec, gdyż zemsta nie dosięgła jeszcze markiza Pelaez, ojca hrabiego. Stary ten zdrajca i potajemny wróg króla Kastylyi, Alfonsa, nie wyrzekł się projektu otworzenia Maurom z Korduby bram Madrytu. Lecz kiedy właśnie wprowadza nieprzyjaciół i garstka wojska Alfonsa ustępuje przed tłumami napastników, Fernand zbiera swoję małą armią bandytów, wypada nagle ze swych kryjówek, uderza wściekle na Maurów i zapewnia zwycięztwo chrześcianom. Kiedy Arabowie pierzchli, Fernand rzuca się na markiza wołając.

— Broń się!..

— Ktoś ty?... Dla czego przeciw chrześcijanom zwracasz szpadę, która Maurów zwyciężyła?..

— Zwracam ją tylko przeciw tobie. Jestem Fernand Ramirez de Vergas. Bóg mię zostawił przy życiu, żebym okazał światu prawość mojego serca i karę, na którą zasługujesz za straszną zbrodnię względem mojego ojca.

Po tych słowach Fernand przebija pierś markiza, który wyznaje swoję winę i tym sposobem wraca Fernanda wraz z całą jego bandą do łaski króla (1).

Chasles, przypatrując się téj sztuce skomplikowanéj a rozstrzelonéj, słusznie podziwia płodność inwencyi, która umiała powiązać wszystkie te wypadki, splątać w jeden ścieśniony łańcuch i poddać całość sztuki jednéj idei, jednemu celowi, jednemu słowu: zemsta. Niektórzy pisarze, a między innemi poważny Ticknor, zauważyli podobieństwo „Rozbójników“ Szylera do „Tkacza“. Podobieństwo to istnieje niewątpliwie, jakkolwiek tłem dramatu niemieckiego jest więcéj idea ogólnie ludzka, uniwersalnie historyczna, w sztuce zaś Alarcona więcéj narodowa, hiszpańska. „Die Räuber“ jest dramatem w ścisłém znaczeniu tego słowa; „El Tejedor de Segovia“ jest tylko nowelą dramatyczną.

Pomimo jednak architektonicznych niedostatków, ta ostatnia sztuka należy do tych wyjątkowych utworów w europejskiéj literatu-

---

(1) Bibl. de aut. esp. loc. cit. 395—414.

rze, które czytelnik gorączkowo pochłania i które nigdy swéj wartości nie tracą.

Na przejściu niejako od komedyi intryg do komedyj charakterów stoi piękna komedya *El examen de maridos*. „Egzamin mężów“ oparty jest na staréj baśni, która z rzymskiego świata do hiszpańskich przeszła noweli (1). Bohaterką jest tu młoda osoba, która otworzywszy testament swego ojca, znajduje w nim rozkaz zrobienia przeglądu swych konkurentów. Szekspir wyeksploatował tę powieść w „Kupcu weneckim“. Najcharakterystyczniejszą sceną w sztuce Alarcona jest właśnie ów przegląd, który w całości przytaczamy:

(**Akt II Scena XIV**) (2).

Doña Ines. Więc w imię Boga, Beltranie,
Rozpocznij przegląd.
Beltran. Ten bilet.
Vivero Juan przysyła.
Ines. A w liście tylko te słowa:
„Okrutna jesteś—umieram“!.
„Umieram“... zbyt pospolite!..
Beltran. Wskazówki mam.
Ines. Mów!..
Beltran. Vivero
To szlachcic młody, przystojny..
Dochodu ma sześć tysięcy
Dukatów z majątku swego..
Dziś skromny, choć utrzymują,
Iż tak się przed laty zgrywał,
Że meble wszystkie z mieszkania
Utracił razem z wolnością!..
Lecz teraz zmienił już życie!..
Ines. Kto zgrywał się, ten grać będzie!
Gry żądzę przytłumić można,
Lecz zgasić nikt nie jest wstanie.
Z nim skończ już!.
Beltran. Posłuszny jestem!..
Ines. Więc daléj...
Beltran. Don Juan Guzman,
Młodzieniec ze krwi szlachetnéj.

(1) Chasles, L'Antiquité. Paris 1876.

(2) Bibl. de aut. esp. Madrid. Rivadeneyra 1852 Comedias escogidas de Alarcon p. 479.

Ines. Czy nie ten, co to zieloną
Miał wczoraj wstążkę na szyi?..
Beltran. Odgadłaś pani!..
Ines. Przypuszczam,
Że głupiec to albo waryat!..
Kto czegoś wciąż się spodziewa,
Rozumnym już być nie może!..

(czyta) „Skoro wielki planeta oświeci kulę ziemską, a piramidalne promienie jego rozjaśnią kryształ moich oczu....“

Ines. Wszak waryat to już skończony!.
Beltran. Półgłówek pierwszego rzędu!.
Chcesz pani słuchać go jeszcze?..
Ines. Broń Boże!. Zrób tam dopisek,
Że z nim już wszystko skończone,
Że mózg ma chory śmiertelnie!..
Beltran. Zrobiłem—a teraz koléj
Gomeza. Ten Calatravy
Orderu jest kawalerem!..
Ministra ma dumną postać!..
Płaszcz długi.. fryza króciutka..
Miarowy krok... przyśpieszony...
Na nos mu kapelusz spada..!
Zapasem papier wciąż sterczy!..
Dojrzały wiek ma i rozum!..
Ines. Na rozum dojrzały—zgoda!.
Lecz wiek dojrzały, Beltranie,
Dla męża nie jest zaletą!..
Beltran. Zwać starym go niepodpbna!
Ines. A daléj któż tam?..
Beltran. Hurtado
Mendosa.
Ines. Czy to z prawdziwych?.
Beltran. Tak, pani!..
Ines. O! próżny będzie!..
Beltran. Bez złota.
Ines. Więc mniéj cokolwiek.
Beltran. Ma spadków wielkich nadzieję.
Ines. Na cudzy liczyć majątek
To smutna rzecz i niepewna!...
Beltran. O urząd stara się...
Ines. Stara!..
Nieszczęsny!.. to smutna dola

Być żoną takiego męża,
Co wiecznie rękę wyciąga!

Beltran. Chce zostać aż Vice królem!

Ines. Tak mało! Czyż nie właściwie
O próżność go posądziłam?..

Beltran. Ma jednę wadę śród zalet.

Ines. Ciekawam.

Beltran. Prędki i gniewny.

Ines. Na męża więc niebezpieczny.

Beltran. Lecz mówią, że srogość jego
Zamienia się w słodycz prędko.

Ines. Gdy w pierwszym furyi ataku,
Przez okno żonę wyrzuci,
Żal potém na cóż się przyda!

Beltran. Mam skreślić go?

Ines. Tak, Beltranie.
Ja męża ubóstwiać pragnę,
Nie lękać się go jak pana!
Czy koniec już?...

Beltran. Don Aragon
O hrabstwo się procesuje!

Ines. Czy tak? o żal mi go bardzo!

Beltran. Że prawo po jego stronie
Adwokat ciągle zapewnia.

Ines. Piosenka to ich zwyczajna!..

Beltran. Poetą jest..

Ines. Piękny talent!..
Rzemiosłem gdy się nie staje!..

Beltran. I śpiewa ładnie..

Ines. Rzecz miła!.
Jeżeli zbyt się nie wzdraga,
Lub śpiewu wciąż nie narzuca!

Beltran. Zna Greków i Rzymian mowę.

Ines. Nie zbrodnia!.. chociaż zwyczajnie
Greczyzna wyniosłych raczéj,
Niż mądrych wykształca mężów!..

Beltran. Chcesz tedy...

Ines. Wiedzieć koniecznie
Jak skończy się jego proces?...

Beltran. Jest hrabia Juan...

Ines. Cóż o nim?..

Beltran. To bogacz Andaluzyjski!

A skarby swe zabiegami
Z dniem każdym powiększa jeszcze!..

Ines. To jego strona ujemna!.
Bo szlachcic ani rozrzutnym,
Ni chciwym być nie powinien!.

Beltran. Kobiétom zbyt jest oddany!..

Ines. Téj wady czas go pozbawi,
Boć chyba w małżeńskiém jarzmie
Już musi być potulniejszym!..

Beltran. Niesłowny jest—mówią

Ines. Szlachcic!..

Beltran. Dla służby skąpy..

Ines. Bo dworak!

Beltran. Fanfaron!

Ines. Wszak z Andaluzyi!

Beltran. Jest wdowcem!..

Ines. Wykreśl go zaraz!
Kto ślub powtórnie zawiéra,
Jest głupcem, albo téż umié
Swéj żony pozbyć się łatwo!

Beltran. Z kolei pan Karol, hrabia,
Bogaty, zacny i miły!..

Ines. Ma jednę wadę zbyt wielką!...

Beltran. Ma wadę?..

Ines. Że go nie lubię!

Beltran. Wykreślić go więc?..

Ines. Zaczekaj...
Nie biorę go, ni odpycham.

Beltran. Już tylko jeden zostaje
De Fadrique, Markiz.

Ines. Beltranie,
O czynach, które mu podle
Zarzucać śmie ta kobiéta,
Co powiesz?...

Beltran. Że są prawdziwe!

Ines. Niegodny!.. Precz z nim na zawsze!..
Zaczekaj!.. Nie!.. To napróżno!.
Z papiéru łatwo, lecz z serca
Wykreślić go już nie mogę!..

Aż do wystąpienia Alarcona komedya hiszpańska, jak to widzieliśmy, ograniczała się prawie wyłącznie na zręcznie pomyślanéj

fabule, na silnie skomplikowanéj intrydze, na stanowczéj przewadze sytuacyj. Przyczyn tego objawu, właściwego zresztą wszystkim narodom, które wykołysał żar słońca, szukać należy w południowym temperamencie hiszpanów, skłonnych raczéj do wulkanicznych uniesień i entuzyazmu, aniżeli do filozoficznéj analizy, któréj areną... północ.

Potrzeba owładnąć sobą, nakazać milczenie swym wrażeniom dla zgłębienia charakteru, na ukształtowanie którego składają się zwykle: ustrój organiczny, klimat, wychowanie, stanowisko społeczne, przejścia życiowe i tysiące doświadczonych wrażeń. Aby obliczyć te wpływy i rozróżnić istniejące w nich subtelności, pisarz dramatyczny potrzebuje całego swego rozumu, finezyi, roztropności a nawet chłodu przy jednoczesném śledzeniu tego psychicznego procesu, któremu dany charakter ulegać musi pod wpływem wszechwładnych namiętności. Na takiéj sztuce szekspirowskiego przedstawienia charakterów zbywa poetom hiszpańskim, którzy wzrok swój duchowy przedewszystkiém na ruch wydarzeń kierować zwykli. Niecierpliwość imaginacyi, zapał ducha i nieprzeparta potęga gwałtownych wzruszeń panują nad dzieckiem południowego nieba; to téż ocenienie subtelności, stanowiących całość intellektualnego i moralnego życia; mierzenie skalą refleksyj wszelkich wrażeń dla głębszego zanalizowania ich i pojęcia; studyowanie człowieka jako istoty nieskończenie w swym organizmie skomplikowanéj i tajemniczéj,—oto objawy, które w powodzi sztuk dramatycznych Hiszpanii najrzadziéj spotykać można. Lope de Vega wprowadził do dramatu rodzaj wielkości epicznéj, Tirso de Molina połączył z nią w równéj mierze zjadliwie szyderczą obserwacyą i pełen werwy komizm, Calderon doda jeszcze namiętność energiczną a posępną i w mgły mistyczne spowitą;—lecz żaden z tych poetów ani celu moralnego, ani przedstawienia ogólnych ludzkości typów nie miał na względzie (1). Teatr hiszpanów był nadewszystko rycerski; zamiast charakterów, spotykaliśmy w nim po większéj części ogólniki, zamiast ludzi figury szachowe, które u Lope de Vegi np. są przeważnie igraszką wypadku, u Calderona zaś niewolnikami imaginacyi i wiary.

Pierwszemu dopiéro Alarconowi udało się stworzyć komedyę charakterów w ścisłém znaczeniu tego słowa, jakkolwiek poprzednicy jego Lope de Vega i Tellez robili już w tym względzie mniéj lub więcéj szczęśliwe usiłowania. Do kategoryi tego rodzaju sztuk Alarcona należą: *Mudarse por mejorarse*; *Ganar amigos*; *No hay mal*

---

(1) Latour: Espagne Traditions, moeurs et litterature. Paris 1875 p. 196.

que por bien no venga; *Los paredes oyen*, a nadewszystko *La verdad sospechosa*.

Przyjrzyjmy się bliżéj sztuce, któréj Francya zawdzięcza pierwszą swoję komedyą i.. *eo ipso*.... lepszą połowę działalności Moliera!

Don Garcia, potomek szlacheckiéj rodziny, dzielny, piękny, ukończywszy swe studya w Salamance, powrócił właśnie do ojcowskiego domu w towarzystwie człowieka poważnego wiekiem i zasługami, któremu stary Beltran powierzył w opiekę swego syna, ukochanego jedynaka. Na nieszczęście zaraz po przybyciu jego dowiaduje się ojciec z ust opiekuna, że Garcia grzeszy bardzo jedną wadą, z któréj najusilniejsze starania uleczyć go nie mogły—kłamstwem.

— Gdyby trwonił majątek na szalonych miłostkach, gdyby na grze hazardownéj dnie i noce spędzał, gdyby miał po sześć pojedynków tygodniowo,—chętnie bym mu wszystko przebaczył—prócz kłamstwa!... woła zrozpaczony ojciec, dowiedziawszy się o wadzie syna. Syn tymczasem, po skończeniu naukowych kłopotów, stara się jak najprzyjemniéj spędzić życie; robi znajomość z dwiema pięknemi damami, którym się jako Amerykanin przedstawia; kłamie na potęgę gdzie tylko może i wreszcie dzięki temu nałogowi, narobiwszy głupstw nie mało, musi odbyć pojedynek, znieść upokorzenia arcybolesne i w końcu, straciwszy kochankę, ożenić się z osobą zupełnie dla niego obojętną. Charakter Garcii nakreślony po mistrzowsku. Oto w jaki sposób zgnębiony ojciec przekonywa syna o godności prawdziwego szlachectwa:

(Akt II. Scena IX) (1).

Beltran. Czy jesteś szlachcicem, Garcio?
Garcia. Twym synem wszak się mianuję.
Beltran. Dla ciebie ród sam wystarcza,
By zwać się mężem szlachetnym?..
Garcia. Ja tak bym twierdził, seńorze!..
Beltran. Więc błędne twe uprzedzenie!
Szlachcicem ten jest w istocie,
Kto żyć potrafi szlachetnie!
Szlachectwo któż dał rodzinom?..
Wszak czyny praojców świetne!..
Boć męże stanu nizkiego
Swych czynów pamiętnych blaskiem
Potomstwo swe uszlachcili!

(1) Bibl. de aut. esp. loc. cit. 329.

Garcia. Że czyny dają szlachectwo,
To pewnik, ale i z rodu
Bez czynów posiąść je można!..
Beltran. Gdy honor osiągnąć może,
Kto przodkom go nie zawdzięcza;
To w zamian, czyż szlachcic z rodu
Swéj czci nie może utracić?!..
Garcia. Zapewne!..
Beltran. Więc gdy twe czyny
Niegodne—to każdy przyzna,
Że chociaż mym jesteś synem,
Szlachcicem już być przestajesz.
Występki gdy cię kalają,
Nie znaczy nic praojców herb!..

Synalek wysłuchawszy z namaszczeniem téj nauki, przyrzeka ojcu poprawę i dla okazania szczeréj skruchy, opowiada zgnębionemu rodzicowi tajemniczy epizod swego życia, będący od początku do końca... wierutném kłamstwem!... Jako prawdziwy kłamca *amator*, Garcia produkuje swój talent przy najdrobniejszéj sposobności.. przed kimkolwiek.. bodajby nawet przed własnym sługą Trystanem.

(Akt III Scena VII) (1).

Garcia. Chcę zwierzyć ci się, Trystanie,
Gdyż dobrze wiem, z doświadczenia,
Żeś zacny i mych tajemnic
Potrafisz wiernie dochować.
O siódméj godzinie wieczór
Przysyła list Juan Sosa,
Że na mnie dla ważnéj sprawy
Przy San Blas czeka tajemnie.
Milczałem o tém wyzwaniu,
Bo taką kto sprawę zdradza,
Przeszkody chce lub pomocy,
A zawsze to wstyd przynosi.
Gdym przybył na miejsce schadzki,
Don Juan już czekał na mnie,
Zazdrością zbrojny i szpadą.
Gdy żal mi swój wypowiedział,
Jam prośbę jego uwzględnił,

(1) Bibl. de aut. esp. loc. cit. p. 337.

I nagie szpady błysnęły!...
Zażywszy swojego kunsztu,
Wnet miałem nad nim przewagę,
I szpadę jego druzgocząc,
Fatalny cios mu zadałem!...
Ocalił go *Agnus Dei!*...
Gdym w krzyż uderzył żelazem,
W kawałki szpada prysnęła!...
Pod ciosem zachwiał się srogim,
I wnet go wściekłość porywa,
Znów godzi, lecz jego ciosy,
Odbijam resztką żelaza!...
Gdy wreszcie zbliżył się do mnie,
Jam tak go na odlew płatnął,
Że ranę na piędź szeroką,
W czerepie mu wyżłobiłem!...
Bez zmysłów wnet się zwaliwszy,
Padł martwy!.. Ja sam wróciłem!...
I to jest powód, Tristanie,
Że znikł Don Juan bez wieści!...

Trystan. Historya straszna, Señorze.
A jeśli umarł?...

Garcia. Z pewnością!...
Gdyż jego mózg w owéj chwili
Po ziemi się aż rozprysnął.

Trystan. Nieszczęsny człek!... (Don Juan wchodzi.)
Co to?... Juan
Przybywa?!...

Garcia. To rzecz szczególna!...

„*Wielki*“ Kornel, zaprawiwszy się na „Cydzie,“ który go tak tanim kosztem w krainę nieśmiertelności zaprowadził, i w dalszym ciągu czerpie z hiszpańskiego źródła, zasilając jałowy, stylistyczny swój talent, zrodzonemi w cudzym mózgu pomysłami. Operacye tego rodzaju nazywają się w konwencyonalnym języku ugrzecznionych krytyków „*naśladownictwem*,“ (1) gdy w istocie są tylko dowolném *tłumaczeniem*, albo *przeróbką*, jeżeli już nie plagiatem, skoro autor źródło pożyczki sam wskazuje. Zadawszy sobie pracę najskrupulatniejszego porównania „Kłamcy“ Kornela z „Prawdą podejrzaną“ Alarcona, przekonaliśmy się dostatecznie, że „Wielki“ Kornel wziął żywcem

(1) M. Guizot, Corneille et son temps. Paris 1873, p. 201.

do swojéj sztuki $^9/_{10}$ z komedyi hiszpańskiego pisarza i że dla tego musiał rad nie rad stworzyć samodzielnie $^1/_{10}$ czczéj gadaniny, ponieważ 3-aktową komedyę swego mistrza rozwodnił nieszczęśliwie w pięciu aktach. Jedyną oryginalnością Kornela w „Kłamcy" są oprócz tego, nazwiska działających osób i takie np. głębokie zmiany.

Garcia u Alarcona, kłamiąc przed damami swe pochodzenie mówi:

Cuando del *indiano* suelo
Por mi dicha legue aqui (1)

Kornel *ory inalnie* tak „naśladuje" ten ustęp:

Depuis que j'ai quitté les guerres *d' Allemagne* (2).

Pierwszy tedy bohater wraca z Indyi, — drugi z Niemiec!... i t.p.

Że w rezultacie „Le Menteur" jest dziełem niższém od pierwowzoru, na to wszyscy pisarze ten przedmiot traktujący oddawna się już zgodzili. Kornel bowiem, usiłując nadać dziełu pewne oryginalności cechy, niefortunnemi zmianami lub dodatkami rzecz skoszlawił. Wobec takiego stanu rzeczy, cóż powiedziéć można o zaślepieniu tak poważnych np. pisarzów jak Nisard, który, zwracając uwagę czytelnika na znaną nam już scenę pomiędzy ojcem a synem, przeniesioną dosłownie z „Prawdy podejrzanéj" do „Kłamcy," pod wrażeniem jéj piękności konkluduje, że ta jedna scena stawia Kornela obok Terencyusza i Moliera!!. (3) Bądź co bądź Moliere sam przyznaje, (4) że komedya „le Menteur" wprowadziła dramatyczną jego twórczość na nową drogę, zkąd wypływa, że piękne utwory największego swego komika Francya Alarconowi zawdzięcza i że tém samém pisarz hiszpański jest rzeczywiście ojcem nowożytnéj komedyi charakterów.

Alarcon należy do tych niepodległych gieniuszów, którzy gardząc wszelkiém naśladownictwem, stwarzają nowe drogi; był to umysł energiczny i oryginalny, który na wszystkich swoich płodach piętno indywidualności wycisnąć umiał. Wszystkie komedye tego pisarza są oryginalne. Czytając Moreta, spotykamy się nieustannie z reminiscencyami Lope de Vegi lub Telleza, jakkolwiek poprawionemi, Calderon niejednokrotnie kopijował sam siebie; Alarcon nie naśladuje nikogo i nie powtarza się nigdy. Dla większości poetów scenicznych téj epoki najgłówniejszą rzeczą była materya, któréj ku poetycznemu rozweseleniu widzów najróżnorodniejsze postacie i zwro-

---

(1) Bibl. de aut esp. loc. cit p. 324.

(2) Chefs D'oeuvres dramatiques de Corneille. Paris 1839, p. 259.

(3) Histoire de la littér. fran. Paris 1874. T. III p. 81.

(4) „Si je n'avais pas lu le „*Menteur*," je crois, que je n'aurals pas fait de comédies."

ty nadawali; Alarcon uważa dany wypadek jedynie za wyraz swoich myśli, które przedstawić usiłuje. Jest on śmiertelnym wrogiem wszelkiego moralnego brudu a gorącym i pełnym miłości rzecznikiem tego wszystkiego, co szlachetne i dobre. Szlachetność wielkiéj duszy i heroizm myśli — oto wymowne cechy prac Alarcona.

Don Ferdynand, zabiwszy w pojedynku młodego człowieka (*Ganar amigos*), w ucieczce przed policyą spotyka Markiza D. Fadryque'a (1).

D. Ferdynand. Jeżeli jesteś szlachcicem, okaż pomoc nieszczęśliwemu, którego los prześladuje. Daj mi płaszcz swój, gdyż biały kolor mojego ułatwia pogoń mym wrogom.

Markiz. Ze mną jesteś bezpieczny.

D. Ferdynand. Opieka twoja będzie przystanią méj nadziei.

Markiz. Opowiedz co się stało; możesz mi ufać.

D. Ferdynand. Zabiłem człowieka — rozwścieczone tłumy ścigają mnie.

Morkiz. Czy to była sprawa honorowa?...

D. Ferdynand. Tak! Walczyliśmy w pojedynku; rywal mój był nieszczęśliwy!...

Markiz. Jeśli tak — ocalę cię!...

Tymczasem nadbiega policya, a stojący na jéj czele sędzia, spostrzegłszy Markiza rzecze:

— Zapewne pragniesz, senorze, pomścić krew twego brata?...

— Co mówisz, mój brat nie żyje?...

— On jego bratem — szepcze do siebie Ferdynand, więc wróg mię broni!...

— Jakto było — pyta Markiz?...

Tu sędzia opowiada, że pod balkonem donny Flor, kochanki Markiza, odbył się pojedynek, zakończony śmiercią brata.

— Nie zostawić kamienia na kamieniu — woła Markiz, byle tylko morderca był schwytany!...

— Kto jest ten człowiek o podejrzanéj minie, pyta sędzia, wskazując Ferdynanda.

— Przyszedł ze mną, rzekł Markiz.

— Co za szlachetne serce — rzecze do siebie wzdumiony Ferdynand.

Policya poszła daléj, a Markiz, przekonawszy się o szlachetności Ferdynanda, nie tylko nie mści się nad nim, ale jeszcze zostaje najwierniejszym jego przyjacielem.

(1) Bibl. de aut. esp. loc. cit. 343.

Nie mniéj piękny przykład rycerskiéj szlachetności spotykamy w *La amistad castigada.*

Tyran Syrakuzy, zakochany w swéj synowicy Aurorze, wysyła dworzanina Filipa, żeby potajemnie wynurzył dziewicy miłość swego pana, ale poselstwo miało tylko ten skutek, że młodzi ludzie przestali być dla siebie obojętni. Kiedy Tyran przysłał Filipa powtórnie w tym samym celu, Aurora postanawia zmusić kochanka do wyznania swego uczucia.

— Filipie, nie wiem co odpowiedziéć twemu panu!... (1)

— Wahanie się twoje, pani, zwiastuje, że nie jesteś nieprzyjaciółką króla. Skoro tylko nie gniewasz się — odpowiedź jasna.

— Przecież król miłością swoją nie krzywdzi mię; a jakkolwiek jéj nie przyjmuję, rozum jednak nie zabrania mi być wdzięczną. Nie myśl, senorze, żem po pierwszéj twojéj bytności zmieniła się; poznałam tylko, że miłość nie jest obrazą i że byłoby niesprawiedliwie odpłacać gniewem za uczucie.

— Niestety!... mówi do siebie Filip — jestem zgubiony!

— Zresztą, dla czegóż nie miałabym uczynić zadość życzeniu króla?... powiedz mu pan!...

— O nieba!...

— Że współczuję...

— Co pani mówisz?...

— Miałożby się to panu nie podobać?...

— Nie, senoro!... przyjemność, jaką sprawię królowi jéj słowami wywołuje to wzruszenie.

— Powiedz mu pan tedy, że nie tylko dziękuję mu za schadzkę, któréj żąda odemnie dzisiejszéj nocy, lecz że się pełna radości zgadzam na nią!...

— Co pani mówisz?

— Czy to się panu niepodoba?

— Nie mogę ukryć swych męczarni — rzecze do siebie Filip; uciekajmy, nie mówiąc więcéj ani słowa.

— Opuszczasz mię pan w ten sposób?... Wróć, Filipie, wszystko co ci powiedziałam jest nie prawdą.

— Czy być może?...

— Nie mów o tém królowi ani słowa. Grałam komedyą.

— Komedyą!!...

— Cóż to pana tak uszczęśliwia?...

— Czyżby się radość moja nie podobała pani?...

---

(1) Bibl. de aut. esp. loc. cit. 293.

— Nie żałuje się nigdy pożądanego rezultatu!...

— Cóż więc było zamiarem pani?...

— Wydobyć z pana tajemnicę, którą chciałeś przedemną ukryć.

— Jaką?...

— Tę, którą na złość twoim ustom, oczy wyznały.

— Cóż takiego?...

— Zmartwienie, jakiego doświadczyłeś, widząc mię ustępującą życzeniom króla.

— A więc udaniu wierzyć trzeba, nie prawdzie?... Czemuż pani odpowiadała na kłamstwa ust moich a nie na myśli mojéj duszy?...

— Jestżeś pewny, żem twe spojrzenia zrozumiała?...

— Czy chcesz pani, abym powiedział: tak!...

— Mógłżebyś powiedzieć: nie!...

— Powiem, co zechcesz!...

— Mamże więc piérwsza wyznać, że cię kocham?...

Obrazy niezłomnéj prawości charakteru i wielkodusznych uczuć maluje poeta z prawdą, siłą i wdziękiem.

— Jestem zakochany — rzecze król do Rodryga (*Los pechos privilegiados);* bądź powiernikiem i tłumaczem moich uczuć u pani mego serca, którą jest córka hrabiego D. Melenda (1).

— Czy sądzisz, najjaśniejszy panie, że hrabia odmówiłby tobie ręki swéj córki?... Oświadcz się o nią, a starania twoje pomyślny uwieńczy skutek.

— Gdybym Elwirę chciał zaślubić, czyżbym potrzebował twéj pomocy?...

— Szacunek, jaki mam dla osoby twojéj, N. panie, nie pozwala mi podejrzywać cię o zły zamiar. Czyż upadłem w oczach twoich tak nizko, że gdy idzie o czyn nieprawy rachujesz na moję pomoc? A wreszcie, czy sądzisz, królu, że hrabia przyjąłby twoje zabiegi, gdybyś nie miał zostać jego zięciem?...

— Rozum nie może się ostać wobec serca; miłość zaślepia. Zamiast rady, zrób czego żądam, jeżeli jesteś mym przyjacielem.

— Dla tego właśnie, że nim jestem, stawiam przed oczy twoje zwierciadło prawdy.

— Umiem być wdzięczny za dobrą radę, ale ponieważ trwam w swym zamiarze, powinieneś mi raczéj okazać swoję pomoc.

— Błąd przyjaźni nie zwalnia od obowiązku!...

— Wola monarchy usprawiedliwi cię dostatecznie. Wybieraj jedno z dwojga: albo zrobisz czego żądam, albo moim przyjacielem być przestaniesz.

---

(1) Bibl. de aut. esp. 415.

— Jeżeli krew moja i męztwo tego mi tytułu nie zjednały; to zaszczyt ów chcesz mi królu sprzedać zbyt drogo, bo za cenę mego honoru!...

— Pomyśl, Rodrygu, że ja znajdę tysiąc wasalów, którzy mi służyć będą w téj sprawie, ty zaś nielatwo zdobędziesz przyjaźń innego króla!...

— W takim razie powiedzą o mnie, żem był jedynym człowiekiem, który umiał poświęcić przyjaźń króla... dla honoru!...

Tendencya moralna stanowi zasadniczą ideę prawie wszystkich sztuk Alarcona, który stara się zawsze apoteozować cnotę a występek karać materyalną ruiną, moralném upokorzeniem lub hańbą.

Don Garcia w *Mudarse por mejorarse*, będąc już blizkim zawarcia związków małżeńskich z Klarą, stara się zerwać ten stosunek, poznawszy jéj siostrzenicę Leonorę.

— Czy taki jest zwyczaj w Madrycie, że się młodzież stara jednocześnie o względy ciotek i siostrzenic, robi złośliwą uwagę Leonora, spostrzegłszy zmianę frontu D. Garcii (1).

— To przynajmniéj jest zwyczajem, że kiedy się pozna siostrzenicę tak boską jak pani jesteś, poświęca się dla niéj ciotkę.

— Zły zwyczaj!...

— Nie trzeba go potępiać, gdy istnieje.

— I dla czegóż zmieniacie się w ten sposób.

— *Poświęcamy gorsze dla lepszego.*

— Ależ czémżeby było w takim razie prawo stałości, gdyby spotkanie kobiéty piękniejszéj dostatecznie usprawiedliwiało zmianę. Być stałym, czyż nie jest to utrzymywać, że przedmiot ukochany jest dla nas najpiękniejszy?...

— Przyznaję, Leonoro, że to jest stałość, ale zarazem i.. *prostota!...*

Na nieszczęście, w chwili, kiedy D. Garcia, po najrozmaitszych intrygach prawie był już pewny serca Leonory, ta poznaje markiza, który pod każdym względem był „lepszą partyą“ i starania jego matrymonialne przyzwoleniem swojém sankcyonuje. Dowiedziawszy się o tém D. Garcia woła:

— A słowo, które mi dałaś, Leonoro?..

— Przebacz, ale straciłeś sposobność otrzymania méj ręki.

— Jakto, niewierna, miałażbyś się tak prędko zmienić?...

— *Poświęcamy gorsze dla lepszego!...*

— A więc wolisz markiza, niewdzięczna?...

---

(1) Bibl. de aut. esp. loc. cit. 102.

— Nie zaprzeczysz, że istnieje różnica pomiędzy wielką fortuną a mająteczkiem, pomiędzy tytułem Pani a Jaśnie Wielmożnéj (*De merced a señoria*).

— Lecz czémże dla ciebie stałość?...

— *Prostotą!!...*

Nie mniéj widoczne, dydaktyczno-moralne względy przewodniczyły poecie przy tworzeniu jednéj z najpiękniejszych komedyj *Las paredes oyen*, w któréj autor przedstawia w interesującéj akcyi wyższość piękności ducha nad powabami ciała.

Zdaje się, że Alarcon napisał tę sztukę *pro domo sua*, przedstawiwszy w bohatérze jéj Don Juanie samego siebie.

Typy niewieście Alarcona stanowczo pod względem poetycznego wdzięku ustępują kobiécym postaciom Lope de Vegi, jakkolwiek pierwsze przedstawiają więcéj charakterystycznych i różnobarwnych rysów niż drugie. Język twórcy „Tkacza“ jest silny, śmiały, ognisty, a obok tego jasny i pozbawiony owéj ornamentacyi z nadmiaru epitetów i metafor, które tak styl Kalderona obciążają. Nie jest Alarcon tak płodny jak Lope de Vega, ani tak poetyczny jak autor „Księcia niezłomnego,“ a pod względem komicznéj siły ustąpić musi Tellezowi; jest jednakże daleko od nich głębszy i posiada przytém więcéj smaku, poprawności i filozofii.

Julian Adolf Święcicki.

SIŁA JAKO RUCH.

STUDYUM Z FILOZOFII FIZYKI.

Omnium effectum naturalium causae concipiuntur per rationes mechanicas, nisi velimus omnem spem objicere aliquid in physicis intelligendi.

Huyghens. Tractatus de lumine.

Wspaniały obraz stosunków, między siłami przyrody zachodzących, był pierwszym przedmiotem rozmyślań człowieka, którego świadomość poczęła się zwolna przeciwstawiać tym siłom, już to jako swym wrogom, już jako sprzymierzeńcom i dobrodziejom. I zwolna też, z onéj samolubnéj, uczuciowéj oceny stosunków mogły się dopiéro wyosobniać i rozjaśniać przedmiotowe na świat poglądy.

Była to jutrzenka wiedzy, która zabłysła w staréj Grecyi. Tamto skupiły się wszystkie promienie marzeń i ziarna spostrzeżeń, zrodzone nad brzegami Gangesu, Eufratu i Nilu. Mędrzec grecki stał się dziedzicem wszystkich skarbów Wschodu i Południa a zarazem hojnym spadkodawcą, późniejszych bogaczy Zachodu i Północy.

Gdyby nam na tém zależało, moglibyśmy ślady wszystkich najnowszych pojęć o siłach i ich stosunku do materyi odszukać u greckich filozofów. Pojęcie ogólnéj i bezustannéj przemiany sił kiełkuje już u Heraklita; przeczucie jedności i niezniszczalności bytu u Eleatów; Leucyp i Demokryt ustalają podwaliny teoryi atomów, Arystoteles—teoryi eteru; nierozdzielność siły od materyi i przyczynową prawidłowość zjawisk głoszą Stoicy; Epikur wreszcie sprowadza wszystkie zjawiska wiekuistego świata do wielkości, kształtu i ciężaru poruszających się atomów, dodając, że w téj wielkiéj arenie wirów i prądów „nic nie powstaje z niebytu i nic się w niebyt nie obraca“.

Czy jednak na téj podstawie mamy prawo powiedziéć, że starożytność *rozumiała* naszę zasadę „zachowanie energii,“ i naszę „kinetyczną (ruchową) teoryą sił?“

Byłby to wniosek za pośpieszny. Na nieszczęście dla nauki, mowa jest mniéj doskonałą, niżby nią być powinna, jeśliby miała być bezwzględnie wiernym obrazem myśli. Pojęcia zmieniają się nierównie prędzéj niż wyrazy i bardzo musi być biegłym psychologiem ten, kto chce myśl mędrca z przed dwudziestu wieków w jego własnych wyrazach odczytać!

To téż nie powinno nas dziwić, że podkładając nasze pojęcia pod wyrazy filozofów greckich, znajdujemy obok zdumiewających trafnością przeczuć naukowych, tak wiele sprzeczności i niekonsekwencyi, niemówiąc już o dziwactwach fantazyi. I jakże się temu dziwić, skoro nawet u Bakona, Dekarta i Newtona znajdujemy sprzeczne z sobą poglądy na naturę sił? Skoro pierwszy, który w nowszych czasach (1824) dał podstawę przyszłym prawom przemiany sił, *Sady Carnot* sam był jednocześnie zwolennikiem teoryi „płynów nieważkich“! Skoro nawet twórca mechanicznego równoważnika ciepła Mayer (1842) zastrzegał się najusilniéj przeciw temu, jakoby i ciepło samo miało być rodzajem ruchu! Nietylko w okresie kilku lat, ale kilku chwil nawet, taż sama formuła filozoficzna może zmienić znaczenie w umyśle pracującego badacza, może się rozszerzyć lub uszczuplić, zawarunkować lub ubezwzględnić. Dla tego to, za poprzedników dzisiejszéj naukowéj wiary, powinniśmy uznawać tylko tych, którzy jasno, ze wskazaniem możliwych granic i warunków, wypowiedzieli myśli, sprawdzone lub rozwinięte przez następców. Zdanie trafne a nawet głębokie, ale nie usprawiedliwione faktami, nie wzbogaca jeszcze nauki — co najwyżej może stać się pobudką dla badań — a i to dzieje się zwykle dopiero wtedy, gdy zdobyte spostrzeżenia zaczynają mu nadawać cechę prawdopodobieństwa. Przedtem jest ono bezpłodném — niezrozumialém nawet. Szkoda, że tak jest; ale nie może być inaczéj, bo jedynym *pokarmem* wiedzy są wrażenia. Tak np. przekonanie o niezniszczalności materyi istniało u starożytnych, uznawali je machinalnie wszyscy uczeni, którzy kiedykolwiek, chociażby w duchu alchemii przetwarzali jedne ciała w drugie, nie tworząc nic z niczego i nie unicestwiając żadnego z nich; a przecież potrzeba było dopiero wiekopomnego *doświadczenia* Lavoisiera, ażeby jasno i niezbicie utrwalić w umysłach to przekonanie, że ogół materyi, z którą mamy do czynienia, jest niezmienny.

Lecz, jak oderwane rozumowe pojęcie, tak i odosobnione, chociażby najpewniejsze spostrzeżenie, nie jest jeszcze istotném wzboga-

ceniem wiedzy. Fakt zaobserwowany może pozostać równie martwym jak i myśl metafizyka. Od przedhistorycznych czasów ludzie zapalali drzewo przez tarcie, co więcej, Rumford pod koniec zeszłego wieku kilka analogicznych doświadczeń wykonał w sposób naukowy, ale fakt pozostał tylko faktem; umiejętną wartość nadał mu dopiéro Mayer wprowadzając pojęcie równoważności mechanicznéj ciepła. Wtedy dopiéro fakt stał się wymownym, wtedy dopiéro był istotną zdobyczą naukową, i chociaż Mayer sam żadnego zasadniczo nowego doświadczenia nie zrobił—stał się jednak twórcą nowéj w nauce epoki, przez wysnucie z kilku obcych doświadczeń, rozumowo wiążącego je pojęcia. Właściwemi bowiem *składnikami* nauki są, nie wrażenia lecz pojęcia.

I.

Niezniszczalność ruchu.

Zasadniczém prawem abstrakcyjném, służącém za podstawę całéj nowszéj fizyce jest *prawo bezwładności.* Ta zaś podstawowa jego ważność daje się łatwo usprawiedliwić prostą uwagą, że jest ono niczém inném, jak tylko mechaniczno-fizyczném wyrażeniem, ogólnego filozoficznego *prawa przyczynowości.* W saméj rzeczy, opiewa ono co następuje:

Żadne ciało, samo przez się, nie może przejść ani ze stanu spoczynku w ruch, ani ze stanu ruchu w spoczynek, ani z jednego rodzaju ruchu w drugi.

Czyli innemi słowy: każda zmiana musi mieć swą przyczynę zewnętrzną.

Cóż nadto prostszego! A jednak starożytność nie znała tego prawa, niektóre jéj szkoły uznawały przyczynowość, żadna jednak nie uznawała bezwładności. Ale bo téż nie jest tak łatwo oswoić się z tą zasadą, jakby się na pozór zdawało; co więcéj: w przyrodzie, która nas otacza, ani jeden fakt, zmysłowo tylko oceniony, nie popiera jéj, owszem, przeczy na każdym kroku.

Alboż to istoty żywe nie przechodzą ze stanu spoczynku w ruch „same przez się"; alboż para, dym, balon, nie wznoszą się w górę „same przez się"? Tak przynajmniéj mówi spostrzeżenie zmysłowe. A już co do drugiéj i trzeciéj części prawa, to zdaje się nie istnieć najmniejsza wątpliwość sprzeczności z faktami. Któż kiedykolwiek widział, ażeby ciało poruszające się, nagle lub stopniowo nie przeszło w spoczynek? Kamień rzucony w górę—spada; wahadło rozbujane staje; organizm, który wszelkiego rodzaju ruchy wykonywał,

umiéra, a umiéra przecież niekoniecznie z jakiejś zewnętrznéj przyczyny, lecz poprostu „sam przez się,“ mocą ogólnego niezłomnego prawa natury. Wreszcie co się tyczy zmiany jednego rodzaju ruchu na drugi, to jest ona jeszcze pospolitszą. Piłka toczy się po stole poziomo, ale dobiegłszy do brzegu spada, zamieniając ruch obrotowo-poziomy, na spadkowy, poczém znów „sama przez się“ odbija się od podłogi i w podskokach zamienia ruch prostolinijny na krzywolinijny, dopóki zupełnie nie straci nabytéj przez rzut prędkości.

Lecz—czy rzeczywiście wszystko to dzieje się „samo przez się“? Mechanika odpowiada: nie.

Jeżeli kamień rzucony spada, to dlatego tylko, że zewnętrzna siła i opór powietrza i wpływ ziemi przeciwważą zewnętrzną siłę rzutu. Rzucając kulę bilardową po gładkiéj powierzchni zamarzniętego stawu, możemy trwanie ruchu i długość drogi niezmiernie powiększyć, a to w tym stosunku, w jakim zmniejszamy tarcie. Wahadło kołysze się przez kilka dni zrzędu jeśli przez zaostrzenie soczewki i podpory oraz rozrzedzenie powietrza zmniejszymy opór do minimum. Nareszcie ciała niebieskie, wirujące w środku nierównie rzadszym od powietrza, poruszają się bez widocznéj zmiany od dwudziestu przynajmniéj wieków. Dość, że wyobrażając sobie *brak wszelkiego oporu*, musimy jednocześnie przyjąć *brak wszelkiego powodu do ustania ruchu.* Tyle orzeka prawo bezwładności, i tylko tyle; to téż nie bez racyi nazwaliśmy je prawem abstrakcyjném, prawem określającém stosunki krańcowe, w szczegółowych zjawiskach nigdy nie spotykane, ale będące wskazówką jedynie racyonalnych granic, w obrębie których zachodzą te zjawiska szczegółowe. Na tém téż powinniśmy się zatrzymać; posuwanie się daléj w teoryi, byłoby już nadużyciem abstrakcyi. Za takie uważam wszelkie spekulacye na temat, jak może wyglądać ów ruch nieskończony ciała, nieznajdującego żadnego oporu? Czy biegłoby ono daléj po linii prostéj, jak to dotychczas przyjmowano, czy po linii krzywéj nieskończenie wielkiéj jak chce nowsza szkoła matematyczna, to już rzecz fantazyi, nazbyt przypominająca pojęcia starożytnych o ruchu mniéj lub więcéj „doskonałym“. Wolno każdemu twierdzić, że ciało rzucone w przestrzeń dąży do powrotu z przeciwnéj strony, ale trudno wymagać od dzisiejszego mózgu, ażeby sobie wyobraził linią nieskończenie wielką a jednocześnie zamkniętą w sobie.

Poprzestańmy więc na tym stopniu abstrakcyi, który orzeka, że *brak wszelkiego oporu usuwa przyczynę ustania ruchu.* Wyobraźnia nasza i tak dosyć ma kłopotu z przedstawieniem sobie saméj nieśmiertelności ruchu!

Zobaczmy, jak stopniowo rozum zmuszał ją do téj wiary.

Twórcą prawa bezwładności jest Galileusz (1). W r. 1638 (a więc na sześć lat przed Dekartem, który znał jego dzieła) napisał on ustęp następujący: „Wyobraźmy sobie ciało rzucone na płaszczyznę poziomą i przypuśćmy, że wszelki opór dla ruchu został zniesiony; ruch takiego ciała będzie wzdłuż płaszczyzny *jednostajnym* i *wiecznym*, jeśli tę płaszczyznę w myśli przedłużymy w nieskończoność“.

Na inném miejscu toż samo zdanie stosuje do ciał w spoczynku będących (2). Bakon nie miał o niém jeszcze najmniejszego pojęcia; prawi on owszem o upodobaniu ciał do spoczynku, tak samo jak pisał o „wstręcie“ ich do ruchu. Descartes chociaż niesłusznie lekceważy Galileusza i ukrywa jego wpływ na siebie, miał jednak istotnie tę zasługę, że prawo powyższe jasno i w całéj rozciągłości w swoich *Zasadach filozofii* (1644) ustalił. Nie on je odkrył, jak chce Naville (3), a tém mniéj nie Newton, jak chce Carpenter (4), ale on pierwszy jego doniosłość zrozumiał. Oto co mówi w tym przedmiocie:

„Każda część materyi zatrzymuje zawsze i niezmiennie swój stan dopóty, dopóki spotkanie innych części nie zmusi jéj do zmiany (Le Monde, ch. VII). Jeśli znajduje się w spoczynku, nie może rozpocząć ruchu sama przez się; lecz gdy się raz zaczęła poruszać, nie mamy również żadnego powodu do przypuszczania, że kiedykolwiek jednostajny ruch swój zmieni lub zawiesi, jeśli tylko nie spotka na swéj drodze nic, coby ten ruch opóźnić albo wstrzymać mogło.“ (*Principes* II. 37). Newton przejął to zdanie żywcem, a od niego inni. Co więcéj, Dekart ma tę wyższość nad swemi współczesnemi, że nie przyjmował żadnych sił mistycznych z odległości działających, czém głównie następcy Newtona mechaniczne pojęcia zagmatwali, a nadto pierwszy, udzielanie się ruchu przez uderzenie uznał za stałe, niezmienne i niezniszczalne. „Niepodobném jest, mówi on, ażeby ruch miał ustać kiedykolwiek, a nawet ażeby mógł zmienić się inaczéj jak zmieniając przedmiot; to znaczy, że wartość czyli potęga ruchu w pewném ciele, może wprawdzie w całości lub w części przejść na inne ciało i tym sposobem zginąć w pierwszém, ale bynajmniéj

---

(1) *Dialoghi delle nuove scienze, Giornata quarta* str. 221, 2 t. XIII.

(2) W „dniu“ szóstym (wydanie pośmiertne) str. 323.

(3) *Les origines de la physique moderne. Rev. Sc.* 1875.

(4) *Rev. Scien.* 1872 str. 199.

nie może zginąć ze świata" (*Le Monde* ch. III). W materyi więc, jest zawsze „*stała ilość ruchu*" (*Principes*, II, 36).

Jasność jego pojęć najlepiéj się maluje w następującym przykładzie:

Przypuśćmy że dwa ciała identyczne, o równych prędkościach biegną po linii prostéj ku sobie, a więc w kierunkach przeciwnych. Cóż nastąpi gdy się uderzą?

— „Zatrzymają się w miejscu swego spotkania, *stracą* cały swój ruch i pozostaną w spoczynku" odpowiada Newton (Optyka, quest. XXXI).

— „Odbiją się obadwa i powrócą każde w stronę, z któréj przyszły, *nie utraciwszy nic* ze swéj prędkości" odpowiada Descartes (Zasady, II, 46).

Dziś już nikt nie wątpi, że Descartes miał słuszność. Ale nie należy zapominać i o tém, że taki wypadek tylko w abstrakcyjnéj fizyce jest możliwym; to znaczy, gdy ciała są bezwzględnie proste, niezłożone i gdy ruch odbywa się w próżni. Według pojęć nowszych, będą to więc dwa *atomy eteru* nie znajdujące innych na swéj drodze. Ciała zaś z atomów złożone, nie stracą wprawdzie swego ruchu przez uderzenie, jak mniemał Newton, *ale mogą go przekazać swym cząstkom, zostając same w spokoju.*

Oto zasada niesłychanie płodna w następstwa, wypowiedziana przez Dekarta, nieuznana przez Newtona, lecz podjęta na nowo przez Leibnitza. „Zarzucają mi (pisze on w r. 1715 w liście do Clarke'a) że według mnie dwa ciała miękkie, czyli nie elastyczne, uderzające się o siebie, mają tracić swe siły. Odpowiadam, że nie. Prawda jest że tracą je jako *całości*, ale *części* je przejmują, ponieważ te to części zostają w skutek uderzenia wewnętrznie wstrząśnięte. Strata więc jest tylko pozorną. Siły nie są zniszczone lecz rozsypują się tylko na cząsteczki. Nie znaczy to stracić je, lecz znaczy zachować się tak jak czynią ci, którzy *zmieniają gruby pieniądz na drobną monetę.*"

Ale zaraz daléj popada w sprzeczność, mówiąc: „Trwam jednak przy zdaniu, że *ilość ruchu nie pozostaje niezmienną*; wykazałem bowiem gdzieindziéj, że zachodzi różnica pomiędzy *ilością ruchu* a *ilością siły*".

I w saméj rzeczy, Leibnitz, który chciał głębiéj sięgnąć od Dekarta, przyczynił się w znacznéj części do wykopania metafizycznéj przepaści pomiędzy siłą a ruchem. Dla niego ilość siły we wszechświecie jest niezmienną, ale ilość ruchu zmienną....

Szczególna niekonsekwencya! Jeżeli ruch masy przez wstrzymanie go nie ginie, lecz tylko udziela się cząstkom, jakimże sposobem ogólna jego ilość może się zmienić? I jakim sposobem w obec

tego możemy wykryć, że ilość *siły* jest niezmienną, skoro nie mamy innych sposobów mierzenia jéj jak tylko właśnie przez ruch który wywołuje?

Z powyższego widzimy, jak dalece zasada zamiany ruchu mechanicznego na ruch cząsteczkowy niewidzialny niejasną była jeszcze nawet w umysłach wielkich przedstawicieli poprzednich wieków. Wychylała się ona z poza formułek metafizycznych, ale tonęła wnet w ich powodzi, przygnębiana pociskami, które, rzecz godna uwagi padały głównie ze strony zwolenników doświadczenia.

Pod koniec XVII wieku niemal powszechnie uważano ją poprostu za niedorzeczność. Ciekawy w tym względzie przykład przytacza *Naville* z *Maclaurin'a*. Autor ten, wykładając system Newtona (*Exposition des descouvertes philosophiques de M. le chevalier Newton*, liv. I ch. IV. p. 88), w następujący sposób wyśmiewa zarazem Dekarta i Leibnitza: „Dekart utrzymywał, że ilość ruchu jest zawsze tą samą we wszechświecie. Pan Leibnitz rozróżnia ilość ruchu od ilości siły w ciałach. Przyznaje, że pierwsza zmienia się, lecz twierdzi że ilość siły jest zawsze tą samą we wszechświecie. Niema jednak doktryny bardziéj sprzecznéj z doświadczeniem i spostrzeżeniami najpospolitszemi, chociażbyśmy mierzyli siłę ciał przez kwadraty z prędkości, jak on tego żąda." „Gdyby wszystkie ciała na świecie posiadały elastyczność doskonałą, możnaby mieć pewną podstawę do przyjmowania takiéj zasady; lecz dotychczas nie wykryto jeszcze żadnego, którego elastyczność byłaby doskonałą; i, gdy dwa ciała się spotykają z ruchami równemi, odbijają się z *mniejszemi ruchami*, tak, że zawsze jakaś siła *ginie* przy uderzeniu. Jeśli ciała są miękkie, zatrzymują się obydwa w skutek nieprzenikliwości swych części, albo, mówiąc ulubionym stylem autora, ponieważ niema dostatecznego powodu, dla któregoby jedno z nich miało przemódz drugie. *W tym razie cały ruch jest stracony*, a ponieważ ruch jednego został zniszczony przez ruch drugiego, a więc tylko całkiem bezpodstawnie i jedynie dla ocalenia hipotezy wymyślają jakiś płyn, który odbiera i zachowuje siłę tych ciał."

Łatwo zauważyć, że krytykowi, jednéj tylko rzeczy brakuje do przekonania się że jest w błędzie; oto: pojęcia zamiany ruchu mas na ruch cząstek. On odrzuca przypuszczenie osobnego płynu (eteru), któryby miał te ruchy przejmować, ale zupełnie nie myśli o tém, że tę samę funkcyą mogą spełnić cząstki samychże ciał. Przyczynę ustania ruchu widzi w nieprzenikliwości materyi ciał „miękkich", ale wszakże i ciała twarde, elastyczne, także, a raczéj témbardziéj są nieprzenikliwe, jednakże autor przypuszcza, że *w tym razie* mogłaby być mowa o trwałości ruchu. Ponieważ zaś nie myśli zupełnie o moż-

ności zamiany ruchu mas na ruchy cząstek, nic więc dziwnego, że niezniszczalność ruchu dopuszcza tylko w ciałach bezwzględnie elastycznych. I tak też jest istotnie; co więcéj, powinniśmy nawet powiedzieć, że i bezwzględna elastyczność nie wystarcza do przyjęcia niezniszczalności ruchu mas, ponieważ mimo wszelkiéj łatwości odbicia, cząstki ich musiałyby także być wstrząśnięte uderzeniem, czyli musiałyby przejąć pewną ilość ruchu na siebie. Tylko więc tam, gdzie wcale cząstek niema, tylko przy uderzeniu się *atomów*, może być mowa o zupełném zachowaniu się ich ruchu, jako ruchu całości, jeśli w ogóle cząstki bezwzględnie proste rzeczywiście istnieją.

Ale dla nas, dla celów filozofii fizyki jest to kwestyą obojętną. Zostawiamy ją metafizyce, w tém głębokiem przekonaniu, ze tego orzecha zasadniczych sprzeczności nie zgryzie, zużywszy już na nim stare swoje zęby. Dla nas wystarcza to pojęcie uzasadnione, że cząsteczki owe atomami zwane, tak są drobne w obec mikroskopowéj zdolności naszego umysłu, tak dalece niepodzielne w obec naszych środków podzielności, i tak uporczywie proste w obec naszéj analizy rozumowéj, że je za takowe *względnie* przyjąć musimy, jeżeli w ogóle chcemy mieć jakąśkolwiek granicę dla oparcia naszych badań.

I tak samo zawsze i wszędzie postępujemy w badaniach prawdziwie naukowych; tak samo powinniśmy postąpić i odnośnie do prawa bezwładności, z którego niezniszczalnosć ruchu wyprowadziliśmy; i tu bowiem, tylko krok daléj a popadlibyśmy w sprzeczność.

Powiadamy, że na mocy tego prawa materya uznaje się za bierną, martwą i bezwładną. Nie może ona sama przez się w żaden możliwy sposób zmienić swego stanu, ani zatrzymać się gdy jest w ruchu, ani poruszyć się gdy jest w spoczynku.

A jeśli materya w gruncie rzeczy nigdy nie jest w spoczynku?..

Jestto więcéj niż prawdopodobne; każda jéj cząstka drga, wiruje, waha się lub posuwa i byłoby to wstrząśnieniem wszystkich naszych spostrzeżeń nad przyrodą, gdybyśmy przypuścili, że choć jeden jéj atom znajduje się w bezwględnym spokoju.

Czy w tym razie należy część prawa bezwładności mówiącą o spoczynku usunąć? Nie, ponieważ samo się przez się rozumie, że w zastosowaniu tego prawa, że w fizyce, nie może być mowy o innym spoczynku jak tylko o względnym.

Lecz w takim razie popadamy w sprzeczność utrzymując, że materya jest bezwładną, martwą, bierną? Tak, jeślibyśmy chcieli mówić o całéj materyi, o całym wszechświecie. Nie, ponieważ mówimy tylko o *ciałach* i ponieważ tych pojęć używamy tylko względnie, to znaczy przyjmujemy tylko tyle, że pewna ilość atomów, jako masa, może nie zmieniać swego miejsca odnośnie do innéj ilości ato-

mów, jako masy; przeciwnie, popadlibyśmy rzeczywiście w sprzeczność nieuchronną, gdybyśmy przyjęli, że jakiekolwiek ciało A, zostające w spoczynku bezwzględnym, może w jakikolwiekbądź sposób wywołać lub zmienić ruch ciała B uważany, lub nie, za względny spoczynek. Mielibyśmy bowiem wówczas ruch wywołany przez brak ruchu, mielibyśmy coś wywołane przez nic, zaprzeczylibyśmy ogólnemu prawu przyczynowości, a tem samem i prawu bezwładności.

Uwaga prosta i zdaje się rozumieć sama przez się. A jednak przeciwna temu co w każdym podręczniku fizyki znaleść można. Należy bowiem do rzeczy powszechnie jeszcze uznawanych a raczéj wyznawanych, że „dwa ciała dowolnie odległe *przyciągają się* i zbliżają do siebie w stosunku prostym swoich mas a odwrotnym kwadratów z odległości, *niezależnie od tego czy są w ruchu lub w spoczynku i czy między niemi znajdują się jakiekolwiekbądź inne ciała lub nie.*“ A więc przyjmuje się nietylko możność zmiany ruchu przez owo mistyczne przyciąganie gdy jedno z ciał jest nieruchome, ale w ogóle dążność ciał do zbliżania się nawet i wtedy, kiedy obydwa są w spoczynku bezwzględnym!

To już nie jest mechanika czysta, ale bardzo podejrzana metafizyka, wprawdzie ze stemplem Newtona, ale jak zobaczymy, nie przez niego na téj teoryi wyciśniętym.

Bądź co bądź wobec powyższéj konsekwencyi, która prędzéj lub później przyjętą być musi — musimy pierwsze prawo bezwładności uzupełnić drugiém, które orzeka, że: *żadna cząstka materyi nie może w drugiéj ani wywołać ani zmienić ruchu, jeśli go sama nie posiada.*

Innemi słowy: ruch, może być tylko przez ruch wywołany. To prawo jest wprawdzie sprzeczném z ogólnie przyjmowaną newtonowską siłą atrakcyi, ale nie zrażajmy się tém, ponieważ, jak zobaczymy następnie, owa powszechna atrakcya jest tylko powszechném złudzeniem.

Ponieważ zaś przy wszystkich możliwych zmianach, tylko forma ruchu zmieniać się może, musimy więc w trzeciém odnośném prawie powtórzyć myśl Dekarta, że:

Ilość ruchu we wszechświecie jest stałą i podobnie jak materya nie może on być ani zmienionym ani stworzonym.

To ostatnie prawo jest już powszechnie przyjmowaném, a uznając je, musimy témsamém wszelkie rozprawy na temat odległéj martwoty i ustania wszelkiego ruchu „we wszechświecie“ za bezpodstawne uważać.

II.
„Przyciąganie powszechne.“

„Dlaczego siła nie miałaby być pierwiastkiem zasadniczym, posiadającym teżsame cechy transcendentalne co dusza i materya, lecz mającym za zadanie pośredniczyć pomiędzy duszą a materyą? Jeżeli to pojęcie p. Hirna urzeczywistnia lepiéj niż którekolwiek inne syntezę sił fizycznych, czyż nie powinno przeważyć nad innémi, i czyż nie jemu to przeznaczono dokonać ścisłego zjednoczenia tego, co mamy zwyczaj nazywać nauką pozytywną i filozofią?“ (1)

Tem pytaniem kończy swój wykład o sile i materyi A. Cazin, jeden z pierwszorzędnych fizyków staréj szkoły, który ma jednak pretensyą do przemawiania w imieniu nowszéj nauki. Ale od chwili ogłoszenia téj myśli, jeżeli nie pierwéj jeszcze, rozwój filozofii i fizyki dał na powyższe pytanie wprost przeczącą odpowiedź. Pojęcie siły *w przyrodzie* (kładę nacisk na to wyrażenie, gdyż mówimy ciągle tylko o siłach w przyrodzie, nie zaś po za nią) jako czynnika jedynego, ale zarazem odrębnego i samoistnego, nie może dokonać owego żądanego zjednoczenia nauki pozytywnéj z filozofią, a to dla téj właśnie przyczyny, że nietylko *nie* „urzeczywistnia lepiéj niż którekolwiek inne syntezy sił fizycznych,“ ale owszem przeszkadza jéj. Sam autor mimowolnie to stwierdza, przyjmując cztery całkiem odrębne rodzaje sił. Rozpatrzmy je, ponieważ ta klasyfikacya odpowiada powszechnie przyjmowanym podziałom. A więc mamy:

„1. *Siłę powszechnego ciążenia*, niezmienną w czasie i przestrzeni, rządzącą układem ciał widzialnych.“

„2. *Siłę cząsteczkową czyli molekularną*, równie niezmienną i rządzącą układem cząsteczek składowych ciał.“

„3. *Siłę cieplikową*, o natężeniu zmiennem dla jednego ciała, dążącą do wyrównania się między ciałami.“

„4. *Siłę elektryczną*, o natężeniu zmiennem dla jednego ciała, dążącą do przeciwstawności cząsteczkowéj i która sprowadza do równowagi różne części ciała, rozdzielając w niem pobudzenia z zewnątrz pochodzące.“

Magnetyzm należy oczywiście do téj ostatniéj, a także siła nerwowa jak chce autor; światło jest zlane z ciepłem; siła cząsteczkowa musi naturalnie obejmować i przyleganie i powinowactwo chemi-

---

(1) *A. Cazin. La force et la matière*. 1868.

czne — a dźwięk? Dźwięk nie jest siłą. Tém lepiéj, będzie łatwiejsza synteza. Dosyć że mamy dwie siły zmienne i dwie niezmienne. Ale gdzie jest synteza?... Ażeby mieć prawo mówić o jedności siły, trzeba znaleść taką jednę cechę, i to zasadniczą, któraby była im wszystkim wspólną, a tymczasem w powyższéj klasyfikacyi niema nawet zarodka dla takiéj syntezy ogólnéj, chociaż dokonano syntezy szczegółowéj w grupie cieplikowéj (światło) i elektrycznéj (magnetyzm). Owszem autor tworzy dwie siły tam gdzie już wielu uznawało jednę tylko, mianowicie odróżnia *siłę ciążenia* od *siły cząsteczkowéj*, tworzy więc dla mas inną, a dla cząstek inną. Czemuż w takim razie nie dodać jeszcze trzeciéj: *atomowéj*? Byłobyto co najmniéj równie uzasadnioném, ponieważ w zjawiskach chemicznych cząsteczki (molekuły, drobiny) zachowują się inaczéj niż atomy (niedziałki), a nadto we wszystkich w ogóle zjawiskach zachowanie się cząstek jest więcéj zbliżone do zachowania się mas niż do zachowania się atomów. Jeżeli już w ogóle mamy uważać siłę za pierwiastek odrębny, samoistny, nierozkładalny, to musimy przyjąć tyle jéj rodzajów ile jest rodzajów zjawisk, ale wtedy o syntezie nie może być mowy.

Tymczasem cały nowszy rozwój nauki dążył do tego, ażeby siły różne sprowadzić do jednéj, a tę jednę do zasady istotnie prostéj, zrozumiałéj takiéj jaką jest pojęcie ruchu. W ten tylko sposób rozmaitość sił może być uproszczoną i przeniesioną z mglistéj dziedziny metafizyki na terytoryum mechaniki. Inaczéj, nie mogąc w żaden sposób ująć, zmierzyć i ocenić sił jako bytów odrębnych, nie mielibyśmy téż żadnego prawa do rozprawiania o ich jedności, o ich ilości stałéj lub niestałéj.

Myśl zbliżenia siły powszechnego przyciągania z siłą powinowactwa chemicznego powstała jeszcze w wieku zeszłym. „Linia krzywa (pisał Laplace), którą zakreśla atom, jest równie oznaczoną jak droga planety, i niema między niemi różnicy innéj nad tę, która z naszéj niewiadomości wynika.“ (1)

Jaśniéj jeszcze, i po raz pierwszy w formie bliżéj określonéj występuje to pojęcie u Berthollet'a. (2) Starał się on sprowadzić rozmaitość chemicznych zjawisk do jednéj siły, która z przyciąganiem powszechnem téj saméj jest natury, z tą tylko różnicą, że tu w grę wchodzą skomplikowane układy cząsteczek. Teoryja atomistyczna Daltona odciągnęła badaczy od téj myśli Bertholleta zjednoczenia chemii z mechaniką, a to mianowicie w skutek zbyt krańcowego od-

---

(1) *Laplace, Essai philosophique sur les probabilités.* 3-e édit. Paris 1816. p. 6.
(2) *Berthollet. Essai de statique chimique.* Paris 1803.

różnienia pojęcia *połączeń* chemicznych od pojęcia *mieszanin* mechanicznych, i przez cały początek b. wieku chemia rozwiała się całkiem od fizyki niezależnie. (1) Ale myśl zjednoczenia ich zginąć nie mogła. Dopóki w chemii uprawiano tylko stronę opisową, odkrywając i opisując przerażająco szybko wzrastającą ilość nowych połączeń — i dopóki z drugiéj strony w fizyce pracowano więcéj nad stosunkami mas niż cząsteczek, dopóty téż drogi ich rozwoju były zbyt odrębne, ażeby myśl jedności odżyć mogła; z chwilą jednak, gdy prace Mayera (począwszy od r. 1842), a więcéj jeszcze jego następców, zaczęły ustalać w umysłach olbrzymią doniosłość wspomnianéj wyżéj zasady *zamiany ruchu mas na ruch cząstek*, wówczas téż i związek chemii z fizyką zaczął na jaw się wydobywać, przyłączając się nieśmiało jeszcze do ogólnego chóru głoszącego jedność sił.

Ta pauza, jaką widzimy w rozwoju filozoficznéj strony nauk fizycznych w pierwszych dziesiątkach naszego wieku, nie wyszła jednak na złe nauce. Gromadziły się bowiem materyały, następowało przeładowanie faktami, a tem samem pragnienie filozoficznéj jedności coraz więcéj zyskiwało racyą bytu. Odrębne dotychczas grupy badań, przez sam swój rozrost musiały się zbliżać do siebie, odkrywano nowe, nieznane dotąd stosunki. Fresnel ustalał zeszłowieczną teoryą drgań jako istoty światła (1818), Oerstedt (1820) wykrywał związek pomiędzy elektrycznością a magnetyzmem, sformułowany bliżéj przez Ampera. August de la Rive rozjaśniał przyczynowy związek pomiędzy procesami chemicznemi a wytwarzaniem się galwanizmu (1828) — wreszcie Mayer przygotowywał swe prace nad stosunkiem ciepła i ruchu. Jedna tylko siła powszechnego przyciągania pozostała na uboczu, zasklepiając się w swej autonomii — i dziś jeszcze wielu, a może nawet większa część uczonych wierzy w jéj odrębną samoistność!

Niezmiernie to ciekawy przykład naturalnéj skłonności umysłu naszego do uosobiania zjawisk, jak gdyby świat miał być koniecznie takim zbiorem indywidualnych odgraniczonych od siebie egoizmów jakim jest nasze towarzystwo ludzkie! Jak tu przemiana jednostki w inną jest niemożliwą, tak też człowiek elementarnie, czyli antropomorficznie na świat patrzący, taką jednostkową osobowość siłom natury przypisuje i przypuszcza tylko ich walkę ze sobą, nie uznając przemian.

Wielkim winowajcą wiary w istnienie siły powszechnego przyciągania uczyniono Newtona. Czy słusznie? Zobaczmy.

---

(1) *Lothar Meyer, Die modernen Theorien der Chemie und ihre Bedeutung für die chemische Statik.* 2 e Auf. Breslau 1872, str. 5, 6 i inne.

Wyprowadziwszy swoje prawo grawitacyi w zasadach matematycznych filozofii naturalnéj, dodaje on co następuje:

„Tłomaczyłem dotychczas zjawiska niebieskie i zjawiska morza przez siłę grawitacyi; lecz nie wskazałem nigdzie *przyczyny téj grawitacyi*. Siła ta pochodzi z czegoś, co przenika aż do środka słońca i planet, nie tracąc nic ze swéj czynności. Działa ona według ilości materyi a działanie to rozpościera się we wszystkie strony na niezmierne przestrzenie, słabnąc zawsze w stosunku kwadratów odległości...“

„Nie zdołałem dotychczas wywieść ze zjawisk przyczyny tych własności ciążenia i *nie tworzę też żadnéj hipotezy*... Dość nam wiedzieć, że grawitacya istnieje, że działa według praw, które dopiéro co wyłożyłem i że może wytłomaczyć wszystkie ruchy ciał niebieskich i morza.“ A w inném miejscu tegoż dzieła dodaje: „Rozumiem przez wyraz atrakcya, *usiłowanie jakie objawiają ciała dla zbliżenia się do siebie*“ (coby oczywiście było sprzecznéni z prawem bezwładności, ale o tém Newton nie myśli; niemniéj jednak co się tyczy istoty tego usiłowania dodaje natychmiast stanowcze zastrzeżenie w dalszym ciągu rozpoczętego zdania) „niezależnie od tego czy to usiłowanie wynika z działania ciał, które szukają się wzajemnie, albo poruszają się wzajemnie przez emanacye, czy też, *że wynika ono z działania eteru, powietrza* lub innego jakiegokolwiek środka materyalnego lub niemateryalnego, który *popycha ku sobie* w jakikolwiekbądź sposób, pływające w nim ciała.“

Tak więc Newton sam niechciał bynajmniéj rozstrzygać kwestyi istoty grawitacyi. Równie dobrze pozwalał przypuszczać, że jest ona wynikiem mechanicznego parcia eteru lub powietrza, jak i to że może być wynikiem jakichś wypływów (emanacyi), jak i to wreszcie, że jest własnością wewnętrzną samejże masy.

Tymczasem uczniowie jego nie tylko to ostatnie pojęcie uznali za stanowcze i jedyne, ale nadto poczęli głosić i w całą potomność wmówili, że Newton przyjmował *działanie z odległości*, podczas gdy on sam, przypuszczając powszechną obecność eteru (Optyka, XVIII) nadto wyraźnie w liście do doktora Bently'a, nazwał przypuszczenie działania ciał przez próżnią z odległości, *fałszywem i niedorzecznem*! Napróżno zwolennicy Dekarta: Privat de Molière, Fontenelle, Mairan usiłowali wytłomaczyć, że wykrycie *praw* ciążenia, nie przesądza bynajmniéj jego *przyczyn* — newtoniści uważali za wygodniejsze przyjąć wprost ciążenie jako siłę odrębną, zasadniczą, powszechną, jako wspólną własność wszystkich ciał z samą ich naturą związaną, aniżeli, po tak potężném i odurzającém odkryciu, jakiem było wskaza-

nie *praw* ciążenia, uznać zupełną ich niedostateczność i niezdolność do wytłomaczenia saméj *istoty* zjawiska.

Pierwszy, który dał hasło do tego przeniewierzenia się rozumnéj metodzie mistrza, był Côte, tłómacz i komentator Newtona. W przedmowie swéj do jego *zasad* (*Principes de Newton*, *traduction française*, *préface*. p. XXIX, z r. 1713) dowodzi on, że ciężkość jest pierwotną własnością ciał, tak dobrze jak rozciągłość i ruchliwość (mobilité). Zdanie bezzasadne, choćby dla tego (jak zauważył Naville), że materyą możemy pojąć bez ciężaru, podczas kiedy nie możemy jéj pojąć bez rozciągłości i ruchu. Ale oczywiście taka metoda dochodzenia prawdy przez możność lub niemożność pojęcia nie może być ścisłą i posiada wartość jedynie dla psychologii dochodzącéj genezy pojęć. Dla filozofii fizyki przyciąganie powszechne nie może być uważane za własność istotną z wielu innych, ściślejszych względów.

Przedewszystkiém dla tego, że mu przeczy doświadczenie. Powtóre dla tego, że mu przeczy logika wniosków.

Ponieważ czytelnik przywykły do uznawania dogmatów szkolnéj fizyki, może się zdziwić tem orzeczeniem, musimy się jaśniéj z niego wytłomaczyć.

Wziąwszy do ręki jakikolwiek podręcznik fizyki, w dotychczasowym duchu opracowanéj, znajdziemy tam następujące prawdy do wierzenia podane:

„Dla objaśnienia różnych stosunków wzajemnego między ciałami związku, należy przyjąć, że:

1) atomy *ciał* wzajemnie się *przyciągają;*

2) atomy *eteru* wzajemnie się *odpychają*;

3) atomy ciał i eteru *przyciągają* się wzajemnie, w skutek czego każdy atom ciała otacza się atmosferą eteryczną i odstępy między atomami ciał wypełnione są *zgęszczonym* eterem. Przyciąganie jednak między ciałami i eterem nie działa na większe odległości, eter nie podlega powszechnemu ciążeniu, jest on *nieważki*.“ (J. Müller. Grundriss der Physik u. Meteorologie, w jedenastem wydaniu w r. 1872 str. 16).

Tak więc, oprócz newtonowskiego przyciągania, przyjmujemy odpychanie, o którém się Newtonowi nie śniło, ale które było rzeczywiście konsekwentną niedorzecznością pierwszéj niedorzeczności t. j. przyciągania na odległość, wprowadzonego przez uczniów Newtona. Dzięki powadze Poisson'a, Cauchy'ego, Redtenbachera, Lorenza, Reissa, Briot'a i innych matematyków, jak stwierdzają Rühlmann (1) i Pfeil-

(1) *Pog. Ann.* Bd. 132 S. 193.

sticker (1), wiara w *odpychanie* eteryczne stała się równie powszechną, jak wiara w przyciąganie ciał. Wszyscy zaś zgodnie przytaczają jako powód takowéj wiary, *że gdyby istniało tylko przyciąganie, wszystka materya zlałaby się w jedną masę*, albo nawet w *jeden punkt*, jak się wyraża Cauchy (2), że więc dla uniknienia téj konsekwencyi *musimy* przyjąć i odpychanie jako utrzymujące równowagę.

Jest to niewątpliwie ratunek, ale ratunek tonącego, który brzytwy się chwyta.

Już w innéni miejscu (w odczycie *O zasadniczych sprzecznościach*. Lipsk 1873) przytoczyłem ogólne uwagi nad szczegółami téj konsekwencyi. Możliwość jest mianowicie poczwórną: 1) albo przyciąganie przeważa nad odpychaniem i wtedy rezultat będzie ostatecznie ten sam co i bez odpychania; 2) albo odpychanie przeważa i wtedy świat powinien się był rozbić na atomy; 3) albo obie te siły są sobie równe i wtedy, jako znoszące się, są niepotrzebne; albo nareszcie 4) obie mają niestałe, zmienne i nieprawidłowe natężenie, i wtedy o żadnéj naukowéj fizyce nie może być mowy.

Z powyższego więc raczéj wynika, że jedno i drugie jest niepewném, a oczywiście ratunek staje się zbytecznym, jeśli niebezpieczeństwo nie istnieje. Ponieważ jednak niegodzi się tak sumarycznie i formalnie naukowéj kwestyi rozstrzygać — wejdźmy w szczegóły. Wiadomo, że *ciężar*, według przyjętéj teoryi, jest koniecznym wynikiem *przyciągania*. Jakoż, przyciąganie eteru przez ciała, które sprawia, że każdy atom tych ostatnich otacza się zgęszczoną atmosferą eteru, dowodziłoby oczywiście, że istnieje pewien nacisk eteru na materyą, czyli że eter ma pewną wagę...

A tymczasem, wedle téjże saméj teoryi, ma on być nieważkim. I dlaczego? Dlatego, że „przyciąganie między ciałami i eterem nie działa na *większe* odległości.“ Pomijając już dowolność takiego przyjęcia, łatwo zauważyć, że w takim razie ważkość eteru nie byłaby zaprzeczoną, lecz tylko mielibyśmy znowu komplikacyą tego rodzaju, że eter byłby ważkim w bliżkości ciał a nieważkim w „większéj“ odległości!

Przyciąganie powszechne (nawiasem mówiąc — nie powszechne, skoro w atomach eteru nie istnieje) ma być *siłą stałą, dla wszystkich ciał niezmienną i od żadnych innych własności ciał niezależną*, jako wy-

---

(1) *Das Kinset-System*. Stuttgart. 1873. S. 3.

(2) Sept Leçons de Physique générale par An. Cauchy e. p. M. L' abbé Moigno. Paris 1868. S. 38.

łączny wyraz ich masy.. Tak ją klasyfikuje Cazin i tak zresztą przyjmują wszyscy fizycy. Funt jest zawsze funtem, łót łótem. Funt pierza równoważy funt ołowiu i t. p. To nam nie przeszkadza wierzyć, że tenże funt na słońcu będzie ważył 27 funtów, a na księżycu $^1/_6$ funta, ponieważ wiemy, że waga zależy od przyciągania, a to znowu od masy słońc, planet i ich satelitów. Tak samo wiemy, że przyciąganie ziemi, więc i waga ciał na jéj powierzchni znajdujących się większą jest na biegunach niż przy równiku. To wszystko nie przeczy jeszcze teoryi. Ale gdyby się okazało, że i w jednym danym punkcie globu natężenie siły ciążenia jest zmienne, wówczas już teorya byłaby zagrożoną. Że zaś takie zmiany istnieją rzeczywiście, świadczą nieusprawiedliwione niczem inném zboczenia pionu ołowianego, które natchnęły p. d'Abbadie do pracy nad przyrządem „mogącym stale notować zmiany w natężeniu ciężkości w jednem miejscu, uzupełniając wskazówki sismografu“ (P. L'année scientifique Figuiera 1879 str. 99).

Powiedziałem, że fakt zmiany ciążenia w jednėm miejscu zagraża teoryi. Winienem jednak wskazać możliwe dla niéj wybiegi; a mianowicie, zmiany te mogą pochodzić, według dzisiejszych pojęć, od przemieszczenia środka ciężkości ziemi, czyli tém samém od przelewania się płynnego jądra ziemi, co w każdym razie byłoby ryzykowną hipotezą, bo przy regularności ruchów ziemi, niema do tego powodu. Ponieważ jednak nie mamy jeszcze dokładnych spostrzeżeń co do peryodyczności lub nieperyodyczności owych zmian, więc też powyższéj hipotezy ani bronić ani zbijać nie mamy jeszcze prawa. Powtóre, zmiany te mogłyby pochodzić od zmiany natężeń w przyciąganiu słońca, które się mniéj lub więcéj przeciwstawia ziemskiemu, najmniéj w *aphelium* (w lecie), najwięcéj w *perihelium* (w zimie), to znaczy podczas największego i najmniejszego oddalenia ziemi od słońca. Lecz wobec niezmiernie małéj masy ciała, o które chodzi (pionu ołowianego), i niezmiernie wielkiéj średniéj odległości od słońca, zmiany ztąd wynikłe byłyby dla nas niedostrzegalne; zresztą gdyby nawet dały się zmierzyć, należałoby pierwéj wykazać, że zmiany w natężeniu ciążenia są rzeczywiście proporcyonalne do zmian w odległości od słońca, co wcale nie jest wiadome. Toż samo stosuje się do przypuszczalnego wpływu księżyca.

Tę więc stronę kwestyi musimy pozostawić w zawieszeniu. Ale nierównie jaśniéj rzecz-by wyszła na jaw, gdybyśmy mogli wykazać, że ciężar ciał da się zmieniać na zawołanie, niezależnie od owych domniemanych wpływów peryodycznych. Wówczas nie możnaby już mówić tak, jak się mówi w dzisiejszéj fizyce, że przyciąganie a więc

ciężar ciał zależy wyłącznie od *masy* i *odległości*, i co za tem idzie, że dla danych mas i tych samych odległości siła powinna być niezmienną.

W każdym innym dziale fizyki, gdy chodzi o ciepło lub elektryczność, nie powiemy nigdy, że natężenie tych sił dla danego ciała przy danéj odległości będzie zawsze to samo *niezależnie od warunków doświadczenia*, owszem, to zastrzeżenie uważamy za niezbędne; wiemy bowiem, że w tyglu platynowym rozpalonym do białości możemy wodę na lód zamienić, że gałka metalowa elektryzuje się słabo, gdy jest otoczona powietrzem wilgotném, silniéj zaś w suchém, że siła magnesu zmienia się pod wpływem ciepła, i t. p. Tylko gdy chodzi o ciążenie, dajemy mu przywilej niezmienności i niezależności od warunków, jak gdyby przyciąganie było istotnie wewnętrzną i stałą własnością masy!...

Tymczasem proste przytoczenie równie uznawanych faktów wystarczy, ażeby dowieść, jak dalece zaślepiamy się w naukowéj tradycyi.

Ciężar ma być dla danego ciała i w danéj odległości od środka ziemi niezmiennym, a przecież jednocześnie uznajemy od czasów Archimedesa, że „*każde ciało zanurzone w wodzie traci na wadze tyle, ile waży woda wypchnięta przez to ciało.*" Ciężar więc *jest zależnym* nietylko od masy ale i od otoczenia; im środek otaczający jest gęściejszy, tem mniejsza waga zanurzonego w nim ciała. Ciała, które ważymy w powietrzu, ważą właściwie więcéj niż nam się wydaje.

Możemy to wykazać następującém doświadczeniem: na jedném ramieniu szalki zawieszamy bańkę szklanną, na drugim ciężarek, który ją równoważy. Umieszczamy teraz przyrządzik ten (zwany *baroskopem*) pod kloszem maszyny pneumatycznéj i wyciągamy powietrze. Cóż się dzieje? Ciężarek podnosi się a bańka szklanna opada. Bańka waży teraz więcéj niż przedtém. Gdzież się więc podziała owa mniemana stałość ciążenia?

— Ba! odpowiadają zwolennicy teoryi, bo też prawo niezmienności odnosi się do próżni tylko i tylko w niéj właściwie ciężkość działa jednakowo na wszystkie ciała.

— Zgoda. Mówmy tylko o próżni. Doświadczenie wykazało, że w próżni, czyli właściwie w powietrzu bardzo rozrzedzoném, najrozmaitsze ciała, a mianowicie najcięższe jak platyna, któréj ciężar gatunkowy wynosi 22.001, i najlżejsze jak korek, którego ciężar gatunkowy jest 0,24 — spadają z jednakową prędkością. Tak uczą wszystkie podręczniki fizyki. Prędkość jest dla nas miarą siły, a więc *w próżni wszystkie ciała, najcięższe i najlżejsze, przyciągane są przez ziemię z jednakową siłą.* Czy istotnie?

Powiedzmy najprzód, jak słusznie zauważył Chałupczyński (1), że doświadczenia robione na przestrzeni kilku stóp wysokości niczego nie dowodzą, gdyż i w powietrzu, jakkolwiek tu różnice są bez porównania znaczniejsze, na przestrzeni jednak kilku a nawet kilkunastu cali dostrzedz ich nie można. Jest zatem więcéj niż prawdopodobne, że gdybyśmy mogli otrzymać próżnią w rurze na kilkaset stóp długiéj, wówczas różnice w prędkości spadku wyszłyby na jaw, mimo tego, iż przez usunięcie oporu powietrza prędkość spadku znacznie się zmienia na korzyść ciał lekkich.

Lecz dajmy na to, że jednostajne działanie ciężkości na wszystkie ciałą zostało istotnie i całkowicie stwierdzone. Przyjmijmy, że platyna i korek są jednakowo przyciągane w próżni; ale przyjmując to, trzeba wiedzieć co się przyjmuje! Trzeba wiedzieć albo raczéj trzeba chcieć zrozumieć, że przyjęcie jednostajnego działania ciężkości znosi tém samém, równie powszechnie przyjmowane prawo działania *w stosunku prostym do mas* i orzeczenie, że *ciężar jest zawsze proporcyonalnym do masy*.

Jedno z dwojga: albo ciążenie nie działa jednakowo na wszystkie ciała, albo nie działa w stosunku prostym do mas Sądzę, że pierwsze zdanie należy bezwarunkowo odrzucić, z drugiem rozprawimy się następnie.

Frazeologia niewyćwiczonych filozoficznie fizyków umiała jednak pokryć te sprzeczności. Posłuchajmy jak się z nich zwykle wykręcają:

„*Masa danego ciała jest zawsze proporcyonalną do jego ciężaru*“ (czyli że im większa masa, inaczéj: im większa ilość cząstek, tem większy ciężar). „Ten związek pomiędzy masą i ciężarem wykazuje nam wszędzie doświadczenie, chociaż z samego pojęcia niekoniecznie on wypływa i da się pomyśléć, że istnieją w naturze ciała, na które ciężkość wcale nie działa“ (gdzież się podzieje wtedy przyciąganie powszechne?!) „które jednakże przez to nie przestają być masami bezwładnemi“ (to znaczy stawiającemi opór — fizyka bowiem dzisiejsza, pojmuje bezwładność w ten sposób, że nawet ciała w bezwzględnéj próżni będące i nieulegające żadnéj innéj sile, pod wpływem jakiejkolwiek pobudki do ruchu, stawiają jéj opór proporcyonalny do masy, co już jest śmieszne, bo masa bez ciężaru czyli bez jakiejkolwiek siły przeciwdziałającéj nie może stawiać oporu — a gdyby go stawiała, to znowu byłoby sprzecznem z bezwładnością w ruchu, która każe nam przyjmować, że ciało w próżni biegnące, bę-

(1) Pomysły do wiedzy dziejów życia świata. Warszawa 1860.

dzie się poruszało w nieskończoność. To ostatnie przypuszczenie przyjąć możemy, ponieważ jest konsekwentném przedłużeniem wniosków doświadczalnych, ale pierwsze upada, jako sprzeczne z niemi i jako samo w sobie bezpodstawne). Słuchajmy jednak daléj:

„Możnaby jeszcze pomyśleć, że ciążenie nie jednakowo działa na cząstki różnych substancyj, że np. kula ołowiana, dlatego tylko jest cięższą niż tejże wielkości kula drewniana, ponieważ przyciąganie ziemi na kawałek ołowiu silniéj działa niż na kawałek drzewa o téj saméj masie. (Dlaczego *o téj saméj masie*, kiedy miało być tylko o téj samej *wielkości*, (zapewne objętości). Gdyby jednak tak było rzeczywiście, to musiałaby naturalnie o wiele cięższa ołowiana kula szybciéj spadać, ponieważ przy równym oporze większa siła, większą prędkość wywoływać musi. Tymczasem kula ołowia na nie spada prędzéj niż drewniana (przynajmniéj w próżni),—a stąd wypływa, że 12 razy większa siła, która kulę ołowianą do ziemi pociąga, *ma także 12 razy większą masę bezwładną do poruszenia*, że więc bezwładna czyli oporna masa ołowianéj kuli 12 razy większą jest niż drewnianej.“ (J. Müller, str. 7).

Nie jestże to w najwyższym stopniu bałamuctwo? Więc owa niezmienna, niezużywalna siła ciążenia dlatego słabiéj stosunkowo większą masę przyciąga, że się na poruszenie większéj masy więcéj zużywa—a jednocześnie ma ona działać w stosunku prostym do mas!!

Wyobrażam sobie zamieszanie jakie z takiéj nauki w głowie dziecka powstaje!

Najlepiéj z tą trudnością poradził sobie p. Czesław Radecki autor fizyki szkolnéj dla gimnazyów w Galicyi (Fizyka dla niższych szkół gimnazyalnych i realnych. Lwów 1875), powiada bowiem na str. 7:

„Chociaż ciała są wszystkie jednakowo ciężkie, różnią się przecież co do ciężaru“ (!!).

Czy to nie żarty zapytasz czytelniku?

— Nie, to jest tylko konsekwencya dzisiejszéj teoryi. „Doświadczenie bowiem nas uczy, że wszystkie ciała są równie ciężkie, tj. że ziemia wszystkie ciała chociażby najróżnorodniejsze, jednakową siłą do siebie przyciąga“. Ale zarazem prawdą jest, że mają różny ciężar: „Im bowiem ciało więcéj ma cząstek, czyli im ma większą masę, *tém więcéj musi cisnąć na podstawę*.“ (Tamże)

Niechże tu teraz kto powie, czém jest właściwie masa dla ciążenia, czy źródłem, czy przeszkodą?

Przez rozróżnienie zaś *ciążenia* jednostajnego (w próżni) od niejednostajnego ciężaru (w powietrzu), pomijając jużże takie odróżnienie

jest bezpodstawne—nietylko nic nie zyskujemy, ale owszem wprowadzamy nową sprzeczność, ponieważ, jeżeli w naszéj sztucznéj próżni ciała spadają z jednakową prędkością, to bynajmniéj tak nie jest w próżni naturalnéj, oddzielającéj ciała niebieskie, ponieważ tam rządzą prawa Newtona, to znaczy ciążenie nie jest jednostajne dla wszystkich ciał, lecz zmienia się wraz z masą.

Jeden wszakże punkt w téj całéj gmatwaninie pojęć zasługuje na uwagę, oto mianowicie, że zwolennicy „niezmiennéj“ siły powszechnego przyciągania, zmuszeni byli przyjąć w obec szkopułu jednostajnego spadku w próżni, że siła ta *zużywa się, wykonywając pewną pracę a to w stosunku do masy czyli ilości cząstek poruszanych.* Tym bowiem sposobem, siła ta, gdyby istniała rzeczywiście, mogłaby wejść w kadry innych sił, których zużywanie się (właściwie przemiana) nie może ulegać żadnéj wątpliwości. Tak zaś, jak dziś ją pojmują, jest ona wyjątkiem, anachronizmém, który w dzisiejszéj fizyce cierpiany być niepowinien.

Że ciążenie nie jest bynajmniéj objawem jednéj siły bezwzględnie niezmiennéj, lecz tylko względnie stałym wynikiem wielu warunków złożonych, na to mamy inne jeszcze dowody.

Nie tylko przenosząc ciało z próżni w powietrze albo z powietrza w płyn możemy zmieniać jego ciężar. Da się to uskutecznić i w samém powietrzu i na téj saméj szalce.

Na jednym talerzyku bardzo czułéj szalki kładę kulkę bzową lub inną jakąkolwiek lekką, na drugiéj równoważący ją ciężarek. Czy jest sposób sprawienia, ażeby ta kulka ważyła mniéj niż obecnie? Jest. Dość zbliżyć do niéj z góry kawałek rozpalonego żelaza nie dotykając jéj, kulka pójdzie w górę jak gdyby była przyciągniętą przez żelazo i jak gdyby ta siła przeciwdziałała przyciąganiu ziemi. Dlaczego? Dla téj saméj przyczyny, dla któréj taż kulka była cięższą w próżni. Pod kloszem maszyny pneumatycznéj usunięcie warstwy powietrza, która ją podtrzymywała z dołu, ułatwiło jéj spadek – tu zaś rozrzedzenie a więc częściowe usunięcie przez nagrzanie powietrza, które ją naciskało z góry, uławiło jéj wzniesienie się. Ciała bowiem, zawsze i wszędzie poruszają się w stronę najmniejszego oporu. Tak samo, gdyby to była kulka żelazna, moglibyśmy zmniejszyć chwilowo jéj ciężar przez zbliżenie z góry magnesu. A więc cieplo i magnetyzm mogą modyfikować ciążenie.

Odkrycia ostatnich lat wykazały podobne działanie światła. Podziwiano gienialne odkrycie Crookes'a, objaśniano je na różny sposób, ale mało komu przyszło do głowy to, co w sposób fanatyczny głosił oddawna uczony dziwak francuski Trémaux, że ciepło jeżeli nie jest, jak on chciał, przyczyną ruchów planetarnych, to przynaj-

mniéj nie jest bez wpływu na wszelkie zjawiska atrakcyi. Odkrycia tego rodzaju musimy przyjmować skwapliwie jako zdzierające stopniowo zasłonę z mistycznéj siły, opartéj na cudowném działaniu z odległości. Posłuchajmy więc co mówi sam wynalazca radiometru:

„Ktokolwiek zajmował się nauką, wie bardzo dobrze, iż ciało ogrzane zdaje się ważyć mniéj niż ciało zimne; dotychczas tłómaczono zawsze ten fakt, mówiąc, że ciało jest niejako unoszone przez wstępujący ruch ogrzanego powietrza. Ażeby się zabezpieczyć od wszelkiego ubocznego wpływu powietrza, przy oznaczaniu ciężaru atomowego pierwiastku *thalium*, zbudowałem szalki takie, które mi pozwoliły ważyć w próżni; cóż się okazało? oto, że i tu ciało ogrzane ważyło mniéj niż zimne. Widocznie objaśnienie, na które najprzód wpadnięto, było niedokładne: objaśnienia tego rodzaju w ogóle rzadko są ściste, *prostota bowiem nie jest cechą przyrody.*“

Zaznaczam to zdanie jako słuszne, szczególnie odnośnie do zjawisk ciążenia i większości innych, chociaż byłoby niesłusznéni, gdybyśmy je do *zasady* zjawisk odnieśli. Ale słuchajmy daléj:

„Musiała tu więc działać przyczyna uboczna, nieznana; i właśnie szukając objaśnienia tego pozornego wyjątku, doszedłem do odkrycia mechanicznego działania światła.“

„Należało najprzód opanować pozorną nieprawidłowość otrzymywanych rezultatów. Stopniowo powiększając czułość moich przyrządów, wywoływałem z łatwością pewne ruchy pod wpływem ciał ogrzanych.“ (Wspomniałem wyżéj, że objaw przyciągania pod wpływem ciepła można okazać bez żadnych dokładniejszych przyrządów i bez próżni. Dość w tym celu zawiesić na nich kulkę bzową, która może być nawet dość dużą, i zbliżyć do niéj zapaloną zapałkę: natychmiast kulka zostanie przez płomień przyciągniętą. Zauważyłem także, że wszelkiego rodzaju kulki, drewniane, mosiężne, kauczukowe, węglowe, woskowe, koksowe, ołowiane, pumeksowe itp. zawieszone na nitce zaczynają wirować, gdy je wystawimy na światło i ciepło promieniste, przyczém, rzecz godna uwagi, jedna i taż sama kulka zaczyna się zawsze obracać w jednę stronę, zwykle z zachodu na wschód niektóre tylko (zdaje się że głównie cięższe) obracają się w przeciwnym kierunku. Zjawisko to zależne widocznie, chociaż w sposób niezupełnie jeszcze dla mnie jasny, od prądów powietrza i od ogrzewania się nitki, objawia się jednak, chociaż znacznie słabiéj i wtedy, kiedy nitka jest z pojedyńczego nieskręcalnego włókna kokonu. Nie śmiem jednakże na téj podstawie czynić w duchu pana Trémaux wniosków co do wirowego ruchu planet pod wpływem słońca, ponieważ w próżni kulka taka wcale się nie porusza. W każ-

dym razie przyczyna tego zjawiska jest całkiem odmienną niż w młynku Crookes'a, który obraca się tylko w próżni. Nadto w moich doświadczeniach z kulkami, poczernienie jednéj strony nie wywierało żadnego wpływu: kulka obracała się tak samo, jak i bez tego).

Zamknąwszy nawias wypisuję dalsze uwagi Crooke'sa.

„Lecz były to raz odpychania, drugi raz przyciągania; niekiedy nawet żaden ruch nie powstawał. Powtórzenie tych zjawisk jest łatwém. Biorę w tym celu dwie rurki szklanne wydęte na końcu w bańki i zawieszam w nich poziomo na jedwabnéj nieskręcalnéj nitce dwie pałeczki z rdzenia bzowego. Jeśli do jednéj z tych baniek zbliżę pałeczkę szklaną rozgrzaną lub świecę zapaloną, pałeczka bzowa zostanie zwolna przyciągniętą i powtarza ruchy świecy, gdy nią okrążamy bańkę. Jest to więc działanie bardzo stanowcze; lecz zobaczmy co zajdzie w drugiéj bańce. Zbliżam do niéj tak samo pałeczkę rozgrzaną lub świecę, powstaje odpychanie—odpychanie o wiele nawet silniejsze niż poprzednie przyciąganie. A oto inny przykład: zbliżam kawałek lodu do téj pałeczki bzowéj, która była odpychaną, i ta zostaje przyciągniętą, idzie za ruchami lodu zupełnie tak, jak igiełka magnesowa za kawałkiem żelaza."

Tajemnicę tych zjawisk wyjaśnia otoczenie pałeczek bzowych; ta którą ciepło przyciągało, wisiała w *powietrzu*, ta którą odpychało, a którą lód przyciągał, wisiała w *próżni*. Nareszcie nieruchomość miała miejsce wtedy, *gdy próżnia nie była dokładną*.

Szczegółowo zaś warunki doświadczenia wskażą następujące uwagi.

Pomiędzy ciałami w ogóle, a więc i pomiędzy pałeczką bzu, powietrzem, lub eterem który ją otacza, ścianą bańki i dalszém otoczeniem, zachodzi bezustanna wymiana ciepła, wymiana ta w zwykłych warunkach doprowadza do równowagi i wtedy niema żadnego powodu do objawu ruchu mechanicznego. Jeżeli teraz z jednéj strony przed pałeczkę bzową umieszczę kawałek lodu, równowaga zostanie zerwaną: lód będzie pochłaniał część ciepła z jednéj strony otoczenia, wskutek czego, ze strony przeciwnéj okaże się przewaga prądów ciepłych, czyli przewaga nacisku—stąd ruch „*Przyciąganie więc pozorne przez ciało zimne, jest w rzeczywistości tylko odpychaniem*" (a raczéj popychaniem) „*pochodzącém od promieniowania cieplikowego ze strony przeciwnéj*." Eter mocą swéj rozprężliwości ciśnie bardziéj gdy jest nagrzany i dlatego w tym samym przyrządzie (z próżnią) zbliżając zamiast lodu, świecę, będziemy mieli odpychanie.

Jeżeli zaś doświadczenie odbywa się w powietrzu, wówczas już nie eter, lecz powietrze, jako gęściejsze—odgrywa główną rolę.

I ono wprawdzie rozgrzewa się tak samo jak eter, ale zarazem rozrzedza się przez ogrzewanie, dając nierównie większą różnicę gęstości. To rozrzedzenie powietrza pomiędzy pałeczką a świecą wskutek rozejścia się go na boki i w stronę przeciwną, sprawia, że z tamtéj, przeciwnéj strony będzie ciśnienie większe, z téj zaś opór mniejszy. A ponieważ ciała obdarzone możnością ruchu *poruszają się zawsze w stronę najmniejszego oporu*, więc też paleczka bzowa uczyni ruch taki, *jak gdyby była przyciąganą* przez płomień.

Módz zaś wywoływać objawy przyciągania lub odpychania znaczy tyle, co módz zmieniać lub wywoływać ciążenie. To też Crookes przekonał się, że każdy promień światła, padający na dane ciało, zmienia jego ciężar, i tylko niezmiernie słaba siła tego działania w powietrzu sprawia, że go w zwykłych warunkach nie widzimy. Sporządziwszy odpowiednie szalki osadzone w próżni, na które mógł z zewnątrz zapomocą magnesu nakładać kawałek żelaznego ciężarka, Crookes przekonał się, że światło jednéj świecy, padające z odległości 15 centimetrów na szalkę, waży tyle co 0,000.105 gr. Światło innéj świecy wydało ciśnienie mało różne, bo wyrażone ułamkiem 0,000.114 gr.

W miarę oddalenia siła działania słabnie w stosunku kwadratów. Mierząc zaś w ten sam sposób siłę nacisku promieni słonecznych pochmurnego dnia w zimie 13 grudnia, obliczył, że odpowiada on ciężarowi 2, 3 tonnów na milę kw. czyli 902 kilogramów na 1 kilometr kwadratowy powierzchni ziemskiéj. W lecie zaś nacisk wynosi „około 20 gr. na 1 metr kw., 19½ tonnów na kilm. kw. albo wreszcie przeszło 3.000 000.000 tonnów metrycznych zaś część globu ziemskiego oświetloną promieniami słonecznemi, która to siła byłaby zdolną wytrącić ziemię z jéj orbity (drogi), gdyby *nagle* została wywartą.“

„Może ktoś powie, że tego rodzaju siła może zmienić przyjęte pojęcia o ciążeniu; lecz nie należy zapominać że my znamy siłę ciążenia tylko w stosunku do dzisiejszego stanu ciał; *nie wiemy czemby się stała ta siła, gdyby zmieniły się temperatury mas ciążących.* Jeżeli słońce zwolna oziębia się, to być może, że jego siła atrakcyjna rośnie, ale tak powolnie że fakt wymyka się naszym obecnym środkom spostrzegawczym.“

Zobaczymy następnie, że nie mamy potrzeby a nawet, że niepodobna jest przyjmować jakiekolwiek działanie przyciągające słońca na planety. Co zaś do liczb powyższych, to Crookes sam zastrzega się przed ich nadużyciem, ziemia nie jest ciałem poczernionem i zamkniętem w próżni, a co ważniejsza, promieniowanie słońca zużywa

się po planetach na wiele innych działań oprócz mechanicznych: jest pochłaniane przez powietrze, sprawia parowanie ciał, ożywia związki i rozkłady chemiczne, podtrzymuje życie organizmów—nie mniéj jednak niepodobna nie uznać olbrzymiéj ich doniosłości w tym jednym fakcie stwierdzonym, *że ciepło i światło mogą zmieniać stosunki przestrzenne między ciałami, że więc nie należy ich wyłączać z objaśnienia zjawisk tak zwanego powszechnego przyciągania.*

Ponieważ zaś promieniowanie najwidoczniéj działa na ciała lotne, jako największą swobodą ruchów obdarzone, więc też do nich przedewszystkiém zwrócić się musimy z zapytaniem o tajemnice ciążenia.

Jeżeli, jak chce przyjęta powszechnie hipoteza Kanta i Laplace'a, ciała niebieskie powstały ze zgęszczania się mgławicy pierwotnéj a więc z materyi gazowéj, to właśnie w téj materyi, a raczéj w tym stanie materyi, powinniśmy odnaleźć owo przyciąganie, mogące skupienie się gazów w masy usprawiedliwić. Na nieszczęście, albo raczéj na szczęście dla nauki, gazy są właśnie temi ciałami które świadczą najdobitniéj *przeciw istnieniu* owéj powszechnéj atrakcyi.

To też, ci wszyscy, którzy na początku wykładu fizyki zapowiedzieli nam, że przyciąganie jest powszechną własnością materyi, a więc nie tylko ciał stałych i płynnych, ale i gazów, doszedłszy do tych ostatnich, mimowoli i stale zapominają o tém, twierdząc, że „właściwością gazów jest dążenie do jaknajwiększego rozszerzania się“, a więc zgodnie z teoryą osobnych sił należałoby raczéj powiedzieć, że cząstki gazów zawsze *odpychają się* wzajemnie, o przyciąganiu tutaj nawet mowy być nie może. A jednak, dla dwu małych cząstek gazu, wzajemna ich odległość jest tém samém, co owe olbrzymie odległości, dla olbrzymich ciał niebieskich—tymczasem te dążą do siebie—tamte zaś uciekają od siebie. Niechże mi kto tę różnicę na zasadzie atrakcyi wyjaśni? Atomy powietrza, krążące już tylko w eterze, są w położeniu najbardziéj zbliżoném do tego, jakie zajmują względem siebie wirujące ciała niebieskie, całą różnicę stanowi wielkość wymiarów, któréj przecież powszechność praw Newtona nie wyłącza.

Ale może kto powie, że atomy gazu przy swéj małości są zbyt oddalone, ażeby mogły okazywać widocznie przyciąganie? W takim razie zbliżymy je sztucznie, przez zmniejszenie objętości, przez nacisk. Cóż się stanie? Prawo Marriotta objaśnia, że im większe jest w stanie gazowym zbliżenie cząstek, tém większa rozprężliwość gazu, czyli tém silniejsze między cząstkami odpychanie.

Tym sposobem *prawo Marriotta znosi prawo Newtona.*

Jeżeli zaś w atomach gazów widzimy tylko odpychanie, to w atomach płynów odpychanie w każdym razie przeważa nad przyciąganiem, skoro się rozlewają na płaszczyznie, nieznajdując tamy zewnętrznéj. Nareszcie, w ciałach stałych działa wprawdzie pozornie przyciąganie, ale bynajmniéj nie to, o którém mówi hipoteza grawitacyi; owszem znajdujemy w niem zupełne zaprzeczenie praw Newtona.

Siła przyciągania powszechnego wyznacza się formułą $F = \frac{M. m,}{d^2}$ *M*, *m* oznaczają masy—*d* zaś odległość. Łatwo zauważyć, że gdy licznik pozostaje stały a mianownik ciągle się zmniejsza, czyli zbliża do zera, to wartość całego ułamku, czyli wartość siły przyciągającéj będzie się téż ciągle zbliżać do ilości nieskończenie wielkiéj. Zdawałoby się więc, że przy znacznéj masie, dwa odłamki gęstego metalu, ściśnięte ze sobą, powinny by się spoić mocą saméj atrakcyi. Ale tak nie jest; i tu właśnie najlepiéj widzimy całkowitą zależność przyciągania od warunków dynamicznych; dwa odłamki metalu spajają się wprawdzie bardzo łatwo, ale dopiéro wtedy gdy ich brzegi stopimy, tj. gdy nadbrzeżne cząstki, przez nagrzanie wprawimy w ruch taki, któryby utworzył stały węzeł dynamiczny pomiędzy cząstkami jednego i drugiego ułamku. Wtedy na raz zjawia się przyciąganie niezmiernie silne zwane *spójnością*, ale to przyciąganie nie ma już zupełnie nic wspólnego z formułą $\frac{m}{d^2}$. I to zarówno wtedy, gdy je nazywamy spójnością, jak i wtedy, gdy przybiéra charakter *przyciągania chemicznego*; działa bowiem tylko przy bezpośredniém zetknięciu, działa rozmaicie przy różnéj naturze ciał i bynajmniéj nie w stosunku do mas.

Nadto siła ta jest bezporównania większą od atrakcyi, dowodząc tém samém, że tu przyłączają się inne warunki, zależne prawdopodobnie od niezmiernéj szybkości ruchów melekularnych i od rozrzedzenia przez gwałtowny obrót téj atmosfery eteru, która się wewnątrz cząsteczek znajduje. Powstały stąd olbrzymi nacisk z zewnątrz łatwo nam usprawiedliwi, tak jak w półkulach magdeburskich, tę niezmierną siłę spójności, która przeciwstawia się najmocniejszym działaczom, chociaż bynajmniéj nie jest wynikiem jakiejś wewnętrznéj przyciągającéj własności atomów.

I tu przyciąganie występuje tylko jako *skutek ruchu.*

Według obliczeń Dupré'go, siła, z jaką wodor trzyma się tlenu w wodzie, odpowiada na przestrzeni 1 milimetru kwadratowego: 1673 *kilogramom*! Taki więc ciężar potrzebaby uwiązać do cząstki wodoru, ażeby ją od tlenu oderwać.

Siła spójności mechanicznéj jest już słabszą. Dla oderwania jednéj cząstki *wody* od drugiéj potrzebaby na 1 m. m. kw. 70 *kilogramów.*

W obu tych wypadkach rozerwanie cząstek znaczy tyle co powstrzymanie jednéj z nich od ruchów gwałtownych jakie inne odbywają, albo téż nadanie jéj ruchu innego i różnokierunkowego z temi jakie odbywa reszta. Ruchy chemiczne są więc widocznie znacznie żywsze niż ruchy spójności, a przypuszczenie to potwierdza rzut oka na widmo słoneczne, w którém promienie chemiczne występują jeszcze po za granicą najszybszych drgań świetlanych. Siła saméj atrakcyi, zgodnéj mniéj więcéj z formułą $\frac{m}{d^2}$ musi polegać na ruchach znacznie słabszych; wypada bowiem z rachunku, że przy zetknięciu 1^0 milimetrowych powierzchni mas, przyciąganie ich równoważy zaledwie 10, 32 *gramów*, a nadto według obliczeń Belli'ego i Sechiego, warunki, przy których taki rezultat otrzymujemy, tylko teoretycznie są możliwe. Przy téj zaś gęstości ciał jakie znamy, rzeczywista siła atrakcyjna jest jeszcze o wiele mniejszą.

Bądź co bądź, pomiędzy chemizmem, spójnością i atrakcyą, różnice są tak wielkie, że mimo wspólnéj im zasady dynamicznéj, mimo że wszystkie trzy siły są niewątpliwie i wyłącznie objawem ruchu (1), ruch ten nie da się wyprowadzić z jednéj formuły i z jednego prawa o stosunku prostym mas i odwrotnym kwadratów odległości. To téż większość badaczów uważa spójność, łącznie z przyleganiem i włoskowatością z jednéj, a przyciąganie chemiczne z drugiéj strony za siły odrębne i samoistne, których do atrakcyi powszechnéj sprowadzać nie można.

Lecz w takim razie cóż się stanie z syntezą? Cóż się stanie z ową zuchwałą myślą Laplace'a, że obrotem atomów i obrotem gwiazd też same rządzą prawa?

— Nie wątpliwie na drodze dzisiejszéj teoryi samoistności sił, syntezy téj nie osiągniemy, sądzę nawet, że badając bliżéj nie wyczerpany jeszcze naukowo obszar sił molekularnych, dojdziemy owszem do nowych poddziałów, i wiadomo, że zwłaszcza w obrębie życia organicznego tych sił natworzono co nie miara. Ale zarazem

---

(1) Myśl, że powinowactwo chemiczne jest skutkiem ruchów atomowych, głosi u nas od 20 lat prof. Dr. Czyrniański z Krakowa. Szkoda tylko, że odrzucając przyciąganie chemiczne, zatrzymuje jednak zastarzałe pojęcie atrakcyi.

wierzę w to silnie, że zjawiska przyrody zawiłe i złożone w swym przejawie, są proste i jedne w swéj zasadzie, że wprawdzie nie te same prawa szczegółowe rządzą ruchami gwiazd i atomów, ale że taż sama ogólna zasada dynamiczna sprowadza skutki maksymalne i minimalne—zasada która głosi, że każda siła w przyrodzie jest ruchem i że tajemnicą wszystkich sił i zjawisk jest wzajemna zamiana ruchu mas na ruch cząstek.

(D. c. n.)

Julian Ochorowicz.

KANALIZACYA

I ZAOPATRZENIE W WODĘ MIASTA WARSZAWY.

Studyum nad projektem inżyniera

W. Lindley'a.

Jedną z właściwości naszego wieku, wynikającą z postępów cywilizacyi i z potrzeb, które się coraz więcéj i ogólniéj czuć dają, jest dążenie ludności wiejskiéj do osiedlania się w miastach. Napływ ten ludności do miast przypisać należy głównie rozwijającemu się przemysłowi, który coraz znaczniejszą liczbę rąk zużytkowuje; z drugiéj zaś strony, niemożebność ekonomiczna parcelowania po za pewną granicę gruntów po wsiach zmusza nadmiar ludności wiejskiéj, nie mającéj posiadłości ziemskiéj, do szukania w mieście zajęcia i zarobku.

Jakiekolwiek są przyczyny postępującéj ciągle aglomeracyi mieszkańców po miastach, fakt ten jest niezaprzeczony i należy się z nim rachować, a to tém bardziéj, że jego skutki mogą się stać szkodliwymi dla mas ludności, skupionych na małéj przestrzeni. Do najważniejszych czynników w życiu fizycznem człowieka należą bez wątpienia dwa, tak zwane, żywioły starożytnych: powietrze i woda. Dla tego téż jest zadaniem władz, którym poruczono czuwanie nad dobrobytem mieszkańców miast, rozciągnąć szczególny nadzór nad témi darami, które natura daje ludziom darmo, ale które w pewnych okolicznościach należy odtworzyć lub do żądanéj doskonałości doprowadzić.

Racyonalna, kompletna kanalizacya miasta i zaopatrzenie go obficie w zdrową wodę, są to sposoby pewne zobojętnienia niedobrych, pod względem sanitarnym, warunków, które aglomeracya ludności za sobą pociąga.

Że to, co dotąd istnieje w Warszawie, bądź pod względem kanalizacyi, bądź wodociągów, jest nie wystarczającém ani zadawalnia-

jącem, o tém nikt pewno nie wątpi. Czyniono téż mnogie usiłowania, aby wyjść z tego opłakanego stanu, ale dotąd bezskutecznie. Owocem nowych badań i prac jest projekt podany przez inżyniera W. Lindley'a, z którym zamierzamy zaznajomić czytelników.

Celem naszego studyum jest ogólne opisanie i krytyczne rozebranie zasad projektu a szczególniéj ocenienie korzyści, jakie Warszawa odniesie z jego wykonania.

Wyczerpujące techniczne sprawozdanie wydaje się nam, jak na teraz, niepodobném do uskutecznienia, gdyż ani wzory ani dane empiryczne, na których się opierał p. Lindley, nie są nam znane. Przypuszczanie zaś i dorozumiewanie się może, w podobnych kwestyach, do najfałszywszych rezultatów doprowadzić. Dla tych przyczyn będziemy głównie mieli na oku zasady projektu, który tylko za *przedwstępny* uważać można.

Rozdzielimy całe studyum na dwie części i traktować będziemy osobno: 1) kanalizacyę miasta Warszawy, i 2) zaopatrzenie tegoż miasta w wodę.

I.

Nim przystąpimy do opisu i oceny projektu inżyniera W. Lindley'a, zastanówmy się nad kanalizacyą miast w ogóle, nad jéj celem i nad metodami dotąd używanemi. Zaczynając od odpadków i zanieczyszczonych wód, które z miasta oddalić należy, można je podzielić na następujące kategorye. Pierwszą stanowi woda atmosferyczna to jest deszczowa i śniegowa, albo raczéj ta część spadłéj na ziemię wody obłokowéj, która nie wsiąkła lub niewyparowała. Dobrze utrzymane drogi i ulice nie powinny dopuszczać wsiąkania wody deszczowéj, pod któréj działaniem rozmiękają dolne warstwy gruntu; pewna jednak część atmosferycznéj wody wsiąka do ziemi i zasila tak zwaną *wodę zaskórną*. Podnoszenie się poziomu tych podziemnych wód powinno być ile można wstrzymywane, i w tym celu nadmiar wody podskórnéj należy téż odprowadzać kanałami. Do drugiéj kategoryi zaliczamy wodę, pochodzącą z czyszczenia i polewania ulic i dziedzińców, również jak i z domowego użycia. Jest ona zanieczyszczona i unosi z sobą różne odpadki w stanie stałym, które jak najprędzéj oddalonemi być powinny, gdyż pod działaniem powietrza ulegają szybkiemu rozkładowi i zepsuciu. Do trzeciéj kategoryi dają się zaliczyć odchody ludzkie i zwierzęce w stanie ciekłym, do czwartéj też odchody w stanie stałym, do piątéj zaś i ostatniéj kategoryi należy woda unosząca odpadki z fabryk i przemysłowych zakładów.

Różnorodność przedmiotów zestawionych powyżéj naprowadza na pytanie: czy należy je wszystkie oddalać w jeden i ten sam sposób, lub oddzielnie i stosownie do ich właściwości. W tym punkcie rozchodzą się metody odprowadzania z miast wód nieczystych i odpadków. Jeden system zasadza się na spławianiu wodą nieczystości 4-ch pierwszych kategoryj w kanałach zamkniętych i głębokich, drugi zaś zastosowuje do 3-ciéj i 4-téj lub tylko do 4-téj wywózkę w umyślnie do tego celu urządzonych naczyniach. Co do nieczystości 5-téj kategoryi, zwolennicy pierwszéj metody spławiają je też kanałami, jeżeli zawarte w nich chemiczne substancye nie są w stanie uszkodzić ścian tychże kanałów; w razie zaś przeciwnym, muszą one uledz chemicznemu rozkładowi, któryby je uczynił nieszkodliwemi. Według drugiéj metody, spławianie stosuje się tylko do płynów, odpadki zaś stałe wywożone być powinny.

Przy ocenianiu porównawczém wartości tych dwóch sposobów oczyszczania miasta należy mieć dwa względy na oku, mianowicie wzgląd ekonomiczny i higieniczny. Zastanówmy się najprzód nad ekonomiczną stroną obu metod. Tu przedstawiają się nam dwa punkta odrębne: koszta nakładu i funkcyonowania systemu, i z drugiéj strony użytek dla gospodarstwa z odpadków i wód zanieczyszczających miasto. Co do kosztu nakładowego, to metoda całkowitego spławiania nie jest bynajmniéj droższą od wywózki częściowéj. Doświadczenie pokazało, że odprowadzenie odchodów ludzkich kanałami nie wymaga powiększenia ich profilu poprzecznego. Ilość wody służącéj do opłukiwania waterklozetów jest nieznaczącą wobec téj, która przepływa przez kanały podczas ulewnych deszczów. Jako koszt nakładowy przedstawia się nam jedynie pierwszy rozchód na waterklozety, który wedle wyliczenia kompetentnego inżyniera p. Cieszkowskiego (1) wynosić może na osobę około rs. 15, co czyni na całą Warszawę rs. 5.250.000. Ten wydatek jednak spada na właścicieli posesyi i nie powinienby wchodzić w rachunek kosztu kanalizacyi. Mimo to przyjmiemy tę cyfrę, gdyż należy się zapatrywać na tę kwestyę z punktu ekonomii ogólnéj nie zaś wydatków, które miasto, uważane jako gmina, będzie miało do poniesienia. Idąc zatém daléj i zasadzając się na danych p. Cieszkowskiego, redukujemy sumę rs. 5.250.000 na procent z amortyzacyą, co czyni rocznie rs. 525.000: Do tego dodać należy rs. 128.000, jako wydatek na wodę do spłukiwania waterklozetów (licząc jedną stopę kubiczną wody na mieszkańca), co daje całkowity roczny wydatek rs. 653.000, to jest rs. 1. kop. 86

(1) Patrz „Ekonomista" Nr. 16. r. 1879.

na każdego mieszkańca. Wywózka kompletna wszelkich nieczystości kosztowałaby rs. 536.500; procent od sumy potrąconéj na reperacyę 2.000 przynajmniéj dołów kloacznych wynosi rs. 100.000. Wywózka zatém kosztowałaby blizko rs. 636.500 rocznie, to jest rs. 1 kop. 82 na osobę.

Widzimy z tego porównania, że pod względem wydatku system wywózki nie przedstawia się korzystniéj od spławu kompletnego.

Wartość pieniężna odchodów ludzkich była przedmiotem mnogich dyskusyj w tutejszych dziennikach. Kwestya ta jednak nie wpływa na ocenienie wartości ekonomicznéj systemu proponowanego przez p. Lindley'a, gdyż nieczystości przechodzące kanałami tylko w pierwszym peryodzie istnienia kanalizacyi będą ginąć bez korzyści dla rolnictwa. Po urządzeniu pól do irrygacyi i wystawieniu pomp potrzebnych będzie można spożytkować odchody, których wartość roczna jednak podług obliczeń p. Cieszkowskiego nie przenosi rs. 161.000

Przejdźmy do punktu widzenia higienicznego. System spławiania całkowitego góruje tu najwidoczniéj, gdyż odpowiada najlepiéj pierwszemu celowi kanalizacyi: odprowadzenia *najśpieszniejszego* odchodów ludzkich i innych odpadków. Jamy miejsc ustępowych, które nigdy nie są zupełnie szczelne, a często wyczyszczane być nie mogą, zatruwają zawsze do pewnego stopnia powietrze swojemi wyziewami. Nieszczelność ścian sprowadza zanieczyszczenie wód zaskórnych zasilających studnie, przytem ogólnie jest znaném, że oscylacye poziomu tych wód, tam gdzie one unoszą organiczne cząstki w stanie rozkładu, najszkodliwiéj wpływają na zdrowie mieszkańców. Należy zatem jak najprędzéj wydalać z miast odchody ludzkie, a najlepiéj temu celowi odpowiada system spławiania całkowitego, przy którym nieczystości przechodzą wnet do kanałów i spłukane są bardzo szybko w stanie wielkiego rozcieńczenia. Ściany i dno kanałów dosyć są nieprzepuszczalne, aby nie dozwalały na oddziaływanie płynu, w ruchu będącego, na ziemię otaczającą kanał; wpływu zatem na wodę zaskórną woda kanałowa mieć nie może. Dobrze urządzona wentylacya kanałów i zamknięcie wodą otworów wpustowych ulicznych zabespieczy od zanieczyszczenia powietrza gazami mogącemi powstawać w kanałach.

Powyższe uwagi doprowadzają nas do wniosku, że system całkowitego spławiania wszystkich nieczystości kanałami, proponowany dla Warszawy przez p. Lindley'a, jest najkorzystniejszym pod względem ekonomicznym i sanitarnym.

Zastanówmy się teraz nad samym projektem, któregośmy zasady dopiéro poznali.

Pod względem wzniesienia ponad poziom Wisły, Warszawa dzieli się na dwie części, z których jedna, górna, znajduje się na średniéj wysokości 120 do 80 stóp nad najniższy stan rzeki, dolna zaś część miasta, oddzielona od górnéj spadzistym stokiem, położona jest na wysokości 25 do 15 stóp nad tenże poziom. Oprócz spadu ku Wiśle grunt obu części miasta ma pochyłość z południa na północ to jest w kierunku biegu rzeki. Ta okoliczność dozwala przeprowadzić główne kanały równolegle do Wisły i wpuścić je do rzeki w stosownéni oddaleniu od miasta. Kanały dzielnicy dolnéj nie mogły być połączone bezpośrednio z kanałami górnemi z powodu znacznéj różnicy poziomu.

P. Lindley projektuje cztery główne kanały, równoległe prawie do Wisły; pierwsze trzy, położone w górnéj części miasta, łącząc się, tworzą ostatecznie jeden wielki kolektor. Ścieki przepływające 4-tym kanałem, przeznaczonym do asenizacyi dolnéj części miasta, a położonym daleko niżéj od poprzednich, przepompowywane być mają do najbliższego górnego kanału i za pomocą tegoż kanału łączyć się będą w głównym kolektorze, ze ściekami pochodzącymi z trzech innych kanałów, obsługujących górne miasto. Do podnoszenia ścieków p. Lindley proponuje bardzo słusznie, aby użyte zostały pompy istniejącego zakładu wodociągowego przy ulicy Gęstej, któreby się korzystniéj spożytkować nie dały.

W taki sposób wszystkie ścieki kanałowe dostałyby się bądź bezpośrednio bądź za pomocą pomp do głównego kolektora. Tutaj przedstawiają się dwie drogi: można je wpuścić do Wisły albo też podnosić je pompami. i rozprowadzać rurami na pola do irygacyi przeznaczone. To ostatnie nie może być doprowadzone do skutku zanim stosowne miejsce nie będzie wybraném; koszt urządzenia pomp i rur tłoczących, również jak i przygotowania pól do irygacyi oblicza p. Lindley na przeszło rs. 800.000 i proponuje na ten cel miejscowość na zachodniéj stronie szosy do Modlina, za Burakowem położoną. Zważyć jednak trzeba, że pompy nie będą mogły wystarczyć do podnoszenia na pola ścieków kanałowych znacznie zwiększonych przez wielkie deszcze. Potrzebny byłby zatém koniecznie kanał wypustowy, któryby nadmiar wód odprowadzał wprost do rzeki. P. Lindley projektuje go przeprowadzić koło Marymontu, dając mu bardzo znaczne wymiary I-go klasowego kanału (4 stopy i 8 cali szerokości przy 6 stopach wysokości).

W projekcie p. Lindley'a rozróżniamy trzy odrębne peryody działania. W pierwszym peryodzie wszystkie ścieki z głównego kolektora odpływać będą do Wisły kanałem wypustowym marymonckim. W drugim peryodzie główną część ścieków będzie odprowa-

dział do Wisły kolektor przedłużony w kierunku lasku bielańskiego; nadmiar zaś ścieków i wody nawalnic będzie przyjmował kanał marymoncki. W trzecim wreszcie peryodzie ustawione pompy podnosić będą część ścieków kanałowych, które rurami rozprowadzone zostaną na pola do irygacyi przeznaczone. Reszta ścieków odpływać będzie kolektorem bielańskim a kanał marymoncki służyć będzie dla wód nawalnych.

Tu widoczną jest w projekcie p. Lindley'a sprzeczność: jeżeli wpuszczenie ścieków do rzeki pod Marymontem nie jest szkodliwém dla zdrowia mieszkańców podczas pierwszego peryodu (który p. Lindley na jakie 10 lub 12 lat przyjmuje, str. 20), tém mniéj będzie to szkodzić, gdy zakład pompowania i irygacyi funkcyonować zacznie, gdyż wtedy marymoncki kanał służyć będzie dla wód nawalnych, zatem względnie czystych. Kolektor bielański, którego koszt budowy wedle p. Lindley'a bardzo będzie znaczny, stanie się nie potrzebnym, skoro pola dla irygacyi przygotowane zostaną. Długość tego kolektora, licząc od połączenia z marymonckim kanałem wypustowym, jest około 10.000 stóp, koszt zaś budowy jednéj stopy bieżącéj wynosić może, z powodu trudności gruntowych, o których wspomina p. Lindley (zapewne głębokości znacznéj) jako minimum rs. 30. Wydatek cały na budowę kanału razem z wylotem nie wypadnie niżéj rs. 350.000. Możnaby sobie zaoszczędzić tak wielkiego kosztu, wypuszczając wprost wszystkie ścieki kanałem marymonckim dopóki irygacya pól funkcyonować nie zacznie; poczém zaś ten kanał służyć będzie do odprowadzania nadmiaru wód. Zarzut, który tu robimy projektowi p. Lindley'a, nie stosuje się do tego, co bezzwłocznie wykonać wypada; w jednym chyba względzie mogłoby to wpłynąć na obliczenie kosztów kanalizacyi, a to gdyby należało powiększyć wymiary kanału marymonckiego, ale to się nam wydaje zbytecznêm, gdyż profil jego i spadek są znaczne.

Przejdźmy do opisania szczegółowego kierunku głównych kanałów. Kanał zachodni najwyżéj położony, bierze swój początek na Koszykach, gdzie p. Lindley projektuje nowy zakład filtrów i wodozbiór, skręca się Przedokopową na północ i ciągnie się następnie tą ulicą, po wschodniéj stronie okopu, do rogatek Powązkowskich, łączy się z drugim głównym kanałem i nieopodal za przecięciem drogi żelaznéj Obwodowéj dochodzi do miejsca, gdzie ma stanąć projektowany zakład przepompowywania ścieków dla irygacyi i gdzie się téż kończy trzeci główny kanał. Tu bierze początek kolektor główny odprowadzający ścieki do Wisły pod Marymontem.

Drugi główny kanał, zaczynający się u przecięcia ulic Mokotowskiéj i Przedokopowéj, idzie Mokotowską a następnie Marszałko-

wską, przecina Ogród Saski i przez Żabią, Plac Bankowy, Rymarską i Przejazd przechodzi na Dziką i ciągnie się wzdłuż Placu Broni, za którym się łączy z kanałem I. Długość tego kanału II wynosi 17.332 stóp. Kanał III, położony prawie nad samym stokiem łączącym górną i dolną część miasta, bierze początek u Mokotowskich rogatek, Aleją Szucha przechodzi na Aleje Ujazdowskie, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Kozią, Miodową, Plac Krasiński, Nowowiniarską, Bonifraterską i Kłopot. Przecina następnie liniję kolei żelaznéj Obwodowéj i łączy się z kanałem I. Długość jego jest 22.072 stóp.

Wreszcie kanał IV, obsługujący dolną część miasta, zaczyna się przy ulicy Zaokopowéj, za Koszarami Huzarskiemi, ciągnie się ulicami: Rozbrat, Szarą, Okrąg, Cudną, Solec, Dobrą, Maryensztat, Garbarską i Bugaj; kończy się on wraz z ulicą Rybaki, koło fortu Włodzimierza.

Oprócz kanałów bocznych, które łączą się z głównémi arteryami, zaprowadzone będą osobne kanały nawalnicowe, spuszczające nadmiar wody do Wisły. Niektóre z tych kanałów działać będą pod ciśnieniem, i wtedy murowane sklepione ściany będą zastąpione przez rury żelazne. Spuszczanie wód nawalnych do Wisły nie przedstawia żadnych obaw pod względem higienicznym, z powodu czystości tych wód. Funkcyonowanie kanałów nawalnicowych powinno być regulowane stawidłami.

Kanalizacya dziedzińców i domów, i połączenie tych pojedyńczych systemów z kanałami ulicznemi zostawioną jest inicyatywie właścicieli domów i odnośne roboty będą wykonywane pod nadzorem miejskim. Szemat przedstawiony w projekcie p. Lindley'a, objaśnia dobrze urządzenie téj kanalizacyi.

Znaczna głębokość kanałów ulicznych (dno zwykle 12 do 14 stóp pod powierzchnią ulicy, w rzadkich tylko razach 7 stóp) pozwoli osuszyć prawie wszystkie piwnice tak górnéj jak i nawet dolnéj części miasta. To wielkie dobrodziejstwo nowego systemu kanalizacyi przyczyni się zapewne do popularności projektu p. Lindley'a.

System prędkiego spławiania wszelkich odpadków nie dopuszcza formowania się tych gazów, które zanieczyszczają powietrze, jeźli te odpadki długo na miejscu pozostają. Woda, rozcieńczająca i unosząca z sobą części stałe, działa już sama dezinfekcyjnie. Mimo to należy przewidzieć, że pewne gazy, lżejsze od powietrza, a których powstawanie zupełnie wykluczoném być nie może, wydostając się na ulicę źle oddziaływać będą na czystość powietrza. Zapobiedz temu należy przez zaprowadzenie otworów wentylacyjnych. P. Lindley słusznie uważa, że połączenie kanałów z rurami deszczowemi

i kominami domów skuteczną sprawi wentylacyę. Działanie wciągające komina zakładu wodociągowego, który p. Lindley proponuje połączyć z kanałami, będzie się ograniczało na nieznaczną długość kanału; tłoczenie się zaś powietrza zepsutego z całéj sieci kanałowéj do górnéj jéj części, tak jak przypuszcza p. Lindley, zdaje się nam przesadzoném. Dodamy w tym względzie uwagę, że w wentylacyjnych otworach dobrze by było zaprowadzić używane w Angli przyrządy do oczyszczania powietrza wychodzącego z kanałów. *P. Latham* między innemi wynalazł aparat nie drogi, w którym powietrze przeprowadza się przez węgiel drzewny, miałko utłuczony, działający dezinfekcyjnie. Naszém zdaniem najwięcéj należy liczyć na kominy i rury deszczowe, których funkcyonowanie zależeć będzie od mniejszéj lub większéj gotowości właścicieli domów do wprowadzenia u siebie kanalizacyi.

Wiadomo jest z praktyki, że kanalizacya miast działa bardzo na ustalenie poziomu wody gruntowéj. Jakkolwiek nieprzepuszczalne są ściany kanałów, woda zaskórna przesiąka jednak wewnątrz i nawet bez tego toruje ona sobie drogę wzdłuż kanału, w kierunku jego spadku. Aby jednak jéj nadmiar jeszcze kompletniéj odprowadzić, zdałoby się nam skutecznéni użyć sposobu, który zastosowany przy kanalizacyi Wrocławia. doskonałe wydał rezultaty: obok kanałów kładną się zwyczajne rury drenowe, które co pewną odległość wpuszczają się do kanału. Otwory wpustowe powinny być zaopatrzone w klapy, nie dozwalające ściekom, w razie podniesienia się poziomu wód w kanałach, zanieczyszczać rury i oddziaływać w szkodliwy sposób na wodę zaskórną.

Czyszczenie kanałów uskuteczniane będzie za pomocą zatrzymania ścieków przez zamknięcie wrót, które w pewnych odległościach umieszczane będą. Mają one być z lanego żelaza i dozwalać będą odpływać nadmiarowi wody, gdyż nie dosięgają one do wierzchu profilu jajkowatego.

Jakeśmy już powiedzieli, projekt p. Lindley'a w wielu punktach wielkiéj wagi zostawia nas w niepewności, nie pozwalającéj dokładnie ocenić liczb i rezultatów w nim podanych. Jedną z tych kwestyj jest prędkość minimalna, którą p. Lindley uważa za potrzebną do utrzymania kanałów w czystości. Znajdujemy w projekcie tylko tę ogólną uwagę, że trzeba kanałom dawać taki spadek, aby osiągnąć „*największą* prędkość.“ *Wicksteed* mniema, że prędkość 0.9^m (prawie 3 stopy) na sekundę jest dostateczną dla kanałów średniéj wielkości, a $1^m,1$ (około 3 stop 8 cali) dla małych. Żeby sprawdzić czy p. Lindley trzymał się téż w tych granicach, należałoby wyliczyć dla kanałów stosunek spadku do wymiarów profilu, coby nie odpo-

wiadało celowi naszego studyum. Profil jajkowaty, uznany ogólnie za najkorzystniejszy, przyjęty został przez pana Lindley'a, który rozdziela wszystkie kanały na 8 klas; nadto 9-tą i 10-tą klasę tworzą rury z lanego żelaza. Oprócz głównych wymiarów (wysokości i szerokości) kanałów, nie znajdujemy innych danych, potrzebnych do odtworzenia geometrycznéj figury. I tak nie są naznaczone promienie kół wchodzących w skład profilu.

Ściany sklepienia kanałów mają być z najlepszéj cegły, spód zaś ze *sztajngutu* lub z *dobrego betonu cementowego*, a to aby mieć dno jednolite, twarde i nieprzepuszczalne.

Dla wielkich kolektorów proponuje p. Lindley słusznie na to miejsce *granit Norweski*, który jako twardszy mało się szlifować i zużywać będzie.

Wrota z żelaza lanego, mające służyć do zatrzymywania ścieków w kanałach, podaje p. Lindley z detalami, ale nie nadmienia w jakich oddaleniach zamierza urządzić zastawy i czy wszystkie mają mieć wejścia boczne, co byłoby bardzo do życzenia.

Dla dobrego funkcjonowania ważném jest, aby ile można wstrzymać piasek uliczny od zamulania kanałów, w tym celu połączenie otworów wpustowych ulicznych z siecią kanałów ma być opatrzone rodzajem studzienki, mieszczącej w sobie osadnik do piasku, który od czasu do czasu oddalanym być może. Dodamy jeszcze w tym względzie, że połączenie ulicznych otworów z kanałami nie jest bezpośrednie; ciągłe zamknięcie wodą zabezpiecza przeciw wyziewom.

Nie znajdujemy u p. Lindley'a dokładnéj wiadomości ile wody uważa za potrzebne wpuszczać prosto do kanałów dla ich spłukiwania, i jak często będą takie operacye miały miejsce. Widzimy tylko w kilku ustępach projektu, że będą w tym celu wystawione w niektórych punktach osobne zbiorniki (str. 30 i 38).

Przejdźmy teraz do kosztorysu p. Lindley'a. Nasamprzód należy zwrócić uwagę na to, że wszystkie obliczenia opiérają się na fikcyjnym i tylko do rubla metalicznego dającym się zastosować kursie 1 rubel równy 3,20 markom w złocie. Stosunek ten jest od lat przeszło 20-tu jedynie tylko *pium desiderium*; można też do niego odnosić kosztorys, którego miara powinna być stałą, ale należy dodać, że się liczy na ruble metaliczne, któréj wzmianki nigdzie nie znajdujemy. Program finansowy powinien natomiast opiérać się na kursie prawdopodobnym w chwili, gdy się roboty rozpoczną, gdyż kapitały, rozporządzalne a wykazane przez p. Prezydenta miasta, nie są obliczone w rublach metalicznych ale papierowych. Kosztorys p. Lindley'a obejmuje następujące pozycye:

Część miasta górna.				
Długość ogólna kanałów głównych i bocznych	stóp	339.846		
na sumę			rs.	2.988.377
Część miasta dolna.				
Długość kanałów	stóp	136.204		
na sumę			rs.	1.455.991
Razem kanałów stóp bieżących na		476.050		
sumę			rs.	4.444.368

Z téj cyfry wypada koszt stopy bieżącéj kanału na rs. 9 kop. 33, na każdego zaś mieszkańca Warszawy, licząc jéj ludność na 315.000, po rs. 14 kop. 9. Nie mamy danych aby porównać tę liczbę z cyframi, które dają kanalizacye innych miast; zresztą takie porównanie, przy różnorodności warunków, nie miałoby wielkiéj wagi. Wierzymy też na słowo p. Lindley'owi, który zapewnia, że powyższe cyfry są umiarkowane.

Dla Pragi, któréj p. Lindley nie radzi kanalizować teraz, z powodu małéj stosunkowo ludności a zbytniego kosztu, zaznaczone są tylko na planie ogólne zarysy kanalizacyi. Kwestya ta będzie wymagała osobnych studyów w mniéj lub więcéj oddalonéj przyszłości.

Zakończmy to krótkie studjum nad projektem kanalizacyi p. Lindley'a kilku ogólnemi uwagami. Jakeśmy się starali dowieść zasada spławiania wszelkich nieczystości daje się najkorzystniéj zastosować do wszystkich miast w ogóle a zatém i do Warszawy, szczególniéj gdy ścieki będą zużytkowane do użyzniania pól. Ocenienie odpowiedniości wybranego kierunku kanałów również jak i skontrolowanie ich wymiarów i spadków, jest niepodobném, gdy się nie ma pod ręką dokładnych kotowanych planów, którémi się posiłkował P. Lindley; zresztą nie wchodziło by to w obręb zadania, któreśmy sobie w tém studyum postawili.

Nie wątpimy, że przed przystąpieniem do robót detaliczny projekt przejdzie przez ręce komisyi złożonéj ze specyalistów, którzy go gruntownéj krytyce poddadzą. Zdaniem naszém publiczność może oceniać i powinna się interesować wyborem ogólnym systemu, detale powinny być zaś zostawione zdolnemu wykonawcy. Od niego to zależeć będzie czy miliony, które kanalizacya pochłonie, zostaną zmarnowane lub dobrze użyte. Najważniejszym zadaniem w téj sprawie, pierwszorzędnéj dla naszego miasta, jest, po wyborze systemu, wybór inżyniera. P. Lindley, znany ze swych prac skutkiem uwieńczonych na tém polu w Glasgowie, Hamburgu Düsseldorfie i Peszcie, przedstawia najlepszą gwarancyę. Mamy więc nadzieję, że kanali·

zacya z projektu na papierze przejdzie w stan czynny i że w niedalekim czasie danėm nam będzie korzystać z jéj błogich skutków.

II.

Zadanie zaopatrzenia naszego miasta w wodę lepszą niż dotąd równéj jest doniosłości dla jego mieszkańców jak kanalizacya. Każdy to przyzna, komu się tylko zdarzyło przypatrzeć się przy świetle wodzie dostarczanéj przez istniejące wodociągi, nietylko podczas wysokiéj wody w Wiśle, ale nawet w najkorzystniejszéj porze roku. Organiczne przymieszki, które się znajdują ciągle w zawieszeniu w téj, niby filtrowanéj wodzie, są dla ludzkiego organizmu trucizną, równie szkodliwą jak wyziewy i mijazmata pochodzące ze spływających odkrytemi rynsztokami ścieków lub z nieszczelnych dołów kloacznych. Główną zapewne przyczyną tego smutnego stanu rzeczy jest położenie istniejącego zakładu wodociągowego. Czerpie on wodę z rzeki w miejscu, gdzie ona najwięcéj jest zanieczyszczona, gdzie wchodzące kanały wprowadzają do jéj nurtów w stanie rozkładu zostające odpadki. Nie znając konstrukcyi filtrów, nie możemy sądzić czy te, któremi się zakład posługuje, są loicznie i dobrze urządzone; jedno jest pewném, że najlepsze filtry nie oswobodzą kompletnie wody tak zanieczyszczonéj, jak jest woda wiślana koło ulicy Gęstéj. Dla tego też uspakajającą jest dla nas analiza wody czerpanéj w tém miejscu, gdzie wedle projektu ma stanąć nowy zakład pomp rzecznych.

Żeby osądzić czy skład chemiczny wody wiślanéj jest zadawalniającym, zastanówmy się nad różnemi użytkami, do których służy woda i nad przymiotami, które posiadać powinna. Wodę, którą wodociągi miastu dostarczają, podzielić można pod względem użytku na 4 główne kategorye:

1) wodę do picia,

2) wodę do kuchennego i domowego użytku,

3) wodę zasilającą zakłady przemysłowe, kotły, farbiarnie i t. p.

4) wodę do czyszczenia i skrapiania ulic. gaszenia pożarów.

1) Woda do picia jest bezwarunkowo najlepszą, kiedy pochodzi ze źródła; powinna być stosunkowo zimna, tak aby jéj temperatura nie wznosiła się nad 7 do 9^0 Cels. (6 do 8^0 R.). Nie dozwala się wyższy stopień twardości nad 25^0, to jest że 100.000 cząstek wody nie może zawierać więcéj niż 25 części wapna i magnezyi. Proporcya części organicznych nie powinna wynosić więcej niż 3, a azotu w kwą-

sach nie więcéj nad 4 na 100.000. W Warszawie, pomijając temperaturę, do utrzymania któréj w granicach wspomnianych służyć będzie (dla dolnéj części miasta tylko) wodozbiór sklepiony, woda wiślana odpowiada w zupełności wyżéj wymienionym warunkom higieny. Stopień twardości jest 10.73 organiczne części wynoszą 1,9 a azot w kwasach 3,7 na 100.000. W tym jednym ostatnim punkcie zbliżamy się do granic przepisanych; zresztą wiślana woda wcale za szkodliwą uważana być nie może. W Londynie proporcya części organicznych jest 1,05 do 2,59 na 100.000, w Berlinie 1,41. Z tego cośmy powiedzieli wnosić można, że jeśli woda wiślana należycie będzie przefiltrowana to jest od domieszek przypadkowych i mechanicznych uwolniona, i jeżeli ją rury doprowadzą w dość chłodnéj temperaturze, to Warszawa będzie zaopatrzoną w zdrową i dobrą wodę do picia.

2) Woda przeznaczona do kuchni lub do domowego użytku oprócz czystości i niezbytniéj twardości nie wymaga żadnych specyalnych zastrzeżeń.

3) Woda używana do zakładów przemysłowych, mianowicie do zasilania kotłów parowych nie powinna zawierać więcéj niż 18 na 100.000 części wapna i magnezyi. W Warszawie stopień twardości jest 10.73; gatunek wody jest przeto zadawalniający.

4) Od wody używanéj do skrapiania ulic i gaszenia pożarów wymagać można tylko aby była dostarczaną w dostatecznéj ilości. Zresztą każda woda do tego użytku jest dobra.

Z powyższych uwag wnosimy, że *woda wiślana* może być użytą i że jéj skład chemiczny jest pod wszelkiemi względami zadawalniający. Gdyby w blizkości miasta się znajdowały bardzo obfite źródła, należałoby kwestyę wyboru wody jeszcze bliżéj przestudyować; ale kraj płaski, który otacza Warszawę nie pozwala formowania się bogatych źródeł, w które zwykle obfitują tylko górzyste miejscowości. Kontentować się należy wodą z Wisły, któréj nieocenionym przymiotem, oprócz wymienionych wyżéj, jest to że można ją dostarczać miastu w tak wielkiéj ilości, jak tylko pompy podołać będą w stanie.

Maksymalne zapotrzebowanie wody jest pierwszym punktem, który oznaczyć wypada. Przyjmuje się ono proporcyonalnie do liczby mieszkańców. Ponieważ są pory roku, dni tygodnia, i godziny w dniu, w których zużywa się więcéj niż średnią ilość wody, należy obmyśleć sposób regulowania przypływu wody przez rury, tak aby pompy podejmujące ją z rzeki pracowały z jednostajném prawie wysileniem. Pierwszą daną, na któréj się ma zasadzać projekt, jest ilość wody zużywanéj dziennie, która wypada średnio z całego roku.

Cyfry, przyjęte jako normy w różnych miastach, oscylują w dosyć znacznych granicach. I tak *Veitmeyer* przyjął dla projektowanych wodociągów w Berlinie 139 litrów na osobę jako dzienną przeciętnę, *Bürkli* uważa za konieczne latem 188.5, zimą zaś 131.5 litrów na dobę na każdego mieszkańca. Według *Clauss'a* 168 litr. są wystarczające; p. Lindley oparł swój projekt na liczbie 6 stóp kubicznych na dobę i na mieszkańca, co czyni prawie 170 litrów. Z taką ilością miasto może być czysto utrzymane i dostatecznie będzie wody do obsługiwania waterklozetów, które po zaprowadzeniu projektowanéj kanalizacyi zastąpią prawdopodobnie mniéj odpowiednie teraźniejsze urządzenia. Liczba ta przeciętna bardzo się zmienia stosownie do pory roku i dnia. I tak znaleziono, że w Berlinie i Hamburgu maksymum wody zużywa się w Sierpniu, w Kopenhadze zaś w Lipcu; to maksymum miesięczne przewyższa przeciętną o 22%, 29% i 23%. *Veitmeyer* przyjmuje, że dodanie 25% do zużycia tygodniowego, które z 52 tygodni roku wypada, jest dostateczném. W ciągu jednego dnia różnice są jeszcze znaczniejsze i obserwowano w Berlinie, że zużycie wody z 6,5% między 9-tą a 10-tą rano spada do 1%, między północą i 1-szą rano. P. Lindley bierze jako maksymum dzienne wody zużytéj w porze gorącéj lata $8\frac{1}{2}$ stóp kubicznych, co daje $\frac{5}{12}$ albo około 42% nad przeciętnę, i jest wystarczającém wedle danych z innych miast. Jako maksymum godzinne przyjmuje p. Lindley 0,5 stóp kubicznych i do téj ostatniéj liczby powinny być zastosowane wymiary rur doprowadzających wodę do miasta.

Licząc, że ludność Warszawy z czasem wzrośnie do 500.000, należało projekt zastosować do téj cyfry. Wodociąg w stanie kompletnym dostarczałby średnio $6 \times 500.000 = 3.000.000$ stóp kubicznych, latem $8,5 \times 500.000 = 4.250.000$ st. k. P. Lindley zamierza podzielić całe urządzenie pomp i filtrów na cztery części, z których tylko jedną dostateczną być mieni teraz dla Warszawy. Nie możemy się z nim zgodzić w tym względzie, a to z następujących powodów. Warszawa liczy obecnie blizko 350.000 mieszkańców; ilość wody dla nich potrzebna wynosi, jeśli się przyjmie za normę 6 (resp. 8,5) stóp kub. $350.000 \times 6 = 2.100.000$ st. kub. (lub na letnią porę 2.975.000); gdyby zaś tylko czwarta część zakładu pomp rzecznych i filtrów była wykonana, toby ona mogła dostarczać $\frac{3.000.000}{4} =$ 750.000 st. kub. przeciętnie, albo $\frac{4.250.000}{4} = 1.062.500$ st. kub. latem, tak że zamiast 6 i 8,5 st. kub. wypadałoby na mieszkańca i na dobę ledwie $\frac{750.000}{350.000}$ to jest 2,12, i $\frac{1.062.500}{350.000}$ to jest 3.04 st. kub. co czyni 70.01 (resp. 86.06) litrów. Pompy będą wstanie podnieść wię-

céj wody, ale nie dostateczna powierzchnia filtrów nie dozwoli jéj oczyścić.

Cyfry powyższe są widocznie nie wystarczające, a różnica dla nas niezrozumiała. Jedyném przypuszczalném wytłumaczeniem zasady p. Lindley'a może być wzmianka uczyniona na 30 stronnicy jego projektu wodociągu, gdzie jest powiedziano „że sieć rur wodociągowych III-go rzędu, w takiéj obszerności w jakiéj ją zaprojektowano, bardzo wiele kosztować będzie a nie wszyscy mieszkańcy z niéj będą korzystać.“ Przyznamy, że może przez parę pierwszych lat część domów nie będzie wody z wodociągów używać, ale taki stan nie będzie mógł długo trwać, szczególniéj jeżeli woda będzie rzeczywiście dobrą; a przytém nie można przypuścić aby ledwie $\frac{70.01}{170}$ to jest tylko 41% całéj ludności używało wody z nowozałożonych wodociągów. Zatém najdaléj po latach 2 lub 3 trzeba będzie powiększyć zakład pomp i filtrów, a chwilowy choćby niedostatek wody, po tak znacznych poniesionych wydatkach będzie mógł słusznie niezadowolenie wywołać w publiczności. Naszém zdaniem trzebaby było od razu nie ¼ ale przynajmniéj połowę zakładu pomp i filtrów wystawić, tak aby one mogły dostarczyć trzem czwartym teraźniejszéj ludności Warszawy wodę w ilości potrzebnéj.

Jakeśmy powiedzieli, woda ma być czerpana z nurtu rzeki, a najodpowiedniejszą do tego celu jest miejscowość niedaleko rogatek Czerniakowskich, między ulicą tego nazwiska i Wisłą położona. Tutaj będą umieszczone pompy rzeczne, składające się z 2 rur ssących 36-cio calowych, opatrzonych w smok i skrzynkę ochronną, z pomp wprowadzanych w ruch przez machinę parową i wreszcie z rur tłoczących 30-to calowych, które wodę przeprowadzać mają na wyżéj położone filtry. Każda z czterech machin parowych o sile 160 koni, które razem stanowią cały projektowany zakład, ma być obsługiwana przez 4 kotły parowe, z tych 3 ciągle czynne a 4-ty zapasowy. Na te 16 kotłów projektują się 2 kominy po 160 stóp wysokości i 5 stóp średnicy. Na pierwszy raz miałaby, według projektu p. Lindley'a, być postawiona 1 maszyna, z 4-m kotłami i jeden komin wspólny dla dwóch oddziałów. Cały zakład pomp będzie zabezpieczony od wylewów Wisły, gdyż miejscowość, w któréj on jest położony, nie jest wystawiona na działanie wysokich wód.

Przejdźmy do drugiéj części składowéj projektowanego wodociągu, mianowicie do zakładu filtrów i do wodozbioru. Jak to już było powiedziano wyżéj, ilości wody zużytéj w dwóch dniach roku lub w dwóch godzinach jednego dnia różnią się bardzo między sobą. Różnice pochodzące od pory roku mogą być regulowane przez

działanie pomp rzecznych, które podnoszą 6 do 8,5 stóp kubicznych dziennie; różnice zaś okazujące się w ciągu jednego dnia powinny być wyrównane w inny sposób, a to za pomocą zbiornika wody czystéj. Woda doprowadzona rurami tłoczącémi wchodzi do basenu zwanego *seperatorem*, z którego idzie rurami na filtry. Ruch pomp jest regularny i pozwala téż aby dostarczanie wody na filtry odbywało się jednostajnie. Po przejściu przez filtry, wodaby mogła już być oddaną konsumentom, ale aby wyrównać nie jednostajne jéj użycie, należy ją przeprowadzić przez wodozbiór dla wody czystéj a ztąd rurami do miasta. Tu zachodzi różnica w zaopatrzeniu wodą dolnego i górnego miasta: dolna dzielnica miasta położona znacznie niżéj poziomu wody w separatorze i w filtrach, będzie zasilana wodą pod ciśnieniem naturalném zostającą. Ten system nie dalby się zastosować do górnéj części miasta, dla zaopatrzenia któréj należy podnieść wodę na tak zwaną *wieżę ciśnień*, tak aby w najwyżéj położonych ulicach górnego miasta ona działała z rzeczywistém minimalném ciśnieniem 60-ciu stóp.

Główną częścią składową zakładu górnego są *filtry*; zastanowimy się téż bliżéj nad ich konstrukcyą i wymiarami. Celem ich jest przyjmować wodę dostarczoną przez pompy do separatora, oczyszczać ją ze wszystkich zawieszonych w niéj cząstek i oddawać ją potém do wodozbioru. P. Lindley przyjął w swoim projekcie filtry złożone ze słojów poziomych piasku, które rzeczywiście, według zdania kompetentnych techników, najlepsze dają rezultaty. Wierzchnia warstwa piasku drobnoziarnistego ma $1\frac{1}{2}'$ grubości; reszta materyału filtracyjnego im więcéj ku dołowi, tém jest grubszą. U spodu mają być urządzone kanaliki służące do przelewania wody do studzienek, mających na celu uregulowanie odpływu z filtrów za pomocą stawideł.

Dla oznaczenia bardzo ważnego czynnika to jest powierzchni filtrów p. Lindley przyjął, że jedna stopa kwadratowa téjże powierzchni może przeczyścić 12 stóp kub. wody na 24 godzin. Podług *Kirkwood'a* prędkość filtracyi nie powinna przechodzić 3.66 metr. na 24 godzin, to jest 0,15 m. albo 6 cali na godzinę, co się zgadza z podaną przez P. Lindley'a cyfrą. Te dane jednak nie mają bezwzględnéj wartości, gdyż czas potrzebny do przefiltrowania zależy od dobroci i gatunku wody, którą się oczyszcza. *Samuelson* oznaczył prędkość dozwoloną dla wody z Tamizy na 3,5 metr na 24 godzin, dla Elby koło Hamburga zaś tylko na 1,7 do 1,8 metr. Należałoby téż naszém zdaniem przedsięwziąć próby z wodą wiślaną, szczególniéj w porze największego jéj zanieczyszczenia, przed zadecydowaniem kwestyi powierzchni filtrów, gdyż od dostateczności téj powie-

rzchni zależeć będzie głównie czystość wody. Filtry zostaną przykryte sklepieniem, które jest niezbędnie potrzebném do utrzymania równéj temperatury wody, jako téż i dla przeszkodzenia formowania się roślinności... Uwaga, powyżéj zrobiona co do wybudowania tymczasowo tylko czwartéj części całego zakładu, daje się i tutaj zastosować.

Woda przeczyszczona dostaje się ze wspomnianych wyżéj studzienek do wodozbioru, który służy do regulowania nie równych zapotrzebowań dziennych i godzinnych. Ma on zawierać przy 15-tu stopach głębokości 760.000 stóp kub. wody, a przy napełnieniu poziom będzie na wysokości 117 stóp. Składać się on będzie ze 156 prostokątnych pól, sklepieniami przykrytych. Z wodozbioru będą zasilane bezpośrednio rury niższéj części miasta; dla górnéj zaś części przeprowadzona będzie woda do studzienek i do pomp, poruszanych maszynami parowemi, a mogących podnieść dostateczną ilość wody na wieżę ciśnień. P. Lindley przyjmuje, że skoro ludność Warszawy wzrośnie do 500.000 mieszkańców, to z nich na górne miasto przypadnie 410.000, to jest maksymum zapotrzebowania będzie 205.000 stóp kub. na godzinę. Na téj zasadzie obliczono pompy, które wszakże, jak i reszta zakładu, w ¼ części p. Lindley projektuje wybudować. Zatém z 8 machin, o sile 140 koni każda, trzeba by było postawić na pierwszy raz tylko 2, z których jedna zapasowa.

Pompy, poruszane przez te maszyny parowe, wtłaczają wodę dwoma rurami, o 36-cio calowéj średnicy, na najwyższą kotę 210-ciu stóp nad zero Wisły, zkąd ona spływa dwoma innémi rurami łączącemi się z siecią wodociągową. Te 4 rury, stanowiące wieżę ciśnień, zamierza p. Lindley umieścić naokoło komina wspólnego maszyn parowych. Cała ta budowa okrągła będzie miała 40 stóp średnicy.

Nasuwa się tu uwaga, że ponieważ działanie pomp podnoszących wodę na wieżę ciśnień nie może się zastosować do nieregularnego zużycia, musi nastąpić czasami nadmiar ciśnienia w rurach wodociągowych górnego miasta. Zaradzić temu można albo za pomocą osobnego wodozbioru dla téj części miasta, a który p. Lindley uważa za potrzebny tylko w dalekiéj przyszłości (str. 24), albo też za pomocą automatycznych aparatów regulujących działanie pomp podług ciśnienia wody w rurach. Nam się jednak wydaje, że budowy wodozbioru odkładać nie należy i że wynikły koszt opłaci się regularniejszym ruchem maszyn i mniejszym procentem pękniętych rur. Wedle p. Lindley'a, wystarczy wodozbiór na 100.000 stóp kub. objętości; poziom wody byłby wzniesiony na 182 stóp. W opisie

tego rezerwuaru znajdujemy wzmiankę, że ma być urządzony z dzwon żelaznych lanych, mocno między sobą połączonych szrubami i grubémi obręczami z kutego żelaza (str. 25). Taka konstrukcya wydaje się nam niepraktyczną, gdyż przeciwną jest ogólnie znanéj zasadzie, że różnorodnych materyałów, szczególniéj w rezerwuarach, łączyć nie należy, gdyż spójność na tém cierpi. Nadto zdaje się nam, że na wodozbiór tak znacznych rozmiarów (koło 3.000 metrów kubicznych) blacha jest daleko stosowniejszą od żelaza lanego, i w ogóle jest ona używana w podobnych razach. Dla wystawienia tego wodozbioru p. Lindley proponuje miejscowość na Wolskiém Przedmieściu położoną, a na 116 stóp wzniesioną. Wysokość zwierciadła wody nad gruntem otaczającym (182—116) to jest 66 stóp wydaje się nam bardzo znaczną i wpłynie niekorzystnie na powiększenie kosztu wodozbioru. Czy nie dałaby się wynaleść inna miejscowość, choć daléj ale wygodniéj położona?

Nie możemy wchodzić w szczegółowe opisanie kierunku i położenia rur wodociągowych, co by było zanadto skomplikowaném i nużącém; nawet mając plan przed oczyma trudno śledzić za opisem, który podaje p. Lindley w swoim projekcie, a który nie grzeszy jasnością, (może tylko w polskim przekładzie). Zakończymy też nasze studyum krótką wzmianką o części finansowéj projektu. Kosztorys następujący stosuje się do hipotezy, że tylko 1.100.000 stóp kub. wody na dobę zużywać się będzie, co daje na teraźniejszą liczbę mieszkańców $\frac{1.100.000}{350.000}$ około 3.5 st. kub. na osobę.

Oto pozycye wydatków:

Zakład pomp rzecznych	rs.	366.000
Główna linija rur 30″, 12.000 stóp długości, doprowadzająca wodę z pomp do filtrów	„	180.000
Zakład górny filtrów, z separatorem i wodozbiorem .	„	974.000

Sieć rur wodociągowych:

Górne miasto:	główne linije	stóp	84.300	rs.	430.000
	rozgałęzienia	„	391.280	„	655.588
Dolne miasto:	główne linije	„	32.500	„	131.000
	rozgałęzienia	„	82.860	„	136.563
Praga:	główne linije	„	10.700	„	43.000
	rozgałęzienia	„	72.590	„	117.399
	Razem stóp		674.230	na rs.	1.513.550

Wodozbiór ciśnień 100.000 st. kub. obj.	rs.	110.000
Nieprzewidziane roboty	„	506.450
	Rs. . .	3.650.000

Ta suma od razu wydaną być nie potrzebuje, gdyż p. Lindley proponuje, aby rozgałęzienia III-go rzędu nie całkowicie przeprowadzić, na czém się zaoszczędzi na lat parę . . . . rs. 620.000

Zostaje do wydatkowania . . rs. 3.030.000

Jak i w swoim projekcie kanalizacyi, p. Lindley liczy ruble metaliczne à 3.20 marki w złocie; należy nam też i tutaj powtórzyć, że powyższa suma nie daje jasnego wyobrażenia o wydatku, i jeżeli może służyć do ogólnego kosztorysu to w programie finansowym powinna być zastąpiona znacznie wyższą cyfrą.

Po opisaniu nowego projektu, należy się nam zastanowić nad jego odpowiedniością, zatém czy przy wykonaniu robót starannem, o którém nie chcemy wątpić, miasto będzie zaopatrzone w dostateczną ilość dobréj wody.

Jakeśmy to powiedzieli, analiza wody wiślanéj, czerpanéj koło Czerniakowa, jest zadawalniającą i można się spodziewać, że przy dobrém urządzeniu filtrów, dobrém ich funkcyonowaniu i częstém czyszczeniu, woda dostarczana miastu będzie czysta i nawet latem chłodna. Ten ostatni jednak przymiot będzie najmniejszy w wodzie doprowadzanéj do górnego miasta, gdyż woda chłodna z wodozbioru głównego sklepionego, będzie musiała przejść przez pompy i przez wieżę ciśnień, gdzie chociaż otoczona ścianami murowanémi, wystawioną będzie więcéj na działanie zewnętrznéj temperatury niż w sklepionym i ziemią przykrytym wodozbiorze. Nawet gdy się wybuduje rezerwuar na przedmieściu Wolskiém nie polepszy to stanu rzeczy, gdyż wielkie wodozbiory metaliczne, chociaż przykryte dachem i otoczone ścianami, bardzo łatwo dają wodzie temperaturę powietrza zewnętrznego. Dolne miasto lepiéj będzie wyposażone, wodę będzie mu bowiem dostarczał bezpośrednio wielki sklepiony wodozbiór, dający więcéj rękojmi jednostajności temperatury. Co do ilości wody, tośmy już powiedzieli, że zamiast $^1/_4$, naszém zdaniem $^3/_4$ a co najmniéj połowę zakładu pomp i filtrów należałoby odrazu postawić, aby zadowolnić potrzeby teraźniejszéj ludności Warszawy.

Na tém kończymy nasze pobieżne studyum. Staraliśmy się wykazać, że projekt jest w zasadzie korzystnym dla Warszawy, ale że sumy przewidziane w kosztorysie nie będą wystarczające do opłacenia robót, jeźli ich wykonanie będzie takie jakby życzyć można. Wodociąg mianowicie będzie wymagał daleko znaczniejszego na-

kładu. Czy to przysporzenie wydatków powinno spowodować odłożenie projektu *ad infinitum?* o tem zarząd miejski najlepiéj będzie mógł decydować, mniemamy jednak, że ustanowienie nawet podatków miejskich w celu wprowadzenia w życie projektu, byłoby całkiem usprawiedliwione, i że miasto, mające taką przyszłość przed sobą jak Warszawa i rozwijające się tak szybko, nie powinno wahać się wobec ofiar chwilowych, które opłacone będą sowicie polepszeniem się stałém warunków sanitarnych.

Wiktor Sołtan.

LITERATURA DLA LUDU

za r. 1878 i pierwszy kwartał 1879 roku.

Nie wątpimy, że każdy, co się interesuje losami naszego społeczeństwa, zechce razem z nami rozejrzéć się w duchowéj strawie, jaką się karmi ta sfera, którą ludem nazywamy.

Rozglądanie się w treści literatury przeznaczonéj dla ludu daje nam poznać jéj pożywność i kierunek wychowawczy ludu a więc wykazuje, czego się od niego spodziewać możemy w przyszłości; rozpatrzenie formy, czyli sposobu, w jaki ta strawa duchowa jest podawaną, wykazuje, o ile możemy się spodziewać skutku z owéj działalności wychowawczéj.

Zastanawianie się nad literaturą ludową przynieść może innéj, szlachetniejszéj natury korzyści: wykazuje bowiem, o ile inteligencya spełnia obowiązek moralny względem młodszéj współbraci; wykazuje do pewnego stopnia i rezultaty duchowego rozwoju ludu, rezultaty dziewięciowiekowego (jak u nas) wpływu na lud cywilizacyi. To téż ciekawą niezmiernie byłaby rozprawa, wyjaśniająca porównawczo poziom umysłowy i moralny ludu oraz prace, przez inteligencyą dla niego dokonane u nas a gdzieindziéj. My jednakże, jak na teraz, nie zamierzamy nadać obszerniejszego zakroju naszéj pracy, lecz pragniemy tylko wykazać: *co* i *jak* zrobiono w literaturze dla ludu w ciągu ostatnich pięciu kwartałów; w miarę sił naszych, postaramy się téż o ocenę treści i formy téj literatury.

Na podniesienie duchowego życia naszego ludu wpływa: kościół, szkoła, literatura i stykanie się z inteligentniejszą sferą. Ująć doniosłość wpływu na lud sfery inteligentniejszéj i sformułować go niepodobna; prędzéj się to uda, gdy zechcemy wpływ trzech poprzednich czynników określić.

Kościół, przy dzisiejszych stosunkach, jeżeli zdoła zaszczepić w ludzie religijne uczucie, nauczyć go najgłówniejszych zasad wiary i moralności na religii opartéj, zrobi wiele. Szkoła, taka jaką zwykle napotykamy wśród naszego ludu, jeżeli nauczy czytać, nie mało dokaże. Na literaturę zatém spadnie wszystko to, czego po za pierwszemi zasadami religii, moralności i umiejętnością czytania, życie duchowe wymaga. A więc, od literatury lud nasz oczekuje, aby przedstawiała stosunki jego życia familijne, sąsiedzkie i w ogóle społeczne, aby je malowała w sposób prowadzący lud do poznania ich i uszlachetnienia, do poznania wynikających z nich obowiązków, by je z samowiedzą i coraz chętniéj wykonywał. Daléj, obszerne pole dla takiéj literatury stanowi walka z uprzedzeniami, przesądami; następnie zaznajamianie ludu z tém wszystkiém, co może wpłynąć na udoskonalenie jego zajęć odnośnie do rolnictwa i odpowiedniego przemysłu, co wyrobić może zaradność we wszelkich potrzebach jego życia; nakoniec, literatura taka winna rozbudzać w ludzie pojęcia o wyższych potrzebach społecznych, rozbudzać ku nim dążności, oraz podawać środki do ich urzeczywistnienia.

Taka, zdaniem naszém, winna być treść literatury ludowéj; co zaś do formy, powiemy, że taką być powinna, aby wyrabiała w ludzie upodobanie do czytania.

Przyjrzyjmy się tedy téj literaturze i zobaczmy o ile wywiązała się z tak wielkiego zadania. A mamy przed sobą: powieści, rozprawy, podręczniki pedagogiczne i czasopisma.

Nim atoli przystąpimy do szczegółowego sprawozdania, niech nam wolno będzie wypowiedziéć słowa serdecznego uznania tym, co podejmują pracę około oświaty ludu. Jak obecnie u nas za swą pracę, jeżeli już nie talent, nie są wynagradzani ani rozsławianiem imienia, ani materyalnie tak, jakby byli wtedy, gdyby dla innych sfer pisali. Nagrody téż we własném przekonaniu chyba tylko szukają i za to im cześć istotna.

Złożyć ten hołd za poczciwe chęci i prace uważaliśmy za konieczne przed tém, nim przystąpimy do rozpatrzenia płodów tych chęci i prac, aby nas nie posądzono, iż wytykając z całą otwartością ujemne strony wykonania, lekceważymy autorów i nie oceniamy ich szlachetnych dążności.

W ciągu ostatnich pięciu kwartałów liczba książeczek, które do powieści zaliczyć wypada, jest dosyć pokaźną. Powiastki te różnią się wybitnie nastrojem: jedne z nich malują tylko pewne sytucye, aby mieć sposobność zaszczepienia pobożności, jako lekarstwa na wszystkie bóle; inne powtarzają baśni ludowe, ująwszy je tylko w pewien ład artystyczny i ozdobiwszy piękną szatą słowa; inne nakoniec

traktują rzecz na sposób, jakiego używa sztuka, to jest opierają się a przynajmniéj chcą się opierać na podstawach psychologicznych i estetycznych.

Zajmiemy się najprzód temi ostatniemi. Przypisujemy im najwyższe znaczenie, boć takie płody literackie największy wpływ wywierają, jak nam to obserwacya wykazuje. Zaliczymy do nich z książeczek osobno (nie w czasopismach) wydanych powiastki: „Zięciowie“ przez Aleksandrę Marczewską, „O Kasi, ładnéj dziewczynie“ przez Marysię z pod Jasnéj-Góry, „Cudze szczęście“ przez Bronisława Grabowskiego, „Błogosławieństwo Boże,“ „Zgubne lekarstwa“ i „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz“ przez W***.

P. Bronisław Grabowski w swoim utworze walczy przeciw zazdroszczeniu cudzemu szczęściu (głównie mienia); p. Marczewska doradza ojcom, aby przy wyborze zięciów troszczyli się nie tylko o stronę ich materyalną, ale i (a nawet głównie) o moralne ich przymioty; Marysia z pod Jasnéj Góry wyśmiewa pokojówki, co na panie chorują, zwłaszcza w skutek czytywania egzaltowanych romansów; W*** uderza, a przynajmniéj chce uderzać, na przesądy, jakiemi się kieruje lud przy leczeniu chorych; to znowu daje typy poczciwéj i niepoczciwéj służącéj, z których pierwsza została wynagrodzoną a druga ukaraną; nakoniec opowiada, jak poczciwy pastuszek, wiedziony jakąś wyższą dążnością, oddaje się naukom, zostaje bogatym fabrykantem i dobroczyńcą wielu ludzi.

Nie wchodząc w to, czy ideje, które podjęli autorowie, są zarówno ważne, względnie do duchowych potrzeb naszego ludu, czy nie ma ważniejszych, których nikt nie dotyka, przyznamy, że demoralizującemi nie są, a nawet, że pożyteczne. Ale niestety, samo wynalezienie tematów, choćby najtrafniejszych, nie jest jeszcze wypełnieniem zadania: skuteczny wpływ utworu literackiego zależy od sposobu jego wykonania. Że nasi autorowie, jako środek do duchowego podniesienia ludu, obrali sztukę, dobrze zrobili, bo ona podbija serca i umysły, robi pokornym niewolnikiem każdego, kogo podbije, wielbicielem idei, którą pod swoję protekcyą przyjęła. A autorom przecież o to chodziło. Dobrze zrobili, że z dziedziny sztuki, któréj materyałem słowo, wybrali powieść, bo ona najpopularniejszą, najwygodniejszą do przeprowadzenia idei. Ale, ażeby powieść zniewalała serca, podnosiła i wzbogacała umysły, potrzebuje wielu warunków, stanowiących istotę sztuki. Może ktoś wymagania nasze uzna za zbyt wygórowane, może powié, że lud nie jest tak wymagający, bo on nie ma wykształconego umysłu i smaku, lud się nie pozna na sztuce. Niezupełnie zgodzimy się jednak na to. Przyznamy, że lud nie ma wykształconego umysłu i smaku, a więc nie pozna się

na sztuce tak, iżby umiał dokładnie wypowiedzieć, dla czego dzieło, nie odpowiadające pewnym przynajmniéj warunkom sztuki, sprawia nań takie, lub inne wrażenie; ale ręczymy, że jest wymagający, bo z dzieł, dostępnych dla jego inteligencyi, jedne robią na nim ujemne, drugie dodatnie wrażenie. Jeżeli dzieło sztuki nie będzie dla niego jasném, wyrazistém, lud mało, lub wcale go nie zrozumie; jeżeli nie będzie sympatyczném, odwróci się od niego z niechęcią.

A więc, co najmniéj, w powieściach dla ludu wymagać wypadnie tych dwu przymiotów. Atoli, zwrócić tu jeszcze należy uwagę, że wiele rzeczy, które dla nas są jasne, sympatyczne, dla ludu takiemi nie będą. Pochodzi to naturalnie stąd, że sfera naszych pojęć, że okoliczności naszego życia obecnego i przeszłego są inne, aniżeli życia ludu.

Kto więc chce dla ludu dzieła sztuki tworzyć, musi się wtajemniczyć w jego życie; musi dokładnie znać jego umysł i serce, jeżeli nie będziemy już wymagali, aby go kochał. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że wystrzeganie się prawienia suchych morałów jest konieczne, bo takie morały nie mogą być zajmujące; że, przeciwnie, sztuka wymaga uzmysłowienia, przedstawienia w obrazie każdéj idei.

Powiastki, o których mówimy, nie zbyt grzeszą przeciw jasności. Jednakże i tu miejscami wkradły się wyrażenia niewłaściwe w książkach ludowych, zwłaszcza, gdzie lud, jak to u nas ma miejsce, stoi na tak niskim stopniu rozwinięcia umysłowego. Napotykamy np. takie wyrazy, i to bez odpowiedniego wyjaśnienia: piętra, sutereny, wypadki historyczne i t. p. W niektórych znowu powiastkach, jak np. „Zgubne lekarstwa“, piękny temat zaciemniony został w skutek nader niezręcznego przeprowadzenia intrygi. Bohaterka osiąga cel swoich marzeń, idzie za ulubionego z téj tylko przyczyny, że prześladowczyni jéj umiéra, a prześladowczyni ta umiéra dlatego, że w złą godzinę wymówiła zaklęcie. Autor nie chciał zapewne uwydatnić tych myśli; wspomniał on o tém zaklęciu w złą godzinę zapewne dla charakterystyki ludowych przesądów a zgubne lekarstwa pragnął zohydzić. Z tego jednak, jak rzecz przedstawił, naiwny czytelnik zupełnie do innych wniosków dojdzie: „zgubne lekarstwa“, o które zlekka tylko autor potrącił, ujdą uwagi czytelnika a owa „zła godzina“ utkwi w jego pamięci. Na szczęście, w tych pięciu powiastkach mało podobnéj niezręczności, niejasności napotykamy. I moralizowania tu nie wiele, przynajmniéj nietyle, jak we wszystkich innych, które rozpatrywać będziemy. Ale czy te powieści będą sympatyczne dla

ludu? Nie obiecujemy sobie tego dla wielu powodów, a najprzód dlatego, że najczęściéj ujemnemi postaciami są tu włościanie, rzemieślnicy, dodatniemi zaś: panowie, nauczyciele, proboszcze. P. Bronisław Grabowski np. odmalowawszy wieśniaków całéj wsi, jako wiecznie utyskujących na swoje losy i z zazdrością spoglądających na „cudze szczęście,“ powiada: „w całéj wsi jeden był tylko człowiek zadowolony ze swéj doli, a daleko uboższy z pewnością od najbiedniejszego z gospodarzy—byłto nauczyciel miejscowy.“ Niezmordowaną pracą od świtu do zmroku doprowadził jałowy kawałek gruntu do tego, że stworzył z niego roskoszny ogród warzywny i owocowy. Wśród bezustannéj pracy i nędzy ciągle czytywał książki, nawet po nocach: jedném słowem, był ideałem człowieka. W*** znowu, odmalowawszy wieśniaczkę, jako istną jędzę, co zawojowała męża a gnębi syna i krewniaczkę, przedstawia proboszcza i dziedziczkę, jako aniołów opiekuńczych, co niosą pociechę moralną i pomoc materyalną na pierwszą wieść o potrzebie wieśniaków. W drugiéj powiastce tego autora, pani X. to anioł dobroci w stosunku do swoich służących. W trzeciéj, dobroczyńcami ludu znowu pan i proboszcz; p. Świerski, bogaty obywatel, zabiéra do karety wędrowne wiejskie pacholę, wychowuje następnie razem ze swymi synami, pomaga do założenia fabryki itp. P. Marczewska jeszcze dobitniéj akcentuje szlachetność uprzywilejowanych stanów, bo z pomiędzy kilku zięciów dorobkowicza, jeden się znalazł tylko szlachetny. Nic dziwnego, bo inni byli tylko rzemieślnikami, ten szlachetny był szlachcicem. Miał on wadę: był szulerem, przegrał nawet fortunkę swéj żony, ale prędko się pomiarkował i poprawił, bo nosił w sobie zarody szlachetności. Marysia z pod Jasnéj-Góry nie dała się wyprzedzić pani M., bo rozmarzoną pokojówkę, młodą i ładną Kasię, wyprawia do młodego, nieżonatego rządcy, aby ją umoralnił. I młody rządca rzeczywiście naprowadza ją na drogę cnoty.

W obec takiego położenia rzeczy, nie pytajmy się nawet o zdanie krytyka-estetyka. Bo i gdzież on się tu doszuka prawdy typowéj? Nie pytajmy się już nawet ludu, czy te powieści mogą być dla niego sympatyczne. Wyobraźmy sobie tylko utwór, w którym my przeważnie jako karykatury będziemy przedstawieni, a ktoś, do którego słusznie czy nie słusznie uprzedzeni jesteśmy, będzie odmalowany jako wzór doskonałości; jakiegoż wrażenia wówczas doznamy? Nawet my, wykształceni, chociażbyśmy i uznali, że w téj satyrze mieści się wiele prawdy, choćbyśmy zrozumieli, że ona ku naszemu pożytkowi moralnemu napisana, uczujemy niesmak, niechęć do autora i jego dzieła, a cóż dopiéro lud?

Ale mniejsza o to; mogą z téj obłudy wyniknąć jeszcze większéj doniosłości następstwa. Rzecz naturalna, że ogół ludu naszego nie pozna w tych wzorach doskonałości moralnéj swoich nauczycieli, panów, proboszczów. Gdyby poznał a uczuł, iż był względem nich niewdzięcznym, lub mało wdzięcznym, że ich nienawidził, lub mało był do nich przywiązany, uczułby wtedy wyrzuty sumienia, żal za grzechy i oddałby im serce. Ale jeśli nie zobaczy po rozpatrzeniu się w tych ideałach książkowych, jak tylko kontrast z rzeczywistością, o jakie w nim wywiąże się uczucie? Niech autorowie sami na to odpowiedzą.

Pojmujemy jasno, że szanowni autorowie, kreśląc te dodatnie postacie, mieli na względzie nie co innego, jak tylko to, aby lud zbliżyć do inteligencyi. I my tego pragniemy, ale nie możemy się zgodzić na środki do tego celu użyte. Nam się zdaje, że w tém położeniu, w jakiém się nasze społeczeństwo znajduje, daleko bezpieczniéj będzie, jeśli piszący dla ludu powieści, tworzyć będą postacie dodatnie i ujemne czysto ze sfery ludowéj. Jeżeli chodzi o to powieściopisarzom, aby stosunek ludu do inteligencyi, z którą ma codzienną styczność, ułagodzić, to podobno prędzéj tego dokażą przez uszlachetnienie ludu przykładami z życia wyłącznie jego sfery, niż sztucznemi środkami, z których zawsze obłuda przeglądać będzie. Skutek ze szczerych prac nastąpi zapewne późno, ale lepiéj późno niż nigdy. Sztuka a dyplomacya to dwie największe przeciwniczki w świecie, drogi ich zupełnie różne.... Pierwszą zasadą sztuki jest, była i będzie prawda.

Wątpimy, aby ktoś chciał udowadniać konieczność wprowadzania do powieści dodatnich postaci ze sfer innych tém, że lud ich dostarczyć nie może. Nie mało możnaby u nas dla zaprzeczenia temu twierdzeniu wskazać przykładów z dziedziny poezyi, nie mało z powieści w zagranicznéj literaturze ludowéj. Trzeba tylko tego piękna, poezyi umiéć doszukiwać się w ludzie. Umiał je znaleźć np. Władysław Okoński w swojéj „Chawie Rubin“. W czemże sekret, że ona tak piękna, chociaż nie z lepszego gniazda niż nasze Antki i Marysie pochodzi. Zapewne w tém, że taki artysta, jak Okoński, jest bacznym obserwatorem, umie dopatrzéć piękności wszędzie i potrafi czytelnika o niéj przekonać, pomimo iż to, co otaczało Chawę, nie było wcale estetyczném; ubrał on ją nawet na ostatnią podróż tak, aby ubranie to podniosło wdzięk od natury jéj dany, aby, gdy stanie kiedy w umyśle czytelnika jéj postać, stanęła piękną. Ale Chawa przedewszystkiém jest piękną przez swoję bezgraniczną miłość macierzyńską, dla któréj żyje i umiera. Ta święta miłość budzi dla niéj współczucie, szacunek, nareszcie cześć najgłębszą: to sym-

patyczne uczucie nie opuszcza czytelnika od samego początku do końca powieści.' Kiedyż Halina Brodzińskiego staje się najpiękniejszą dla czytelnika? Czyż nie wtedy, gdy poznawszy rodzinny zakątek, w niemym zachwycie rzuca się przed krzyż na kolana z dziękczynnemi modłami, że jéj Stwórca dozwolił na rodzinną glebę powrócić? A „Chata za wsią“ i jéj podobne,—czyż nie przedstawiają nam wzorów godnych naśladowania? Pokazuje się więc, że jest dość obfite źródło piękności w życiu ludowém, trzeba tylko sięgnąć do niego. Ten cały świat głębokich, prostych, szczerych uczuć w sercu naszego ludu, to niezmierzone pole dla artystów. Jeżeli trudno było Okońskiemu zrobić otoczenie Chawy powabném, to w powieściach, na tle życia ludu wiejskiego kreślonych, trudność ta znika: ileż jest pola w jego poetycznych obrzędach, zabawach w jego pięknych strojach, w otoczeniu przez pełną wdzięku naturę. A jakżeby się to lud temi obrazami lubował! Jakżeby one wytwarzały w nim przywiązanie do własnéj ziemi; jakżeby podnosiły w nim poczucie osobistéj godności. Za tém poczuciem poszłoby pewnie i uszlachetnienie.

A że nabierałby przywiązania do dzieł, które mu tyle radości sprawiają, to pewna. Niechby tylko przez to umiłował książki, a zrobiłoby się już dla jego wykształcenia wiele. Przez czytanie prowadziłoby się go wyżéj i wyżéj po stopniach cywilizacyi. Nie dokaże się jednak tego, dopóki piszący spozierać będą na lud przez pryzmat uprzedzeń, dopóki czuć się będą tylko mentorami a nie braćmi, całém sercem mu oddanemi.

Tego ciepła, urozmaicenia, barwności mało, a niekiedy ani śladu nie ma w powieściach, które rozpatrujemy. A smak ludu tego wszystkiego bardzo i bardzo wymaga. Gdyby pisarze o tém pamiętali, o ileż sympatyczniejszemi zrobiliby swoje utwory.

Kończąc sprawozdanie o tych kilku powiastkach, dodamy jeszcze parę słów dla oceny każdéj z nich zosobna. Wewnętrzna bowiem wartość ich różna. Naturalnie powiastka p. Bronisława Grabowskiego, jako utalentowanego pisarza, jest niepospolitym dla literatury ludowéj nabytkiem. Gdyby szanowny autor zechciał tylko mniéj widocznie protegować stan nauczycielski a dobierał do swoich powiastek sytuacye, któreby mu wdzięczniejsze przedstawiały pole do uwydatnienia uczucia; gdyby postarał się o większe urozmaicenie, barwność—zyskałby sobie prawdziwą wdzięczność w prostych ale szczerych sercach swoich czytelników.

Powiastkom przez W*** napisanym niepodobna nie przyznać wielu przymiotów i to takich, które nam zbyt żywo Wielogłowskiego

przypominają. Powiastki jego odznaczają się dobrą charakterystyką ludu, żywością opowiadania. Z pomiędzy trzech, o jakich wspominaliśmy, uważamy „Zgubne lekarstwa“ za chybioną i tłómaczyliśmy się już dla czego. „Błogosławieństwo Boże“ uważamy za nieodpowiednie dla naszego ludu a przynajmniéj za nie zbyt pożądane. Ten bohater, opuszczający rodzinną strzechę, szukający po za granicami kraju wykształcenia, jest czémś egzaltowaném, mogącém tylko bałamucić młodzież z pod wiejskiéj strzechy. Najudatniejszym obrazkiem jest „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.“ I temat zdrowy i przeprowadzenie go dość zręczne. Estetyka tu, co prawda, nie bardzo uwzględniona, ale psychologia uszanowana.

Co zaś do p. Marczewskiéj i Marysi z pod Jasnéj-Góry to, przyznając im niemałą zdolność powieściopisarską, oraz trafność w wyborze tematów, nie możemy się zgodzić na obmyślenie sytuacyj i doprawdy, trzeba przyznać, że rozum, pierwiastek niezbędny przecież w produkcyach artystycznych, zawiódł autorki pod tym względem. Mimo całéj, osobiście biorąc, sympatyi dla przekonań p. Marczewskiéj uznającéj w szlachcicu wyższość moralną nad nieszlachtą, nie doradzalibyśmy nigdy dorobkowiczom, z ludu pochodzącym, aby szukali związków wśród sfer uprzywilejowanych, a tém bardziéj, nie radzilibyśmy im, aby za zięciów brali szulerów nawet wtedy, gdyby najświetniejsze herby ozdabiały ich tarcze rodowe. Podobnież z całą otwartością wyznajemy, że nie radzilibyśmy nigdy, jak na tę myśl naprowadza powieść Marysi, aby ktokolwiek młodych, nieżonatych a przystojnych do tego oficyalistów chciał uznawać za stróżów cnoty dziewiczéj panien służących. Zastanowiliśmy się nieco dłużéj nad tą gałęzią literatury dla ludu jedynie z tego powodu, że pragnęlibyśmy, aby tego rodzaju utwory były jak najobficiéj produkowane, jako najsilniejszy wpływ wywierające. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że pragnęlibyśmy również, aby uwagi, jakie nam się nasunęły przy ich odczytywaniu, raczyli uwzględnić szanowni autorowie.

Przejdźmy do drugiego działu powieści, o którym powiedzieliśmy na początku, że do artyzmu nie wiele rościć sobie może pretensyi, a dodamy teraz, że liczbą imponuje. Są tu niekiedy przecież udatnie naszkicowane sylwetki pijaków, trwoniących w niedzielę krwawą pracą zdobyty zarobek, dręczących biedne żony, demoralizujących dzieci. Spotykamy też lekkomyślne żony rzemieślników, młodzież zepsutą; to znowu nawet rzewném piórem kreślone postacie matek, sierot;—to komiczne figury mędrków. Ale obok tych postaci występuje zwykle jakaś inna sztywna, nudna, któréj zadaniem jest moralizowanie na temat religijny. Przemawianie to religijne odbywa

się raz w duchu *katolickim*, drugi raz *w protestanckim*. W tym ostatnim kierunku *częściéj* spotykają się podobne powiastki.

Jedne i te same postacie, tendencye powtarzają się tu tak często, że kto parę tych książeczek przeczyta, nie napotka już nic w innych nowego. Dodajmy do tego, że te obrazki nie noszą na sobie cechy swojskiéj: są one, jakby przerabiane, albo nawet żywcem tłómaczone z obcych literatur. O tyle one nadają się dla naszych wieśniaków i rzemieślników, o ile kosmopolitycznemi są postacie pijaków, kalek, sierót. Nie będziemy się zastanawiali nad każdą z tych powiastek szczegółowo, bo wszystkie na jeden model robione; powtóre, dotykają one przeważnie zadań kościoła, a my zastrzegliśmy na początku tego artykułu, że zastanawiać się będziemy nad tém, o ile literatura dla ludu zajmuje się jego życiem po za kwestyami religii i szkolnictwa. Wyróżnimy tylko z tych powieści jednę, jako odznaczającą się większą barwnością, rozmaitością. Powiastka ta w duchu religijnym także napisana a przetłómaczona z niemieckiego na nasz język przez Tomasza Wiśniewskiego nosi tytuł: „Trzéj wędrowcy, Chrześcianin, Żyd i Turek.“ Celem jéj jest dowieść, że chrześciańska religija jest najlepsza. Ta tendencya religijna złagodzoną jest jednak tém, że autor utrzymuje owych trzech różnoreligijnych wędrowców w ciągłéj przyjaźni, do czego i autor i tłómacz zachęcają czytelników. Wypadki tu fantastyczne, przypominają powieści z tysiąca i jednéj nocy. Opowiadanie żywe, zabawić może czytelnika, a tym sposobem wyrobić zamiłowanie do czytania.

Do trzeciego działu powieści zaliczymy „Baśnie i Powieści,“ zebrane i przeznaczone dla ludu przez Zygmunta Glogera. Są one wytworem fantazyi ludowéj, a jak to już powiedzieliśmy, ujęte w ład artystyczny i pięknem wypowiedziane słowem. Niektóre z nich są nader poetyczne, a wszystkie kryją w sobie głębokie prawdy moralne. Że trafią do smaku ludowi, to pewna, boć one z pod jego serca wyjęte; że zaszczepią niejedną prawdę moralną i to pewna; ale czy tę prawdę lud nie będzie zmuszony ciężko okupywać, bo ugruntowaniem w jego umyśle niejasności, zabobonności, jakiemi te baśnie są przepełnione? Przyznajemy, że zbieranie i ogłaszanie drukiem baśni ludowych jest wielką zasługą: przynosi korzyści niezaprzeczone wykształconym czytelnikom, bo daje im poznać gust ludu u samego źródła. Piszący dla niego niech się przypatrzą, ile tam barwnéj fantazyi, jak każden filozof-poeta ludowy, nim poda naukę życiową, otuli ją w obsłonki prawdziwie poetyczne, jak każda nauka podana w obrazie, uzmysłowiona, urozmaicona. Niech każdy piszący dla ludu zrozumie, że jeśli chce do umysłu i serca ludu trafić, nie może suchemi morałami, rozumowaniami go darzyć, bo to nie odpowiada

usposobieniu jego czytelników. Ale nie sądzimy, aby to, co lud w mętnéj fantazyi wymarzył, należało mu napowrót oddawać jako pokarm duchowy: byłoby to żywić jego umysł mętami. Pragniemy wszystkie władze duszy kształcić w ludzie, ale nie chcielibyśmy jednéj władzy karmić kosztem drugiéj. Sądzimy zaś, że fantazya wykształconego pisarza potrafi ubarwić swoje płody obrazami pięknemi, bez owych czarowników i zjawisk w naturze nieistniejących. Dla tego téż, lubo z nieśmiałością i całą czcią dla zasłużonego pisarza, pozwoliliśmy sobie rzucić tę uwagę i wyznać, że nie spodziewamy się wielkich korzyści dla umysłu ludu z tego rodzaju utworów. Jednę widzimy tylko w takiéj dla ludu lekturze korzyść, że może ona rozbudzić w nim chęć do czytania. I to byłoby wiele, gdyby nie okoliczność, o któréj już wspomnieliśmy, że nigdy jednéj korzyści nie chcielibyśmy opłacać stratami z innéj strony.

Dopełniliśmy więc przeglądu całego działu z pięciu kwartałów tak zwanych powieści, i wyznać musimy, że mimo tu i owdzie ustępów udatnych, mimo pojedynczych utworów mających wartość, — ogół nie odpowie nawet nie zbyt wygórowanym wymaganiom. Treść ich nie jest złą, chociaż najlepsze założenie często przez niezręczność autorów bywa spaczone; forma rzadko pociągająca. Moralizowania tu, szczególniéj w drugim dziale, dosyć: bądź dobrym, pracowitym, trzeźwym — bezustannie się słyszy, aleć zadaniem sztuki pono nie powtarzanie suche sentencyj, lecz wywarcie takiego wrażenia samym obrazem, aby czytelnik lepszym stał się istotnie. Niestety, z takiemi obrazami nie spotkaliśmy się w caléj téj galeryi ludowéj literatury. Tak więc sztuka w ciągu tego okresu nie wiele dla naszego ludu zrobiła, w skutek czego ani doniosłego wpływu na lud, ani zachęcenia go do czytania — obiecywać sobie nie możemy.

II.

Rozpatrzmy ten dział, któryśmy dla odróżnienia od innych rozprawami nazwali.

Jak od powieści wymagaliśmy, aby były treścią pożywne a formą się podobały, tak od rozpraw żądamy, aby interesowały. Wtedy zaś to nastąpi, kiedy będą traktowały o kwestyach mających najbliższy związek z potrzebami ludu a dla jego inteligencyi dostępnemi i kiedy będą pisane zrozumiale dla ludu.

W ostatnim pięciokwartale ukazały się tego rodzaju prace pp.: Promyka, Mrówki, Włoszka i powtórzone wydanie Walerego Wielogłowskiego.

Z pomiędzy tych autorów, dwóch szczególniéj umié dobrać tonu sympatycznego w przemawianiu do ludu: Promyk i Mrówka—mówią z ludem jak bracia z braćmi. Nie czujesz tam ani na chwilę mentorstwa, lub traktowania ludu z piedestału wielkości.

Praca Mrówki pod tytułem: „Odpowiedź ciekawemu Kubie, czém dzisiejszy wieśniak być może i powinien“ jest napisaną w formie listowéj. Autor występuje tu, jako ten, co się między ludem wychował a obecnie przebywa w Warszawie i „tak się jakoś pokierował, że do druku pisuje.“ W rozprawce, o któréj mowa, odpowiada na pytanie wymienione w tytule, zadane mu przez dawnego znajomego Jakóba. Pytanie ważne, interesujące dla każdego włościanina. Autor w odpowiedzi dotyka zlekka dziejów włościan w innych krajach i u nas, dochodzi potém do punktu, w którym ma zręczność wyjaśnić, że kto posiadł własność ziemską, przestał być „chłopem“ a stał się „panem“ „obywatelem.“ Ten tytuł „obywatela“ wkłada na każdego pewne obowiązki, które autor wymienia i do wykonania ich zachęca. Zręczna to a poczciwa kokieterya autora: pogłaskał miłość własną i stara się ją wyzyskać dla dobra ogółu. Obowiązki te są: zakładanie szkółek, księgozbiorów, kas pożyczkowych, ochronek. Daléj mówi o ulepszeniu gospodarstw włościańskich, hodowaniu inwentarza, o dobrych rzemieślnikach, fabrykach, nakoniec o ochotniczych strażach ogniowych. O ile miejsce pozwala, autor stara się objaśnić znaczenie pojęć, które nasunął i przechodzi do wskazania sposobów wiodących do urzeczywistnienia tych planów. Mówi zatém o znaczeniu gromady, jako połączeniu sił pojedynczych, o prawach nadanych gminom, czyli samorządzie gminnym, stara się objaśnić donicsłość znaczenia uchwał gminnych. Zastanawia się téż nad uprzedzeniami włościan do postępu na drodze cywilizacyi, nad ich wadami i dochodzi do wniosku, że to wszystko nie minie, póki oświata nie przedrze się do zagród wiejskich. „Bez nauki, powiada autor, wieśniak dzisiejszy nie będzie tém, czém być może i powinien, nie będzie równym wszystkim obywatelem; zawsze on ciemnym „chłopem zostanie.“ I znowu Mrówka zręcznym zwrotem podziałał na obudzoną miłość własną. Umiejętnie téż kończy autor swą rozprawkę, bo nie wymarzony, ale rzeczywisty stawia wzór włościanina-obywatela, spełniającego to, co może i powinien. Opowiada więc o Józefie Dylągu z Zagorzyc, jak on wysoko pojmuje dobroczynne skutki oświaty, jak wychowuje swoich synów. Cytuje téż autor i inne gminy, nie obojętne dla spraw oświaty.

Wszystko to dobre i piękne, co Mrówka powiedział, ale ma jednę wadę: za wiele było wypowiedzianych pojęć, które dla wieśniaka nie łatwo mogą być zrozumiałe. Starał się je autor, jak to

wskazywaliśmy wyjaśnić — szczupłość miejsca nie dozwoliła mu jednak tego dokonać. To téż doświadczony pisarz dla ludu wié o tém i nie sądzi, że spełnił swoje zadanie, gdy potrącił tylko o wiele ważnych kwestyj. Uważa więc swoję pracę niejako za wstęp, który powinien być w szczegółach rozwijany następnie. „To téż bądźcie tylko Jakóbie cierpliwi, powiada, a wnet się może z innych książek dowiecie: *jak* dzisiejszy wieśniak powinien gospodarować i hodować inwentarz, *jak* powinien zajmować się sprawami gminnemi, *jak* powinien strzedz zdrowia, *w jaki sposób* powinien on od klęsk i gradobicia lub ognia zabezpieczać swój majątek“ i t. d. Otóż to — tu Mrówka dał dowód, że wié, czego lud od tego rodzaju literatury oczekuje: nie tylko tego, *co* ma robić, ale i tego, *jak* ma robić. Nie wszyscy pisarze o tém wiedzą, albo nie wszyscy to zrobić są w stanie. Czém są w powieściach dla ludu morały, tém w rozprawkach projekty bez wskazywania praktycznych sposobów ich wykonania. Niestety, po tym świetnym wstępie w dziedzinę rozpraw dla ludu, nie spotykamy w okresie, który rozpatrujemy, prac takich, któreby dopełniały tego, co Mrówka uznał za konieczne, któreby rozwijały myśli zaznaczone przez autora „Odpowiedzi.“ Do takich pożądanych prac zaliczyćby chyba wypadało powtórne wydanie rozprawki Wielogłowskiego pod t. „Podróż po dalekim świecie.“ Jest to jakby encyklopedya gospodarstwa wieśniaczego. Podana tu krytyka sposobu gospodarowania, hodowania inwentarza u naszych włościan, z wykazaniem, jakie ulepszenia wprowadzićby należało. Forma przyjęta przez autora porównywania zagranicznych gospodarstw włościańskich z naszemi — wyborną mi się wydaje: nie było chyba trafniejszego sposobu dla udowodnienia, że i u nas lepiéj być może i powinno. Sądzę téż, że przez powtórne wydanie tego dzieła prawdziwą przysługę zrobiono literaturze ludowéj: do pewnego stopnia wypełniono ów brak, jaki czuć się daje, prac podobnych. Nie powiem jednak, aby to dziełko mimo wielu zalet zadawalać było w stanie wszystkie wymagania: sądzę bowiem, że od czasu pierwszego wydania téj pracy zmieniły się znacznie stosunki włościańskie, a w skutek tego przybyło wiele nowych rzeczy godnych uwzględnienia. Mamy téż nadzieję, że utalentowani a czuwający nad dobrem ludu pisarze pomyślą o tém, aby na wzór pracy nieodżałowanego Wielogłowskiego, literaturę ludową wzbogacać.

Rzetelną przysługę sprawie oświaty ludowéj wyrządził p. T. Włoszek wydaniem książeczki pod tytułem: „Pogadanki o rzeczach pożytecznych.“ Autor przy wykładzie wielu istotnie zbawiennych rzeczy, tyczących się oświaty i ekonomicznych stosunków ludu, starał się o jasność i o ile tak trudne zadanie pozwalało, wyszedł z nie-

go zwycięzko. Do prac może nie tyle dostępnych dla większości czytelników, ale niemałéj wartości literackiéj i nawet społecznéj — zaliczymy dwie broszurki. Jedna z nich, któréj autorem Mrówka, przedstawia zasługi Kraszewskiego, jako obywatela i pisarza. Szczególniéj uwzględniono tu stosunek jubilata do ludu. Drugą podobną pracą jest broszurka Promyka o Staszycu. Autor zrobił tu wszystko co zrobić było można, aby przedmiot taki stał się zrozumiałym i interesującym dla ludu. Pracom tym, lubo nie obiecujemy wielkiéj popularności — radzi jesteśmy dla wielu przyczyn — i sądzimy, że warte one nakładu, choćby tylko po jednym czytelniku na każdą gminę znalazły. Z rozwojem oświaty w ludzie stawać się one będą niezawodnie coraz więcéj pożądanemi.

Na tych kilku broszurkach kończy się dział rozpraw. Są to, ogólnie biorąc, rzeczy mniéj więcéj interesujące i z talentem pisane, jednak, gdybyśmy pominęli powtórzone wydanie Wielogłowskiego— wypadałoby o całym tym dziale powiedzieć, że wiele rzeczy pięknych do rozwinięcia założył, ale nie rozwinął. Nie zaprzeczyliśmy wartości broszurkom o Kraszewskim i Staszycu, ale przyzna każdy, że one, przy dzisiejszym rozwoju ludu drugorzędny stanowią interes; pierwszorzędny, naznaczamy kwestyom podniesionym w „Odpowiedzi“ Mrówki i w broszurce p. Włoszka: rozwijać każden z punktów tam wymienionych, a rozwijać z talentem prawdziwie pedagogicznym — pozostaje jako zadanie dla prac przyszłych w tym rodzaju. Pod wyrażeniem „z talentem pedagogicznym“ rozumieliśmy nie co innego jak tylko nie potrącanie zlekka kwestyj, nieprzepełniania jednéj broszurki ideami, ale wszechstronne, wyczerpujące ich wyłożenie. Wzmiankowanie o ważnych kwestyach, dotyczących życia ludu, jak dotąd się praktykuje, zostawia zaledwie, jakieś słabe, niejasne pojęcie w umysłach nie nawykłych do myślenia czytelników; im trzeba wszystko — jak na dłoni wykazać.

III.

Wszystko, co tylko Promyk pisze dla ludu i o ludzie, tak pod względem formy jak treści, odznacza się wielką wartością; ale nikt mu nie dorówna ani z dawniejszych, ani dzisiejszych pisarzów w talencie odnośnie do książek natury pedagogicznéj. Jest on istnym artystą-pedagogiem. Promyk swoim elementarzem i książeczkami do czytania po przełamaniu pierwszych trudności w czytaniu stworzył wzór, godny naśladowania nie tylko dla ludowych, ale wszystkich w ogóle pedagogów. Jak do nauki zachęcić, jak moralną pracę umilić można — niech każdy uczy się od Promyka.

W elementarzu (za 7 groszy) podał on sposób nauki czytania na zasadzie metody głoskowéj. Trzeba istotnie wierzyć, po przejrzeniu téj metody, że przy jéj pomocy można istotnie w parę miesięcy, czytać nauczyć. W „pierwszéj książeczce do czytania“ wyłożywszy potrzebę i sposób użycia znaków pisarskich przy czytaniu, dał ustępy z poezyi i prozy dla wprawy w czytaniu, ale jakie? Otóż najłatwiejsze do pojęcia a przecież piękne i pożyteczne. A jak umiał urozmaicić tę początkową lekturę: to poważny, to dowcipny, to rzewny. Pojmując, że nauka języka, jako czynnik wychowawczy, nie tylko specyalnie przedmiotem zajmować się powinna, ale nadto wyzyskać każdą okoliczność, aby wpłynąć na podniesienie duchowe wychowańca, dobiéra ustępy do czytania takie, co i umysł i serce wzbogacą. A więc są tu ustępy obznajmiające czytelnika z tém wszystkiém, co go najbliżéj obchodzi, otacza; są ustępy wzbudzające uczucia religijne, przywiązanie do ziemi, do rodziny, do bliźniego. A wszystko to wypowiedziane językiem pięknym choć prostym. Istotnie nie przechwalił się Promyk, gdy w „drugiéj książce do czytania“ powiedział, że w poprzedniéj starał się o to, aby czytelnika nie „znudzić;“ dokazał tego, tak trudnego a tak ważnego zadania przy początkowém nauczaniu.

W téj „drugiéj książce“ mniéj on się stara, jak sam się wyraża, o zabawienie czytelnika, więcéj zaś o wzbogacenie jego umysłu pożytecznemi wiadomościami. Mimo jednak tego mniejszego starania, smak wrodzony nie opuszcza go na chwilę: wszystko tu istotnie pożyteczne a wdzięczną formą nacechowane. W téj książce wykłada on wiadomości z nauk przyrodzonych, geografii, matematyki, historyi, nawet literatury i etyki, a przecież wszystko w zakresie i sposobie dostępnym dla umysłu niewykształconego naukowo, wszystko, co w życiu jest najpotrzebniejszém, niezbędném. W końcu swojéj książeczki nie zapomniał nawet autor o bibliografii książek ludowych, a miał zrobić wybór z tego, co dla ludu napisano.

Wobec pedagogicznych prac Promyka, niepodobna nawet wspominać o innych na tém polu i w tym zakresie. Piękny to, bardzo piękny, nic nie pozostawiający do życzenia — początek, — ale dopiéro początek. Przyszłość zapewne udowodni nam, że nie zapomniano u nas o prawdziwie pedagogicznéj literaturze dla ludu, ale teraźniejszość wykazuje, że na téj drodze pierwsze dopiéro ziarno rzucono.

IV.

Do czasopism ludowych zaliczymy: „Zorzę“ i „Gospodarza,“ pismo poświęcone rolnictwu, wychodzące w Toruniu a mające u nas debit.

Znana jest powszechnie Zorza ze swego kolorytu ściśle moralno-religijnego z odcieniem katolickim. Z téj strony więc rozpatrywanie jéj byłoby zbyteczne. My téż pominiemy wszystkie artykuły treści religijnéj oraz przemowy na tematy etyczne. Rozpatrzymy najprzód powieści.

Mimo to, że każda powiastka pomieszczona w Zorzy, odznacza się pewną wartością tak pod względem formy, jak treści, nie powiemy jednak, aby którakolwiek z nich nie miała wielu stron słabych: miłości do ludu i tego co ludowe, rozmaitości, barwności nader tam mało; zato pewnéj żywości w opowiadaniu, niekiedy trafnéj charakterystyki i nowości tematów niepodobna nie przyznać. W każdym razie powiastki Zorzy nierównie wyżéj stoją niż te, które oddzielnie wydane zostały.

Zpomiędzy wszystkich powieściopisarzy, co swoje literackie płody pomieścili w Zorzy, prawdziwym talentem pisarza ludowego nacechowane są powiastki ks. P. z Chełma. Nie ma i tam przymiotów, za któremi tak gorąco przemawiamy, a które najsympatyczniéj przez lud byłyby powitane, ale zato humoru nie mało, charakterystyka wyborna, niezwykły temat: z całéj powiastki dziwna świeżość wieje. Taką powiastką jest np. „Starość Macieja."

Zamożny wieśniak, po wydaniu córki za mąż i odstąpienia zięciowi gospodarstwa, jest bałamucony przez niemłodą, ubogą, obarczoną dziećmi wdowę. Z początku stary Maciéj nie domyśla się nawet, jakie sidła na niego przemyślna a śmiała w pomysłach i czynach wdowa zastawia; cieszy się więc tylko, że znajduje sympatyą u ludzi. Otwierają mu się oczy po chwili, ale już nie rychło: kumoszki zawinęły się i zaręczyły go z wdową. Dobroduszny Maciéj nie opiéra się, bo wierzy w to, co w niego wmówiono, mianowicie, że lepiéj mu będzie z wdową, niż z córką, co mając *swego*, zapomina o starym ojcu. Wesele odbyło się hucznie „z klarnetem," ale po weselu niebawem nastąpiły niezgody, bo zięć Macieja nie mógł znosić świekry; skarżono się tu i owdzie, nakoniec przyszło do tego, że stary Maciéj został przy dzieciach a wdowa musiała jak przedtém iść na komorne. Nawet we wsi nie nazywano jéj po mężu a tylko u księdza i wójta pisano Maciejową.

Kokieterya wdowy, łatwowierność Macieja, lekkomyślność zięcia po mistrzowsku odmalowane. Takiéj prawdy i humoru nie napotykamy już w Zorzy. Druga powiastka tegoż autora pod t. „Nieszczęśliwe małżeństwo", napisana na temat o skutkach pijaństwa —mniéj udatna, lubo i w niéj talent się przejawia.

Nie bez zdolności pisane są powieści Bożydara; autor ten odznacza się wyobraźnią bogatszą od wielu innych i przez to pozyska sobie ciekawych czytelników. Szkoda tylko, że w „Zbłąkanych“ nie umiał dodatniéj postaci Florka zrobić sympatyczniejszą. Początek opowiadania „Góral na Morzu“ doskonale i z sercem maluje uczucia rodzicielskie wieśniaków.

Jadwiga Teresa obdarzyła Zorzę powiastką na temat o niechęci ludu do oświaty, o zaniedbywaniu sprawy wychowania. Wiele tu realnie odmalowanéj prawdy: los sierot „Janka i Marynki“ budzi zajęcie, ale zarazem przykre, ponure sprawia wrażenie. Rozumnie, z imaginacyą napisana ta powiastka; gdyby tylko od czasu do czasu jakimś jaśniejszym obrazkiem była ozdobioną, natchnioną ciepłem serdeczném, o wiele sympatyczniejsząby się stała.

Opowiadanie p. Kornelii Drzewieckiéj o synu chłopa, urzędniku, i jego żonie, bogatéj mieszczance, nie pogardzających ojcem wieśniakiem w siermiędze—gładkie i sympatyczne.

Niby dramacik „Wesele,“ poczciwą myślą i uczuciem nacechowane, ale.... to nie wszystko, czego od produkcyi artystycznych wymagamy.

„Uczciwość Joasi“ przez Zarzycką i „Pokusa“ przez Klarę F.... z pożytkiem i nie bez zaciekawienia będą przez lud czytane.

Z dziedziny rozpraw praktycznością w doborze tematu odznaczają się prace p. I. L. Kaczkowskiego. Opracowuje on stale rubrykę: „Drobny przemysł“. Nie czujemy się kompetentnemi do oceniania poglądów i wywodów autora w szczegółach. Zwróciwszy téż uwagę szanownego pisarza na styl, zdaniem naszém, nie zbyt dostępny dla czytelników Zorzy, zaznaczymy, że dotąd traktował o znaczeniu w drobnym przemyśle wiejskim: kury, królika, o pokarmach dla krów używanych za granicą, o ośle, mule, o budownictwie, o hodowaniu drobiu, o powiększeniu wydajności roli bez wielkiego nakładu, o zużytkowaniu uliczników na rzecz przemysłu, o rolnictwie w ogólności i o sposobach zasuszania jarzyn.

Że to materye nader interesujące w piśmie ludowém, każden przyzna. To téż i redakcyi i autorowi serdeczna zato wdzięczność; jeden tylko, jeżeli się godzi, zrobimy zarzut, że tego wszystkiego mało.

Niezmierną téż trafnością, w wyborze tematów odznaczają się obszerne artykuły „O zachowaniu zdrowia“, „Porady rolnicze“, „Rady pożyteczne“, „Poradnik gospodarski i domowy“, „Nauka gospodarności naszym gospodyniom“ przez ks. Wł. F. „Ochraniaj zwierząt i nie dręcz ich nigdy“, „O wyborach do sądów gminnych“

itp. Są to tematy, o których wyżéj nadmieniliśmy, że mają najbliższy związek z interesami ludu. Nie małéj wagi artykuły: „O stosunkach społecznych," „Pogadanki prawne", gdyby tylko jeszcze dostępniéj mogły swoję materyą traktować.

Co do innych artykułów, jak np. z dziedziny historyi politycznéj, naturalnéj, oraz literatury, to, o ile one przystępnie względnie do czytelników pisane w każdém piśmie, zdaniem naszém, powinny być pożądane. Idzie tylko o odpowiedni stosunek ilościowy tych artykułów do innych, więcéj bezpośredni związek z życiem ludu mających. Duchowe życie ludu zbyt mało jeszcze dzisiaj rozwinięte, aby czuło blizki związek z temi kwestyami, tak żywotnemi dla wykształceńszych. Nie sądzimy jednak, aby pewna cząstka czytelników *Zorzy* nie miała się interesować i wyższego zakroju przedmiotami: dlatego od czasu do czasu skreślenie wpływowego życiorysu z dziejów nie uważamy za zbyteczne, lubo przeładowanie tą materyą jedynego ludowego pisma, nie wydaje się nam na miejscu. Zrobilibyśmy zarzut *Zorzy*, że ze szczupłością miejsca nie bardzo się liczy, a z wyborem artykułów nie zawsze stosuje się do poziomu umysłowego ogółu czytelników.

Ośmielamy się przełożyć szanownéj redakcyi jeszcze jedną uwagę: otóż wolelibyśmy, aby redakcya mniéj się starała nawet o urozmaicanie swego pisma różnorodnością artykułów a podawała więcéj wyczerpujące prace. Wiemy o tém, że *Zorza* dla wielu czytelników stanowi całą strawę duchową i innych książek oni nie miewają; niechby więc umieli mniéj a dobrze, gruntownie, więcéjby korzyści istotnéj odnieśli, niż z niejasnego pojęcia o wielu rzeczach. Ta uwaga byłaby zbyteczną, gdyby obok *Zorzy* były inne pisma ludowe, specyalnym kwestyom poświęcone.

Temi naszemi, nie zbyt przesadnemi w pochwały, opiniami o piśmie nie chcielibyśmy dotykać samego redaktora; wiemy bowiem, że mimo największego starania ze strony redakcyi nie wydoła ona sama w pokonaniu trudności, jeśli współpracownicy jéj nie dopiszą.

Nie sądzimy, aby z „Gospodarza" wiele dla ludu naszego wynikło korzyści: zbyt specyalnie, niepopularnie to pismo redagowane dla nieusposobionych stosunkowo czytelników; dla oficyalistów atoli powinno pożytek przynosić. Gdyby tylko język nie był tak barbarzyńsko kaleczony!...

Skończyliśmy przegląd literatury dla ludu z piętnastu ostatnich miesięcy. Kierunek jéj moralno-religijny. Co do pożywności dla umysłu, to poza pracami: Promyka, Mrówki, Wielogłowskiego, Wło-

szka, Bronisława Grabowskiego i Zorzy nie wieleby się wybrało. Zsumowawszy te pożywne prace rezultat pod względem ilości będzie niewielki. Nie pozostaje, jak przypomnieć utalentowanym naszym pisarzom, że należałaby się ofiara na tym ołtarzu i od nich. Niechby każdy rokrocznie złożył cząstkę swego talentu i swéj pracy dla dobra ludu a powiedzielibyśmy, że mamy prawo do serc ludu w przyszłości.

Floryan Łagowski.

KRONIKA NAUKOWA.

Przenoszenie siły na znaczne odległości.

W przyrodzie niema ani chwili spokoju. Ciągle odbywają się zamiany sił jednych w drugie, tu słabo i ledwie znacznie, tam gwałtownie i w wielkich rozmiarach. Na wielu miejscach powierzchni ziemi znajdują się potężne źródła siły, marniejące bezużytecznie. Ileż strumieni płynie bezczynnie, nieużywanych do poruszania kół młyńskich i tartaków i zajętych dłubaniem łożyska i przenoszeniem piasku i mułu z miejsca na miejsce. Ile potężnych wodospadów, o strasznéj sile marnuje się na darmo, bo nie możemy jeszcze ujarzmić niesfornego kolosu! A jakież jeszcze niewyczerpane źródła pomijane są dotychczas, jak siła deszczu, przypływu i odpływu morza, promieni słonecznych, różnicy temperatur dnia i nocy i t. p.! Z czasem, gdy przemysł rozwinie się na większą skalę i gdy zabraknie paliwa, gdy wyczerpią się zapasy węgla kamiennego, rzucą się przemysłowcy ku wyzyskiwaniu tych źródeł na większą skalę, — dziś, przejawiają się tylko od czasu do czasu projekta, wskazujące potrzebę badań w tym kierunku.

Ujęcie w karby wodospadów, lub siły przypływu i odpływu morza dałoby się ze strony mechanicznéj przeprowadzić. Lecz główną zaporą, jest tutaj odległość tych źródeł siły od głównych ognisk przemysłowych. Gdyby można z jakiegoś wodospadu zbierać siłę i potém przesyłać ją na wszystkie strony w miejsca dość odległe, to otworzyłoby się w odnośnych okolicach nowe i nad wszelkie wyrazy obfite źródło dobrobytu. Nad tém zadaniem przenoszenia siły myślano oddawna a w ostatnich czasach zrobiono kilka ważnych kroków naprzód, pozwalających mniemać, iż niedługo zadanie to zostanie rozwiązaném.

Weźmy jakiś przykład, a przekonamy się o doniosłości téj sprawy. Niagara jest jedném z takich potężnych źródeł siły, nieujętych do-

tąd i nie zużytkowanych. Obliczono (Siemens), że siła spadku Niagary równa się sile siedmnastu milionów koni parowych i cała ta potęga zużywa się jedynie na dłubanie łożyska i na podnoszenie temperatury wody o jakiś ułamek stopnia. Chcąc wydobyć zwykłemi środkami, które do rozporządzenia mamy, tę samę ilość siły, musielibyśmy spalić w jednym roku 260 milionów tonn (260.000.000.000 kilogramów) węgla kamiennego, czyli prawie cały zapas węgla, który w jednym roku na całéj powierzchni ziemi z jéj łona wydobywają.

Gdyby zdołano wyzyskać tę siłę, jak wyzyskują spadek małych strumieni, jak doniosłe i jak nieocenione otrzymanoby ztąd korzyści! Lecz na miejscu byłoby to w téj chwili mało pożytecznem, chybaby zbudowano jakie wielkie miasto fabryczne, zasilane siłą z ogólnego źródła. Daleko korzystniejszém byłoby, jeśliby zdołano tę siłę podzielić i rozesłać w dalsze strony, do rozmaitych miejscowości. Wszystkie fabryki okoliczne mogłyby być pędzone z tego jednego źródła.

Najpierwsza myśl, która się nasuwa do urządzenia takiéj transmisyi, najpierwszym środkiem już oddawna proponowanym, jest prąd elektryczny. Dzisiaj elektryczność jest środkiem na wszystko prawie. Wodospad działałby wprost na wielkie machiny dynamoelektryczne, któreby wydawały kolosalną ilość prądu elektrycznego. Druty przenosiłyby ten prąd na wszystkie strony, do miejsc gdzie potrzeba i tam wchodząc do motorów elektrycznych wprowadzałyby je w ruch i pędziłyby fabryki.

Część prądu używałaby się wprost, do oświetlania.

Przez długi czas machiny poruszane elektrycznością były zaniedbane i mało w tym kierunku robiono. Dziś wielu uczonych i przemysłowców pracuje znowu w tym dziale. Lecz do pracy wzięto się z innem przygotowaniem niż poprzednio, mając już w ręku potężny materyał naukowy, a więc droga poszukiwań jest daleko racyonalniejszą i prędzéj prowadzącą do celu.

Pokazało się, że najlepszemi motorami elektrycznemi, są same machiny dynamoelektryczne, wytwarzające prąd elektryczny. Jeśli jedną z takich machin wprowadzimy w ruch, i prąd z niéj otrzymany przeprowadzimy do drugiéj takiéj saméj machiny, to nastąpi działanie odwrotne i ta druga machina zacznie się obracać i może służyć do poruszania rozmaitych maszyn drugorzędnych. Mamy tu przykład, zamiany siły mechanicznéj na prąd elektryczny w pierwszéj machinie i wprost odwrotnego działania w drugiéj. Na wystawie paryzkiéj, w oddziale machin francuzkich widziałem machinę Gramma, wytwarzającą silny prąd, biegący po drutach na dość znaczną odległość do drugiéj machiny Gramma, któréj oś obracała się szybko od prądu,

a rzemień od jéj bloka przeprowadzonym był na blok prasy litograficznéj, którą poruszał nieustannie.

Straty ponoszone na sile przy takiém przenoszeniu i takiéj zamianie były dość znaczne, tak że druga machina wydawała tylko połowę pracy, zużytkowanéj na poruszenie pierwszéj. Prawie połowa ginęła bezużytecznie, lecz osiągnięto natomiast tę wygodę, że można było drugą machinę ustawić w dowolném miejscu, nawet w dość znacznéj odległości.

Lecz odległość ta między obu machinami ma swoje granice. Im ona jest większą, to jest im drut łączący obie machiny jest dłuższym, tém większą jest strata. Drut stawia pewien opór przebiegowi prądu elektrycznego i wzrasta ta siła oporu proporcyonalnie do długości. Żeby zmniejszyć tę stratę, trzeba zrobić drut tym grubszym, im większą jest odległość wiadomo bowiem, że przewodnictwo zwiększa się proporcyonalnie do przekroju. Im daléj trzeba przesłać prąd elektryczny, tém grubszego trzeba użyć drutu. Wypada ztąd, że zwiększając grubość przewodnika, można przesłać prąd na dowolną odległość, lecz jednocześnie widzimy, że ta odległość ma swoje, nawet niezbyt daleko sięgające granice, i że nareszcie przy zwiększaniu odległości trzeba użyć drutu tak grubego i koszta jego wzrastają do stopnia tak wysokiego, iż całe urządzenie nie opłaca się wcale.

Lecz w pewnych granicach przenoszenie takie daje się wygodnie i bez nadmiernych kosztów uskutecznić. Na walném posiedzeniu angielskiego „Steel and Iron Institute“ Siemens przedstawił dokładne obliczenie transmisyi siły za pomocą elektryczności po miedzianym przewodniku. Uczony ten przemysłowiec przypuścił, iż w jedném miejscu istnieje motor dający tysiąc sił koni parowych na godzinę i motor ten wytwarza prąd elektryczny przebiegający po miedzianym przewodniku mającym 3 cale średnicy, do miejscowości odległéj o 48 kilometrów. Otóż pomimo strat, prąd elektryczny dochodzący do téj drugiéj stacyi, wystarczy jeszcze do zapalenia świateł elektrycznych o sile 200.000 płomieni gazowych! Jest to czysto teoretyczne obliczenie, mające jednak wielką wartość, ze względu na powagę naukową osoby, od któréj pochodzi. Dziś przybywają doświadczalne potwierdzenia tych rezultatów i powszechnie zaczynają się tym zaniedbanym przedmiotem zajmować.

Mamy na uwadze próbę orki za pomocą elektryczności, dokonaną w Sermaize we Francyi.

Ustawiono tam w fabryce lokomobilę o sile ośmiu koni. Rzemień téj machiny obracał blok machiny dynamoelektrycznéj systemu Gramma, a prąd wytworzony tą drogą przenosił się za pomocą drutów na pola odległe o mniéj więcéj pięćset metrów. Pole to miało

być zorane zapomocą elektryczności. Na jednym jego krańcu znajdowała się machina Gramma zupełnie taka jak przy lokomobili, do któréj prąd wchodząc, wprawiał w obrót blok połączony tą razą z windą. Na wale téj windy nawiązanym był sznur, biegący przez całe pole i umocowany swym drugim końcem do pługa. Gdy sznur się nawijał, ciągnął za sobą pług i tworzyła się w ziemi bruzda, regulowana ręką przez robotnika. Pług przechodził z jednéj strony pola na drugą.

Następnie druga machina Gramma na końcu przeciwległym ustawiona robiła to samo i powstawała nowa bruzda równoległa. Przesuwając windy zorano całe pole.

Jedna z machin Gramma była odległa od źródla elektryczności o 400 druga o 650 metrów. Przekonano się, że z siły tracono 60 procentów i że zamiast ośmiu koni otrzymywano na polu tylko trzy.

Nie należy wątpić, że z czasem straty będą daleko mniéjsze, gdy zostaną ulepszone machiny dynamoelektryczne, lecz jak na teraz straty otrzymane w Sermaize są bardzo dotkliwe. Trzeba było spalić węgla na ośm koni a w rezultacie otrzymano pracę tylko trzech!

Lecz jeślibyśmy zdołali ujarzmić wielkie źródło sił w przyrodzie, które nic nie kosztuje, zużyć np. wodospady, to wtedy strata poniesiona nie byłaby tak nieznośną, bo przecież raz zrobiwszy wydatek na wybudowanie machin, mianoby już siłę darmo z wyjątkiem kosztów amortyzacyi i naprawy.

Nowa materya wybuchająca.

Z pomiędzy wybuchających ciał pierwsze miejsce dotychczas zajmowała nitrogliceryna, a w praktyce niektóre jéj kombinacye z ciałami obojętnemi. Najwięcéj znaną i używaną kombinacyą był dynamit. Przybywa teraz nowy środek, wynaleziony przez p. Nobla, specyalistę téj gałęzi, jeszcze gwałtowniejszy i obiecujący w praktyce znakomitsze korzyści.

Wybuch takich wszystkich ciał objaśnia się w ten sposób, że wszystkie one złożone są z takiego układu drobin, iż nadzwyczaj szybko stan ciała się zmienia przechodząc ze stałego lub płynnego w gazowy, rozwija się wielka ilość ciepła, i z przestrzeni zajętéj przez małą ilość materyi robi się w niezmiernie krótkim czasie wielka ilość gazów.

Przekonano się, że siła wybuchu zależy w wysokim stopniu od sposobu sprowadzenia téj katastrofy. I tak np. w nitroglicerynie, przedstawiającéj płyn tłustawy, można zagasić palącą się zapałkę. Lecz gdy tym płynem nieostrożnie wstrząśniemy, lub jeszcze lepiéj, w blizkości sprowadzimy wybuch mały ale gwałtowny innego ciała,

jak np. masy pistonowéj, to następuje straszliwa eksplozya, druzgocząca wszystko w około.

Nitrogliceryna wyrabia się w sposób nie kosztujący wiele zachodów, ale oczywiście wymagający nadzwyczajnéj ostrożności. Główném, zasadniczém ciałem jest niewinna, słodkawa gliceryna, tak często używana w rozmaitych przetworach toaletowych. Otóż strumień takiéj czystéj gliceryny wlewa się do mieszaniny kwasu azotowego z kwasem siarkowym. Otrzymuje się płyn oleisty, który jest już nitrogliceryną i który trzeba tylko przemyć dokładnie w czystéj wodzie. Manipulowanie z takim płynem należy do rzeczy niezbyt bezpiecznych, bo nieraz następywały już wybuchy bez żadnych widomych przyczyn. Aby uniknąć téj niedogodności, która już tylu ludziom życia kosztowała, wpadnięto na pomysł mieszania płynnéj nitrogliceryny, z ciałami obojętnemi, stałemi i sproszkowanemi, w które wiele płynu wsiąknąć może i tą drogą otrzymano tłustawy proszek zwany dynamitem, oddający wielkie przysługi.

W sztuce wojskowéj i w technicznych gałęziach wiedzy, wiele już przysług z dynamitu otrzymano, przypomnijmy tylko torpedy i łamanie skał nabojami dynamitowemi. Największą ilość na raz użyto dynamitu, podczas wystawy Filadelfijskiéj, kiedy wysadzono w powietrze podwodne skały „Hell Gate“ tamujące przejazd wolny, krótszą drogą do Nowego Yorku. Zapalono tam odrazu, za pomocą iskry elektrycznéj taką ilość naboi, że razem zawierały przeszło 25,000 kilogramów dynamitu!

Gelatyna wybuchająca Nobla jest mieszaniną nitrogliceryny, już nie z ciałem obojętném, lecz z bawełną strzelniczą. Droga otrzymywania takiéj bawełny jest dawno znaną; jest ona zupełnie taką jak droga otrzymywania nitrogliceryny. Do mieszaniny kwasu azotowego i kwasu siarkowego wkłada się zwykła bawełna a następnie ją przemywa, aby od zbytecznego kwasu uwolnić, i oto taka wybuchająca bawełna gotowa, któréj bardzo często używają w postaci roztworu w eterze, roztworu, który się nazywa kollodionem. Nobel przekonał się właśnie, że i nigtrogliceryna rozpuszcza w sobie bawełnę strzelniczą i to do wysokości siedmiu procentów. Powstaje ztąd silnie eksplodująca, galaretowata masa nazwana przez odkrywcę gelatyną wybuchającą. Ponieważ niema w niéj ciał obojętnych, jak w dynamicie, więc wybuch jéj ma być daleko straszniejszym, a przyczynia się do tego jeszcze i ten wypadek, że skład chemiczny nowego ciała pozwala na daleko korzystniejsze i dokładne spalenie się.

Szczegółów prób praktycznych dotychczas jeszcze nie znamy.

Paweł Bert o znieczulaniu tlenkiem azotu.

Przed niedawnym czasem rozniosła się dziennikarska wiadomość, jakoby niejaki p. Rotura w posiadłościach australsko-angielskich znalazł środek usypiający zwierzęta, tak dobry, że w stanie uśpienia można je utrzymywać przez czas nieograniczony. Naturalnie, że byłoby to niezmiernie pożytecznćm, bo uśpiwszy bydło, możnaby je bez przeszkody przewozić okrętami przez morza i tam dopiéro rozbudziwszy, prowadzić na targi. Jednakowoż wiadomość, chociaż bardzo żywo kolportowana, dotąd jeszcze ma wszelkie oznaki humbugu, chociaż fizyologicznéj niemożliwości nie widać wcale. Wiadomém tylko jest z dotychczasowego doświadczenia, że wszystkiemi znanemi środkami znieczulającemi, nie można trzymać długo w uśpieniu, bo szybko następuje śmierć przez zaduszenie w płucach, wskutek braku dostatecznéj ilości tlenu.

Z pomiędzy ciał używanych do znieczulania, dość często zastosowują gaz zwany tlenkiem azotu. Szczególniéj dentyści przy wyrywaniu zębów, dają go do oddychania pacyentom, lecz długo w stanie znieczulenia człowiek wytrzymać nie może i jeśli jest dłuższa operacya, to trzeba powtarzać kilkakrotnie dawkę tlenku azotnego.

Gaz ten nosi także nazwę gazu rozweselającego, bo przyjęty w mniejszych dozach wzbudza u wielu ludzi uczucie bardzo przyjemnego upojenia.

Żeby znieczulić tlenkiem azotu, trzeba go, jak doświadczenie nauczyło, dawać do oddychania koniecznie w stanie czystym, bez przymieszki powietrza lub tlenu i dla tego właśnie, w skutek braku tego ostatniego gazu, tak szybko śmierć następuje. Paul Bert, żeby bliżéj wyświecić tę sprawę, zajął się doświadczeniami w tym kierunku i oto ich rezultat.

Rozumował sobie tak: jeśli doświadczenie wykazało, iż tlenek azotu trzeba zadawać w stanie czystym, to jest wtedy, gdy jego napięcie równa się jednéj atmosferze, to znaczy, że trzeba mieć do użytku całych 100% gazu, ażeby mógł on wejść do organizmu. Jeżeli więc podniesiemy ciśnienie do dwóch atmosfer i będziemy ściskali nie czysty tlenek azotu, lecz jego mięszaninę pół na pół z powietrzem, to otrzymamy w téj mięszaninie każdy z gazów w napięciu jednéj atmosfery, czyli w stanie takim, jaki właśnie jest potrzebnym do użytku.

Zmieniając ilościowo mieszaninę, trzeba i odpowiednio zmieniać warunki ciśnienia. Do doświadczeń z psem Bert użył mieszaniny

pięciu części tlenku azotowego i jednéj tlenu czystego, a ciśnienie podniósł do jednéj piątéj atmosfery.

W takich warunkach już po dwóch minutach pies był znieczulonym. Doświadczenie trwało godzinę. Pies oddychał swobodnie, krew była czerwoną i w ogóle wszystkie funkcye tak zwanego życia roślinnego odbywały się regularnie. Tlenek azotu działał na organizm znieczulająco, bo był zadany w warunkach dających mu napięcie jednéj atmosfery, a oprócz tego tlen był obecnym do odnawiania zapasu we krwi przez płuca, które odbywały swoje funkcye miechowe daléj, najspokojniéj w świecie.

Gdy następnie wpuszczono powietrze, pies po kilku odetchnięciach ocknął się natychmiast i stracił wszelkie ślady odurzenia.

To prędkie ocucenie się zwykle towarzyszy uśpieniu tlenkiem azotu, gdy tymczasem przy chloroformie rzecz ta odbywa się znacznie dłużéj. Przyczyna tego leży w tém, że chloroform wchodzi w organizmie w chemiczne połączenie, gdy tymczasem tlenek azotu dostaje się jako mechaniczną przymieszka krwi, i prędko bardzo zostaje na zewnątrz wydalonym przez płuca.

Jestto przedmiot badań, godzien zwrócić uwagę medyków.

Notatki z chemii fizyologicznéj.

Nauki przyrodnicze zaczęły się w ostatnich kilku dziesiątkach lat tak rozwijać, że dziś o całości zaledwie ogólne pojęcie mieć można i każdy badacz musi się specyalizować w małym stosunkowo zakresie i na jego badanie całe życie poświęcić. Chemia daje przykład takiego rozspecyalizowania. Przybywa tam z każdą chwilą tyle nowości tyle odrębnych *faktów*, że niemasz dziś uczonego, któryby zdołał wszystko ująć w jedną całość. Tworzą się gałęzie, którym trzeba pracę całego życia poświęcić. Co z tego będzie, jeżeli tak przez dłuższy czas tym samym krokiem nauka pójdzie naprzód?

Jedna z gałęzi chemii nowszego pochodzenia, która już znakomite stanowisko zajmuje w nauce, jest chemia fizyologiczna, nauka o zmianach chemicznych zachodzących w zwierzętach i towarzyszących ich życiu. Gałąź ta należy do najbardziéj zajmujących a zarazem i najbardziéj zawikłanych, z powodu że wymaga znajomości najobszerniejszéj ustroju i że przemiany chemiczne zachodzą tam w warunkach odmiennych od tych, które w laboratoryach chemicznych spotykamy a które z trudnością tylko odtworzyć możemy. Zresztą zmiany te odbywają się w ukryciu przed nami, w żołądku, w kiszkach, w naczyniach krwionośnych i tylko obchodząc długiemi drogami, możemy im się nieco bliżéj przypatrzéć.

Ważność takich badań jest oczywistą, bo przecież na tych zamianach chemicznych opierają się wszelkie nasze funkcye żywotne; ich dokładne poznanie daje nam w rękę moc leczenia, stosowania środków w czasie nienormalnego funkcyonowania, a nauce medycznéj stawia tém racyonalniejsze podstawy.

Wielkiego rozwoju doczekała się nauka fizyologicznéj chemii w Niemczech i tam na wielu uniwersytetach istnieją osobne katedry jéj wyłącznie poświęcone. Wyborne czasopismo „Zeitschrift für physiologische Chemie", redagowane przez Hoppe Seylera, zaznajamia publiczność z rezultatami badań w tym kierunku, i w szeregu prac tam umieszczanych znaleść można w ostatnim roku wiele pełnych wagi i pouczających szczegółów. Podajemy w streszczeniu kilka ważniejszych artykułów, według sprawozdania W. Ramsaya (N°art. 509), które nam dadzą pojęcie o kierunku głównym poszukiwań.

Redaktor czasopisma występuje z całym szeregiem prac o barwniku krwi. Wiadomo, że krew arteryalna daleko jest jaśniejszego koloru, niż krew w wenach płynąca i że ta krew ciemna, przy zetknięciu z powietrzem, natychmiast zmienia swą barwę na jasno czerwoną. Toż samo zetknięcie się z powietrzem jest czynnikiem owéj zmiany barwy wewnątrz naczyń krwionośnych naszego organizmu. Krew, która się styka w płucach z powietrzem, zabiera zeń tlen, barwnik krwi łączy się z tym gazem, staje się jaśniejszym, a serce pompuje krew z płuc i rozsyła ją na wszystkie strony ciała. Po drodze tlen zużywa się na utlenianie różnych substancyj a łącząc się w części z węglem materyi węglowych, tworzy kwas węglowy, unoszony daléj przez krew i dający jéj ciemną barwę. W płucach następuje znowu dalsza przemiana.

Barwnik krwi jasny, kiedy tlen jest obecnym, nazywa się oxyhaemoglobiną,—ciemny, bez tlenu, wprost haemoglobiną. Oba te barwniki można oddzielić od reszty składowych części krwi i odróżnić je wybornie, szczególniéj za pomocą spektroskopu. Oxyhaemoglobina daje widmo o dwóch ciemnych prążkach a haemoglobina wykazuje tylko jeden, leżący mniéj więcéj po środku.

Ponieważ najmniejsza ilość tlenu zmienia skład haemoglobiny, więc mając ją czystą, można jéj używać do poznawania czy w jakich ciałach znajduje się tlen, czy nie. Gdy patrząc w spektroskopie, mamy widmo haemoglobiny i gdy dolejemy trochę płynu zawierającego tlen, wnet się kształt widma zmieni. Trzeba tylko mieć czysty barwnik ciemny, co nie jest rzeczą łatwą, bo po zetknięciu z powietrzem staje się on natychmiast jasnym. Hoppe Seyler do otrzymania czystéj haemoglobiny używa następującego środka. Miesza oxyhaemoglobinę z fermentującemi ciałami. Ciała takie dają niezliczoną ilość

drobnych żyjątek, które rozkład spowadzają i które absorbują wszystek tlen. Okazało się, że sam barwnik krwi, nie podlegając wcale rozkładowi, pozostaje nietkniętym, a tylko żyjątka zabierają zeń tlen całkowicie.

Mając tak spreparowany barwnik można nim poszukiwać tlenu we wszystkich sokach zwierzęcych i okazało się przy doświadczeniach, że ślina zawiéra tlen, lecz ani śladu niema go w żółci i w moczu w stanie wolnym.

Interesującém i korzystném w celach sądowo - lekarskich jest zachowanie się barwniku krwi w obec tak zwanego czadu, powstającego przy niedokładném spaleniu się węgli w piecu, jak np. przy zawczesném zamknięciu komina. Wywiązuje się wtedy gaz zwany naukowo tlenkiem węgla. Gaz ten jest trującym i według wszelkiego prawdopodobieństwa otrucie następuje przez połączenie się jego chemiczne ze krwią, krew w zetknięciu z tym gazem staje się cynobrowo czerwonego koloru i w spektroskopie ma swoje charakterystyczne widmo, należące do tlenku węgla. Nawet w długi czas po śmierci można ten rodzaj otrucia skonstatować.

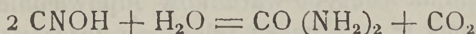
W témże samém czasopiśmie dr. Lassar podaje treść swych badań nad wpływem tak zwanych gazów krztuszących jak np. gazowego kwasu siarkowego, który się wydobywa przy paleniu zwykłych zapałek, z końcami maczanemi w siarce. Krztuszenie powstaje od spazmów w przełyku i strunach głosowych. Dziwną jest rzeczą, że zwierzęta inne w ogóle tego nie odczuwają. Dr. Lassar robił badanie nad tém, jaki wpływ na krew mają takie pary i umieszczał w parze kwasu siarkowego kruki i psy, przez godzinę. Badał potém ich mocz i okazało się, że żadnego połączenia z krwią nie było.

Zadziwiającém jest, że zwierzęta wystawione przez dłuższy czas na pary kwasu azotowego, tak silne iż skóra i włosy stawały się żółtemi, nie cierpiały wcale na tém pod względem zdrowia, i tém się tłómaczy dla czego robotnicy w fabrykach, gdzie takich par jest wiele, tak dobrze się trzymają na siłach.

Pan Szabo zajmował się poszukiwaniami nad sokiem żołądkowym, który w żołądku naszym działa wprost chemicznie na przeżute i ze śliną w ustach zmieszane pokarmy. W skład tego soku wchodzą kwas chlorowodorowy (solny) i kwas mleczny, ten sam, który powstaje przy kiśnięciu mléka. W przewadze znajduje się zwykle czynnik silniéj działający, kwas solny. W wypadkach chorobliwych, gdy jest dyspepsya, czuje się brak tego kwasu i trzeba go zastąpić, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa sam kwas mleczny nie wystarcza do sprowadzenia rozkładu pokarmu. Według pana Sza-

bo, kwas mleczny powstaje z białkowych części pokarmu i działa on na sól, którą przyjmujemy z pokarmem w ten sposób, iż tworzy się mleczan sodu i kwas chlorowodorowy. Te chemiczne przemiany, idące w odwrotnym kierunku niż w laboratoryach, zdają się mieć swoję przyczynę w zjawiskach dyffuzyi, spowodowanych ścianami naszych wewnętrznych organów.

Pokarmy, które przyjmujemy, są w ogólnym zarysie po większéj części złożone z węgla, wodoru i azotu. Z nich węgiel i wodór, spełniwszy swe funkcye fizyologiczne, po wessaniu, wydalane są w różnych postaciach na zewnątrz, jako kwas węglowy i jako para wodna przez płuca i inne części ciała w kształcie wydzielin. Azot tylko w bardzo nieznacznych ilościach odchodzi przez płuca, a przeważnie wydziela się z moczem, w połączeniu z węglem i wodorem w postaci tak zwanego mocznika. Dawniéj zaliczano to ciało do takich, które tylko w organizmie powstawać mogą, dziś, robią ją sztucznie. Okazało się, że mocznik jest węglanem ammonowym, któremu odjęto wodę. Prof. Salowski z Berlina zajmował się zbadaniem jaką drogą to ciało w organizmie powstaje. Nie możemy wdawać się w szczegóły badań, jednak rezultatem ich jest, że mocznik powstaje z kwasu cyanowego i wody, a że ten kwas sam wywiązuje się przy rozkładzie białka. Reakcya chemicznie tak się przedstawia:



$$2\ CNOH + H_2O = CO\ (NH_2)_2 + CO_2$$

Rzekomy nowy krater na księżycu.

W zeszłym roku rozbiegła się po świecie wiadomość, już kilkakrotnie przedtém kolportowana, że powstał nowy krater na księżycu, że więc ciało to niebieskie podlega dotąd gwałtownym przewrotom i daje znaki swego życia geologicznego. Klein miał w zeszłym roku ujrzeć nowy, niewidzialny dotychczas krater, w okolicy wygasłego wulkanu zwanego przez selenografów Hyginusem. Wiadomość ta, dziwna i niespodziana, rozniesioną została za pośrednictwém dzienników po świecie, i uważano spostrzeżenie Kleina, jako pozytywnie stwierdzające istnienie wulkanicznéj czynności na księżycu. Jeżeli jednak bliżéj przypatrzymy się temu przedmiotowi, to nabierzemy przekonania, iż jakkolwiek nie można stanowczo zaprzeczyć możliwości wybuchu nowych wulkanów na księżycu, to jednak ma wszelkie prawdopodobieństwo za sobą zdanie wręcz przeciwne, że księżyc jest ciałem obumarłém, które już skończyło epokę gwałtownych przewrotów i znajduje się w stanie niczém prawie nie zamąconego pokoju.

Księżyc zawieszonym jest w przestrzeni stosunkowo dość blisko od nas, najbliżéj ze wszystkich ciał niebieskich i dla tego najlepiéj mógł być zbadanym. Poznano dokładnie ile na to lunety pozwalały, budowę jego powierzchni i przekonano się, iż jest ona zasianą kraterami wygasłych wulkanów, dochodzących nieraz do olbrzymiéj wielkości. Przez długi czas zdejmowano plany powierzchni tarczy księżycowéj i przekonano się, że za wyjątkiém kilku wątpliwych wypadków, w okresie trwania dokładnych obserwacyj, nie zaszły żadne zmiany, świadczące o gwałtownych przewrotach. Wszystko, przeciwnie, każe wnioskować, iż księżyc jest ciałem zupełnie obumarłem, ciałem, które z powodu swéj małości wysłało prędzéj od ziemi w przestrzenie między światowe większość zapasu swego ciepła i dziś jest już na wskroś skrzepłą masą. Zauważano także, iż niéma prawie żadnéj atmosfery na księżycu, a przynajmniéj znajduje się jéj tylko tyle, ile pod kloszem pompy pneumatycznéj przy wielkiém rozrzedzeniu. Niema powietrza, a więc i niema téż i wody, którąby w próżni istniéć mogła tylko w stanie pary. Niema więc na powierzchni księżyca dwóch potężnych czynników, jak woda i powietrze, które drogami mechaniczną i chemiczną, tak się przyczyniają do zmiany kształtu powierzchni ziemi.

Wszystkie te fakty, wypływające z dokładnéj obserwacyi, każą mniemać iż niema na księżycu warunków odpowiednich do tak wielkich zmian, żebyśmy je za pomocą teleskopu obserwować mogli.

A jednak jakże sobie wytłómaczyć, że w miejscu starannie przez obserwatorów badaném, w okolicy Hyginusa, zauważył Klein nowy krater, niezanotowany na żadnych rysunkach wielokrotnie i dokładnie z tego miejsca zdejmowanych? Odpowiedź na to dają lord Lindsay i R. Copeland (w miesięczniku ang. król. tow. Astr. 1879 p. 195) Uczeni ci powiadają, iż okolica Hyginusa, jest co do swéj powierzchni tak nieragularną, tak skomplikowaną co do budowy, mimo niewielkiéj wyniosłości, tak różnorodnie zabarwioną, że przy rozmaitém oświetleniu, mogą łatwo powstawać złudzenia optyczne i niemożliwość dojrzenia, za wyjątkiem szczególnych warunków oświetlenia, pewnych części składowych otaczającéj przestrzeni.

Oto naprzykład jedna z obserwacyj téj okolicy z d. 17 Października 1878 r. Wtedy właśnie granica pomiędzy ciemną a jasną częścią tarczy księżycowéj przechodziła przez Hyginusa. Zdjęto kilka rysunków okolicy, lecz na południowo zachodniéj stronie nie zauważono żadnego krateru. W trzy godziny późniéj widziano już jakiś grzbiet w kształcie sierpa, który w godzinę stał się wyraźnie częścią krateru sąsiadującego z Hyginusem. Nieco daléj ujrzano jeszcze jeden mały krater, który jednak znikł z oczu, już po trzech kwadransach. Mała

zmiana w oświetleniu sprowadziła to zjawisko. Tymczasem pierwszy krater stawał się coraz wyraźniejszym, a późniéj zakryty został na wskróś plamą cieniu, która, jak się zdaje, widoczną jest przy wszystkich innych oświetleniach.

Te spostrzeżenia dowodzą, iż bardzo być może, że Klein widział przy szczególnie korzystném oświetleniu krater, który dotychczas ukrywał się przed okiem badaczy, lecz który wcale nie jest nowym i istnieje od dawnych, bardzo dawnych czasów. Z tego rodzaju spostrzeżeniami trzeba być bardzo ostrożnym i należy zbierać, przez długie lata, najdrobniejsze szczegóły, żeby módz coś stanowczego zawyrokować.

Sprostowanie omyłek druku w Tomach 2—3.

Stronica	*wiersz*	*zamiast*	*powinno być*
Tom II.			
440.	10 od góry	et precursor	el precursor
441.	9 od dołu	romantymz	romantyzm
442.	15 „	15	25
442.	14 „	1568	1562
442.	7 „	dwadzleścia	dwanaście
456.	7 „	hechieera	hechicera
456.	3 „	redndilla	redondilla
Tom III.			
233.	9 „	verganzoso	vergonzoso
251.	16 „	Alaveona	Alarcona

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**

